

Lidia Liszewska \* Robert Kornacki

CZARNY MOTYL



Now  
WYDAWNICTWO

**Lidia Liszewska \* Robert Kornacki**



**CZARNY MOTYL**

Fabularyzowana historia Haliny Szwarc –  
łodziarki, która poszła na wojnę z Hitlerem





Projekt okładki

*Grzegorz Bociek*

Ilustracje

© *Mark Owen | Trevillion Images*

© *gpointstudio | freepik.com*

© *sygn.: 3\_1\_0\_9\_3852\_242396, 3\_1\_0\_11\_10296\_82933 | Narodowe Archiwum Cyfrowe*

© *Bundesarchiv\_Bild\_137-051639A | Wikimedia Commons* oraz prywatne archiwum autorów

Redakcja

*Anna Seweryn*

Redakcja techniczna, skład i łamanie

*Grzegorz Bociek*

Korekta

*Urszula Bańcerk*

*Anna Jeziorska*

Wydanie I, Gdańsk 2023

tekst © Lidia Liszewska, Robert Kornacki, 2023

© Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-67402-54-5

Wydawnictwo FLOW

[biuro@wydawnictwoflow.pl](mailto:biuro@wydawnictwoflow.pl)

tel. 538 281 367

*Ja bym się chciała do konspiracji zapisać...*

Halina Szwarc

# Prolog

*Aparat policyjny w Łodzi rozbudowany jest do olbrzymich rozmiarów. Gestapo liczy tu 180 osób. Bardzo pokaźna jest liczba konfidentów; wśród nich niestety sporo Polaków. [...] Dysponując tak rozbudowanym aparatem śledczym, policja niemiecka doprowadziła kontrolę nad społeczeństwem łódzkim do granic doskonałości.*

Raport nr 9 Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji Delegatury Rządu na Kraj, woj. łódzkie, II. Terror i eksterminacja<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Cyt. za: Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

Natarczywy dźwięk telefonu wybudził z zamyślenia stojącego przy oknie mężczyznę. Krótką chwilę trwało, zanim ten oderwał wzrok, by z malowniczo rozciągającego się przed budynkiem szpaleru młodych kasztanowców przenieść go na brzęczący natrętnie aparat. Nawet sekundę nie wahał się jednak z podjęciem decyzji – podejść do solidnego dębowego biurka i podnieść słuchawkę czy nadal łapać przy parapecie pierwsze promienie słoneczne.

Majowe słońce nie było tego dnia specjalnie nachalne, ale ładnie oświetlało zarówno sam gabinet, jak i widoczny w oddali zamknięty zasiekami wylot dawnej alei Anstadta. W jasnej plamie skąpany był też ustanowiony w pobliżu posterunek żandarmerii. Grupa porządnie umundurowanych, ale i lekko rozleniwionych żołnierzy strzegła przy nim wstępu osobom postronnym. Na nadmiar pracy, a już na pewno na wyjątkowo stresujące warunki narzekać raczej nie mogli.

Łódź – włączone do Rzeszy duże polskie miasto – już przed wojną miała dość liczną reprezentację niemieckich mieszkańców. Teraz ich liczba zwiększyła się wielokrotnie, Polacy zepchnięci zostali do gorszych dzielnic, a ludność żydowska zamknięta w getcie. Wprowadzony przez hitlerowską administrację terror skutecznie tłumił pomysły potencjalnego buntu, choć akcje dywersyjne polskiego podziemia zdarzały się regularnie. Ale od kolportowania ulotek i malowania hasel na murach do zbrojnego napadu na przedstawicieli rasy panów droga była daleka. Najeźdźcy czuli się tu więc niemal komfortowo.

Jedna z wojskowych ciężarówek właśnie się zatrzymała przy szlabanie; kierowca nie zgasił silnika, utrzymując gotowość do wyjazdu w miasto. Dzień dopiero się zaczynał, było po godzinie ósmej, ale w całym budynku dało się wyczuć jakieś napięcie. Jakby zaraz miało się wydarzyć coś nadzwyczajnego.

Nieliczni Polacy, którzy zapuszczali się w to miejsce, myśleli zapewne podobnie – że trzeba niezwyklej perfidii albo zwykłej niewiedzy, by na siedzibę łódzkiego Gestapo wybrać dawną żydowską szkołę, zbudowaną na działkach należących do tak mocno niearyjskich właścicieli, jak Lieb Liebensztejn, Abram Moryc czy Ludwik Cukier. I to na dodatek w kompleksie, który opierał się w swym architektonicznym wyrazie na modernistycznych założeniach weimarskiej szkoły Bauhausu.

A może zdecydował o tym jednak niemiecki pragmatyzm i zamiłowanie do porządku? Obiekt zbudowano przecież ledwie kilka lat temu, był przestronny i bez trudu pomieścić mógł zarówno pracowników administracji i funkcjonariuszy śledczych, jak i tych, którzy w efekcie donosu albo zwykłego pecha najgorsze godziny swojego życia musieli spędzić w piwnicznych celach. Tych ostatnich nie brakowało, a i przygotowane dla nich pomieszczenia rzadko pozostawały puste. Dochodzące z nich jęki i krzyki były równie intensywne tak za dnia, jak i w nocy.

Teraz podobne dywagacje nie miały jednak najmniejszego znaczenia, bo choć szkołę zdołano wybudować w terminie i była gotowa na przyjęcie pierwszych żydowskich uczniów już po wakacjach 1939 roku, to wybuch wojny zmienił wszystko. Obecnie, już w Litzmannstadt<sup>2</sup>, budynkiem przy przemianowanej z alei Anstadta na Gardestrasse 7 zawiadywał *SS-Obersturmbannführer*<sup>3</sup> Otto Bradfisch.

<sup>2</sup> Litzmannstadt to niemiecka nazistowska nazwa Łodzi, nadana rozkazem Adolfa Hitlera 11 kwietnia 1940 roku.

<sup>3</sup> niem. podpułkownik SS

Był rok 1944, doktor Bradfisch mógł się pochwalić zespołem stu pięćdziesięciu jeden funkcjonariuszy i blisko siedmuset agentami,

których on i jego poprzednicy skaperowali do pracy i zarejestrowali w Wydziale „N” – *Nachrichtendienst*. Jakiś czas temu bardzo ciekawą informację przekazał jeden z takich kapusiów i dlatego być może już dziś będą mogli posmakować zwycięstwa w prowadzonym przez siebie śledztwie.

Niemiecka propaganda potrzebowała dobrych wiadomości, dlatego Bradfish błyskawicznie odepchnął się barkiem od ściany i w dwóch sprężystych susach był przy dzwoniącym telefonie.

– *Herr Obersturmbannführer*, jesteście gotowi do akcji, samochód czeka – zameldował karnie sekretarz kryminalny Boettcher, po czym umilkł, najwyraźniej czekając na ewentualne dodatkowe polecenia.

Wszystko mieli opracowane w najdrobniejszych szczegółach, niewiele można było dodać do ustalonego planu. Chociaż...

– Przypomnij mi, proszę, kogo bierzesz ze sobą – dodał dla porządku doktor Bradfish.

Jako prawnik zwracał uwagę na detale, był wszak człowiekiem wykształconym. Zanim wojenne koleje uczyniły go nadburmistrzem komisarycznym w tym przeklętym mieście i w równie odpychającym Kraju Warty, pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Bawarii. Później robił porządek z homoseksualistami i czyścił niemieckie szeregi z przeciwników politycznych, by w końcu skupić się na tępieniu Żydów na Białorusi. Tu, w Litzmannstadt, trochę narzekał na nudę, bo przecież nadzór nad wysyłką do SS-Sonderkommando Kulmhof am Ner kolejnych dziesiątków tysięcy podludzi nie był specjalnie ekscytujący. Ot, zwykła, przyziemna robota, by nie powiedzieć – normalna buchalteria. Zresztą i w tym zadaniu trafiła się ponadroczna przerwa, kiedy obóz zlikwidowano, wysadzając w powietrze baraki i krematoria. Ale *Führer* żądał wyników, więc infrastrukturę trzeba było szybko odtworzyć. Mimo to nadburmistrz zdecydowanie się nie przemęczał, choć czasem i jemu trafiało się coś wyjątkowego. Jak choćby ta polska świnią, Halina Klomb!



– Pojedzie ze mną Tamm – odpowiedział zapytany i po chwili dodał: – Jan zna się na robocie jak mało kto, a tamten polski ptaszek będzie dla nas śpiewał jeszcze dzisiaj!

Bradfish nie miał co do tego żadnych wątpliwości i podzielał entuzjazm podwładnego. Działalność tej kobiety była wyraźną plamą na honorze instytucji, w której pracował. Polka robiła dużo złego i wciąż pozostawała nieuchwytna. Domyślali się, że kursowała regularnie między Rzeszą a jej rodzinną Łodzią, raz już ją nawet mieli, jednak... Miała do tej pory nad wyraz dużo szczęścia. *Schluss*<sup>4</sup>, dziś karty się odwróca!

<sup>4</sup> niem. koniec

– Zmiana planów – zarządził niespodziewanie. – Nie chcę tam żadnych nerwowych sytuacji!

– Tak jest, *Herr Obersturmbannführer*! – Boettcher stuknął obcasami i słuchał uważnie.

– Żadnej ciężarówki – podjął wątek nadburmistrz. – Jeszcze mi tego brakuje, żeby to polskie ścierwo zdążyło sięgnąć po cyjanek i się otruć. Pojedziecie dyskretnie, dorożką i w cywilnych ubraniach. I mam tu ją mieć żywą, rozumiano?

– *Jawohl*<sup>5</sup>! – Funkcjonariusz kiwnął głową na potwierdzenie i poczekał, aż jego przełożony odłoży słuchawkę.

<sup>5</sup> niem. Tak jest!

*Obersturmbannführer* Otto Bradfish zrobił to, krzywiąc twarz w uśmiechu niemal promiennym, po czym wrócił do swego posterunku przy oknie. Wcześniej zerwał jednak kartkę w niewielkim podręcznym kalendarzu, leżącym na biurku. W zasadzie powinien to zrobić jego adiutant, ale młody Fritz Wrecke chodził ostatnio niewyspany i zaniedbywał mniej ważne obowiązki – nic dziwnego, Bradfish zlecił mu nadzorowanie transportu najważniejszych dokumentów łódzkiego Gestapo do tajnego magazynu w Zbąszyniu, nad pięknym jeziorem Błędno. Tak na wszelki wypadek, a w zasadzie gdyby zwycięski pochód

niemieckiego oręza nie był tak całkiem niepowstrzymany. Różne słuchy dochodziły i do Kraju Warty, a prawniczy umysł Bradficha doskonale potrafił wyobrazić sobie, co się stanie, kiedy gromadzone przez nich dokumenty wpadną w niepowołane ręce.

23 maja, odczytał na głos datę, pomijając zwyczajowe informacje o wschodzie i zachodzie słońca. Ten ostatni interesował go o tyle, że być może – jeśli jego ludzie uwiną się jak należy – jeszcze przed wieczorem będzie mógł zameldować w Berlinie o kolejnym sukcesie.

Zegar niemieckiej firmy Junghans dostojnie wybił godzinę dziewiątą. Przed szlabanem nie było już ciężarówki, ale w miejsce zajmowane przez nią jeszcze chwilę temu zmierzało dziarskim krokiem dwóch mężczyzn. Byli to Fryderyk Boettcher i Jan Tamm, którzy zdążyli zamienić mundury na garnitury i teraz tylko wysoko podniesione głowy, sprężystość ruchów i starannie przystrzyżone włosy zdradzały, że to niemieccy żołnierze ruszający na łowy.

# Rozdział 1

*Po kilkakrotnym omówieniu sprawy Gdańska już przed wieloma miesiącami przedstawiłem Rządowi Polskiemu konkretną propozycję. Propozycję tę podaję Wam obecnie do wiadomości, Panowie Deputowani, i będziecie mogli sami orzec, czy nie jest ona w służbie pokoju europejskiego największym ustępstwem, jakie tylko było możliwe. Jak już podkreśliłem, rozumiałem zawsze konieczność posiadania przez to państwo dostępu do morza i zawsze brałem to pod uwagę. Nie jestem przecież demokratycznym mężem stanu, ale realistycznym narodowym socjalistą. Uważałem więc również za konieczne wyjaśnić Rządowi Warszawskiemu, że tak jak on pragnie dostępu do morza, tak i Niemcy potrzebują dostępu do swej prowincji na Wschodzie<sup>6</sup>.*

<sup>6</sup> <https://encyklopedia.pwn.pl/materialy-dodatkowe/haslo/Hitler-Adolf-Przemowienie-w-Reichstagu-28-kwietnia-1939-r;1582204.html> [dostęp: 29.03.2023].

Przemówienie Adolfa Hitlera, Reichstag, 28 kwietnia 1939 roku

Nigdy wcześniej Halina Kłąb nie była tak blisko śmierci.

Nie swojej, z jej ciałem i duszą było wszystko w porządku, choć ostatnie pożegnanie kochanego profesora Oskara Eckerta przeżyła bardzo mocno. A fakt, że właśnie dziś, 5 maja 1939 roku, w dniu pogrzebu jej matematyka, ona sama świętowała szesnaste urodziny, po prostu zszedł na drugi plan, a nawet wydawał się kompletnie błahy i nieistotny.

I kiedy grono pedagogiczne gimnazjum Heleny Miklaszewskiej, szkoły, do której uczęszczała, zastanawiało się – niemal nad trumną swojego kolegi po fachu – czy udział uczennic katolickiej szkoły w pogrzebie protestanta jest aby właściwy, ona wciąż słyszała łagodny, wręcz dobrotliwy głos starego profesora. Nigdy nie krzyknął, nigdy też nie dał po sobie poznać, że mniej lub bardziej nieudane potyczki panien „od Miklaszewskiej” z algebrą czy geometrią kaleczą jego uszy. Był wyrozumiały, zarówno dla nich, jak i dla chłopców z mieszczącego się przy tej samej ulicy, ale pod numerem sześćdziesiątym ósmym, Gimnazjum Kupców<sup>7</sup>.

<sup>7</sup> Potoczna nazwa Szkoły Handlowej Zgromadzenia Kupców.

Halina miała dość tych dyskusji. Jakby to w Łodzi miało jakiegokolwiek znaczenie – kto żyd, kto protestant, a kto kupuje „Rycerza

Niepokalanej”. W tym mieście od zawsze mieszały się języki, wyznania, kuchnie i przesady. Dlaczego więc po śmierci ich przyjaciela mieli oceniać, kogo inwokował w modlitwie w swej ostatniej godzinie? Bo Oskar Eckert był ich przyjacielem, dziewczyna była tego pewna – udowadniał to na każdej lekcji, nie tylko wpajając im twierdzenia i reguły, ale też dając dużo więcej. Mówił im o Polsce, o tym wielkim szczęściu, jakim jest możliwość nauczania w ojczystym języku. Profesor Eckert był polskim patriotą.

– I takim go chcę zapamiętać – powtórzyła na głos, kiedy z cmentarza wracała do domu.

Szła bez pośpiechu. Słońce muskało ciepłem policzki nastolatki i, tak jak zawsze o tej porze roku w Łodzi, mrugało zawadiacko w szybach kamienic przy ulicy św. Andrzeja. Wyraźnie widziała już otwarte okna na parterze pod numerem czterdziestym drugim. To za nimi znajdowały się wynajmowane przez rodziców dwa pokoje z kuchnią i łazienką, luksus, na który w śródmieściu nie każdego było stać. Ojciec przypominał jej o tym za każdym razem, gdy buntowniczym tonem w częstych z nim dysputach próbowała wyłożyć mu swój system wartości. „Nic nie poradzę, że materialne dobra są odległym punktem na mojej liście rzeczy i spraw w życiu najistotniejszych” – zdarzało jej się wykrzyknąć, nie raz czy dwa.

Odwróciła się na pięcie. Jeszcze nie chciała wracać do domu.

Być może dobiegało końca jej dzieciństwo... I nie tylko w związku z tym, że właśnie dziś kończyła szesnaście lat, ale także dlatego, że strata, którą w sobie niosła przez rozświetlone wiosennym blaskiem ulice, odcinała ją szorstką kreską od przejrzystości lat naiwnych i prostych.

Halina zatrzymała się na wprost wejścia prowadzącego na wąskie i podłużne podwórko, zamknięte z trzech stron dwupiętrowymi oficynami. Takie widoki towarzyszyły jej, odkąd przenieśli się tu z ulicy Kilińskiego, a jeszcze wcześniej z Bałut – do niedawna podobno największej wsi w Europie, obecnie ubogiej, w większości żydowskiej

dzielnicy Łodzi. Bałuty były jednak dla niej dziś już tak dalekie, że wręcz nierzeczywiste. Jak ta chwila, która trzymała ją teraz w objęciach. A może to tylko świeżość i młodość bezczelnie zaglądały w oczy śmierci?

Żałoba, która nie opuszczała Haliny na krok, zmyła z jej twarzy uśmiech i przykurzyła przestrzeń jakimś niewidzialnym pyłem. Mimo to obrazy, zmieniające się teraz przed oczami nastolatki, miały ostrzejsze kształty, jakby – prosząc bezgłośnie o zapamiętanie każdego szczegółu otoczenia – rzucały wyzwanie obolałym myślom.

Skonstatowała, że życie toczyło się dalej, zupełnie jak drewniany wóz, spod którego kół uskoczyła w ostatniej chwili. Zgarbiony, suchy woźnica w starej marynarce nieokreślonego koloru zamruczał coś pod nosem i zaraz potem strzelił batem w zad zgrabnego siwka, w wyglądzie i sylwetce będącego kompletnym przeciwieństwem swojego właściciela.

Pojazd z żałosnym skrzypieniem wjechał powoli na jedno z podwórek przy Piotrkowskiej. Nastolatka ruszyła w ślad za nim, zwabiona gładkim dźwiękiem skrzypiec; złowiła go uchem chwilę wcześniej, zanim jeszcze skręciła w główną arterię miasta. Licho ubrany nastoletni grajek stał w bramie od strony podwórza, niemalże przytulony plecami do muru, i grał w skupieniu melodię, którą Halina słyszała po raz pierwszy. Nuty, choć rzewne i leniwe, przepełnione były spokojem i lekkością bytu, których tak bardzo w tej chwili potrzebowała.

Minęła skrzypka i weszła w głąb małego dziedzińca, który – tak jak wiele mu podobnych w tej części Łodzi – był ślepą uliczką z wąskimi chodnikami, na tyle szeroką jednak, by mogły się tam swobodnie dostać dorożki czy wozy wyładowane towarami wszelkiego autoramentu.

Stała obok wejścia jednego z kilku znajdujących się na podwórku sklepików, udając, że na kogoś czeka. Nie zdziwiła się, że chłopak grał właśnie tutaj, a nie przy samej Piotrkowskiej. Jeśli chciał być zauważony, strzeliste ściany oficyn były jego sprzymierzeńcem, wzmacniając dźwięk instrumentu prawie jak koncertowa sala. Zaledwie parę metrów dalej dało się słyszeć już inną melodię, nabrzmiałą od

akordów powszedniego dnia, wielowątkową pieśń miasta zamieszkiwanego przez ponad sześćset tysięcy dusz... Najpewniej więc skrzypek grałby tam sobie a muzom. Choć gdyby i tak zrobił ów grajek, którego skromnie omijała wzrokiem, zrozumiałaby. Ktoś, kto żyje muzyką, pragnie obcować z nią wszędzie i w każdy możliwy sposób. Tak, zrozumiałaby...

Z miejsca, w którym stała, doskonale słyszała wszystko, co działo się za załomem muru: nawoływania gazeciarzy, dzwonki i charakterystyczny tramwajowy stukot, pokrzykiwania przechodniów i ulicznych handlarzy, gardłowanie wyrostków, skotłowane z rzeniem koni i zagłuszane klaksonami automobili, szum rozmów ludzkiego mrowia, które jak w ogromnym kopcu poruszało się w sobie tylko wiadomym kierunku.

Pod sięgającym ostatniego piętra kamienicy rozłożystym kasztanem trwał rozładunek. Dwóch mężczyzn raz po raz znikalo w wąskich drzwiach lokalu, dźwigając na ramionach opasłe paki; szyld zawieszony nad wejściem nie pozostawiał wątpliwości co do rodzaju prowadzonego interesu. *Vis-à-vis* sklepu z damskimi tekstyliami błyszcząca czystością taksówka cierpliwie czekała na kogoś, kto nie musiał się poruszać po mieście na piechotę.

Halina uniosła głowę. Stado gołębi z głośnym szumem zatoczyło koło nad uliczką. Kilka ptaków oderwało się od grupy i sfrunęło na upstrzony końskimi odchodami bruk. Odór łajna zmieszał się groteskowo z aromatem zupy pomidorowej. Na lewo od rachitycznej lipy w rogu podwórza, tuż pod witryną składu pończoch, przyciszonym głosem rozmawiało ze sobą kilku mężczyzn w różnym wieku. Jeden z woźniców przyglądał się grupce spode łba, trąc przy tym zawzięcie słomą koński grzbiet.

Zapewne wszyscy oni mieli jakieś swoje tajemnice. „A któż ich nie ma” – pomyślała, spuszczać wzrok, gdy jeden z konwersujących spojrział w jej kierunku. „Dość!” – skarciła w duchu samą siebie. Jeśli

zabarłszy tu kolejny kwadrans, nie będzie żadną tajemnicą, że zamiast kolacji dostanie dziś pozostałości po zimnym obiedzie.

Młody skrzypek chyba właśnie zakończył swój występ, bo najpierw wsunął do kieszeni kilka monet, wyłuszczywszy je z wymiętej czapki podniesionej z ziemi, a potem z namaszczeniem zaczął układać instrument w podniszczonym futerale. Zamiast muzyki unosił się teraz w powietrzu monotony hałas co najmniej kilku krosen, które musiały stać gdzieś blisko otwartych okien mieszkań. Brzmienie, które nadawało miastu jedyny w swoim rodzaju rytm.

Była ciekawa, kiedy chłopak nauczył się grać i czy tak jak ona miał swojego muzycznego anioła stróża. Zabrakło jej odwagi, żeby poszukać odpowiedzi u źródeł. Na nią chyba też już był czas. Ruszyła dalej.

\*\*\*

Mieszkanie, które zajmowali od kilku lat, mieściło się na parterze okazałej narożnej kamienicy przy ulicy św. Andrzeja<sup>8</sup>. Wincenty wiedział, że jego rodzina może i potrzebuje większej przestrzeni, ale czasy były niespokojne i mało kto myślał teraz o przeprowadzce. Jeśli już, to może co zamożniejsi Żydzi, których część przezornie uciekła na Wschód, albo i dalej, za ocean. Jednak zwalniane przez nich budynki, wielkie jak pałace, były przecież poza jego zasięgiem – takimi pieniędzmi nie dysponował. Miał to, co miał, doszedł do tego własną ciężką pracą. I choć w domu się nie przelewało, to rodzina Kłębów nie biedowała. Córkę mógł posłać do dobrego gimnazjum, a i na lekcje fortepianu starczało. Może za jakiś czas sytuacja w Europie się uspokoi? Może wrócą lepsze dni i budowlanka, w której od lat działał z sukcesami, odbije się od dna?

<sup>8</sup> Nazwa ulicy powstała w czasach zaboru rosyjskiego z inicjatywy Polaków, którzy chcieli w ten sposób zakpić z zaborców i uhonorować prezydenta miasta Andrzeja Rosickiego – żeby Rosjanie się zgodzili, zadeklarowano, że patron ulicy to święty Andrzej. Dlatego łożdżanie mówią o ulicy Andrzeja, a pełna nazwa – św. Andrzeja – pojawia się jedynie w dokumentach, w sytuacjach formalnych.

Westchnął, odłożył gazetę i wyjrzał przez okno. Halina powinna już tu być, ciekawe, dlaczego się spóźnia? Sprawdził godzinę na swojej

kieszonkowej doxie i niemal pacnął się w czoło. „Transmisja” – pomyślał, ruszając w głąb pokoju. Solidna drewniana skrzynia, tworząca obudowę radioodbiornika Elektrit Superior, zajmowała sporą część regału, przy którym dla komfortu słuchaczy ustawiono dwa głębokie fotele. Produkt wileńskiego zakładu należał do najpopularniejszych i stopniowo wypierał z polskich domów wszechobecne jeszcze do niedawna detefony. Miał nad nimi przewagę, bo o ile sprzedane w liczbie ponad pół miliona sztuk proste i tanie pierwsze polskie radioodbiorniki nie wymagały źródła zasilania, o tyle słuchać audycji można było w ich przypadku jedynie przez ograniczającą swobodę słuchawki. Superior S z Elektritu, zakupiony przez Wincentego Kłąba na początku lat trzydziestych, zaopatrzony był za to w solidny głośnik, zamaskowany tkaniną o fantazyjnym splocie. Służył im też jako wzmacniacz do gramofonu, bo na płyty z muzyką klasyczną, głównie dla córki, nigdy nie oszczędzili pieniędzy.

Co prawda, od roku był już dostępny model Opera, z magicznym okiem sygnalizującym idealne dostrojenie, regulacją barwy dźwięku, a przede wszystkim dwoma głośnikami, jednak jego cena lokowała produkt wileńskiego zakładu zdecydowanie wśród towarów luksusowych. Rodzina Kłębów miała ważniejsze wydatki, więc Wincenty z Marianną przemówienia Józefa Becka wysłuchali na jednogłośnikowym superiorze. Kłęb był przekonany, że żadne dodatkowe pokrętła czy funkcje i tak nie osłodziłyby gorzkich słów polskiego ministra spraw zagranicznych, przemawiającego w dniu szesnastych urodzin ich córki, Halinki, w polskim sejmie.

Nie dalej jak tydzień wcześniej ten awanturnik, niemiecki kanclerz Adolf Hitler, wypowiedział polsko-niemiecką deklarację sprzed pięciu lat, o niestosowaniu przemocy. „Krucze to było porozumienie, ale jednak jakieś było” – pomyślał Kłęb, lekceważąc ciche utyskiwania swojej żony. Marianna, młodsza od męża o cztery lata, cierpiała na neurastenię, ani na chwilę nie dając zapomnieć reszcie rodziny o swojej dolegliwości. Nawet teraz, choć radio trzeszczało i gubiło fale, musiała wtrącić swoje uwagi, przeszkadzając mężczyźnie w odbiorze. Nie mógł się skupić,



a przecież Józef Beck miał do powiedzenia raczej ważne kwestie i powinny być one wysłuchane z należytą atencją.

– Wiem, wiem, moja droga, masz rację – rzucił uspokajająco, nie zagłębiając się w sens słów małżonki. – Zaraz o tym porozmawiamy.

Przekręcił nieznacznie gałkę, zwiększając siłę głosu. W relacji radiowej przebijały się brawa i okrzyki, dobiegające z sali sejmowej. Minister Beck mówił zdecydowanym głosem:

– *Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną*<sup>9</sup>.

<sup>9</sup> Przemówienie Józefa Becka w sejmie, 5 maja 1939 roku. Cyt. za: <https://dzieje.pl/aktualnosci/80-lat-temu-jozef-beck-wypowiedzial-slowa-my-w-polsce-nie-znamy-pokoju-za-wszelka-cene> [dostęp: 29.03.2023].

– O czym on mówi? – dobiegło z sąsiedniego fotela. Marianna patrzyła na męża uważnym wzrokiem. – Będzie wojna?

Kłęb nie odpowiedział, nie chcąc pogarszać i tak nie najlepszego nastroju małżonki. Pytanie o wojnę wcale nie było postawione na wyrost. Adolf Hitler zajął już Nadrenię, dokonał *Anschlusu* Austrii, a całkiem niedawno rozbił Czechosłowację. Mapa Europy zmieniła się na ich oczach. Czy kolejnym punktem będzie Polska? Minister spraw zagranicznych warszawskiego rządu postawił tego dnia sprawę jasno:

– *My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenną. Tą rzeczą jest honor*<sup>10</sup> – dobiegło z radiowego głośnika.

<sup>10</sup> Tamże.

Kiedy Beck wygłosił ostatnie zdanie swego *exposé*, nawet w odległej Łodzi dało się odczuć poruszenie, które panowało na sali sejmowej. Transmisja nie została przerwana, choć słychać już było wyłącznie burzliwe oklaski i okrzyki poparcia.

Przy dobiegającym z głośnika szumie żadne z nich nie odnotowało chrzęstu klucza w zamku ani skrzypienia drzwi. Może dlatego, że

gospodarz nie dalej jak wczoraj naoliwił wysłużone zawiasy? Zauważyli ją dopiero, kiedy wysoka, szczupła blondynka powitała rodziców cichym „dzień dobry”.

– Coś się stało, Halinko? – Marianna Kłąb miała wrodzony dar do natychmiastowego odczytywania nastrojów swojej córki. Jedno spojrzenie na stojącą w progu pokoju dziewczynę wystarczyło, by matka się zorientowała, że ta jest czymś wyraźnie poruszona. – Pogrzeb pogrzebem, ale taki humor w szesnaste urodziny? Nie wróży to najlepiej, moja panno.

Teraz Halina zrozumiała, dlaczego nie spieszyło jej się z powrotem do domu. Poczła nieprzyjemny dreszcz. Zniknął natychmiast, gdy usiadła przy fortepianie.

## Rozdział 2

[...] w związku z uroczystościami żałobnymi, które zorganizowała ludność polska w Gdańsku w rocznicę śmierci Marszałka Piłsudskiego, Niemcy urządzili szereg demonstracji w czasie których ZDEMOLOWALI RESTAURACJĘ POLSKĄ, POWYBIJALI SZYBY W POLSKICH SKLEPACH, OBRZUCILI KAMIENIAMI WYSTAWIONE W OKNACH PORTRETY MARSZ. PIŁSUDSKIEGO I ZRYWALI POLSKIE CHORAĞWIE, WYWIESZONE W POLSKICH DOMACH. Jednocześnie w kilku punktach miasta demonstranci NISZCZYLI I PALILI PISMA POLSKIE. Jeszcze wczoraj wieczorem dokonany był ZAMACH BOMBOWY NA DOM KOŁO URZĘDU CELNEGO W GDAŃSKU<sup>11</sup>.

<sup>11</sup> *Terror hitlerowski w Gdańsku*, „Głos Poranny. Dziennik Społeczny, Polityczny i Literacki”, nr 131 z 13.05.1939. Zachowano pisownię oryginalną.

„Głos Poranny”, Łódź, 13 maja 1939 roku

Choć „Głos Poranny” ukazywał się w Łodzi już od dziesięciu lat, Wincenty Kłęb miał go w rękach chyba po raz pierwszy. Czasami oszczędna winieta pisma rzuciła mu się w oczy, kiedy przystawał na chwilę rozmowy z robotnikami, wizytując place swoich budów. Podczas przerwy w pracy murarze przysiadali gdzieś w kącie i wyciągali kanapki, nierzadko zawinięte właśnie w szarą płachtę gazety. Ów dziennik miał socjaldemokratyczne zacięcie, co samo w sobie nie stanowiło dla Wincentego problemu, jednak mniej jednoznacznej, odpowiedniejszej dla siebie lektury zwykł szukać w innych tytułach. Niemniej w tak gorącym okresie, spragniony świeżych wieści, nie żałował dwudziestu groszy na egzemplarz lewicowej gazety, od dawna podejmującej wątki nazizmu i alarmującej o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Wszystko wskazywało na to, że cokolwiek miałyby się zacząć – zacznie się na Pomorzu.

*Szereg gdańszczan, znanych ze swych niezależnych przekonań, nie opuszcza mieszkań w obawie przed zamachami na życie ze strony bojówek. Większość społeczeństwa gdańskiego jest bezwzględnie przeciwna przyłączeniu do Rzeszy, lecz wobec panującego terroru nikt nie ośmiela się manifestować swoich przekonań<sup>12</sup>.*

<sup>12</sup> Tamże.

Wincenty Kłęb z ciężkim westchnieniem złożył gazetę, zastanawiając się, czy przeczytać żonie to, co wzbudziło w nim największy niepokój,

czy też, mając na uwadze kruchą psychikę kobiety, opowiedzieć nowiny w jakichś mniej brutalnych słowach.

Śpiący do tej pory spokojnie u nóg gospodarza ratlerek uniósł nagle główkę. Zwierzak zastrzygł uszami, a chwilę później biegł już w stronę wyjścia z pokoju, stukając pazurkami o świeżo wypastowany parkiet.

– Nareszcie... – powiedział z ulgą mężczyzna, po czym wypuścił z ust powietrze, które bezwiednie co rusz zatrzymywał w płucach, czytając kolejne szpalty.

Udzielał mu się chyba niepokój żony, która siedziała w fotelu tuż obok, czekając, aż mąż skończy lekturę. W świetle tego, co donosiła dziś prasa i tego, co od dłuższego czasu działo się tak w kraju, jak i w najbliższym sąsiedztwie, naprawdę wolałby mieć swoich najbliższych cały czas w zasięgu wzroku.

Pies reagował w ten sposób tylko na Halinkę, więc puls Wincentego zaczął powoli zwalniać.

Od strony niewielkiego przedpokoju dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiami, a zaraz potem radosne piski czworonoga obwieściły całemu światu powrót do domu najmłodszego z domowników.

– Na litość boską, dziecko, ty chyba serca nie masz! Tak długo?! – przywitała córkę Marianna, unosząc się w fotelu i marszcząc brwi.

– A mama znowu swoje! – obruszyła się nastolatka, biorąc na ręce skaczącego wokół niej pupila i wtulając twarz w jego uszczęśliwiony pyszczek. – Przecież przed wyjściem mówiłam mamie, że jeśli nikogo już po mnie nie będzie, Dobkiewicz obiecał mi przedłużyć lekcję o dodatkową godzinę – dodała z pretensją w głosie.

– Nie przypominam sobie – odpowiedziała, opadając z powrotem na oparcie fotela.

– Nic dziwnego, bo mama... – zaczęła Halina i uniosła palec wskazujący w geście, który miał oznaczać, że ma jeszcze parę rzeczy do powiedzenia.

– Wystarczy! – Kłęb zdecydował się przerwać córce ostrym tonem.

– Jeśli mam zostać pianistką, muszę ćwiczyć, czy to tak trudno zrozumieć? – Dziewczyna chciała mieć ostatnie słowo. – A nawet gdybym skończyła tylko jako muzykolog, sam kontrapunkt i solfeż, choćby opanowany do perfekcji, to zdecydowanie za mało. Mama wie, jak gra Janek Stolzman? Albo Auerbach? Daleko mi do nich! –

Nastolatka z wypiekami na twarzy przywoływała imiona o kilka lat młodszych od siebie żydowskich kolegów.

– Przecież to jeszcze dzieci... – zauważyła Marianna półprzytomnie, przykładając zmęczonym gestem zewnętrzzną część dłoni do czoła i przymykając oczy.

– No właśnie! – podsumowała Halina, marszcząc podbródek.

W takich momentach Wincenty był zły na siebie, że już od dawna pozwalał dorastającej latorośli na wolność wypowiedzi. Niemniej według niego i ta miała swoje granice.

– Nie męcz matki, proszę cię! To nie jest dobry moment, żeby... ciągnąć dyskusję tego rodzaju. – Mężczyzna się zająknął, próbując ukryć przed córką główną przyczynę swojego zdenerwowania. Ale ten ułamek sekundy zawahania wystarczył, żeby dziewczyna spojrzała baczniej na obydwój rodziców.

„Bystra jest” – przeleciało mu przez myśl.

– Mamo?

Marianna tylko się skrzywiła, nie otwierając oczu. Nastolatka przeniosła wzrok na ojca.

– Tato, co się stało? – zapytała, już o dwa tony ciszej.

Wincenty Kłęb westchnął po raz kolejny, jakby coś blokowało mu oddech, i na krótką chwilę ukrył twarz w dłoniach. Za żadne skarby nie powiedziałby wszystkiego, co siedziało mu teraz w głowie. Jak ma chronić swoją jedyną córkę czy żonę, jeśli tak mało od niego zależy? I przed czym, bo miał nieodparte wrażenie, że zbliża się ku nim jakiś

front burzowy, od którego grzmotów już drży ziemia. Lawina zmian ruszyła – co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Pytanie tylko, jak daleko dotrze jej zachłanny jęzor.

– Powiecie mi w końcu, o co chodzi? – Znak zapytania w głosie dziewczyny zadrżał jak osika.

– Matce chodzi tylko o to, że panna w twoim wieku nie powinna przebywać tak długo poza domem. – Jednak stchórzył.

– Jest jak śmierć na chorągwi! Spójrz tylko na nią, Wincenty – żaliła się Marianna, kiwając głową, jakby ta ważyła co najmniej sto kilogramów.

– I żebyś normalnie jadła – uzupełnił jej mąż. – Rzeczywiście, jesteś blada jak prześcieradło.

– Nie jem, kiedy nie jestem głodna, a poza tym nie jestem już dzieckiem, tato.

Halina postawiła psa na podłodze, bo zwierzak wyraźnie znudził się brakiem pieszczot i nerwowymi ruchami łapek, uzbrojonych w ostre pazurki, zdradzał chęć zmiany pozycji. Pozwoliła mu na to; jej szafa nie pękała w szwach, więc musiała dbać o każdą rzecz, którą miała na sobie. Przez chwilę obserwowała na zmianę to ojca, to psa – jeden i drugi kręcili się na swoich miejscach. Co było przyczyną psiego niepokoju, łatwo mogła się domyśleć; pupil nie zaliczył jeszcze dziś ulubionej marszruty do pobliskiego parku, więc tu sprawa była jasna i klarowna.

Nastolatka zrobiła kilka kroków i usiadła na swoim łóżku. Oparła się plecami o ścianę, a potem podciągnęła kolana pod brodę i objęła mocno łydki ramionami. W końcu skupiła wzrok na twarzy ojca. Nie zmieniła pozycji, kiedy matka nagle wstała i zniknęła w kuchni.

– Chodzi o to, co ludzie mówią o Gdańsku? – zapytała cicho.

Twarz mężczyzny zmienił ledwo widoczny grymas. Trafiała.

Na zewnątrz było jeszcze widno, ale w jej pokoju, który był też ich wspólnym miejscem odpoczynku, panował wiosenny wczesnowieczorny

półmrok; promienie słoneczne docierały do pomieszczenia przez jedno nieduże okno i tylko wąskim promieniem przez krótką część dnia. Winna temu była ściana oficyny, która dosłownie „rządziła” dopływem światła w jej sypialni. O tej porze słońce musiało wprawdzie wisieć jeszcze nad horyzontem, ale lokalizacja pokoju sprawiała, że noc powoli zaczęła przeglądać się już w kwadraturze szyb.

Podwórze za otwartym oknem wciąż jeszcze rozbrzmiewało bieganiną kilkulatków oraz rozmowami dorosłych, dzielących się wrażeniami całego dnia. Niektóre z nich docierały do nich teraz, porwane na strzępy przez grube mury i hałasy najmłodszych.

– Nie tylko – rzucił Wincenty Kłęb, wciągając głośno powietrze do płuc.

– Wiem.

Na długą chwilę między ojcem a córką zapadło milczenie.

\*\*\*

Zbliżyła się do uchylonych drzwi przestronnej sali ćwiczeń w konserwatorium trochę jak kot, który nie chce spłoszyć upatrzonej z daleka tłustej myszy. Ale nie o taki łup tu szło, lecz o skarb, który spoczywał w dłoniach ledwie dwunastoletniego chłopca. Drobnie dziecięce palce Janka Stolzmana, który rozpoczął lekcję chwilę po tym, jak Halina Kłęb zakończyła swoją, tańczyły na klawiaturze fortepianu jak nuty na pięciolinii rozbrzmiewającego właśnie w klasie Chopinowskiego *Walca a-moll*.

O tej porze powinna już być w połowie drogi do Domu Koncertowego Ignacego Vogla, gdzie umówiła się z Alusią Tkaczukówną, przyjaciółką ze szkolnej ławy. Spędzała z nią większość czasu wolnego od obowiązków. Jak co tydzień miały zamiar wysłuchać jednego z fortepianowych koncertów, które w każdy piątek gromadziły w gmachu przy ulicy Narutowicza prawdziwe tłumy.

Halina rzadko opuszczała wydarzenie, nawet jeśli wiedziała, że braknie jej czasu na zdrowy sen; w końcu od czego jest piąta rano albo godziny

przed północą, żeby usiąść do lekcji czy nadrobić czytelnicze zaległości? Dziś także nie zamierzała robić wyjątku, chociaż... nogi same zamiast ku wyjściu z konserwatorium niosły ją w odwrotnym kierunku.

Mały pianista kołysał się łagodnie, wprawiając dłonie i przedramiona w ruch pełen elegancji i uniesienia. Miękkie dźwięki utworu dotykały z czułością serca dziewczyny w takim samym rytmie, jak opuszki palców chłopca ogrzewały wspólną dla obojga białą-czarną linię życia. Tą ostatnią była dla Haliny muzyka klasyczna. Jeszcze do niedawna nastolatka była pewna, że to ona właśnie wyznaczy azymut jej dojrzałości.

Ale to było wczoraj. Teraz stała zahipnotyzowana, a w jej głowie, rozpychając się bezczelnie łokciami, rodziła się myśl... Że to nie ona powinna usiąść kiedyś przy błyszczącym fortepianie w jednej z największych sal koncertowych i że to nie ją powinna otoczyć prawdziwa orkiestra – doskonałe tło dla cudów płynących wartkim strumieniem pomiędzy klawiaturą a zdolnymi dłońmi. Takich darów Bóg nie rozdaje każdemu, kto ich pragnie, nawet jeśli mówi się o Stwórcy, że bywa szczodry w swojej łaskawości. Halina czuła, że w jej spojrzeniu nie błyszczy i nigdy nie zabłyśnie ta jedna, szczególna iskra, za to cały ich korzec rozjaśnia dziecięcą buzię Janka Stolzmana.

Zamknęła ostrożnie drzwi pracowni, choć ani uczeń, ani jego mentor nie widzieli w tej chwili nic poza światem interwałów.

\*\*\*

Godzinę później stała jak zwykle „na jaskółce”, jak było to w zwyczaju uczniów konserwatorium. Ojciec nigdy nie był zadowolony, gdy wspominała mu o tym; w końcu z tego wyjątkowo niewygodnego miejsca do obserwacji widowiska korzystała zwykle najuboższa część społeczeństwa. Bilety wstępu rzeczywiście były tu najtańsze, ale też ich zakup przez studentów był zabiegiem celowym i bynajmniej nie miał związku z komfortem.

Zwykle chłonęła wszystko całą sobą. Czyniła tak za każdym razem, niezależnie od tego, czy uczestniczyła w wydarzeniu u boku rodziców



czy którejs ze szkolnych koleżanek. Tym razem obecność przyjaciółki umykała jej, tak jak większość obrazów i zapachów towarzyszących koncertowi. Choć nie powinno jej brakować wrażeń – przepiękny architektonicznie budynek Domu Koncertowego, starszy od niej zaledwie o dwadzieścia cztery lata, usytuowany w samym sercu miasta, magnetyzował nie tylko swoją bogato zdobioną, reprezentacyjną elewacją, ale również pełnym przepychu wnętrzem zaspokajał najwybredniejsze gusta stałych bywalców. Do przyjemności Haliny należała również obserwacja publiczności, tworzącej barwny korowód toalet, fryzur i aromatów. Wyjątkowość chwili odurzała, sprawiając, że dziewczyna czekała na kolejny muzyczny piątek jak na upragniony gwiazdkowy prezent.

Ten wieczór był jednak zupełnie inny, a zaczarował go niepozorny, drobny dzieciak w żydowskiej kipie... Cały czas miała przed oczami skromną salę konserwatorium.

– „Panie Paderewski”! – Usłyszała Halina, a potem poczuła kuksańca w bok. Zaśmiała się, chyba po raz pierwszy dzisiaj. Nawet lubiła to przezwisko, którego w stosunku do niej używała większość jej szkolnych koleżanek. – Coś pan minę masz nietęgą... – Alusia nie wychodziła z roli, widząc, że na twarzy przyjaciółki zakwita uśmiech. – Ach, wiem! Po cóż pytam... Zagrałby pan lepiej!

– Przestań, wariatko!

Teraz chichotały już obie.

– Ale jedno mnie martwi... – zaczęła Tkaczukówna, cofając się o dwa kroki, pod ścianę foyer.

Halina zrobiła to samo, inaczej rozdzieliłaby je grupka dorosłych, opuszczających salę po zakończonym występie. Nastolatki dyskretnie zlustrowały wieczorowe suknie pań, otoczonych wianuszkami nie mniej eleganckich mężczyzn. Powietrze wypełnił ciężki, duszący aromat. „Jeśli tak pachnie dorosłość – pomyślała Halina, marszcząc nos – to chyba nie ma się do czego spieszyć”.

– No i co to takiego? – Kłębówna ponagliła przyjaciółkę.

Alusia wzruszyła ramionami i przez chwilę naprawdę wyglądała na mocno zafrasowaną.

– A otóż to właśnie, że kiedy będziesz już wielką, sławną pianistką, będziemy siedzieć w tej sali nie inaczej, ale daleko od siebie. Smuci mnie ta perspektywa, choć, nie ukrywam, iż smutek mój byłby znośniejszy, gdybym mogła zamienić go na miejsce w pierwszym rzędzie. – Tkaczukówna uniosła wysoko brodę, a potem, śmiejąc się, puściła oko do swojej towarzyszki.

– Kochana jesteś. – Halina zaróżowiła się delikatnie. – Ale... nie sądzę, byś miała ku temu okazję.

– Nie rozumiem... – Alusia spojrzała uważniej na przyjaciółkę.

Halina westchnęła i uśmiechnęła się, a rysy jej twarzy złagodniały.

– Skończę konserwatorium, tak jak planowałam, ale po maturze pójdę na muzykologię, może nawet połączę ją ze studiami prawniczymi. Uważam, że tak dokonam więcej niż na sali koncertowej – wyartykułowała myśl, która zadomowiła się w niej już na dobre.

– Co ty pleciesz? To chyba żarty! – prychnęła Alusia. – Nie wierzę i nie zgadzam się! – Dziewczyna zaczęła mocno gestykulować, zwracając na siebie uwagę ostatnich wychodzących. – Nie dostałaś talentu tylko dla siebie, pomyślałaś o tym?

– Robię to już od dłuższego czasu. Zrozum, Aluś... – Halina spojrzała gdzieś przed siebie. – Chciałabym, żeby moja muzyka mogła zmieniać świat.

– A nie możesz go zmieniać i grać?

– Do tego trzeba geniuszu!

– Do tego trzeba odwagi – wypaliła Tkaczukówna. – Masz jedno i drugie!

Halina zamrugnęła, próbując ukryć lekką konsternację po ostatnich słowach przyjaciółki. Zanim zdecydowała, czy czuje w nich komplement

czy raczej prowokację, w wejściu do prawie pustego już korytarza pojawił się Wincenty Kłęb, dbający o to, by po koncertach dziewczynki nigdy nie wracały do domu same.

– Głowa pełna wrażeń? – zapytał na przywitanie.

– Głowa pełna marzeń! – odpowiedziały chórem.

\*\*\*

Późna pora sprawiła, że wąskie ulice łódzkiego śródmieścia, zwykle rojne i pulsujące życiem, powoli się wyludniały. Sprzed gmachu największego w Łodzi muzycznego przybytku co rusz odjeżdżały automobile, zabierając ze sobą znamienitszych gości piątkowego koncertu. Część widzów wybrała na powrót niespieszny spacer, jeszcze inni rozglądali się za możliwością kontynuowania miło rozpoczętego wieczoru w którymś z gwarnych lokali przy Piotrkowskiej.

– No dobrze, na nas już czas! – Wincenty Kłęb dał się ująć pod boki obu nastolatkom, po czym rażnym krokiem ruszyli w stronę domu. – Mama zaraz zacznie się niepokoić, a i rodzice panny Alicji zapewne czekają z kolacją.

– Racja – przyznała Alusia, wolną ręką klepiąc się po brzuchu. – A po prawdzie to i ja coraz mocniej myślę o czymś do przekąszenia.

Cała trójka zaśmiała się serdecznie, przyspieszając kroku.

– Jak znajdujecie dzisiejsze występy? – Ojciec Haliny czuł się w obowiązku podtrzymać rozmowę. – Ten ostatni utwór, słyszałem fragment, był interesujący.

– Ten walczyk? – zagadnęła córka. – Nam też się bardzo spodobał, może dlatego, że różni się od tradycyjnych, ciężkich kompozycji, które muszę „piłować” na zajęciach.

– Był taki lekki i do tego tajemniczy – wtrąciła Alicja.

– Tajemniczy powiadasz? A to dlaczego? – Kłęb połknął haczyk.

– To *Pieśń jesieni*, Archibalda Joyce’a, angielskiego króla walca. – Tym razem to Halina zabrała głos. – Ale nie pozwalają nam go grać zbyt

często, w zasadzie to w ogóle.

– Szkoda, pięknie to brzmiało – odpowiedział Wincenty. – A gdzie ta tajemnica?

– Podobno to ostatnia melodia, którą grała orkiestra na Titanicu. – Tkaczukówna wymownie pokręciła głową. – Ale skąd niby ktoś mógłby wiedzieć, czy tak było naprawdę?

Pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

Przystanęli, bo z łoskotem mijał ich właśnie tramwaj linii 6; poza tym ruch był niewielki. W oddali puszył się oświetlony rzęsiście budynek dawnego rosyjskiego Banku Państwa, obecnie chluba świętującego piętnastolecie Banku Polskiego SA.

Do kamienicy, w której mieszkała Alusia, było nie dalej niż sto kroków. Oni mieli do pokonania trochę więcej. Pożegnali się i ruszyli w stronę ulicy Gdańskiej, nazwanej tak na cześć zaślubin Polski z morzem. Lubili tędy spacerować, to przecież tu mieściło się Konserwatorium Muzyczne Heleny Kijeńskiej-Dobkiewiczowej, a sam trzykilometrowy odcinek dawnej Długiej zdołał pomieścić kilka pałaców i aż sześć synagog, w większości prywatnych, obliczonych na udział w nabożeństwie tylko kilkunastu osób. Stały teraz puste, było już przecież po zachodzie słońca.

O świeżo rozpoczętym żydowskim dniu odpoczynku mówiły im za to migające w mijanych oknach błyski świec, zapalonych jeszcze przed szabasową kolacją. Zwykle płonęły po dwie, topiąc się wolno w pojedynczych lichtarzach, choć jeśli gospodyni mogła się pochwalić gromadką pociech, to i świec przybywało. Dochodzący z mijanych podwórek aromat koszernej kuchni dopełniał obrazu i potwierdzał, że wszyscy tu – Polacy, Niemcy, Rosjanie, a wśród nich żydzi, protestanci, katolicy i prawosławni – mieszkają w miejscu ciekawym i pełnym różnorodności.

Ogólne wrażenie psuć mógł tylko potężny gmach dawnego carskiego więzienia, pełnego lochów i ciemnych korytarzy. Jego złowroga sława

znalazła odbicie w miejskich legendach i pieśniach wykonywanych przez ulicznych grajków. Nic dziwnego, niezależnie od stroju miejsce to pracowało pełną parą, a przed laty przetrzymywano tu nawet młodziutkiego wówczas Józefa Piłsudskiego. Na szczęście dziś nie musieli się zapuszczać w pobliże kazamatów i widok ponurego budynku nie popsuł im humoru. Zrobiło to jednak co innego...

– Tak sobie myślę, tato... – urwała na chwilę. – Ta cała *Pieśń jesieni* i ten Titanic... Czy to nie jest jakiś znak?

– Co ty mówisz? – Wincenty wzruszył ramionami. – Jaki znak masz na myśli?

– Sam tata mówił, że dużo się dzieje w Europie, u nas w kraju, a nawet tu, w Łodzi – odpowiedziała z namysłem. – A my co? Zachowujemy się jak ta orkiestra? Gramy, jakby nic się nie działo?

Kłęb przystanął zdumiony. Nie takich refleksji spodziewał się po szesnastolatce wracającej z koncertu fortepianowego. Bardzo cenił sobie dojrzałe spojrzenie i podejście do wielu spraw swojej córki. Był dumny, że wdała się w niego. On sam jako młodzieniec po prostu uciekł z rodzinnej wsi i przyjechał do tego miasta... Zaraz, jak to było...? Jak to opisał ten cały Reymont? Do ziemi obiecanej! Bał się, owszem, ale sięgnął po swoją szansę, by rzeczywiście była obiecana, a nie obsrana, jak śmiali się w Lipcach złośliwcy. Wyuczył się fachu, pracował w krawiectwie, a wkrótce chłopski rozum pozwolił mu wyciągnąć ręce po więcej. Odnalazł się w rzemiośle budowlanym, miał wreszcie własne, niezłe pieniądze, był niezależny. Taką samą silną wolę przetrwania, chęć działania i jakąś niezłomność dostrzegał w towarzyszącej mu dziewczynce. Ale skąd aż tak celna ocena sytuacji w kraju?

– Ja wiem, co się święci. – Halina wyrwała ojca z zamyślenia. – Też umiem czytać gazety, tato.

– To nie są kłopoty odpowiednie dla główki panienki. – Próbował zbagatelizować temat, ale sam nie wierzył w powodzenie tej misji. Halina była zbyt mądra, zbyt dojrzała jak na swój wiek. – No dobrze, coś ci powiem...

– Zamieniam się w słuch. – Kiwnęła głową na zgodę i lekko pchnęła ojca, zmuszając do podjęcia wędrówki. Robiło się późno.

– Coś się rzeczywiście święci, to prawda. Nie wygląda to dobrze, ten cały Hitler... – Kłęb przerwał, wykorzystując do namysłu chwilę potrzebną do zaczerpnięcia powietrza. – Ale my mamy przyjaciół, Francja nigdy nie pozwoli...

– Francja jest daleko, tato – wtrąciła się Halina. – A Niemców mamy u siebie.

– Ale to są nasi Niemcy, córeczko – odparł niepewnie.

Nie miał żadnych argumentów w tej dyskusji. Prasa donosiła przecież o skandalicznych słowach byłego senatora Rudolfa Wiesnera, który na zebraniu Jungdeutsche Partei nawoływał do tworzenia w Łodzi „organizacji niemiecko-wojskowych, które w odpowiednim momencie zostaną należycie wykorzystane”<sup>13</sup>. Polacy odpowiedzieli zamieszkami i nagle dziesięć procent mieszkańców tego włókienniczego miasta z przyjaznej niemieckiej mniejszości stało się ciałem obcym.

<sup>13</sup> <https://1wrzesnia39.pl/39p/artykuly/53476,Mniejszosc-niemiecka-w-Lodzkiem-we-wrzesniu-1939-r.html> [dostęp: 21.01.2023].

Halina wtuliła się w ramię ojca. Miejski kurz mieszał się z zapachem soczystej zieleni tęskniącej już za pełnią lata, czasem, na który sama czekała przez cały rok. I nigdy się nie zawiodła. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Jej nowe pantofelki na zgrabnym słupku, takie już „dorosłe”, stukały lekko o bruk, a ciemne wnętrza bram odpowiadały im ochoczo. Jak w bajce... Nawet mający w oddali, ponury jak baśniowa siedziba złego czarownika gmach więzienia przy Gdańskiej nie wydawał się już taki posępny. Bo bajki przecież zawsze kończą się dobrze!

# Rozdział 3

*Raz wzbiera we mnie nadzieja,  
raz jestem niespokojna.  
Zbyt wiele rzeczy się dzieje –  
coś przyjdzie: miłość lub wojna.  
Są znaki, że przyjdzie wojna:  
kometa, orędzie, mowy.  
Są znaki, że przyjdzie miłość:  
serce, zawroty głowy...*<sup>14</sup>

<sup>14</sup> Wiersz *Maj 1939* został opublikowany 2 lipca 1939 roku w „Wiadomościach Literackich” (nr 28). Był to ostatni wiersz opublikowany przez Ginczanę przed II wojną światową. Zginęła w 1944 roku, mając zaledwie 27 lat, rozstrzelana przez Niemców. Cyt. za: <https://przekroj.pl/kultura/maj-1939-zuzanna-ginczanka> [dostęp: 30.03.2023].

Zuzanna Ginczanka, *Maj 1939* (fragment)

Halina miała już dość tego dnia, choć ten tak naprawdę dopiero się zaczął. Stała w progu kuchni, naprzeciw rozdygotanej matki. Od wczoraj dziewczynę męczyły lekkie zawroty głowy, dlatego Marianna nie chciała wypuścić córki do szkoły, zauważywszy dodatkowo, że mundurek nastolatki należałoby solidnie zwęzić, bo według rodzicielskiego oglądu ubranie deformowało szczupłą sylwetkę. „Zbyt szczupłą!” – słowa Marianny Kłęb rezonowały w uszach dziewczyny, przyprawiając tę drugą o ból głowy.

W domu nie było już ojca. Czasem Halina miała wrażenie, że mężczyzna był w nim tylko gościem, zajęty mnóstwem bardzo ważnych spraw. „Przynajmniej tyle – uspokajała sama siebie w duchu. – Inaczej wzięliby mnie w dwa ognie i zostałyby po mnie tylko popiół”.

– To szaleństwo! – krzyczała tymczasem Marianna.

Halina miała wrażenie, że w oczach matki widzi to samo.

– Już mi lepiej. A właściwie to już całkiem dobrze. – Kłębówne rozsadały emocje. – I czego mama chce ode mnie? Zaraz egzaminy, mam niby zaprzepaścić kilka lat harówki tylko dlatego, że wstałam rano lewą nogą?

– Wiesz, że nie o to mi chodzi. – Rzuciła brudną ścierkę na kuchenny stół. – To nie jest żaden przypadek, dziewczyno. Nie dosypiasz, nie dojadasz, jeszcze trochę, a twoich zepsutych od czytania oczu nic nie uratuje!

– Niech mama głupot nie gada! – Halina czuła, że w brzuchu tworzy się jej z nerwów wielka klucha.

– Nie poznaję cię, dziecko...

– Jak mama może tak do mnie mówić? – Miała ochotę się rozpłakać. – Po co więc najlepsze w Łodzi gimnazjum, po co te wszystkie prywatne lekcje, zachęty, mowy o sile wiedzy i o tym, że my, młodzi, jesteśmy przyszłością wolnego narodu! Z pustą głową? – Drżał jej głos. – Z pustą głową, mamó?

Zrobiła krótką pauzę, bo znów zakręciło się jej w głowie; była pewna, że w tym momencie nie miało to nic wspólnego z trybem życia.

– Mnie moja wiedza nie boli. Ale mamy słowa – dokończyła.

Na dłuższą chwilę w kuchni zapadła głucha cisza.

– Nie masz dla mnie litości...

Wyrzut matki Halina poczuła w sercu w postaci gwałtownego szarpnięcia. W jednej chwili miała wrażenie, że szkolne podręczniki zamieniają się w jej dłoniach w ciężkie kamienie.

– Sama się mama dręczy czymś, co powinno być dla mamy powodem do radości!

– Z czego? – rzuciła Marianna płaczliwym głosem. – Z tego, że moja jedyna córka chce zmarnować swoje najlepsze lata?

Przez uchylone okno od strony podwórka wpadł do pokoju głośny śmiech kilkorga dzieci. Jak bardzo Halina chciała mieć w tej chwili kilka lat i martwić się tylko o to, czy ukochanej lalce jest ciepło pod szydełkowym kocykiem... W którym momencie ich rodzinne relacje spletały się w twardey supeł, zamiast z kolorowych nici najcieplejszych uczuć wyczarować patchwork samych ciekawych, spokojnych dni?



Co przeoczyli dorośli, czego nie dopatrzyli albo gdzie ona sama upchnęła punkty z rodzinnego dekalogu, celowo lub całkiem nieświadomie? Czuła, że gubi się w tym wszystkim, jak jej matka w świecie.

– Skąd mama wie, czy są najlepsze? Skąd wie, pytam, jakie będą jutro?! – Halina podniosła głos, bo coraz mocniej zalewała ją fala żalu i niezrozumienia.

Kobieta spojrzała na córkę z przestachem w oczach, jakby pomieszczenie, w którym się obie znajdowały, zgubiło nagle połowę światła. Dusza dziewczyny też pociemniała.

– Nikt nie wie – Halina odpowiedziała sama sobie. – Ale ja wiem, mamuś, kochana moja mamo, że nie umiem inaczej. I nie dam sobie odebrać radości życia tylko dlatego, że rządzi mamą strach.

Chciała przytulić matkę, ale coś ją od tego powstrzymywało.

– A teraz pozwoli mama, że pójde skończyć to, co zaczęłam.

– Córku... – Marianna Kłęb wyglądała w tej chwili na kompletnie bezradną.

– I nie gniewa się na mnie, bo bardzo ją Kocham...

– Kiedy wrócisz? – Pytanie zostało zadane tonem pełnym ciepła, jakby w kuchni pojawił się nagle ktoś inny.

– Na pewno dziś – odpowiedziała nastolatka uspokajająco.

„Czy to nie matka powinna mówić w ten sposób do córki? – przebiegło jej przez myśl. – Świat w tym domu stoi na głowie...”. Kiedy zerwała się nić, która przez tyle lat była jak powróż? Czy to choroba matki poszarpała jej włókna? Czy tak właśnie wygląda pierwszy lot z rodzinnego gniazda? Upadnie? Czy wzniesie się wyżej?

Halina westchnęła głośno, próbując dojść do równowagi, choć może byłoby lepiej, gdyby zapadła się teraz pod ziemię, bo dałaby wszystko, żeby wypowiedziane przed chwilą słowa zniknęły tam razem z nią.

\*\*\*

Dwa tygodnie później bolesna wymiana zdań między nią a matką była już tylko czymś w rodzaju sennej mary.

Wszystkie egzaminy poszły Halinie jak z płatka. Niosąc do domu świadectwa gimnazjalne i to z konserwatorium, tak samo dobre, niemalże unosiła się nad ziemią. Wrażenie nabrało mocy, gdy zobaczyła łązy szczęścia i dumy w oczach obojga rodziców. Uznała to za dobrą wróżbę ich przyszłych relacji.

Czuła się silna pewnością siebie, którą dostała razem ze szkolnymi cenzurami. Chyba pierwszy raz w życiu dotarło do niej tak namacalnie, że chcieć to móc i że w zasadzie możliwe jest wszystko, co zrodzi otwarty, odważny umysł. Każda komórka jej ciała krzyczała, że od teraz zacznie się nowe – niezmacone lękami dzieciństwa, któremu mała matura dała znak do odwrotu; pożegnała je z uśmiechem, promienna, kobieca.

Na fali nieustannego działania, które zdawało się płynąć w jej żyłach zamiast krwi, spakowała plecak na harcerski obóz, o którym śniła już od poprzedniego lata. Wybór nauki w konserwatorium muzycznym, a tym samym wszystkich obowiązków z nią związanych, zepchnął na bardzo daleki plan zbiórki harcerskie, na których swego czasu sumiennością i zaangażowaniem wydeptała własne ścieżki. Teraz nadszedł wreszcie czas nagrody i powrotów na szlaki, które były dla niej czymś więcej niż tylko leśną przygodą.

Parne lato rozpałało ciało i zmysły, podawało na tacy kilogramy niczym niezmaconej radości, podświetlając nowe przyjaźnie, pomysły, plany. Szalała na punkcie jego urody, dosłownie zachłystując się nią w miejscu stacjonowania obozu. Ten stał się dla niej drugim domem na całe dwa tygodnie, jasnym, rozśpiewanym, kipiącym ideami i młodzieńczym animuszem.

Pomarańczowozłote rozbłyśki zachodzącego słońca tworzyły razem z morzem nadbrzeżnych traw świetlisty azur. Jeszcze kilkanaście minut i nastąpi zmiana warty w tej sztafecie natury; pałeczkę przejmie potężne ognisko, które już teraz syczało i trzaskało, manifestując w ten sposób

swoją obecność i obiecując za chwilę teatr iskier na tle hebanowego nieba. Dziś miało płonąć długo i jasno, tworząc wyjątkową scenerię dla szczególnej chwili w życiu każdej harcerskiej społeczności.

Kilkadziesiąt dużych wojskowych namiotów rozstawiono na rozległej łące wzdłuż wysokiego brzegu Dźwiny, w Stajkach pod Drują. Już sama lokalizacja obozowiska wśród dzikiej przyrody, o której bliskości w Łodzi mogła tylko pomarzyć, była spełnieniem marzeń o wakacjach doskonałych, a jednak istotniejszy wydawał się jej fakt, że „ich” fragment rzeki był miejscem styku granic trzech państw: Polski, Związku Radzieckiego i Łotwy. Prawie z każdego miejsca w obozie można było obserwować przeciwny, niski brzeg – inny świat, który mimo wszystko miał mnóstwo punktów wspólnych ze znaną jej rzeczywistością. Kiedy mogła zajrzeć mu głęboko w oczy, razem z innymi harcerkami pomagając w pracach polowych zarówno Polakom, jak i Białorusinom, jej własne źrenice rozszerzały się, chłonąc podobieństwa, różnice, kontrasty. Odkrywała też pewien rodzaj błogostanu płynącego z ciężkiej pracy, jakby oto znalazła własną Atlantyde, ukrytą wśród nieziemsko pachnących, strzelistych traw. „Czy Bóg aby nie wymyślił tej pory roku po to, by uwierzyć w istnienie skarbcza z uśmiechami losu?” – myślała, obserwując tańczące płomienie. I jakie to szczęście, że ma tylko szesnaście lat i wiele jeszcze takich zachwytów przed sobą, zanim dorosłość zacznie studzić jej gorącą głowę i punktować realność marzeń.

Stały w mniejszych i większych grupkach, czekając na znak drużynowej. Ta zniknęła im gdzieś z oczu, chociaż w miejscu, w którym przebywało naraz kilkaset osób, można było – tego Halina była pewna – zgubić dosłownie wszystko. Z daleka widziała komendantkę całego obozu, swoją nauczycielkę historii, doktor Jadwigę Krasicką, która w tej chwili zajęta była spokojną rozmową ze starszymi harcerkami. Oznaczało to, że i one mają jeszcze chwilę oddechu.

Stojąca obok Haliny Alusia po raz któryś z kolei rozplotła swój warkocz, by zaraz potem zacząć porządkować fryzurę od nowa.

– Nie przesadzasz? – Towarzyszająca dziewczętom Oleńka Pijanowska spojrzała na Tkaczukównę ze zdziwieniem.

– Chcę dobrze wyglądać – spokojnie wytłumaczyła się Alicja.

– Ślicznaś jak lelija! – dodała Janka Fagasówna, łącząc dłonie za plecami. – Moja babcia tak zawsze mówi, kiedy stoję przed lustrem dłużej niż kwadrans.

– Gdyby Alusia miała tu prawdziwe zwierciadło, spóźniłaby się na ślubowanie – uzupełniła Halina, mrugając do przyjaciółki.

– Lśniesz urodą, jakbyś miała dziś co najmniej poznać swojego przyszlęgo męża – zauważyła Pijanowska.

– Wśród kilkuset bab? – Tkaczukówna wzruszyła ramionami. – Raczej trudno będzie.

– Swoją drogą, czy nie uważacie, dziewczęta... – Janka dmuchnęła w opadającą na oczy grzywkę. – ...że te żeńskie i męskie enklawy to już przeżytek? O ile byłoby ciekawiej, gdyby połączyć siły. – Zapatrzyła się w ognisko.

Pozostała trójka najpierw spojrzała na siebie zdziwiona, a potem zatrzymała wzrok na Fagasównie. Oleńka parsknęła śmiechem, natomiast Alicja w tym samym czasie spiekła raka.

– Też pomysł... – skomentowała niepewnie Halina.

– Wiem! – zawołała Pijanowska. – Jance chodzi chyba o te grabie, co to ma od nich pęcherze na dłoniach. Panienkę po prostu rączki bolą i wybawcy czekają paluszki umęczone!

– Zaraz tam bolą! – zachnęła się Fagasówna. – Weselej by było, może mądrzej, bo czasem to myślę, że co niektórym trzeba wszystko tłumaczyć jak krowie na miedzy. – Spojrzenie rzucone w stronę Oleńki nie pozostawiało złudzeń co do adresata riposty.

– Hej! Panienki z dobrego domu! – Usłyszały gdzieś zza swoich pleców.

Nie miały powodu, żeby szeptać, więc nic dziwnego, że ktoś stojący niedaleko i zorientowany w temacie rozmowy pozwolił sobie na komentarz. Tylko dlaczego zabarwiony kpina? Jak na komendę odwróciły się wszystkie w stronę pytającej. Ich czwórce przyglądały się dwie ciemnowłose młode kobiety, na oko starsze od nich o kilka lat. Spojrzenia rzucone z nad zaciśniętych ust powleczone były lekceważeniem i złością.

Jedna z nieznanych im harcerek, wyższa o pół głowy od swojej towarzyski, mogłaby być siostrą bliźniaczką Zosi Wróblewskiej, Żydówki uczącej się razem z Haliną w klasie gimnazjalnej. Ale przecież ten fakt nie mógł mieć w tej chwili żadnego znaczenia. Jak i ten, że nie każda z uczestniczek zgrupowania pochodziła z rodziny o takim samym statusie majątkowym. Wszystkie przyjechały tu przecież w jednym celu, żeby udoskonalać społeczność ponad podziałami. I za chwilę wybrzmi owa deklaracja, która powinna je łączyć, a nie dzielić, a tymczasem Kłębówna czuła kulę wrogości, toczącą się w ich stronę.

Wszystkie zarejestrowały nieprzyjemny ton nieznanego, który zbił je z tropu na tyle, że zanim odbiły piłeczkę, druga z kobiet zdążyła przerwać milczenie:

– Brakuje wam tu męskiego towarzystwa?

– A co? – Fagasówna odzyskała rezon, robiąc krok w stronę brunetki. – Chciałybyście zredagować petycję w sprawie obozów koedukacyjnych?

Zapytana parsknęła śmiechem i przez chwilę skupiła wzrok na jakimś punkcie ponad głowami swoich rozmówczyń.

– Dzieciaki... – powiedziała w końcu, nie ukrywając drwiącego grymasu twarzy.

– Niech panienska odkurzy lepiej co niektóre harcerskie sprawności... – wtrąciła wyższa z nieznanomych, mrużąc oczy. – Bo mogą się przydać, kiedy bokiem wyjdą panience męskie gry!

– Słuchajcie, nie wiem, o czym mówicie, ale ... – zaczęła Pijanowska, gdy nagle głośny dźwięk gwizdka od strony komendantury obozu

przerwał jej wypowiedź.

Halina nie do końca zgadzała się ze swoją koleżanką, która ewidentnie miała ochotę rozwinąć swoje oratorskie skrzydła, ale pociągnęła Oleńkę stanowczo w stronę ognia, wokół którego uformował się już regularny szereg, i obiecała sobie, że zastanowi się później nad sensem tej dziwnej rozmowy. A może wcale nie dziwnej, tylko proroczej?

Stając do harcerskiej przysięgi, miała w oczach więcej żaru niż ognisko, w świetle którego działa się w niej magia. I tylko złowione gdzieś jeszcze w locie ciemne spojrzenie nieznajomej zmieniało rytm jej serca, drżącego z uniesienia.

*Mam szczerą wolę, całym życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliźnim, być posłuszną prawu harcerskiemu.*

Dziewczynie było na zmianę gorąco i zimno.

\*\*\*

Zgrany chór sześciu dziewczęcych głosów wypełniał duszny przedział i już dawno umościł się w szczelinach między plecakami, wypełnionymi do ostatniej kieszonki. Upchanie całego ekwipunku w mocno ograniczonej przestrzeni przedziału było pierwszym zadaniem, któremu musiały sprostać, by bez uszczerbku na zdrowiu dotrzeć do końca wyprawy. Ten ostatni ledwie majaczył w oddali, bo jadąc z Wilna aż do przejścia granicznego z Rumunią, a potem dalej, do Bukaresztu, musiały pokonać ponad półtora tysiąca kilometrów. Ale kto przejmowałby się taką szaloną odległością, mając za towarzyszki wycieczki kwiat harcerstwa polskiego oraz świetnego znawcę historii jako przewodnika i jednocześnie dobrego ducha tej podróży w nieznane!

Razem z Alusią, Janką, Oleńką i dwiema druhami z innego łódzkiego gimnazjum Halina wykonała dziki taniec radości na wieść o nadejściu rumuńskich wiz, dzięki którym ich wakacyjne emocje rozgrzały się do czerwoności. Oznaczało to wprawdzie, że muszą niemal natychmiast pożegnać Stajki, ale w zamian otrzymują bilet na marszrutę, o której jesienią będzie można opowiadać na szkolnych korytarzach. Czuły się

takie dumne i ważne, kiedy doktor Krasicka przekazała komendanturę obozu komuś z kadry zarządzającej i ruszyła razem z nimi na południe.

Nie miały dość żadnej z kilkudziesięciu godzin spędzonych w pociągu, choć wydawałoby się, że dystans między Wilnem a Śniatyniem uwolni najgorsze oblicza ich młodzieńczej niecierpliwości. Nic takiego się jednak nie stało, mimo narastającego z każdym dniem lipcowego upału oraz zatłoczonych do granic możliwości kolejowych wagonów. Sen przychodził i odchodził, kiedy przysłała mu na to ochota, a one między jego wizytami śmiały się, odśpiewywały harcowski śpiewnik jak z nut bez nut, bawiły się nawzajem żartami i sporządzaniem listy rzeczy, które koniecznie chciałyby zobaczyć w Rumunii.

Halina cieszyła się jak dziecko, że będą eksplorować ojczyznę swoich wschodnich sąsiadów w towarzystwie hrabianki Jadwigi Krasickiej, której wiedza i obycie imponowały nastolatce ogromnie. Wiedziała, że doświadczą nie tylko bliskich spotkań z inną kulturą i mentalnością czy z historią, której „dotkną”, zwiedzając miasta i miasteczka z ukrytymi w nich ruinami rzymskiego imperium, ale dostaną również niejako w prezencie wyjątkowy czas bogaty w ciekawe rozmowy i rozważania w języku francuskim, wyszlachetniającym te chwile w dwójnasób.

Podczas podróży Kłębówna przyglądała się dyskretnie dyrektorze gimnazjum i swojej wychowawczyni w jednej osobie, zastanawiając się, jak samej zasłużyć sobie kiedyś na taki szacunek i miłość. Teraz też doktor Krasicka była skupiona, co nie znaczyło, że nauczycielka przemilczy jakiegokolwiek pytanie ze strony swoich podopiecznych. Halina podążyła za uważnym spojrzeniem przełożonej. „Za oknem jest nie mniej ciekawie” – skonstatowała, zaczynając trochę automatycznie liczyć brunatnozielone ciężarówki, których kolumnę już trzeci raz w ciągu dzisiejszego dnia mogła zaobserwować z pociągu. Ten zwolnił znacznie, dzięki czemu jej wzrok mógł się swobodnie prześlizgiwać z jednego samochodu na drugi.

Kobieta na moment odwróciła głowę w stronę wnętrza przedziału i natknęła się na znak zapytania w oczach swojej uczennicy; westchnęła

prawie niezauważalnie, a potem natychmiast powróciła do kontemplowania widoku za przykurzoną szybą.

– Pani Jadwigo? – zagadnęła Halina zdecydowanym głosem.

– Co tam, kochanie? – Krasicka nie odwróciła głowy, ale poprawiła się nerwowo na swoim miejscu.

– To wojskowe auta? W tej kolumnie? – Kłębówna zrobiła ruch brodą w stronę okna.

Kobieta nie mogła widzieć tego gestu, ale ten nie był jej potrzebny, żeby się zorientować, czego może dotyczyć pytanie podopiecznej.

– Tak. – Drugiego westchnienia nauczycielki nie zagłuszyła rozmowa pozostałych dziewcząt, które, tak jak teraz szesnastolatka, czekały na dalszą część odpowiedzi.

– Dużo ich... Co to może znaczyć? – Halina nie zamierzała odpuścić.

– Moja droga, ten widok nie musi oznaczać niczego szczególnego.

Dziewczyna dałaby głowę, że w głosie swojej rozmówczynie słyszy cień fałszu.

– To mogą być manewry, zwyczajne ćwiczenia albo po prostu... jakieś zaplanowane wcześniej transporty sprzętu między jednostkami.

– Jest pani pewna? – Do rozmowy włączyła się Fagasówna, świdrując wzrokiem siedzącą naprzeciwko niej kobietę. – Nie sądzi pani, że ma to związek z tym, czego żądają od nas Niemcy? Mój ojciec uważa, że za dużo się dzieje, żeby cały ten szum rozszedł się po kościach.

– A te próbne alarmy przeciwlotnicze w całej Łodzi? Od wiosny przecież trwają! Czy ktoś by je organizował, jeśli nie miałyby sensu? A przesiedlenia? – drążyła Janka, obgryzając skórki przy paznokciach.

– To przecież chodzi tylko o Żydów! Nie o nas. – Ala przerwała potok słów koleżanki.

Pociągiem nagle mocniej szarpnęło, a stukot kół maszyny o kolejowe podkłady przybrał na sile.



– No nie wiem... – Do wymiany zdań włączyła się milcząca zwykle szczupła brunetka, którą Halina kojarzyła z poprzedniego obozu harcerskiego. Dziewczyna dała się wtedy poznać jako świetna organizatorka wieczorków przy ognisku. – U nas w kamienicy od jakiegoś czasu jest cicho jak na cmentarzu. Na ostatnim piętrze mieszkają dwie niemieckie rodziny, trzecia drzwi w drzwi z nami. Ponoć ktoś z tych z góry znał dobrze jedną Niemkę, robotnicę z Widzewskiej Manufaktury, której wytoczono proces, bo nazwała koleżankę z pracy „polską świnią” i publicznie wykrzykiwała, że do Polski musi przyjść Hitler. No i moja matka przestała szyć u tej krawcowej, a kiedy trzeba pożyczyć cukier, to każe mi latać do ciotki na sąsiednie podwórko, a nie do pani Ingi, która kiedyś zmieniała mi pieluchy. No to jak to rozumieć?

– A co tu rozumieć? Jeden krzykacz wojny nie czyni – podsumowała Oleńka Pijanowska, ocierając chusteczką spocone czoło i wzruszając ramionami. – U mnie w domu nikt się takimi bzdurami nie przejmuje.

– Albo udajecie. – Fagasówna wydeła usta.

– Pani Jadwigo, a pani pamięta wojnę? – Halina przerwała milczenie, które zapadło w przedziale po ostatnich słowach Janki. Ale była też ciekawa, czy na hasło „krzykacz” nauczycielce stanął przed oczami obraz kobiety w roboczym kombinezonie, czy też zaciętrzewionego mężczyzny.

– Na tyle, żeby nie chcieć o niej mówić, kiedy jedzie się na wakacje. W czasie pokoju – odpowiedziała Krasicka z uspokajającym uśmiechem. – A to oznacza, moje panny, że na kolejną klasyczną lekcję historii zapraszam dopiero we wrześniu. Nauczyciel też ma prawo do odpoczynku, czyż nie? – Kobieta powiodła spojrzeniem po twarzach nastolatek. – Zaś co do waszych pytań i niepokoików... Oprócz tego, co mówi ulica, nie zapominajcie, że istnieją również traktaty i pisemne porozumienia, nie w tym celu skryzalizowane, by siać strach, ale po to, byśmy wszyscy spali spokojnie. Lecz i one mogą okazać się nic niewarte, jeśli skulimy się z lęku przed pustym ujadaniem. Siła to misterne połączenie serca i rozumu, wszystko, co najlepsze, rodzi się na

drodze między jednym a drugim. – Krasicka wzięła głęboki oddech. – Chciałabym wierzyć, że potrafię dobrze wykorzystać okazję ku temu, by być dla was na niej czułą przewodniczką...

– Już pani jest – zadeklarowała wzruszona Kłębówna, a pięć dziewczęcych główek zakołysało się w tym samym rytmie.

Kiedy Halina znowu spojrzała w okno, pejzaż za nim ubrany był już tylko w soczyste barwy lata.

\*\*\*

Trzy tygodnie później, po jej powrocie do domu, lato wciąż było piękne.

– Jesteś, nareszcie! – Ojciec rozłożył ramiona, a Halina schowała się w nich z wyraźną radością. Ona też się stęskniła za swymi.

– Dobrze, że już koniec – powiedziała, wyswobadzając się z ojcowskich uścisków. – Cieszę się, że wróciłam do domu, bo wędruję ostatnio po świecie jak ta stara Agata z *Chłopów*. Wie tata, tej książki o naszej rodzinie.

Dziewczyna nawiązała w ten sposób do rodzinnej legendy, z której śmiali się czasem, snując opowieści o starszych pokoleniach. Wincenty Kłęb przyjechał do Łodzi z Lipiec, małej wsi niedaleko Skierniewic, którą Władysław Reymont uczynił miejscem akcji swojej powieści, nagrodzonej zresztą literackim Noblem nie tak dawno, bo w 1924 roku. W barwnej galerii bohaterów powieści, a więc i mieszkańców wsi Lipce, nie zabrakło rodziny Kłębów – jak utrzymywał Wincenty, wzorowanej na jego bliskich. A i stary już dziadek Mateusz Kłęb twierdzeniom tym kłamu wprost nie zadawał, jednak przy każdej okazji podkreślał, że obraz malowany słowem przez słynnego pisarza nie do końca był zgodny z prawdą. Niemniej ocytana i bystra Halina wykorzystywała często powieść noblisty do przekomarzania się z ojcem.

– Zupełnie nietrafione to twoje porównanie – odgryzł się Wincenty. Nie było w nim ani krzty złości, tylko radość z powrotu córki. Ale drwiny z rodzinnej historii nie mógł puścić płazem. – Nie jesteś stara, to

po pierwsze. A po drugie, cel tych peregrynacji macie zupełnie odmienny.

– Jak to? – podchwyciła.

– Agata wędrowała po świecie, to prawda – podjął mężczyzna. – Ale zebrała w ten sposób, a uzbierane pieniądze odkładała na swój pogrzeb, zgadza się?

– Zgadza – przytaknęła dziewczyna.

– Tobie chyba za wcześnie, by myśleć o pogrzebie? Jesteś taka młoda...

\*\*\*

Halina leżała w łóżku, choć – bo zdążyła już przyjrzeć się ściennemu zegarowi – za kwadrans łódzkie kościoły zaczęły dzwonić na południe. Poprawiła sobie poduszkę pod głowę, jakby zamierzała jeszcze uciec w sen. Mogła spać do wieczora; matka na pewno pozwoliłaby jej przedłużyć czas odpoczynku po tym, jak dotarła wczoraj do domu kompletnie wyczerpana. Ale nie zamierzała spędzić w pościeli reszty dnia. Zresztą przyzwyczajona do wczesnych pobudek i w domu, i na obozach, i tak nie spała już od dawna, zastanawiając się, od czego zacząć ostatnią część wakacji.

Trasa z Bukaresztu do Łodzi ciągnęła się dla Kłębówny w nieskończoność. Głównie dlatego, że oto kończył się czas obfitujący w mnóstwo niecodziennych wrażeń, za którymi zwyczajnie będzie tęsknić. Tym razem jednak na pospolite zmęczenie i smutek pożegnań nałożyły się niecierpliwość i rodzaj niepokoju, towarzyszące jej od pierwszej chwili, gdy w wąskich przejściach wzdłuż przedziałów dobiegły ją fragmenty rozmów zaaferowanych podróżnych. Im bliżej pociągi były granicy, a potem Łodzi, tym bardziej wydźwięk owych konwersacji nabierał kształtów; z tych ostatnich wyłaniał się jakiś obcy obraz, budzący w niej momentami prawdziwą grozę. Chciała już być na miejscu i „wyprostować” plotki z pomocą rzetelnych źródeł informacji, bo czymże więcej mogły być? I gdyby nie to, że gdy w końcu znalazła

się na św. Andrzeja, prawie spała na stojąco, to natychmiast wzięłaby w krzyżowy ogień pytań wszystkich domowników.

W tej chwili delektowała się ciszą mieszkania, z premedytacją opóźniając prześwietlenie rzeczywistości. Ojciec musiał być już w połowie swojego dnia pracy, ich gosposia – jeszcze na zakupach, sądząc po bezruchu w kuchni, a matka zapewne, jak zwykle o tej porze, u siebie. Po kilku tygodniach w wieży Babel ludzkich charakterów, w ciągłej gonitwie między wyzwaniem a przyjemnością, obecną stagnację Halina odbierała jako dziwną, ale i przyjemnie odprężającą.

Przeciągnęła się i odetchnęła głęboko. Biała jak śnieg firanka zafalowała w uchylonym oknie. Sierpień zajął godne miejsce swojego gorącego poprzednika... Zamknęła oczy, ucząc się znajomych dźwięków na nowo. Ktoś robił rytmiczny szum miotłą z brzoźowych witek; odgłos był pełen dynamiki, założyła więc, że codzienny podwórkowy ład zaprowadzała dziś żona dozorczy, a nie jej flegmatyczny mąż. Komuś innemu wypadł z ręki talerz, tłukąc się z łoskotem – ach, to akurat może zdarzyć się każdemu! Czyjaś głośna rozmowa zlewała się w jedno z płaczem niemowlęcia, konkurując bez większego powodzenia z hałaśliwą energią dzieciarni, okupującej trzepak. Wśród dorosłych głosów rozpoznała gardłowy ton sąsiadki z drugiego piętra, najmniej lubianej przez Halinę mieszkanki kamienicy. Czasem miała nawet z tego powodu wyrzuty sumienia, bo przecież w każdym powinno się znaleźć coś pozytywnie przyciągającego... Gdzieś przez tę mieszaninę brzmień przebijała się melodia katarynki. Gdyby miała teraz sześć lat, wybiegłaby bosą na spotkanie ulicznej atrakcji, towarzysząc potem kataryniarzowi w wędrówce od okna do okna. A jeszcze tak całkiem niedawno ojciec wspominał jej, że w samej Warszawie jest ich ponad czterystu, czyli o niebo więcej niż stołecznych ulic... Łódź pod tym względem nie mogła być gorsza!

Nikt nie krzyczał ani nie wołał pomocy, jak co dzień trzaskały i skrzypiały drzwi, otwierając i zamykając tuziny ludzkich spraw, a śmiech maluchów spletał tę miejską kakofonię jak kolorowa wstążka

bukiet polnych kwiatów. Z tej perspektywy ewidentnie wszystko było po staremu. Ktoś chyba mocno przesadzał!

Towarzyszący jej w łóżku ratlerek poruszył się. Chwilę potem ktoś wszedł do mieszkania, głośno zamykając za sobą drzwi. Natychmiast poznała energiczny chód matki. Zanim zdążyła pomyśleć, co mogła oznaczać zmiana w rytmie dnia Marianny Kłąb, do pokoju zajrzała gospodyni.

– Haluś, wstań, proszę. Dośpisz wieczorem, a teraz jesteś mi potrzebna. – Prośba została wypowiedziana oschłym tonem.

– Dobrze, mamó. Ale czy coś się stało? – próbowała dociekać, delikatnie strącając psa z łóżka.

– Później ci wytłumaczę. – Dobiegło już z kuchni. – Pośpiesz się, bo szkoda czasu.

Zmęczony głos matki brzmiał nieprzyjemnie i szorstko.

Kiedy już kompletnie ubrana Halina weszła do kuchni, czekały na nią gorąca jajecznica, kubek kakao i dwie pajdy chleba z dżemem. Na ten widok wszystkie zmysły dziewczyny skoncentrowały się wyłącznie na jedzeniu. Po zaspokojeniu pierwszego głodu nastolatka rozejrzała się wokół siebie uważniej.

– Co tutaj taki bałagan? – zagaiła, omiatając wzrokiem rozgardiasz na stole i w pozostałej części pomieszczenia. – Zwolniła mama Jadwinię?

Całą zastawę stołową, którą używali na co dzień, Marianna starała się upchnąć w miejscu, gdzie zwykle trzymano tylko talerze. W ten sam sposób kobieta potraktowała garnki i rondle, większość kuchennego kredensu pozostawiając pustym.

– Zjadłaś?

Halina podniosła nadgryzioną kromkę chleba i przełknęła kolejny kęs.

– Mamuś, dlaczego robimy porządki w środku lata? – Wybrała moment, w którym była już pewna, że nie zakrztusi się jedzeniem.

Śniadanie, a właściwie już podobiadek, tonął wśród starych i nowych opakowań produktów spożywczych.

– To nie porządki, dziecko... – Przetarła dłonią spocony kark. – Boże, czy ten upał nigdy się nie skończy?

– W Rumunii było dużo gorzej! Niech sobie mama wyobrazi, że przez cały pierwszy tydzień...

– Halinko, opowiesz mi to później, dobrze? Albo po drodze, bo pójdziesz ze mną – przerwała córce, przesypując mąkę z kilku napęczonych opakowań do jednej dużej kwadratowej puszki.

– A dokąd? Przecież ledwie co przyszłaś. – Halina ze zdziwienia zapomniała o formie grzecznościowej.

Dopiero teraz nastolatka zauważyła, że dłonie matki poruszają się nienaturalnie szybko i w sposób bardzo widoczny drżą.

– Pani Jadwinia poprosiła o kilka dni wolnego. Masz jeszcze wakacje, więc mi pomożesz, zanim wróci.

– Rozumiem, że tego nie planowała, bo nie zdążyła posprzątać. – Halina stanęła na środku kuchni i wzięła się pod boki.

– Teraz... trudno cokolwiek zaplanować – westchnęła, kładąc najpierw brudne naczynia do zlewu, a potem na uprzątniętej części stołu niedużą lnianą torbę z szerokimi uszami, wypełnioną kilkoma małymi białymi woreczkami z bawełny.

Dziewczyna dotknęła wszystkich po kolei, wyczuwając w nich groch, kaszę i chyba cukier. Na samym dnie torby zagrzechotało płaskie metalowe pudełko z jej ulubionymi landrynkami. Marianna uśmiechnęła się słabo, przyglądając się córce, jak ta mocuje się z wieczkiem opakowania.

– Złapałam ostatnie, dla ciebie... – powiedziała i opadła na krzesło. – Wszystko, co tu widzisz, dostałam spod lady, i to tylko dlatego, że wcześniej zostawiłam zadatek. Panienko Przenajświętsza, do czego to dojdzie...

Kobieta ukryła twarz w dłoniach, jakby miała się rozplakać.

– Jak to?

Halina zaczęła łączyć sens słów matki z opowieściami podróźnych sprzed kilkunastu godzin.

Ściana przytulona do klatki schodowej zadudniła, jakby zbierało się na burzę; ktoś zbiegał na parter głośno i ciężko. Spieszył się? Tylko gdzie i po co?

Kołowrotek rozpędzony w umyśle dziewczyny chciał natychmiast znać odpowiedź na to pytanie.

– A przecież do schronów też trzeba coś odłożyć!

– Do jakich schronów? – Kłębówna poczuła, że na jej krtani zaciska się niewidzialny supeł. – O czym mama mówi?

W odpowiedzi Marianna wcisnęła w dłonie córki duży wiklinowy kosz i włożyła do niego dwie ażurowe siatki na zakupy. Sama wzięła drugą plecionkę, a na przedramię zarzuciła czarną lakierowaną torebkę; srebrne, kuliste zapięcie przez ułamek sekundy zaśniło w kuchennym świetle zimnym blaskiem. Kiedyś matka obiecała jej ze śmiechem, że wystroi córkę w ten dodatek, gdy ta będzie wybierała się na swoją pierwszą prawdziwą randkę. W tej chwili twarz rodzicielki była blada i ściągnięta.

W przedpokoju Halina potknęła się o stos przeczytanych gazet. Zanim Marianna wypchnęła ją na zewnątrz, nastolatka zdążyła objąć wzrokiem kilka wyrazów zaznaczonych w jednej z czołowych szpalt tłustym drukiem. „Śmierć Niemcom w Polsce” – brzmiało hasło ograniczone cudzysłowem.

Godzinę później Halina wiedziała już, że wróciła do innej Łodzi.

# Rozdział 4

*Na rozkaz Wodza Naczelnego Dowódcy Sił Zbrojnych wmaszerowały wojska niemieckie do kraju waszego. Niemiecka zbrojna moc nie uważa obywateli za wrogów. Wszelkie prawa międzynarodowe będą przestrzegane<sup>15</sup>.*

<sup>15</sup> Cyt. za: Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

Fragment obwieszczenia Naczelnego Dowódcy Armii Niemieckiej  
w okupowanej Polsce, gen. Walthera von Brauchitscha, wrzesień 1939 roku

Od kilku dni wiadomo było, że szkoły nie będzie. Nie tylko dlatego, że w tym roku pierwszy września wypadał w piątek, a przecież każdy zna powiedzenie, że „w piątki niedobre początki”. Większe znaczenie miał po prostu komunikat wydany w połowie sierpnia przez polskie Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Rządowa agenda wydała stosowne dyspozycje swoim służbom prasowym, a te przekazały zwięzłą treść do gazet w całym kraju. W opublikowanym tekście jasno stało:

*Data rozpoczęcia roku szkolnego 1939/1940, wyznaczona pierwotnie na dzień 4-go września b. r., ulega odroczeniu na kilka dni i zostanie ustalona osobnym zarządzeniem.*

Wakacje przedłużono.

– Czytałaś? – Halina podzieliła się z Alusią informacją znaną w jakimś dzienniku. – Nie pójdziemy do szkoły ani w piątek, ani po niedzieli, ani w ogóle w najbliższym tygodniu.

– Nie wiadomo, czy się cieszyć, czy nie... – Koleżanka Kłębówny była wyraźnie przybita, a jej nastrój szybko udzielił się również Halinie.

Dające się wyczuć panujące w Łodzi napięcie sprawiło, że obie już dawno zapomniały o beztraskich letnich wozach. Zamiast z przejęciem, zgodnie z wieloletnią tradycją, szykować kajety i pióra oraz, o ile zasobność portfela rodziców na to zezwalała, przymierzać nowe szkolne fartuszki i wygodne trzewiki, obie dziewczynki uczestniczyły w kopaniu rowów przeciwlotniczych. Niewiele mogły zdziałać drobnymi rękoma, ale takich jak one było więcej, więc prace szybko się posuwały. W pospolitym ruszeniu, mającym na celu



ochronienie miejskiej tkanki na wypadek działań wojennych, brał udział każdy, kto miał choć trochę siły. Bogaty, biedny, uczony czy prosty, wszyscy chcieli w ten niespokojny czas dać coś od siebie.

Ta atmosfera wspólnoty interesów i przekonań utrzymywała się od kilkunastu tygodni, dając o sobie znać w ulicznych rozmowach, tytułach gazet oraz frekwencji przy podejmowanych inicjatywach. A tych nie brakowało, choć główny cel był jeden – łodzianie zbierali pieniądze, podejmując się ufundowania marynarce wojennej ścigacza morskiego. Okręt miał nosić imię wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, a miasto swą obietnicę – składaną i przez inne miejscowości w kraju – spełniło jako pierwsze w Polsce<sup>16</sup>.

<sup>16</sup> Łódź pierwsza ufundowała ścigacz. Uznanie dla ofiarności i patriotyzmu społeczeństwa, „E”, nr 234 z 24.08.1939, s. 1.

– Tata dał na „Kwiatkowskiego”? – zapytała Wincentego Halina zaraz po powrocie z harcerskiego obozu. Tak umownie łódzka ulica określała cel zbiórki.

– A ty znowu swoje! – fuknął ojciec, przerywając czytany artykuł.

Jakiś dziennikarz wyraźnie grał na emocjach czytelników, analizując nastroje społeczne i wysnuwając wniosek, że polski rząd nie może bagatelizować woli narodu i dlatego żadnych ustępstw wobec Hitlera być nie może! Kłęb miał na ten temat swoje zdanie, zgodnie z którym takie śmiałe tezy władza w Warszawie powinna wypowiadać ustami swoich popleczników, a więc Francji i Wielkiej Brytanii. „Szczekanie na Niemców może się nam odbić czkawką – myślał. – Zwłaszcza jeśli będziemy to robić solo”.

– Dał tata czy nie? – Dziewczyna nie miała zamiaru odpuścić.

– Dałem, dałem! – Machnął ręką dla świętego spokoju. – Kiedy ty włączyłaś się na harcerskim szlaku, my z mamusią mieliśmy okazję posłuchać tego śpiewaka z Sosnowca. I wtedy dorzuciłem się do kwesty.

– Z Sosnowca? Byliście na koncercie Kiepur? – Halina kiwnęła głową ze zrozumieniem, choć przebijał z niego też żal. Jana Kiepurę,

starszego od niej o dwadzieścia jeden lat tenora światowej już sławy, znała przecież z płyt. Śpiewał z taką gracją i lekkością, jakby...

– Tak, byliśmy na koncercie Kiepury. – Ojciec przerwał jej rozmyślenia. Przez chwilę szukał czegoś w pamięci. – Kiedy to było? Jakoś na początku lipca, miał występ na stadionie Łódzkiego Klubu Sportowego.

– I co, niech tata opowiada! – Spojrzała na niego błagalnie.

– To mama nie wspominała? – zdziwił się Wincenty. – Tłum ludzi, a ten Kiepura cały na biało, śpiewał pięknie i długo, aż sił mu w końcu brakło.

Relacja ojca, choć oszczędna, wystarczyła Halinie w zupełności. Głos artysty miała przecież w pamięci, a nawet gdyby zdarzyło jej się zapomnieć, kilka płyt czekało w pogotowiu. Mogła też o szczegóły dopytać matkę.

– To był koncert na rocznicę bitwy pod Grunwaldem – zakończył Kłęb, stawiając wyraźną kropkę w swej opowieści. Ale Halina czuła, że ojca przy tym wspomnieniu coś gryzie.

– No niech to tata w końcu wyrzuci z siebie – poprosiła.

– Koncert koncertem, był wspaniały, ale... – Urwał i utkwiał wzrok gdzieś w przestrzeni ponad jej głową. – Ale te transparenty i okrzyki to już jak dla mnie było za dużo.

– O czym tatko mówi?

– „Hitlera musimy udusić”, tak krzyczeli na ulicy. – Kłęb niemal wzdrygnął się na to wspomnienie. – Może dlatego mama ci nic nie opowiadała... Ale sam koncert był pierwsza klasa, naprawdę!

– Żałuję, że nie brałam w nim udziału. – Halina przysiadła obok ojca, kładąc ręce na kolanach. W kilku miejscach widać było zadrapania, efekt dźwigania desek do szalunku i worków z piaskiem.

– Całe to kopanie będzie psu na budę! – Zezłościł się, zauważając rany na dłoniach córki. – Tak późno się do tego zabrano, że teraz dzieci muszą

pomagać!

– Nie muszą, tato – błyskawicznie zaproponowała Halina. – Nikt nas nie zmusza, my same chcemy.

– Co nie zmienia faktu, że miasto oszalało! – krzyknął, korzystając ze sposobności, ponieważ Marianny nie było w domu i nie musiał się krygować z podnoszeniem głosu.

Jednak w tym stwierdzeniu miał sporo racji. Coraz trudniej było załatwić cokolwiek, a o sprawnym zrobieniu najprostszycch zakupów można było zwyczajnie zapomnieć. Ceny podstawowych produktów znów poszybowały, przed sklepami ustawiały się kolejki, a wiele artykułów z dnia na dzień po prostu zniknęło ze sklepowych półek.

Od tygodni musiał dzielić czas na kopanie rowów, dogłądanie swojej pracy oraz opiekę nad rodziną. Żona solidarnie wspomagała Wincentego jak mogła, ale i tak większość spraw była na jego głowie. Po prawdzie to z tej pomocy i tak więcej było zmartwień niż pożytku; dziś właśnie wybrały się z gosposią na Piotrkowską i choć minęło kilka godzin, jeszcze nie zdążyły wrócić. Mężczyzna zachodził w głowę, czy coś im się stało.

Kłęb przymknął okno od ulicy. W kierunku dworca ciągnęły grupy młodych mężczyzn, zmobilizowanych do służby wojskowej, lament towarzyszących im kobiet stawał się nie do zniesienia. Matki i oblubienice gromadnie odprowadzały poborowych na pociąg, głośno wyrażając swój smutek i obawy. Wincenty poprawił firankę.

– Do szkoły nie pójdziecie, kto to widział? – zachnął się, siadając na powrót w swym ulubionym fotelu.

– Co się tatko tak piekli? – Halina próbowała uspokoić ojca, ale jej słowa trafiły w próżnię.

– A co mam się nie pieklić? – odpowiedział gniewnie. – Wszystko tu stoi na głowie. Skoro mamy nie oddać nawet guzika<sup>17</sup>, to po co te wszystkie przygotowania? I gdzie jest, do diabła, twoja matka?

<sup>17</sup> Słowa „nie oddamy ani guzika” pochodzą z przemówienia generała Edwarda Rydza-Śmigłego, wygłoszonego podczas XII Zjazdu Związku Legionistów Polskich w 1935 roku; <https://ksiazki.wp.pl/nie-oddamy-ani-guzika-tak-rydz-smigly-odgrazal-sie-niemcom-w-1935-roku-6218434789644417a> [dostęp: 01.02.2023].

Halina dopiero teraz zrozumiała prawdziwy powód rozdrażnienia swojego rodzica. To prawda, mamy nie było już długo, ale przecież to dopiero środek dnia, pewnie zaraz wróci. I rzeczywiście, z sieni dobiegły damskie głosy, a zaraz po tym w drzwiach stanęła Marianna Kłęb.

– Bój się Boga, kobieto! – Wincenty załamał teatralnie ręce, wymownie wskazując na ścienny zegar. – Tyle czasu? To przecież można by zejść całą Łódź wzdłuż i wszerz!

– A to ci powiem, mój drogi, że trzy godziny spędziłyśmy w sklepie Ligi Obrony Powietrznej Państwa – odpowiedziała pani domu, sadowiąc się z wyraźną ulgą w fotelu.

Przez chwilę napawała się miękkością siedziska i gładkim materiałem wyściółki, milcząc z przymkniętymi oczami. Aż dziw, że do tej pory nie odnotowała neurastenicznego napadu, widać organizm dostosowywał się do wyjątkowych czasów. Nie miałaby nic przeciwko temu, by tak już zostało. To znaczy z brakiem napadów bólu, nie z tym wszystkim, czego napatrzyła się dziś na ulicach miasta.

– W LOPP-ie? – Wincenty znał to miejsce, sklep mieścił się przy ulicy Piotrkowskiej, pod numerem 149, wcale nie tak daleko od ich mieszkania. Budował sąsiadującą z nim kamieniczkę. – Ale po co, nam przecież mięsa dziś potrzeba!

– To i mięso po drodze kupiłyśmy, i od szewca Halinkowe buty odebrałam. – Marianna wyliczała cierpliwie. – Poszłyśmy do Ligi po maski przeciwgazowe dla nas wszystkich, ale kolejka była taka, że po trzech godzinach nawet nie zdołałyśmy wejść do środka, a masek i tak zabrakło.

– Co ty powiesz, to jakieś wariactwo! – Wincenty pomógł kobiecie zdjąć trzewiki i kiwnął na Halinę, by przyniosła matce wygodniejsze obuwie.

Dziewczyna uwinęła się błyskawicznie.

– Jak się okazało, że masek nie ma i dziś już nie będzie, to się ludzie zaczęli rozchodzić – podjęła wątek Marianna. – Tośmy jeszcze zdołali kupić trochę bandaży, opatrunków na zapas i płynu do odkażania.

– A juści! – dobiegło z kuchni, gdzie gospoia rozpakowywała kosz. – Mnie się widzi, że trzeba będzie do mnie na wieś pojechać, większy zapas zrobić, bo tu powariowali z tymi cenami.

– Dajcie już spokój! – Wincenty machnął ręką, jakby chciał zakończyć dyskusję. – Ta wojna, nawet jak wybuchnie, nie potrwa tak długo, byśmy musieli zaprzętać sobie głowę zapasami. Mamy gwarancję sprzymierzeńców!

– Może tak być – zgodziła się pani Jadwinia, stając w progu salonu. Nie miała jednak na myśli politycznej analizy przeprowadzonej przez gospodarza, ale całkiem przyziemne argumenty. – Na ulicy gadają, że w Berlinie głód i oni tam bezpańskie psy wyłapują, w konserwy psie mięso wsadzają<sup>18</sup>.

<sup>18</sup> O rzekomym wyłapywaniu bezpańskich psów w Berlinie i wykorzystywaniu ich mięsa do produkcji konserw informowali korespondenci łódzkiej prasy: <https://dzienniklodzki.pl/lodz-w-czasie-ii-wojny-swiatowej-1939-ostatni-rok-pokoju-pierwszy-rok-wojny-w-lodzi/ar/c15-15785904> [dostęp: 14.02.2023].

– I co z tego? – zdziwiła się Halina.

– Jak to co? – Gospoia wzruszyła ramionami. – Na głodnego nie pójdą wojować. A nawet jeśli pójdą, to nasze chłopaki raz-dwa im, za przeproszeniem szanownego państwa, dupy spiorą.

– Dobrze, już dobrze. – Marianna przewróciła oczami i postanowiła uspokoić rozgorączkowane towarzystwo. – Będzie, co ma być, jakies tam zapasy mamy, przeżyjemy. Byle zdrowie było.

– Ostatni sierpnia zapowiada, jaka pogoda na wrzesień wypada – błysnęła ludową mądrością Jadwinia i wróciła do swoich obowiązków.

Wkrótce z kuchni dobiegł cichy śpiew kobiety. Halina lubiła jej słuchać, choć nierzadko spotykało się to z przyganą matki. Gospoia

bowiem z równą lubością sięgała po łowickie przyśpiewki, jak i po uliczne kuplety albo – co gorsza – opowieści o Ślepych Maksie, żydowskim gangsterze z Bałut. A to z pewnością nie były historie dla dorastającej grzecznej panienki.

\*\*\*

Świt nastał jak gdyby nigdy nic. O wyliczonej przez astronomów porze, dokładnie jedenaście minut po czwartej. Halina obudziła się tylko trochę wcześniej, za to z dziwnym, niepokojącym uczuciem. A może wcale nie zasnęła tej nocy? To musiało być pokłosie piątkowych wydarzeń i tych wszystkich rozmów, które odbyli w domu z rodzicami, jak i przed kamienicą, z sąsiadami. Wszyscy byli przerażeni.

Dziewczyna odnosiła wrażenie, że właśnie kończy się świat, który, co prawda, dopiero zaczynała poznawać, ale zdążyła już polubić. Jak to wszystko, co sobie wymyśliła i mozolnie zaczęła układać w głowie, będzie wyglądało teraz? Co czeka ją, rodziców? Co się stanie z Polską? Sto dwadzieścia trzy lata niewoli, cudem odzyskana w 1918 roku niepodległość, i co? Znowu zbrojny konflikt i niepewna przyszłość?

Niemal dwadzieścia cztery godziny wcześniej, kilkanaście minut przed piątą, niemiecki pancernik Schleswig-Holstein wystrzelił pierwsze pociski w kierunku polskiej Wojskowej Składnicy Transportowej na gdańskim nabrzeżu. Wieści napłynęły szybko – Westerplatte stanęło w ogniu, rozpoczęła się wojna. Przyszła nad ranem i choć od tygodni nie mówiono o niczym innym, to dla wielu była wielkim zaskoczeniem. Zwłaszcza dla tych rozszaniach po Polsce, na których domy niespodziewanie spadły niemieckie bomby.

Gdyby nie matka i jej zwyczaj spędzania poranków przy radiu, pewnie by ten moment przegapili. Ale Marianna Kłęb lubiła wstać skoro świt, uruchomić radiodbiornik i kołysząc nogą w takt muzyki nadawanej przez warszawską rozgłośnię, czekać, aż meldująca się na godzinę szóstą do pracy gospościa zacznie ich wołać na śniadanie. Wtedy to z kuchni dobiegały odgłosy zwiastujące poranny posiłek, Jadwinia właśnie odpalała palnik na gazowej kuchence i Marianna była pewna, że kobieta

czyni przy tym znak krzyża. Gaz pojawił się w kamienicy ledwie kilka lat temu i nie wszyscy lokatorzy korzystali z dobrodziejstwa, jakie oferował ten rodzaj paliwa. Ich pochodzącej spod Łodzi prostej gospodyni zajęło dużo czasu, by się przekonać, że takie rozwiązanie jest lepsze niż tradycyjne, codzienne rozpalanie ognia pod kuchnią. Wciąż jednak pani Jadwiga podchodziła do tego udogodnienia z dużą nieufnością, co podkreślała właśnie takimi drobnymi gestami. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże” – mówiła i zegnała się zamasyście, zanim odkręciła kurek.

Marianna uśmiechnęła się mimowolnie, po czym skupiła uwagę na nagłej przerwie w audycji. Melodia odgrywana przez któregoś z pianistów, może nawet przez jej ulubionego Władysława Szpilmana, ucichła, jakby ktoś zniecka zatrzasnął ciężkie wieko instrumentu i pozbawił muzyka dostępu do klawiszy. Kobieta odruchowo przeniosła wzrok na zegar, było trzydzieści minut po szóstej.

*– Halo, halo! Tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś rano o godzinie piątej minut czterdzieści oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji. Bombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszyc Państwo komunikat specjalny.*

Te kilka zdań wypowiedzianych z nienaganną dykcją przez spikera, Zbigniewa Świętochowskiego, musiało być słyszanych również w kuchni, bo wewnątrz mieszkania wypełnił przeraźliwy dźwięk tłuczonego szkła. Chwilę później do salonu weszła Jadwinia, trzymając w rękach okruchy dzbanka na kawę.

– Koniec świata. – Tylko tyle zdołała wydobyć z siebie, bo i na dobrą sprawę nic więcej powiedzieć nie było potrzeby.

Marianna kiwnęła głową, ignorując zupełnie powód niedawnego hałasu. Podniosła się z fotela z zamiarem obudzenia męża i córki. Nie musiała, oboje jak na komendę pojawili się w salonie, obudzeni najprawdopodobniej odgłosami kuchennej katastrofy. Tymczasem miejsce spikera zajął ktoś inny, by zgodnie z zapowiedzią przekazać kolejne ważne informacje.

– A więc wojna. Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa<sup>19</sup>.

<sup>19</sup> Spiker Józef Małgorzewski, Polskie Radio, Warszawa, godz. 6.30, 1 września 1939 roku.

Tak było wczoraj. Cały ten poprzedni dzień spędzili w mieszkaniu lub przed domem, bojąc się wypuścić gdziekolwiek dalej. W mieście wrzało i wszystko wskazywało na to, że przynajmniej najbliższe dni będą bardzo niespokojne. A teraz, w ten niepewny poranek, Halina leżała bez ruchu, nasłuchując odgłosów zza okna. Wszystko było jakieś inne, obce i budzące grozę. Przecież nie raz, nie dwa budziła się przed świtem, nie mogąc się doczekać a to zajęć w szkole, a to zwykłego spaceru z psem. Leżała jednak jak sparaliżowana, za to pobudzona wyobraźnia podsuwała coraz to nowe obrazy i dźwięki. Mogłaby przysiąc, że słyszy strzały, choć na dobrą sprawę nie była pewna, czy rozpoznałaby odgłosy tego rodzaju. Broń widziała przecież do tej pory tylko na zdjęciach w gazetach.

Nasunęła kołdrę na głowę i zamknęła oczy z mocnym postanowieniem, że zaśnie choć na chwilę. Zaraz jednak nadstawiła uszu, bo dźwięk dochodzący z zewnątrz był nienaturalny i zupełnie jej obcy. Miarowe dudnienie narastało, rodząc ciekawość, ale i niepokój. „Może obudzę ojca” – pomyślała i wysunęła stopę z ciepłej pościeli. Podłoga była zimna i nieprzyjemnie odpowiedziała chłodnym uściskiem. Dziewczyna zrobiła kilka kroków w stronę okna, próbując coś dostrzec zza firanki. Buczenie było już teraz słychać całkiem wyraźnie i Halina zdała sobie sprawę, że to musi być odgłos zbliżającego się samolotu. „Albo kilku” – pomyślała i pobiegła do sypialni rodziców.

– Tato, mamó, coś się dzieje! – zawołała, uchylając drzwi.

Wincenty Kłęb potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, o co chodzi.

– Szybko! – krzyknął, podrywając się z łóżka. – Musimy się schować, biegiem do schronu!



Nie zdążyli. Kilka maszyn z ogromnym łośkotem przetoczyło się nad ich kamienicą, wprawiając serca lokatorów w prawdziwą gonitwę. Na szczęście odleciały dalej. Mężczyzna nie widział, w jakim kierunku ani co to były za samoloty. Polskie wojsko czy niemieckie? Jakie rozkazy otrzymali piloci? Kłęb odetchnął z ulgą – jakiegokolwiek by były, najwyraźniej nie dotyczyły łódzkiego śródmieścia. „Nerwy... Ach, te nerwy – złorzeczył w myślach. – Musimy się wszyscy uspokoić!”. Już miał wrócić do łóżka i może nawet spróbować dospać kwadrans albo dwa, kiedy w oddali dało się słyszeć serię wybuchów.

– Tato? – odezwała się zdezorientowana Halina.

– To bomby – odpowiedział, nie dowierzając. A więc tak to ma wyglądać? Chcą zrównać miasto z ziemią?

– Co takiego? Wincenty? – Tym razem to Marianna zadała pytanie, choć dobrze słyszała, o czym mówił jej mąż. – Jakie bomby?

– Bombardują Łódź, wojna jest już u nas! – Mężczyzna obudził się na dobre i przez kilka sekund analizował sytuację.

„Nie, to niemożliwe... Te wszystkie pałace i fabryki? Niemcy nie będą niszczyć miasta, jeśli już bombardują, to pewnie jakieś strategiczne cele, takie o znaczeniu militarnym. Lotnisko? Dworzec?” – zastanawiał się gorączkowo.

Od przerażonych kobiet nie doczekał się żadnej reakcji, nie liczył zresztą na nią.

– Tak, jeśli nadlecieli stąd – odpowiedział sobie na głos, podchodząc do okna i wskazując domniemany kierunek – to teraz... właśnie zrzucili bomby na Kaliskim.

– Ale po co niszczyć dworzec? – zapytała Marianna.

– Żeby odciąć możliwość transportu polskiego wojska? – odpowiedziała pytaniem Halina. – I przy okazji pozbawić drogi ucieczki zwykłych ludzi?

W mieszkaniu przy Andrzeja 42 rozmowa ucichła. Nawet i bez tego wciąż słyszeli huk wybuchających pocisków. Głuche uderzenia nie ustawały, choć dobiegały już z innej strony miasta. Jeśli Kłęb miał rację i Luftwaffe zbombardowało przed chwilą Dworzec Łódź Kaliska, to teraz cierpiało pewnie lotnisko na Lublinku.

– A więc wojna... – Halina bezwiednie powtórzyła słowa wczorajszego komunikatu. – A skoro tak, to wszyscy jesteśmy żołnierzami!

\*\*\*

Kolejne dni były pełne płaczu i niezdrowej bieganiny, która nie miała nic wspólnego z codziennymi obowiązkami. Rzadkie chwile ciszy wydawały się Halinie nienaturalne i złowrogie. Widziała po zmroku łunę na południu, wygładzoną na tle nieba dłonią wiatru, słyszała huk armat i wypalone zgrozą głosy: „Łódź okrążona”, „Łódź będzie zdobyta”... Rozumiała przekaz, ten, który docierał do jej uszu, i ten, który rejestrował jej zmysł wzroku, jednak odbierała go tylko jako koszmar, nierzeczywistą historię. Albo groźnie brzmiącą opowiastkę, za pomocą której steruje się umysłami słabych i naiwnych. Szaleństwo i szloch dorosłych też były jej częścią, otaczały ją zewsząd, były tak blisko, a mimo to miała wrażenie, że wydobywają się z otchłani bez dna. Na szczęście sen, który przychodził nadszpiewanie szybko, zamykał usta tym diabolicznym nocom.

Jak przez mgłę docierały do nich niepotwierdzone informacje o ofiarach bombardowań, choć wystarczyło przejść kilkaset metrów, by na własne oczy dostrzec tłący się długo kikut kamienicy przy ulicy Bandurskiego. Jeszcze w niedzielę spadła na nią bomba, podobnie jak na stację kolejową Łódź-Widzew czy fabrykę przy Niciarnianej. Świadectwa niemieckiej napaści wołały z wielu miejsc, domagając się reakcji świata.

– Kilkaset osób zginęło wskutek tych nalotów – gorączkowała się Halina, przynosząc sprzed kamienicy najnowsze doniesienia. – Mówią, że jest nawet trzysta ofiar!

Sąsiedzka gromada przekazywała sobie z ust do ust plotki i oficjalne komunikaty. Nie trwało długo, aż fakty wymieszały się z pobożnymi życzeniami, a realna ocena ze swobodną interpretacją. Na zewnątrz panował chaos.

– Musisz tak latać? – denerwowała się Marianna, demonstrując wcale nieprzesadną troskę o córkę. – Nic dobrego cię tam nie spotka, a i nic mądrego raczej nie usłyszysz.

– Dobrze, już dobrze – zgodziła się dziewczyna. – Po prostu chciałam poczekać na ojca.

Wincenty Kłęb zniknął z mieszkania chwilę po tym, jak usłyszał w radiu podziękowania prezydenta Łodzi, wystosowane do rządu Wielkiej Brytanii. Anglicy przystąpili do wojny z Niemcami, podobny krok poczyniła Francja.

– *Uznałem za wskazane i konieczne wysłanie do prezydenta Londynu depezę z wyrazami uznania i zadowolenia, że Anglia łącznie z Polską przystąpiła do walki z najeźdźcą niemieckim*<sup>20</sup> – ogłosił w Polskim Radiu Łódź prezydent Jan Kwapiński.

<sup>20</sup> Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

Właściwie nazywał się Piotr Chałupka, ale przy aresztowaniu przez carskie władze podał właśnie takie, zmyślane personalia i zżył się z nimi przez dziesięć lat więziennej katorgi. W wolnej Polsce został posłem na sejm, a rok temu, kiedy wybory samorządowe w Łodzi wygrali socjaliści, został prezydentem tego miasta. Endecy nie mogli się z tym pogodzić, nazywając go człowiekiem bez nazwiska. Kwapiński miał to w nosie, te polityczne spory nie miały większego znaczenia, zwłaszcza dziś. Trwała wojna.

„Hm... jakże to tak...? – głowił się Kłęb, wyłączając radio. – Dziękujemy Brytyjczykom, a Francja? Im podziękowanie się nie należy?”. Oba sojusznicze kraje związane były z Polską umowami gwarantującymi wsparcie w razie zewnętrznej agresji. Oba też solidarnie już w piątek wystosowały odpowiednie ultimatum. Dziś przystąpiły do

wojny i Kłęb od razu poczuł się spokojniejszy. „Jeśli uderzymy na Niemców z kilku stron, uporamy się z nimi raz-dwa!” – pokrzepiony tą myślą pognał na ulicę Kościuszki, gdzie pod numerem trzecim mieścił się francuski konsul. Chciał zademonstrować swą wdzięczność, liczył też, że dowie się czegoś konkretnego.

– I co, doczekałaś się? – Marianna wróciła do rozmowy z córką. Nieobecność męża trochę się przedłużała, kobietę ogarniał coraz większy niepokój.

– Nie – odpowiedziała Halina. – Ale pan Korablew spod siódemki wracał sprzed konsulatu brytyjskiego i mówił, że tam tłum, więc pewnie i u Francuzów podobna sytuacja. Mam iść i sprawdzić? To przecież blisko.

– Ani mi się waź! – Matka pogroziła palcem, na co dziewczyna tylko przewróciła oczami. – Dostyc już mam zmartwień.

Ojciec wrócił późnym popołudniem, rozgorączkowany, za to z najnowszymi informacjami. Zjadł byle co i zapadł się w fotelu, prostując nogi. Całodzienny spacer po mieście dał się czterdziestosiedmiolatkowi we znaki, nie tyle fizycznym zmęczeniem, co nadmiarem wrażeń, w większości niemiłych.

– Nie tylko na Bandurskiego spadły bomby – rozpoczął relację. – Ucierpiały też kamienice przy Kopernika i Karolewskiej. Mówią, że zginęło mnóstwo ludzi.

– Co ty opowiadasz, Wincenty...? – Marianna załamała ręce, zajmując miejsce w fotelu obok. – I tyś tam poszedł? Guza szukać?

– A skąd, to akurat wiem z opowieści. Byłem przed konsulem na Kościuszki, a później całą grupą przeszliśmy na Piotrkowską, bo poszła wiadomość, że pędzą jeńców niemieckich.

– Jeńców? – zdziwiła się Halina. – Jak to możliwe? Tu spadają bomby, a my bierzemy jeńców na spacer po mieście?

– Nic więcej nie wiem, sam pojmanych żołnierzy nie widziałem. – Wzruszył ramionami. – Ale wiadomość jest sprawdzona. Jak jest wojna,

to są i jeńcy, a przecież my tę wojnę wygramy.

– Tak ci Francuzi powiedzieli? – spytała dla odmiany Marianna. – Są pewni zwycięstwa?

– Spodziewam się zmasowanego ataku na froncie zachodnim – potwierdził Kłęb. – Niemcy dostaną łupnia, zanim się obejrzą.

Halina przysłuchiwała się tej rozmowie, próbując poukładać znane jej fakty; mobilizacja polskiego wojska trwała od dawna, nawet kuzyn Alusi dostał powołanie i już kilkanaście dni temu stawił się na rozkaz w jednostce wojskowej. Całe miasto zryte było rowami przeciwlotniczymi, a część niemieckiej ludności Łodzi głośno odżegnywała się od polityki Hitlera. Sama czytała o tym w gazecie, nie dalej jak w piątek:

*My niżej podpisani obywatele Rzplitej Polskiej narodowości niemieckiej oświadczamy, że jesteśmy lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej i gotowi jesteśmy na każde zawołanie złożyć w ofierze nasze życie dla dobra Polski<sup>21</sup>.*

21 „Goniec Warszawski”, nr 243 z 1.09.1939.

Taką obietnicę złożyli pracownicy zakładów Karola Bennicha, produkujących w Łodzi od lat niezwyklej urody serwety i bawełniane chusty. Prasa określiła to wystąpienie jako deklarację lojalności. „Skoro nawet Niemcy nie są jednomyślni, to może rzeczywiście wojna skończy się, zanim na dobre się zaczęła? Ale z drugiej strony – pomyślała z obawą – ktoś przecież musiał podać pilotom dokładne miejsca zrzutu bomb, skoro bezbłędnie trafili w elektrownię, gazownię i łódzkie dworce”.

– Policja aresztuje Niemców podejrzanych o szpiegostwo – jak na zawołanie dopowiedział jej ojciec. – Szpiegów i dywersantów będziemy internować, już ich wysyłają do Warszawy!

– Czyli nie ma się co martwić? – podsumowała pytaniem Marianna.

– Żabko, dziś niedziela, dajmy już spokój tym podszytym obawami rozmowom – poprosił Wincenty. – Nasi sojusznicy wkroczyli do gry, jesteśmy bezpieczni.

\*\*\*

Siedziała w domu dziewiąty dzień. O wyjściu gdziekolwiek nie było mowy – miała bezwzględny zakaz opuszczania mieszkania. Halina nie zamierzała go łamać, chociaż miała już serdecznie dość na zmianę leżenia albo siedzenia oraz nasłuchiwania, kiedy pojawi się charakterystyczny czarny dźwięk, oznaczający kolejny nalot. Od dwóch dni słyszeli go regularnie, na szczęście kończyło się tylko na złowróżbnym warkocie, ten jednak i tak dawał się im mocno we znaki, rozstrajając układ nerwowy w szalonym tempie.

Próbowała zabić czas czytaniem albo grą na pianinie, jednak z marnym skutkiem. Większość tekstów, po których prześlizgiwało się jej spojrzenie, rozpraszała się gdzieś zaraz po tym, jak zdołała połączyć poszczególne wyrazy w zdania. Część topiła się w spazmach matki i nerwowych gestach ojca, resztę zagłuszał szum miasta, podobny do brzmienia rozjuszonego pszczelego roju. Odrobinę ukojenia znajdowała wśród dźwięków muzyki, ale te z kolei drażniły Mariannę Kłąb, jeśli trwały dłużej niż kwadrans.

Powoli zaczynała tęsknić za referatami i klasówkami. Nigdy by nie przypuszczała, że będzie myśleć o szkolnych korytarzach z taką niecierpliwością, prawie z rozrzewnieniem. Jeśli to, co działo się wokół niej, nie uspokoi się w ciągu najbliższego tygodnia, stanie się takim samym kłębowskiem nerwów jak matka!

Nastolatka usłyszała stuknięcie w szybę. Kamyczek? Odwróciła twarz w stronę okna, za którym rozpoznała przyjaciółkę. Tkaczukówna gestem dłoni zachęcała koleżankę do wyjścia na zewnątrz. Halina próbowała jeszcze bezgłośnie oponować, ale pragnienie wydostania się z domowego aresztu wzięło górę.

Ojciec wciąż siedział w sypialni, czuwając przy matce po wizycie lekarza, wystarczyło więc tylko wyczekać moment, gdy gosposia będzie zwrócona tyłem do kuchennych drzwi. Halina przeszła na palcach kilka metrów. Pani Jadwiga drzemała na zydelku między kredensem a stołem. Głowa kobiety kiwała się lekko w rytm spokojnego oddechu, którego nie

zaburzała nawet melodia pokrywki, drżącej pod wpływem gotującej się w garnku potrawy. Droga była wolna. Chwilę później obie z Alusią przemknęły pod oknami mieszkania państwa Kłębów od strony ulicy.

– Ojciec mnie przeklnie... – powiedziała Halina kilka minut później, gdy szybkim krokiem szły w stronę skrzyżowania ulicy Andrzeja z Piotrkowską.

– Nie panikuj. – Tkaczukówna chwyciła przyjaciółkę za rękę i pociągnęła ją w stronę głównej arterii miasta. – Co może nam grozić, jeśli prawie nic się nie dzieje? Rozejrzyj się, przecież jest głucho jak w grobie.

Halina wzdrygnęła się na to porównanie, ale musiała przyznać, że było trafione. Ulice były upiornie ciche, głównie przez prawie całkowity brak środków lokomocji, które zniknęły wraz z władzami miasta i policją już kilka dni temu. Pod osłoną nocy ewakuowano wojewodę, starostę grodzkiego i cały magistrat z prezydentem Kwapińskim. Na miejscu zostali tylko biskupi, gotowi nieść posługę, pomagać i dawać przykład. Jeden z nich, sam ordynariusz Włodzimierz Jasiński, wzywał do walki z nowym najazdem krzyżackim. Tylko jak to zrobić, skoro w mieście nie było polskich władz? Halina mogła się mylić, ale chyba ktoś komuś powiedział, że w Łodzi nie ma już nawet żadnej karetki pogotowia ratunkowego...

Pierwszy raz widziała miasto o tej porze tak przygaszone, senne i smutne. Mijając poszczególne kwartały, nietrudno było się domyśleć, że są pustawe nie tylko w związku z tym, że ich mieszkańcy chowają się w domach, ale przede wszystkim dlatego, że mnóstwo mieszkań zostało na gwałt opuszczonych. Nieliczni przechodnie przemierzali się szybko, niezgrabnie, głównie w przeciwnym kierunku niż ona i Alusia. Ludzie nie patrzyli sobie w oczy, omijając walające się wszędzie śmieci i przyciskając do piersi poły marynarek albo wypchane czymś tobołki. Na większości twarzy nie było jasnych spojrzeń czy uśmiechów, uwagę zwracały za to pochylone sylwetki i pośpiech.

– Kiedy pan Grabiński, wiesz, ten kuśnierz z pierwszego piętra, przybiegł do nas z tą wiadomością, powiedziałam, że nie uwierzę, póki nie zobaczę wszystkiego na własne oczy. Ponoć Grand Hotel przystrojony jak na Boże Ciało. I mówił jeszcze, że... Zobacz! – Alusia zwolniła kroku i wskazała brodą gromadę odświętnie ubranej młodzieży, która z głośnym śmiechem wypadła z bramy kilkanaście kroków przed nimi.

W dłoniach obcych dziewcząt kołysały się pojedyncze kwiaty albo całe ich wiązanki. Rozbawione towarzystwo mówiło po niemiecku, wyraźnie intonując każde słowo. Halinie przyszyły na myśl deski teatralne i stojący na nich aktorzy, dumni, rozglądający się za miejscem, z którego najlepiej będzie słychać ich kwestie.

– Idą jak na procesję... – dokończyła półgłosem Tkaczukówna.

Po chwili wyprzedziły ich jeszcze dwie takie grupki, równie hałaśliwe i rozchichotane. Dopiero teraz Halina zauważyła, że w ślad za wystrojoną młodzieżą kroczyli też odziani podobnie dorośli, których było tym więcej, im bardziej zbliżały się obydwie do wylotu na Piotrkowską; wcześniej zbyt mocno skupiała się na splądrowanych sklepowych witrynach, które jeszcze tak niedawno kusiły mnogością towarów i usług. Niejedną podziwiała z matką lub ojcem, gdy chciała zrobić przyjemność rodzicom, pomagając im w zakupach. O, tu chociażby zaopatrywali się w ciągnącą się przyjemnie, bielušką jak mleko chałwę, tam znowu w trykot na sukienki, tam w koronki...

„A więc to prawda, co mówili – myślała, gdy udało się jej podsłuchać to i owo przy uchylonych oknach – że kto miał na wsi pewniejszy dach nad głową, opuszczał miasto albo ciągnął do Warszawy”. Wielu, jak się domyśliła, patrząc na rozbite szyby sklepów, zostało do tej ucieczki zmuszonych.

Ktoś trącił ją boleśnie ramieniem i nie odwrócił się w ramach przeprosin. Plecy mężczyzny, który najwyraźniej za nic miał zasady *savoir vivre*'u, zniknęły za rogiem. Dalej był jakiś inny świat...



Środkiem Piotrkowskiej z drażniącym uszy warkotem sunęły wojskowe maszyny: furgonetki, odkryte ciężarówki i niskie małe auta pełne szarzielonych mundurów i zawadiackich min, twarzy uśmiechniętych i nieprzyjemnie obcych. Wystarczyło kilka kroków, a miały je wszystkie na wyciągnięcie ręki. Co jakiś czas do samochodów wskakiwali cywile, chłopcy i dziewczęta z radosnym *Heil Hitler* na ustach. Atmosfera uniesienia kołysała się w powietrzu jak ramiona niemieckiej ludności i jak opary benzyny oraz smród końskich odchodów, gdy miejsce stalowych rumaków zajmowały żywe zwierzęta. Kopyta przesuwały, a potem gniotły rzucając na bruk kwiaty, mieszając je z łajnem i kurzem wzbijającym przez ciężkie, twarde buciska. Całości tej niecodziennej scenerii dopełniały dziesiątki flag z widocznymi na nich ogromnymi swastykami, zdobiące większość kamienic usytuowanych wzdłuż drogi przemarszu „zdobywców”... I jeszcze to *Herzlich willkommen*<sup>22</sup>... Gdyby Halina miała odpowiedzieć sobie teraz na pytanie, czy jest tylko zdumiona czy już zszokowana, musiałaby się zastanowić.

<sup>22</sup> niem. serdecznie witamy

Arteria jak długa i szeroka falowała w kierunku północnym, więc i one bez wcześniejszego ze sobą porozumienia obrały ten sam kierunek, co gęstniejący z każdą minutą tłum. Musiało upłynąć trochę czasu, zanim świadomość Kłębówny zarejestrowała zmianę w jego charakterze. Nie był jednolity – to uderzyło ją najbardziej. Jego część była milcząca i chmurna, jakby ściągnięto ją tu za karę, pozostała posuwała się szybko pewnym krokiem, wymachując rękami i kwieciami, buńczuczna, arogancka, krzykliwa. Czuła, że zaczyna jej brakować powietrza, choć przecież na tak otwartej przestrzeni powinno być go aż nadto.

– Nie idę dalej! – Halina wyrwała z Alusinej swoją dłoń.

– Tam się coś dzieje, nie bądź dzieckiem. – Tkaczkówna najpierw spojrzała w stronę majaczącego w oddali placu Wolności, a potem stanęła tyłem do ludzkiej fali.

– Wracam do domu.

– Jak tam sobie chcesz! – Dziewczyna machnęła ręką i odwróciła się na pięcie. Chwilę później głowa koleżanki zniknęła Halinie z pola widzenia.

Na wysokości Grand Hotelu szesnastolatka wycofała się pod ściany budynków przytulonych do ulicy, a potem skręciła w 6 Sierpnia. Biegła, póki nie zaczęło jej brakować tchu.

W domu najpierw przywitało ją zatroskane spojrzenie gosposi, a chwilę później wzrok matki, który zwiastował burzę. Marianna Kłęb przyskoczyła do córki i z całej siły uderzyła ją w twarz.

– Nie rozumiesz, co znaczy wojna?! – Pełen przerażenia krzyk kobiety i ból piekącego policzka zlały się Halinie w jedno.

W tej chwili to słowo płonęło dla dziewczyny ogniem wstydu.

\*\*\*

„Kochana mateńka...” – myślała Halina, chuchając w wychłodzone dłonie. Jak to dobrze, że zawsze dbała o wszystkich, choć chyba wyszłoby im w domu na zdrowie, gdyby kobieta pozwoliła sobie na odrobinę zdrowego egoizmu.

Marianna Kłęb słusznie się domyślała, że jeśli w mieście od dawna brakowało surowców na opał, to problem z ogrzaniem budynków mieli nie tylko zwyczajni zjadacze chleba, ale i punkty użyteczności publicznej. Kobieta miała rację, a dzięki temu jej córka – różowe, a nie sine z zimna usta. Ciepły półgolf pod mundurkiem i dodatkowa para pończoch zrobiły swoje, bo wprawdzie daleko było Halinie do pełnego komfortu, ale przynajmniej nie dygotała teraz jak kilka jej koleżanek, które próbowały przysunąć się jak najbliżej do nagranych szklanych tafli. Niebo za oknem szkolnej klasy dopiero tuż przed południem przybrało czysty, szarobłękitny kolor; po wilgotnej, gęstej mgle, która towarzyszyła Kłębównie rano, w drodze na lekcje, nie było już śladu. Żadna chmura nie przesłaniała słonecznej tarczy, nie oznaczało to jednak, że można było lekce sobie ważyć temperaturę na zewnątrz.

Halina przekonała się o tym, zamykając przed chwilą okno na polecenie nauczycielki.

Drobne ręce wysokiej, szczupłej historyczki kojarzyły się Halinie z tańczącymi na wietrze motylami; ich gestykulacja była tak samo barwna i pełna wdzięku, jak ruch tych niewielkich, pięknych stworzeń. Kobieta nosiła dawno już niemodne suknie, ale duma i gracia, z jaką to robiła, sprawiały, że ten przebrzmiały, a jednak mimo wszystko harmonijny modowo styl niezmiennie przyciągał oko. Starannie upięte włosy w słomkowym odcieniu oraz lekko zaróżowiona cera dopełniały obrazu, który zapewne spodobałby się nowym władcom tej części świata... Bo czyż nie tak właśnie powinien wyglądać prawdziwy Aryjczyk? Czy pani Izabela Mazur pomyślała o tym, że gdyby jedna z jej uczennic – Zosia Wróblewska, Żydówka i Polka – miała szczęście być kopią swojej mentorki, dziś ławka, w której zwykle siedziała dziewczyna, nie świeciłaby teraz pustkami? Rodzina dziewczyny najpewniej uciekła z Łodzi w obawie przed wojennym koszmarem; Halina miała nadzieję, że ukryła się gdzieś daleko i skutecznie...

A jeśli Hitler umyśli sobie wydłużyć jeszcze listę cech determinujących czyjeś „być albo nie być”? Co się stanie, jeśli znajdą się na niej te, które Halina rozpozna u siebie? Albo u swoich bliskich? Na razie Hitler szedł na wschód jak taran, miażdżąc każdy opór napotkany na swojej drodze. W tej chwili wyglądało na to, że nic nie jest w stanie powstrzymać tego szalonego marszu, a tym samym wszystkich niezrozumiałych dla niej decyzji...

Nie mogła pojąć chaosu, który trwał nieprzerwanie od pierwszego września, ani nowych zasad, ustalanych przez ludzi, którzy z miłych, uczynnych sąsiadów przeistoczyli się nagle w śmiertelne zagrożenie. Czuła się tak, jakby grała główną rolę w teatrze najmroczniejszych cieni – gdy nadchodzi czas, by kurtyna opadła, nic się nie dzieje, zaś wyimaginowany koszmar wylewa się ze sceny tam, gdzie nie ma już miejsca na udawanie.

– Langerówna i Rzewuska, co to za szept? – Pytanie zza biurka zostało wzmożnione trzaśnięciem o blat dziennika lekcyjnego.

Wywołane do odpowiedzi dziewczęta znieruchomiały na swoich miejscach. Jedna z nich gwałtownym ruchem wsunęła pod zeszyt mały karteluszek.

– Może zamiast amorów, Langerówna, skupi się pani na historii szesnastowiecznej Anglii? – Nauczycielka wstała i podeszła do ostatniej ławki, którą zajmowały „winowajczynie”. – Wstań i przeczytaj nam, co cię tak poruszyło. Może chociaż reszcie klasy poszerzą się horyzonty, bo paniące chyba tylko poprawka pozwoli się do nich zbliżyć... Wstań, proszę.

Halina kątem lewego oka widziała, jak krępej budowy brunetka z warkoczem grubości powrozu wyciąga wolno zwitek spod brulionu; uszy gimnazjalistki płonęły żywym ogniem.

– No? – westchnęła Mazur. – Niech i nam serca zabiją.

Dziewczyna spuściła głowę i wymamrotała coś pod nosem.

– Głośno i wyraźnie, Langerówna. Teraz nie musisz szeptać.

– Warszawa skapitulowała.

Zdanie zabrzmiało jak wystrzał.

– Dlaczego to napisałaś, dziewczyno? Co to ma znaczyć?! – Motyle ramiona zaczęły trzepotać w powietrzu.

– To nie ja! To mój sąsiad, kolega, od Kupców! My razem... – Brunetka się zająknęła, a potem sapnęła głośno. Klasa zachichotała. – My często idziemy razem w stronę szkoły. Jego rodzinie... Zanim rankiem Niemcy zabrali im radio, usłyszeli komunikat o Warszawie. On, ten kolega znaczy, nie poszedł dziś do szkoły, tylko tę kartkę mi dał, gdy biegłam na tramwaj. Bo mój brat jest w Warszawie! – Głos nastolatki zaczął się łamać. – I moje dwie siostry...

Halinie szumiało w głowie. Przecież to mógł być zwykły szczeniacki żart. Jeśli tak, ktoś, kto tak okrutnie zabawił się kosztem dziewczyny,

niewart jest nawet spojrzenia. Ale jeśli to prawda...

Mazur zabrała uczennicy karteczkę i szybkim krokiem wróciła do biurka. Położyła świstek na dzienniku, usiadła, po czym zaczęła masować sobie skronie opuszkami palców, wbijając wzrok gdzieś daleko przed siebie. Langer pociągnęła nosem. Komuś spadł ołówek. W pomieszczeniu było tak cicho, że Halina słyszała, jak przedmiot gładko toczy się po starannie wypastowanej podłodze i w końcu zatrzymuje między nauczycielskim stołem a tablicą. Właścicielka nie ruszyła się ze swojego miejsca.

Po dłuższej chwili historyczka powolnym ruchem otworzyła książkę.

– Strona sto pięćdziesiąt sześć – powiedziała suchym głosem. – Proszę zanotować temat lekcji, jest taki sam jak tytuł rozdziału.

Halina szybko przewertowała szkolny podręcznik do historii. Podniosła palec, patrząc w stronę nauczycielki.

– Co jest dla ciebie niejasne, dziecko?

– Przeskoczyła pani cztery rozdziały. Mamy je sami opanować w domu? – zapytała spokojnie Kłębówna. – I czy cały materiał w nich zawarty znajdzie się na najbliższej klasówce?

Może nie były to najważniejsze w tej chwili pytania, ale poczuła, że musi powiedzieć cokolwiek; atmosferę w klasie można było kroić nożem...

– Treści, o które pytasz, Kłębówna, o które pyta wasza koleżanka... – poprawiła się Mazur, po czym westchnęła ciężko. – ...proszę pominąć. Nie będzie ich również na żadnych powtórzeniach ani jakichkolwiek innych formach sprawdzania waszej wiedzy historycznej. Według najnowszych obowiązujących wytycznych dzieje Polski nie są już przedmiotem waszych gimnazjalnych studiów.

Pomieszczenie natychmiast wypełniły przytłumione szepty, jakby jesienny wiatr próbował zamieść swym oddechem kurz z przestrzeni między lekko pochylonymi z jednej strony dla wygody uczniów drewnianymi ławkami. Nauczycielka nie próbowała stłumić tych

wibrujących spółgłoskami i samogłoskami szelestów, tylko przyglądała się nastoletnim twarzom z troską i smutkiem. Nie dalej jak dwa tygodnie temu do niemieckiego najeźdźcy dołączyła stalinowska Rosja, wbijając Polsce nóż w plecy. Przyszłość kraju, napadniętego z dwóch stron przez potężne mocarstwa, nie rysowała się w szczególnie jasnych barwach. Losy tego i kolejnych pokoleń zdawały się przesądzone.

Halina zamrugła i spojrzała na swoją towarzyszkę w ławce, Alusię Tkaczukównę, a potem przeniosła wzrok na siedzącą za biurkiem kobietę. Nie wstając, zapytała:

– To gdzie teraz będzie Polska, proszę pani?

Ze spojrzenia Izabeli Mazur można chyba było odczytać wszystko oprócz odpowiedzi.

\*\*\*

– Powietrze się zmienia – powiedziała trochę do siebie, trochę do córki Marianna, trzymając dziewczynę pod rękę. – Chwała Bogu, że zdążyliśmy kupić ci to palto przed pierwszymi mrozami... I to za przyzwoitą cenę.

Halina nie skomentowała uwagi matki. Podzielała zdanie rodzicielki, niemniej jedna rzecz nie pozwalała jej się cieszyć... O normalnych zakupach i takichże cenach prawie nikt już w Łodzi nie pamiętał. Masa zdewastowanych sklepików i dużych magazynów nie wznowiła już swojej działalności po zaprowadzeniu przez Niemców nowego porządku. Nie tylko ona, Halina, zdała sobie wtedy sprawę, jak ważna pod wieloma względami była dla miasta żydowska społeczność, która w zasadzie od pierwszych dni wojny musiała się ugiąć pod twardym butem okupanta, a zaraz potem niemalże całkowicie wycofać z gospodarczego, politycznego i społecznego życia Łodzi.

W związku z tą potężną zmianą między innymi handel dosłownie stanął na głowie, i nie było w tym stwierdzeniu grama przesady. Trudno, aby było inaczej, kiedy nagle tysiące mniejszych i większych przedsiębiorców zmuszonych jest natychmiast zamknąć swój interes.

Codziennością miasta stał się pokątny, szybki, najczęściej nieuczciwy i wiecznie pod strachem dorywczy kolportaż. Liczba różnego rodzaju domokrażców rosła jak grzyby po deszczu, podnosząc tym samym ceny w nieskończoność, bowiem zanim jakikolwiek towar trafił w końcu do nabywcy, przechodził z rąk do rąk, nierzadko nawet dziesiątki razy. A i cała ta krucha machina finansowa raz po raz rozszarpywana była przez zachłanne, roszczące sobie prawo do królowania niemieckie łapska. Dodatkowo większość mieszkańców miasta sama napędzała inflację, próbując kupować za przesadnie wygórowane ceny, byle szybciej, byle uniknąć wielogodzinnych kolejek oraz związanych z nimi kłopotów i upokorzeń. Trudno było więc nie zauważać tego czarnego kołowrotka, a jeszcze trudniej nie dać się wciągnąć w jego mordercze, obeszładniające tryby.

Jakiś czas temu Marianna Kłąb usłyszała o możliwości zrobienia okazyjnych odzieżowych zakupów. Trzeba było się tylko zjawić w czyimś prywatnym mieszkaniu, kilka przecznic od ich domu, z przygotowaną wcześniej okrągłą sumką, oraz pamiętać o godzinie policyjnej, a potem już tylko cieszyć się z dobrze wydanych pieniędzy. Halina jednak miała kłopot z ową radością...

– Jesteśmy podłe! – wypaliła szesnastolatka.

– O czym ty mówisz, Halinko?! – W głosie Marianny Kłąb brzmiało autentyczne zdumienie. – Co w ciebie wstąpiło? – Spowolniła krok.

– Jesteśmy podłe, mamó, bo ja mam teraz dwa płaszcze na zimę, a ta kobieta nawet jednego. Nie mogłyśmy się jeszcze wstrzymać i poszukać czegoś w jakichś magazynach? Czuję się jak tani szwindlarz...

Doszły do rogu Wólczańskiej i Zawadzkiej. Lodowaty wiatr, niezatrzymywany tu ścianami kamienic, nieubłagane chłostał ich wychłodzone ciała w najlepsze. Halina szła w zakupionym kwadrans temu palcie, swoje własne natomiast – zwinięte i przewiązane sznurkiem – niosąc pod pachą. I musiała przyznać, że w porównaniu ze starym odzieniem różnica w grubości materiału wypadała zdecydowanie na korzyść nabytku.

Nie oponowała, gdy kobieta, od której odkupiły ubranie, zaproponowała, by dziewczyna założyła je od razu; gdyby komuś na ulicy przyszło do głowy wyrwać jej z rąk zakupy, to przynajmniej najcenniejszą rzecz będzie miała na sobie...

– Jej dzieci patrzyły na mnie, jakbym zdarła ich matce z grzbietu ostatnią koszulę!

– I cóż z tego, Haluś? Ale patrzeniem się nie najedzą... Widziałas, że dałam jej więcej, niż nam zaproponowała. Jej maluchy więc przynajmniej przez jakiś czas nie będą głodne, a ty może unikniesz teraz zapalenia płuc... Rozumiesz? – Marianna patrzyła przed siebie. – Każda z nas chroni swoje dziecko najlepiej, jak potrafi. Będiesz kiedyś matką, to sama do tego dojdiesz.

– To wszystko jest... – Halina nie mogła znaleźć słów na wytłumaczenie uczucia gorzkiej niemocy, trzymającej ją teraz za gardło. – Przecież... tego już nie da się wytrzymać! – krzyknęła, stawiając jednocześnie kołnierz, żeby zatrzymać resztki ciepła blisko ciała.

– Ciszej, Halinko. – Marianna skarciła córkę stanowczym tonem, rozglądając się na boki, po czym pociągnęła dziewczynę mocniej za sobą. – Pójdziemy Gdańską, chodź.

– Nie będę cicho! I po co mama chce iść tamtędy? – Halina postanowiła się sprzeciwić. – Przecież Wólczańską będzie bliżej.

– Chodźmy stąd.

Sprzeczką kobiet i towarzyszące jej gesty zaczynały przypominać przeciąganie liny. W końcu szesnastolatka wyrwała się matce i ruszyła w zaproponowaną przez siebie stronę. Po jakimś czasie dogonił ją stukot obcasów, a potem Marianna chwyciła Halinę za bark, ale tylko po to, by zrównać krok z dziewczyną. Kłębówna zrobiła to spontanicznie i celowo, myśląc tylko o tym, że być może idzie właśnie w paszczę lwa, ale w żadnym wypadku nie oznaczało to dla niej braku rozsądku, wręcz przeciwnie – czuła, że obrała właściwy kierunek. Przecież to absurd bać się własnego cienia we własnym mieście!



Jeszcze kilka tygodni temu ulica Wólczańska była jednym z ulubionych przez Halinę traktów, idealnych na przechadzki i długie niespieszne spacer. Ona i jej szkolne koleżanki, które zwykle jej wtedy towarzyszyły, nie miały potrzeby obawiać się w tym miejscu niczego, choć już wtedy miało ono w sobie dla nich mnóstwo tajemnic. Były one jednak związane bardziej z inną kulturą niż z jakimkolwiek niebezpieczeństwem, o które tak naprawdę wciąż łatwiej było na Bałutach niż w śródmieściu.

Nigdy nie czuła w sobie grama strachu, gdy swego czasu zdarzyło się jej przechodzić obok Ezras Izrael, przepięknej trzykondygnacyjnej synagogi pod szóstką, o której urodzie krążyły opowieści nawet wśród ortodoksyjnych Żydów. Nie mając przyjaciół wśród tych ostatnich, opisy bimy czy babińca na galerii znała tylko z zasłyszanych gdzieś fragmentów ulicznych rozmów, niemniej widząc wypieszczoną gzymsami, fryzami, arkadowymi oknami i olbrzymią rozetą nad podwójnym wejściem elewację, mogła sobie wyobrazić, jak bogate musi być wnętrze tej liczącej zaledwie trzydzieści kilka lat bożnicy. Takie same uczucia – ciekawość i zachwyt – towarzyszyły jej, gdy patrzyła na okazałe kilkupiętrowe wille, pałace oraz zakłady największych żydowskich fabrykantów: Prussaków, Häntschela, Wevera, Poznańskich, Schweikerta, Rumkowskiego... i wielu innych, których niezliczone bogactwa stanowiły temat rozmów nie tylko łódzkiej biedoty. Bywała nawet pod dwudziestką trójką, pod bramą żydowskiego gimnazjum żeńskiego Hochsteinowej, gdy czekała tam na Zosię Wróblewską, która wśród uczennic szkoły miała swoje sąsiadki i koleżanki.

Nie omijało się więc Wólczańskiej, ale traktowało jak istotny, zdrowy element w płucach oddychającego tą niezwykłą wielowymiarowością miasta. Do czasu... aż w tę znaną jej, na swój sposób harmonijną przestrzeń przemocą wdarły się olbrzymie flagi z krzyczącymi na nich swastykami, a wraz z nimi pojawiły się niemieckie samochody, moda, język i zwyczaje, okraszone suto butą i chamstwem; to dosłownie z dnia na dzień wymiotło z ulicy niemal wszystkich jej rdzennych

mieszkańców, pozbawiając tych ostatnich dachu nad głową, pracy, pieniędzy i nadziei na normalne jutro.

Nie musiała nawet patrzeć na matkę – doskonale wiedziała, że ta jest blada jak ściana, bynajmniej nie z zimna. Za to Halinę spalało coś od środka. Niech no tylko któryś z tych...

– *Halt*<sup>23</sup>! – Usłyszały za sobą.

<sup>23</sup> niem. Stać!

Obie zatrzymały się w pół kroku i najpierw wbiły wzrok w wydeptany chodnik, a potem spojrzały na siebie rozszerzonymi strachem oczami. Nie tak miało być... Nie znała niemieckiego, ale nawet gdyby nie osłuchiwała się ostatnio z tą komendą, nie miałyby wątpliwości, że oznacza problemy. Halina nie wytrzymała napięcia i spojrzała przez ramię. Odetchnęła, ale tylko na chwilę. Wyrośnięty nastolatek, którego kojarzyła skądś jako ucznia niemieckiego gimnazjum, zbliżył się na wyciągnięcie ręki do zatrzymanego okrzykiem na oko swojego rówieśnika. Ten stał spłoszony, czekając na rozwój sytuacji. Młody jasnowłosy Niemiec miał przy sobie dwie rzeczy, które sprawiały, że drobnej budowy śniady chłopak nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów – gruby, długi kij i swastykę na rękawie marynarki. Krzywy uśmiech napastnika mówił wiele o stosunku do zatrzymanego. Niemiec zdawał się nie zauważać stojących niedaleko kobiet; ewidentnie miał swój własny plan, w którym nie było miejsca dla dziewczyny oraz jej rozdygotanej opiekunki.

Blondyn powtórzył swoje polecenie, a potem szarpnął nastolatka tak gwałtownie, że ten wypuścił z rąk trzymaną w nich książkę, następnie ruchem brody i dzierzzonego w dłoni drąga nakazał mu przejść na drugą stronę ulicy. Kilkadziesiąt metrów dalej wepchnął chłopca w grupę mężczyzn w różnym wieku, pracującą na niewielkim skwerze pod okiem dwóch uzbrojonych żołnierzy. Ci ostatni przywitali „nowego” okrzykami, którym daleko było do miłych i przyjaznych.

Halina stała jak wryta, patrząc, jak zakłopotani, wystraszeni dorośli grabią liście i zasypują piachem kałuże, zaś obserwujący scenę

przechodnie z rozradowanymi minami wytykają ich palcami. Domyślała się, że pracującymi są Żydzi. O tym, jaki stosunek mają do tej nacji Niemcy, słyszała codziennie, a dziś mogła to również zobaczyć...

Złowiła spojrzenie bruneta, który jako ostatni zmuszony był dołączyć do skupiska przy łopatach i grabiach. W czarnych źrenicach chłopaka dostrzegła nienawiść, dumę i upokorzenie. Jeśli był wśród nich również lęk, silniejsze emocje stworzyły dla niego w tym momencie zasłonę dymną.

Serce jej zamarło, gdy nagle jeden z żołnierzy zaczął ustawiać pilnowanych przez siebie mężczyzn pod ścianą jednego z domów. Kazał im odwrócić się twarzą do budynku, a po chwili wystrzelił długą serię, kierując lufę karabinu ku górze. Patrzyła, jak jeden z bezbronnych mężczyzn osunął się na kolana, a w tym czasie żołnierz, jego kompan i nastolatek, za sprawą którego powiększyła się grupa tak okrutnie potraktowanych mężczyzn, zaśmiewali się ze swojego „żartu”.

Porwała z ziemi książkę i puściła się biegiem w stronę ulicy Andrzeja. Tego dnia nie zamieniła już z matką ani słowa.

\*\*\*

Ludzkie twarze – to one były prawdziwym lustrem, w którym odbijała się nowa Łódź. Nawet gdy Halina zamykała za sobą drzwi mieszkania od wewnątrz, stale jej towarzyszyły, raniąc rozkojarzoną podświadomość jak garść piachu rzucona prosto w oczy. Były wszędzie – wędzące z dnia na dzień spojrzenia, połączone brudną siecią lęku i wszystkich jego pochodnych. Bo też i była owa gorączka składową każdego ataku paniki, rozpełzającego się jak rak gniewu, niedowierzania, wycofania, spadania w przepaść...

Miasto puchło nowym ładem jak szklana bańka wypełniająca się dwutlenkiem węgla. Halina dusiła się wewnętrznie. Po pierwszym oszołomieniu przyszło odrętwienie, potem – wyparcie, które w krótkim czasie skotłowało jej psychikę na tyle, że koszmarne sny niewiele różniły się od jawy. Szybko zaczęła się gubić w tym, czego kiedyś

pragnęła, co jej odebrano, czego nakazano się bać, na co pozwalano myślom.

Ostatnie tygodnie zdmuchnęły hierarchię jej potrzeb jak domek z kart. Budowała ją od nowa ze złością i zdumieniem, widząc, jak jedna sprawa – wolność – która wydawała się dana raz na zawsze, definiuje wszystkie pozostałe, uplastycznia je, rozjaśnia, ustawia we właściwej kolejności.

Wciąż zezwalano na funkcjonowanie szkół. „Chociaż tyle... Więc może nie wszystko stracone” – myślała, jednak nie korzystała z tego przywileju tak żarliwie, jak czyniła to dotychczas. Na lekcjach nie potrafiła się skupić, zajęcia przepływały przez nią jak woda przez palce. Przyswajała wiedzę wolno, z wysiłkiem, zupełnie inaczej niż jeszcze trzy miesiące temu, bez entuzjazmu – niemal z bólem serca. Fakt, że miała teraz na naukę dużo więcej czasu niż w poprzednim roku szkolnym, bo przecież zniknął jej obowiązek kontynuowania zajęć w konserwatorium, nie miał żadnego przełożenia na obecny wysiłek, a raczej jego brak, bo jej pociąg do wiedzy przepadł w otchłani rozżalenia i pospolitej bezsilności.

W pewnym momencie odepchnęła również od siebie muzykę, unikając fortepianu jak ognia. Być może był to tylko odruch obronny przed niewysłowionym żalem, który pętał jej duszę, gdy znajome dźwięki zaczynały wypełniać przestrzeń. Wrażenie było tak destrukcyjne i obezwładniające, że wolała się poruszać po jałowej muzycznie płaszczyźnie, niż dodatkowo cierpieć. Nie rozumiała tego mechanizmu, ale też i nie miała siły dociekać, dlaczego jej ciało i umysł reagowały w ten sposób. Tak się po prostu działo, a ona bez walki dawała się wciągać w tę emocjonalną rozpadlinę.

Widziała ogromny niepokój w oczach ojca, gdy omijała instrument, a matka na zmianę lamentowała i prosiła ją chociaż o kilka taktów, jakby od tego, czy córka „uwolni” nuty z pięciolinii, zależało całe ich życie. Ale organizm Haliny bronił się przed tym jak kwiat, który stula swoje płatki w obawie przed pierwszym mrozem.

Zaczynała kostnieć...

Nie pamiętała, w którym momencie na pierwszy plan wśród tych czarnych emocji wybiła się niezgoda na terażniejszość, natomiast z dokładnością co do godziny potrafiłaby powiedzieć, kiedy dołączyła do niej chęć działania. A zaktywizowało ją zaledwie kilka słów, rzuconych przyciszonym głosem przez jedną z koleżanek – Julianowska, trzeci domek od lewej. Od tamtej chwili czuła, że wraca jej życie.

Na dzień realizacji swojego planu wybrała sobotę – jeśli miał się powieść, a ona przed godziną policyjną wrócić do domu cała i zdrowa, musiała wyjść odpowiednio wcześniej. Ubrała się cieplej, bo deszczowa, wyjątkowo chłodna aura nie rozpieszczała. Jeśli jeszcze mieli się cieszyć w tym roku złotą polską jesienią, to na razie nic nie zapowiadało tej radości. „Zresztą czy słowo «polska» nie obudzi jeszcze większych demonów?” – zacisnęła usta na tę myśl.

Do wewnętrznej kieszeni płaszcza wsunęła zaoszczędzone kilka złotych. W obydwie strony nie da rady, ale przynajmniej w jedną powinno być ją stać na transport. Rodzicom skłamała, że jej nieobecność na obiedzie będzie oznaczała, że zasiedziała się u Alusi, ale przed dwudziestą na pewno będzie z powrotem. Ojciec sprawdził, czy dobrze zawiązała chustkę, matka znad cerowanej rękawiczki podniosła wzrok tylko na chwilę, prosząc, by uważała na siebie i nie zatrzymywała się nigdzie po drodze.

Halina wyczekała moment, kiedy rodzice rozmawiali o aktualnościach najnowszych audycji radiowych; odkąd przestała wychodzić polska prasa, słuchali ich, kiedy to tylko było możliwe.

– Zostań w domu, jeśli nie musisz iść do szkoły. – Wincenty Kłęb podjął ostatnią próbę zatrzymania córki.

– Tato...

– Halinko, proszę cię, posłuchaj ojca. – Marianna przyszła w sukurs mężowi. – Nie możesz obejść się bez koleżanek nawet jeden dzień?

Przecież widzisz, co się dzieje! Na ulicach pełno wojska, znów się mówi, że coś się szykuje. Daj nam żyć, dziecko...

– I co to za życie? – Stała naburmuszona, zastanawiając się, czy widać po niej kłamstwo. – Jak długo jeszcze będziemy siedzieć jak szczury w swoich norach?! Nie dam się zastraszyć!

– O Jezu... – Kobieta skuliła się w sobie, jakby za chwilę miała stracić przytomność.

Kilka dni temu o mały włos tak się właśnie nie stało, kiedy dotarły do nich informacje, że Niemcy rekwirują na swoje potrzeby co ładniejsze mieszkania i punkty usługowe, poprzednim mieszkańcom proponując tymczasowe, niewygodne lokale lub po prostu wyrzucając łodzian na bruk. Do tego dochodziły kłopoty ze zdobyciem węgla na nadchodzącą zimę, koszmar coraz częstszych łapanek oraz wymykająca się wszelkim regułom drożyzna. Kłábowie nie znajdowali już wiele energii, by skutecznie panować nad nastoletnim i, jak się teraz właśnie okazało, mocno zbuntowanym bytem. Halina odnosiła wrażenie, że emocjonalnie już od dawna pozostawiona jest sama sobie.

Zatroskane spojrzenie rodziców towarzyszyło dziewczynie aż pod same drzwi willi wskazanej przez jedną z koleżanek. Zapukała w nie głośnie, trochę nerwowo. Gdy zapytano ją o hasło, poczuła się zbita z tropu, ale tylko na chwilę. Szybko odzyskała głos i niemal krzyknęła w szparę zamykającego się przed jej nosem skrzydła.

– Dzień dobry! – Miała nadzieję, że w tej chwili choć odrobinę brzmi jak kobieta, a nie jak dziecko. – Ja bym się chciała do konspiracji zapisać!

# Rozdział 5

[...] całą wschodnią i południowo-wschodnią Europę częściowo wypełniają odpryski niemieckiego narodu. Właśnie w tym leży powód i przyczyna następujących międzypaństwowych konfliktów. W epoce pryncypium narodowości i idei rasowej utopijna jest wiara, iż członkowie wysokowartościowego narodu mogą zostać zasymilowani. Zatem zadaniem perspektywicznego porządku europejskiego życia jest przeprowadzenie przesiedleń, aby tym sposobem zlikwidować część europejskiego podłoża konfliktów<sup>24</sup>.

<sup>24</sup> Przemowa Hitlera z 6 października 1939 roku w Reichstagu była zapowiedzią wydania dzień później Dekretu o umocnieniu niemieckości. Zapowiadała wielką germanizacyjną akcję przesiedleńczo-kolonizacyjną pod nazwą *Heim ins Reich* (niem. Powrót do Rzeszy), polegającą na sprowadzeniu w granice Trzeciej Rzeszy ludności mającej niemieckie pochodzenie i mieszkających za granicą tzw. volksdeutsche.

Adolf Hitler, Reichstag, Berlin, 6 października 1939 roku

*Żadnych sentymentów czy względów dla jakichś bliskich nam Polaków. Zastryk żelaza w kręgosłup i żadnych myśli, że kiedykolwiek wrócą Polacy. Symbolicznie kazałem właśnie dzisiaj, w dniu niepodległości Polski, wysadzić pomnik Kościuszki. Układ sił jest tutaj całkowicie jasny i ostateczny<sup>25</sup>.*

<sup>25</sup> Cyt. za: Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

Friedrich Übelhör, rezydent rejencji kaliskiej, 11 listopada 1939 roku

*Cechą uderzającą jest tam postępujące szybko niemczenie miasta. Przybyło tam podobno cztery tys. urzędników z Rzeszy, również przywędrowało dużo Niemców, którzy zakładają sklepy, przedsiębiorstwa itp. Ceny żywności są mniej więcej o 50% wyższe od przedwojennych [...]<sup>26</sup>.*

<sup>26</sup> Ludwik Maurycy Landau, *Kronika lat wojny i okupacji. Tom I, wrzesień 1939–listopad 1940*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1962.

Ludwik Maurycy Landau

*Największym wyrazem miłości do ojczyzny jest nienawiść do Polaków, których nienawidzimy jak dzumy<sup>27</sup>.*

<sup>27</sup> Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

Arthur Greiser, Namiestnik Kraju Warty, przemówienie na spotkaniu z przywódcami Hitlerjugend, 1940 rok

Młody mężczyzna wszedł do pokoju z tacą, na której stały dwa kubki z parującą herbatą. Postawił przedmiot na stoliku, zdjął z niego ostrożnie naczynia, raz po raz dotykając rozgrzаныmi opuszkami płatków uszu.

Gdy zamknął za sobą drzwi od zewnątrz, Halina przysunęła sobie krzesło bliżej stołu w odpowiedzi na zachęcający do tego gest gospodarza.

– Herbata jest niegodziwej jakości i, oczywiście, gorzka, ale ponieważ lepszy rydz niż nic, proszę się częstować. Bo zapaść dziś na gripę to już chyba od razu można sobie grób wykopać...

Kłębówna nie miała nic mądrego do powiedzenia, więc sięgnęła po kubek, żeby ogrzać sobie dłonie, czekając, aż napar lekko przestygnie. Nie były jej znane zwyczaje tego domu, ale na wszelki wypadek wołała nie zrażać do siebie gospodarza głośnym siorbaniem.

– Musi pani wiedzieć, że gdyby nie rekomendacja pani przyjaciół, to, proszę wybaczyć, nie miałyby pani szans na pracę, o którą pani zabiega. Jednak... – Mężczyzna urwał i patrzył na nią badawczo.

Halina odsunęła od siebie kubek, gotowa do oschłego pożegnania. Mogła się tego spodziewać, bo początek tej rozmowy nie brzmiał obiecująco.

– Jednak w związku ze znacznym przerzedzeniem się naszych szeregów nie będziemy wybrzydzać i decydujemy się przyjąć każdą ofertę współpracy – dokończył tymczasem. Dziewczyna odetchnęła.

Co najmniej dwa razy starszy od niej, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna robił chyba to samo, co Halina, bo dotykał co rusz kubka, nie podnosząc go jednak do ust. Pomieszczenie, w którym rozmawiała z jednym z koordynatorów Okręgu Łódzkiego, było skromnie urządzone, z jednym tylko małym oknem, wychodzącym na niemal całkowicie zadrzewione podwórko.

Zanim weszła na teren posesji, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że cofnęła się w czasie, bowiem na Radogoszczu, niemal po sąsiedzku, jako szkrab jeszcze zdzierała sobie kolana, bawiąc się w chowanego w babcinym, łudzaco podobnym do tego za oknem, ogrodzie. Całkiem blisko znajdowało się też miejsce z jej dziecięcych wspomnień – budynek włókienniczej fabryki Abbego, który mijała, gdy prowadzona



za rączkę szła z matką z przystanku tramwajowego do drewnianego domku dziadków i mieszkającego po sąsiedzku wujostwa. Któregoś razu, podczas jednej z takich wypraw, dostrzegła na wysokim kominie trzypiętrowego ceglanego budynku sylwetkę kominiarza, który z perspektywy trzylatki był zaledwie niezgrabnie poruszającym się czarnym punktem. Uwierzyła matce, że to krasnoludek strzegący tajemnic nieznanego jej molocha...

Uśmiechnęła się wewnętrznie do tych przykurzonych czasem retrospekcji. Ile lat mogło upłynąć od tamtej chwili? Dwanaście, trzynaście? Tylko tyle było trzeba, żeby pożegnać dzieciństwo? A ile potrzebne jest, by stać się kobietą? Ten człowiek mówił do niej „pani”, ona zaś czuła, że ta przemiana już się dokonała, a odbyło się to gdzieś między pierwszym wrześniem a dzisiejszą datą...

Spokojnie padający śnieg z minuty na minutę zwiększał grubość czap otulających każdy fragment nagich drzew, chyba owocowych. Ruch płatków był jak cicha modlitwa, która wśród mieszkańców Łodzi była tym gorliwsza, im bardziej była ona szara od porozklejanych wszędzie *Verordnungów*, *Bekanntmachungenów*, im częściej wstrząsały nią kolejne aresztowania, egzekucje, wysiedlenia; płonęły synagogi i ludzki gniew, wylewający się z trzewi jak zawartość wypchanych do granic możliwości tobołów uciekających od pożogi, niepewności, pogardy i głodu. O ile jeszcze wczesną jesienią okupacyjne represje dotyczyły głównie łódzkich Żydów, o tyle w tej chwili nikt już nie mógł być pewien, gdzie i w jakim stanie znajdzie się jutro, za godzinę...

Codziennie rano myślała, że miasto nie może się już bardziej zmienić, a jednak każdego następnego dnia docierało do niej boleśnie, jak bardzo się myliła... Największy exodus zaczął się jeszcze przed końcem roku, gdy gruchnęła wieść o przymusowych wysiedleniach, mających się rozpocząć lada dzień. Rzecz dotyczyła wprawdzie mas żydowskich, niemniej ten ruch nowych władz wywołał drugą falę paniki w pozostałych kręgach, tym bardziej że wśród pierwszych ofiar reżimu znalazła się również polska inteligencja, która w krótkim czasie podzieliła los żydowskiego establishmentu i nowobogackich elit.

Nowe zarządzenia, nakazy i obostrzenia pojawiały się na słupach ogłoszeniowych jak pleśń, gotowa zatruć sobą każdy przejaw życia. To ostatnie tłukło się resztką sił wszędzie tam, gdzie marzeniem ściętej głowy było wiadro węgla, całe buty, chleb, stół, przy którym nie brakuje nikogo...

– Nasze wahanie budził też pani wiek.

– Pragnę zapewnić pana, że moja decyzja jest w pełni dojrzała – zaoponowała Kłęb i natychmiast się zaczerwieniła, jak nigdy.

– Nie przeczę, ale obydwójce musimy pamiętać, że psychika tak młodego człowieka jak pani nie jest jeszcze przygotowana na sytuacje, których może doświadczyć w ekstremalnych warunkach.

Serce nastolatki przyspieszyło.

– Myślę, że na pewne rzeczy w życiu nikt nie jest gotowy i bynajmniej nie ma to związku z metryką, ale siłą charakteru, której nigdy nie przestajemy się uczyć. – Nie chciała pominąć niczego, co wydawało się jej w tej chwili najważniejsze do powiedzenia.

Mężczyzna uśmiechnął się delikatnie i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Widzę, że pani Sierpińska nie myliła się co do pani...

Halina poczuła przyjemne drżenie serca na dźwięk imienia swojej serdecznej przyjaciółki, kiedyś drużynowej w harcerskich szeregach. Spuściła wzrok, czekając na kolejne zdanie.

– I ostatnia sprawa: pani znajomość niemieckiego, a raczej jej brak... – Mężczyzna zrobił pauzę, a potem wstał ze swojego miejsca przy stole.

Stanął w świetle padającym od okna w taki sposób, że gdyby miała w tej chwili pod ręką odpowiednie narzędzia, mogłaby precyzyjnie odtworzyć na papierze czy malarskim blejtracie harmonijny profil swojego rozmówcy. Albo przełożonego, jeśli Bóg pozwoli...

– Jeśli mamy pani zaufać, jeśli chce pani pracować dla Polski, musi się pani biegle posługiwać językiem niemieckim. To podstawa powodzenia

poszczególnych zadań i większe bezpieczeństwo każdego z nas. Mam nadzieję, że pani to rozumie?

– Proszę dać mi szansę. Nie zawiodę.

– Tu nie chodzi o szansę, pani Halino, bo dziś mamy tylko jedną, na dodatek kruchą i chwiejną, ale o przetrwanie, które da nam moc podniesienia się z kolan.

Jeszcze kilka dni po opuszczeniu domku na Dołach, gdzie znajdował się teraz ich punkt kontaktowy, kiedy dziupla przy Julianowskiej została namierzona przez Gestapo, dźwięczały jej w uszach te słowa. Odebrała je jako jedno z pierwszych i najistotniejszych konspiracyjnych poleceń.

O tak, wiedziała już, jak szybko może się rozpaść w pył perfekcyjnie działająca machina, gdy w jej trybach pojawi się drobny błąd, niedopatrzenie czy odrobina niefrasobliwości. Obiecała sobie, że zrobi wszystko, by uniknąć tych ostatnich, nawet jeśli związany z tym wysiłek będzie wymagał od niej maksimum energii i zaangażowania. Przecież zaledwie dwa lata wcześniej udało się jej w trzy tygodnie opanować roczny kurs harmonii! Dlaczego więc z nauką kolejnego języka nie miałoby być podobnie? Zawsze miała doskonałą pamięć, wreszcie przyszedł czas, żeby wykorzystać ten dar boży w jedynie słusznej sprawie. Szkoda tylko, że nie może swobodnie porozmawiać o swoich postanowieniach z Bogusią Sierpińską, obecnie swoją... towarzyszką broni. Ach, żeby tak już wrócił dobry, miły sercu czas, gdy nie będą musiały wciąż się oglądać za siebie.

By tak właśnie mogło się stać, musi zadbać o to dziś, teraz!

\*\*\*

Kiedy będzie dorosła, wszystko poukłada sobie inaczej! Niech już wreszcie przyjdzie ta chwila, by nie musiała się nikomu tłumaczyć z najdrobniejszych spraw. Choć ta, która zajmowała ją od kilku tygodni, wymagała nie spowiadania się, ale raczej ich pełnego rodzinnego portfela, niestety koszmarne wydrenowanego przez wojnę – niech ją piekło pochłonie, a Hitlera razem z nią! Tak bardzo chciałyby dołożyć do

tej likwidacyjnej akcji choć parę groszy! No i właśnie o te grosze chodziło, a konkretnie o to, że nie umiały się mnożyć...

Była przekonana, że jeśli uda się jej znaleźć nauczyciela niemieckiego, który zgodzi się dawać jej prywatne lekcje, to od tego momentu będzie miała z górki. Nic bardziej mylnego, bo gdy w końcu na jej prośbę przystała pani Wala Kaizer, nauczycielka łaciny w gimnazjum Czapczyńskiej, siostra jej dawnej nauczycielki muzyki, zaczęły się pierwsze schody. Okazały się nimi ostre dyskusje z obojgiem rodziców, którzy mieli zgoła inne spojrzenie na wyjątkowo niestabilny rodzinny budżet. Błagalnym jękiem, klótniami i prośbami uzyskała tylko tyle, że łacinniczka poświęciła jej kilka godzin, z których Halina wydarła tyle, ile się dało. Za ostatnie trzy lekcje zapłaciła nauczycielce książkami ze swojej biblioteczki, modląc się, by Marianna Kłęb, która lubiła w niej buszować, nie spostrzegła braków w domowym księgozbiore.

Matka przyglądała się córce z nieodgadnionym wyrazem twarzy, gdy Halina, całkiem jak dawniej, mimo iż żadna ze szkół nie wznowiła zajęć w nowym roku, całymi dniami siedziała z nosem w książkach. Albo w gazetach, bo kiedy skończyły się pieniądze na prywatne lekcje, nastolatce pozostało już tylko studiowanie wszystkich dostępnych niemieckich tekstów; aktualna prasa i góra słowników miały więc w pokoiku dziewczyny swoje stałe, zaszczytne miejsce. Czasem Halina zgrzytała na ten fakt zębami, ale wierzyła, że wiedza, która po raz pierwszy była jej tak niemiła, przybliży ją do dni swobody i światła, w pełnym znaczeniu obu tych słów.

Dziewczynę zadrapało w gardle tak mocno, że kasłała dobre kilka minut. *Vorbeugen ist besser als Heilen*<sup>28</sup> – zakołatało jej w głowie wyjątkowo adekwatnie.

<sup>28</sup> niem. Lepiej zapobiegać niż leczyć.

– Aha, łatwo powiedzieć – stwierdziła na głos i owinęła się szczelniej kocem.

Od kilku miesięcy temperatura w domu rzadko podnosiła się powyżej osiemnastu stopni. Prawdziwym cudem było, że od jesieni dopadały ją

tylko krótkie przeziębienia. Miała nadzieję, że z tym, które męczyło ją w tej chwili, będzie dokładnie tak samo.

Musi się skończyć, bo już czas, żeby...

– Córku? – Głos Marianny Kłęb zabrzmiał ciepło i troskliwie. – Mówiłaś coś do mnie? – Kobieta podeszła do dziewczyny, trzymając w dłoni jej ulubiony kubek.

– Ach, gadam już do siebie, to chyba ze zmęczenia...

– Zrób sobie przerwę. Ale najpierw ziółka. Proszę. – Podała Halinie przyjemnie pachnący napar. – Martwi mnie ten kaszel...

– To z czarnego bzu? – Prawie sparzyła sobie nos, wachając herbatkę.

– Mhm. – Usiadła na łóżku obok córki. – Ostatnia garść z czerwcowych zbiorów, więc lepiej, żeby zadziałała – dodała, wzdychając.

„Właściwie za trzy miesiące mogłybyśmy znowu pójść na radogoszczańskie ugory po świeżo kwitnące baldachy – pomyślała Halina. – Jeśli za kilka tygodni będę tu jeszcze...”

– Czuję, że to nic poważnego. Niepotrzebnie się mama denerwuje. – Pocałowała matkę w policzek. – Czasem tylko coś tak mnie złapie, może po prostu za mało piję.

– Za mało to ty śpisz, dziecko.

– Mamo...

– Położyłaś się dopiero o trzeciej nad ranem. Myślisz, że zdołasz mnie oszukać? – Na czole Marianny pojawiły się dwie pionowe bruzdy. – Po co ci ta nowa udręka...? – Wzrok kobiety spoczął na stercie gazet i słownikach.

– To konieczność – odparowała.

Marianna kiwała głową z ponurym wyrazem twarzy.

– Niech mama tak na mnie nie patrzy! – zachnęła się. – Trzeba się dostosować. I już!

– O czym ty mówisz, kochanie? – Wyprostowała się gwałtownie.

Halina podkurczyła nogi na łóżku i cała owinęła się kocem, jak kiedyś, gdy matka przed snem opowiadała jej bajki o strzygach i złych czarownikach. Tyle że teraz to ona, Halina, tworzyła nastrój pełen szarości i czerni.

– Albo nawet wejść im do głowy, żeby... – przerwała, żeby nie powiedzieć za dużo.

– Bujdy to i bzdury! Co też tobie znowu? Jakbyś gorączkę miała... – powiedziała, zabierając z rąk córki pusty już kubek, a potem dotykając ustami czoła nastolatki. Dzięki Bogu, chłodne – powiedziała cicho do siebie i wstała.

Prowadziła z córką jakąś jałową dyskusję, bo przecież dziewczyna i tak w końcu postawi na swoim, gdy tymczasem w kuchni czekała robota tylko na jedną parę rąk, ponieważ pożegnali panią Jadwigę już w pierwszym miesiącu wojny – nie mieli prawa wymagać od gosposi dbałości o ich cztery kąty, kiedy każdy dzień groził odcięciem miasta od pozostałej części świata. Dziś wszystko było możliwe! Bo przecież kto jest w stanie zrozumieć, co jeszcze zrodzi się szatańskich umysłów, które dziesiątki tysięcy zwykłych ludzi trzymają pod kluczem? Jaka mądra głowa zagwarantuje Mariannie i jej rodzinie, że Łódź nie stanie się za chwilę jednym wielkim polskim gettem? Jeśli uczyniono takowe dla niewadzących nikomu Żydów, czy nie oznacza to, że będą kolejni?

– Ja pamiętam, jak mi tata powtarzał, że wiedzy nikt mi nigdy nie odbierze – odezwała się Halina, przyciągając do siebie jeden ze słowników, po czym z zaciśniętymi ustami zaczęła energicznie kartkować wolumin. – A tata wie, co mówi – dodała, nie patrząc na matkę.

Marianna Kłęb miała swój świat, owszem, ale w obu, w których się poruszała, charakteryzowały kobietę niezwykła bystrość umysłu i ogromna wrażliwość. Obecność tych zalet mogła sprawić, że to, co Halina chciała ukryć przed najbliższymi, mogło zostać wychwycone

w najmniej odpowiednim dla dziewczyny momencie. Wolała więc nie ryzykować i nie zaglądać matce w oczy.

– Ach, dziecino moja, jeśli cię to uszczęśliwi, to ucz się, ile chcesz, i poznaj nawet wszystkie języki świata, tylko niech ja cię mam obok siebie. Nawet jeśli twoje myśli cuchną tym niemieckim gnojem.

Do zaciśniętych ust szesnastolatki dołączyły dłonie. Te ostatnie spoczęły się lekko, kiedy dotarło do niej, że całą tę wymianę zdań z matką mogłaby powtórzyć z pamięci. Po niemiecku.

\*\*\*

Lada moment powinni zobaczyć pierwsze zabudowania. Halina nie czuła zmęczenia mimo wielogodzinnego marszu. Uskrzydliła ją świadomość działania w ramach pierwszego prawdziwego zadania w jej konspiracyjnej karierze. Trzeba jeszcze tylko minąć mikroskopijne Bartoszewice i przebiegającą przez nie granicę z Generalną Gubernią, a potem będzie można nieco odetchnąć, jeśli nadal szczęście będzie im sprzyjać.

Oczyma wyobraźni widziała już siebie wyprężoną i dumną, deklarującą gotowość do wykonania kolejnych rozkazów. Jeśli będą tak łatwe, jak ten, który przywiódł ją i jej towarzysza podróży na obrzeża *Warthegau*<sup>29</sup>, to może pracować tak choćby codziennie!

<sup>29</sup> niem. Kraj Warty

Miała kompletnie przemoczone stopy; wystarczyła chwila nieuwagi i co jakiś czas stała po kolana w grząskich kałużach. Ziemia miękła pod ciepłą dłonią nieśmiałych promieni wiosennego słońca. Zanim te ostatnie rozzielenią wszystko wokół, najpierw będą musiały się uporać z marcowymi roztopami i bielejącymi jeszcze brudnym śniegiem rowami.

Mokre skarpetki już nie chroniły zmacerowanej skóry, drażniąc tylko w dwójnasób puchnące z każdym krokiem pęcherze. Odchoruje to, ale to nic. To tylko ból, który minie, a pozostanie radość, że się opłacił.

Zapomniała nawet o złości na swoich dowódców, gdy ci zaproponowali, by zapisała się na volkslistę. Też pomysł! Nigdy! Dlatego bez namysłu poprosiła o trudne zadanie, żeby udowodnić im, iż doskonale wie, co powinna robić prawdziwa Polka.

Dwudziestokilkuletni mężczyzna żydowskiego pochodzenia, niemiecki uciekinier z Hamburga, który od wczorajszego dnia poruszał się za nią krok w krok, szukający wcześniej swojej ostoji w Berlinie, a potem w Wiedniu i Pradze, zapragnął zakończyć swoją tułaczkę w Łodzi. Przerosła go jednak rzeczywistość getta. Mając nadzieję, że odnajdzie w końcu azyl w Warszawie, pozwolił się oddać w opiekę... szesnastolatce. Jego niepokój, że powierzył życie – co tu kryć – dzieciakowi, Halina niosła teraz na plecach razem z wypchanym niezbędnymi drobiazgami plecakiem. Mężczyzna najpewniej osiwiłaby, gdyby wiedział, że ten dzieciak na dodatek uciekł z domu, bo nie można było inaczej, żeby uchronić najbliższych, gdyby... Nie, nie będzie myśleć o najgorszym!

– Dlaczego to robisz? – Usłyszała za sobą.

Dziwne, ale w tym momencie bardzo chciała wiedzieć, kiedy zaczynają śpiewać skowronki. Matka mówiła jej zawsze, że prawdziwa wiosna przychodzi dopiero wtedy, gdy słyhać ich świetliste, tańczące trele. „Mogłaby już być – westchnęła w duchu. – Mogłoby się ocieplić, rozjaśnić, mogłoby się coś zmienić”.

Przez chwilę wsłuchiwała się w ostre, wilgotne powietrze. Jak cicho jeszcze...

– Dlaczego to robisz?

Uśmiechnęła się do siebie – myślał, że nie zrozumiała.

– Dlaczego ci pomagam? – odpowiedziała pytaniem i obróciła się lekko przez lewe ramię. Ćwiczyła przy nim niemiecki. Szło jej naprawdę dobrze, czasem tylko brakowało znajomości słówek, ale radziła sobie jakoś, używając synonimów albo pomagając gestykulacją, do której uciekała się coraz rzadziej.



– Tak. – Mężczyzna sapnął, próbując omijać gęste jak klej koleiny. – Jesteś przecież... Myślałem, że to będzie ktoś starszy.

– A ile trzeba mieć lat, żeby zacząć pomagać? – rzuciła zadziornym tonem, nie zatrzymując się. – Istnieje jakiś magiczny próg, który należy przekroczyć, by przekonać się, jak to jest?

Gdzieś z daleka dobiegło końskie rżenie. Halina uniosła głowę i dostrzegła w oddali pierwsze wiejskie zabudowania.

– Robię to, bo mogę. Bo nie umiem czekać – odpowiedziała w końcu.

– Ja też nie umiałem.

Nie chciała wiedzieć, dlaczego podróżował w pojedynkę, czy miał kogoś bliskiego tam, skąd uciekł, czy może tam, dokąd zmierzał. To było już za dużo na jej wychłostaną wiatrem głowę. Dostała za to fantastyczny zastrzyk informacji i o Hamburgu, i o Wiedniu... Dodatkowej wiedzy nigdy dość!

– A więc coś nas łączy. – Obróciła się do mężczyzny i uśmiechnęła szeroko. Ten odwzajemnił się tym samym, posyłając jej spojrzenie pełne ciepła.

Chwilę potem dwudziestoparolatek zbliżył się do niej i wsunął jej w dłoń małe zawiniątko. Przystanęła zdziwiona, po czym spojrzała pytająco na swojego towarzysza.

– Weź. – Ponaglił ją ruchem brody, żeby odwinęła podarunek z kawałka przybrudzonego lnu. – Niewiele już mi zostało, ale...

– Nie trzeba. – Zdecydowanym ruchem wyciągnęła dłoń w kierunku swojego rozmówcy z trzymanym w niej zawiniętym przedmiotem.

– Ja muszę...

– Nic nie musisz – weszła mu w słowo i wcisnęła mu zawiniątko z powrotem. – Musisz się dostać do Warszawy. Jeszcze masz kawałek, więc... – Odchrząknęła. – A poza tym pierwsze koty za płoty!

– Was? Koty zapłoty?!

– Za płoty! – Zaśmiała się. – To takie powiedzenie jest, nasze, polskie. Że jeśli robisz coś pierwszy raz, to wtedy patrzy się na wszystko trochę inaczej...

Chyba zagalopowała się w tej szczerości, bo widziała, że Niemiec najpierw trawił znaczenie jej odpowiedzi, a zaraz potem zrobił wielkie oczy. Wzruszyła ramionami, żeby rozluźnić atmosferę.

Spojrzała za plecy mężczyzny. Dała mu ręką znak, żeby się zrównali z chłopskim wozem, który, turkocząc i skrzypiąc, zbliżył się do nich od tyłu. Potem jakiś czas szli, trzymając się lichej konstrukcji, tak by pojazd i stary woźnica zasłaniaли ich od strony pasa granicznego, znajdującego się w przylegającym do traktu lesie.

Potem wszystko potoczyło się jak na zepsutej karuzeli, która kręci się nagle dwa razy szybciej. Musiała się zagapić, bo zauważyła patrol graniczny w ostatniej chwili, która została im na reakcję. Skuleni i niewidoczni jeszcze dla wojskowych, odczekali do momentu, w którym żandarmi zbliżą się do wozu i zaczną legitymować starca – przemytnika. W pewnym momencie Halina chwyciła za rękę swojego towarzysza i pociągnęła go w stronę najbliższych chałup. Wpadli jak burza do pierwszej z brzegu. W wysprzątanej i niedzielnie przystrojonej izbie stało kilka osób w odświętnych ludowych strojach. Na ich widok żaden z domowników nie wszczął alarmu ani też nie uczynił żadnego gestu, który świadczyłby o tym, że Halina i jej towarzysz wpadli z deszczu pod rynnę. Za to jedna z kobiet bez słowa wepchnęła ich zdecydowanym ruchem do małego pomieszczenia przylegającego do głównej izby i zamykanego... na zwykły skobel. Kilkanaście minut później łomot do drzwi wejściowych zaświadczył, że patrol nie był ani głuchy, ani ślepy. Padło ostre jak brzytwa pytanie o uciekających kobietę i mężczyznę. Cichy jęk strachu hamburskiego Niemca Halina odczuła co najmniej jak wybuch stutonowej bomby.

– To już koniec – szepnęła do siebie, czując na plecach oddech przerażenia swojego podopiecznego. Najpierw te niemieckie hieny

zjedzą wszystkie kiełbasy, majtające się im teraz przed nosem, potem zagryzą je główkami czosnku, a na deser zostawią sobie ich dwoje!

Jej towarzysz Żyd musiał pomyśleć to samo i chyba uznał, że wyjście z kryjówki może spowodować jakiś cud ocalenia, bo nagle chwycił Halinę mocno za ramię z ewidentnym zamiarem wyjścia z ukrycia. Nie pozwoliła mu na to i siłą wszystkich swoich mięśni zaczęła go przed tym powstrzymywać.

– Oszalałeś? – syknęła, błagając mężczyznę wzrokiem o spokój.

Gdy poczuła, że traci siły, drzwi komórki się uchyliły i obydwójce zobaczyli w nich twarz gospodyni. Kobieta bez namysłu ściągnęła z haczyków spiżarni kilka aromatycznych pęt i – o święta Rito, módl się za nami w tej ostatniej godzinie – wianek czosnku, po czym tak samo szybko, jak się pojawiła, zniknęła im z pola widzenia.

Z rozmowy pograniczników, a potem z ich cichnących kroków szesnastolatka wywnioskowała, że mężczyźni byli usatysfakcjonowani łupem. Chyba jeszcze nigdy nie spociała się tak mocno...

Godzinę później zaopatrzeni w książeczki do nabożeństwa i otoczeni grupą miejscowych na miękkich nogach przeszli przez wieś w okolice kościoła, znajdującego się już w Generalnej Guberni. Po oddaniu modlitewników swoim wybawcom skierowali już pewniejsze kroki w stronę szosy na Głowno i Łowicz.

Stojąc później na schodkach pociągu, do którego szesnastolatka wsadziła swojego podopiecznego w Łowiczu, młody Żyd spróbował jeszcze raz po swojemu podziękować przewodniczcze.

– I powiedz im tam, w Warszawie... – Tym samym gestem, co rano odsunęła od siebie dłoń mężczyzny. – ...że nie są sami. Rozumiesz?

Niemiec przytaknął, połykając łyżę.

– Że jest ktoś, kto nie umie czekać... Zapamiętaj.

Ostatnie zdanie mężczyzna odczytał już tylko z ruchu jej warg, gdy patrzył na nią, stojąc w oknie ruszającego składu.

Kiedy peron opustoszał, po raz pierwszy w życiu płakała ze szczęścia.

\*\*\*

Jeśli nie ma innego sposobu, żeby podejść wroga, zrobi to, chociaż jeszcze dwa miesiące temu na hasło „volkslista” robiło się jej niedobrze. Wszystkich, którzy takową podpisali, omijała szerokim łukiem. Dla niej decyzja tych ludzi oznaczała tylko jedno – zdradę.

Kwestia długi czas była dla niej czarno-biała. Zdawała sobie sprawę, że wielu ratuje w ten sposób życie, ukrywając swój prawdziwy stosunek do ekspansjonistycznych zapędów Rzeszy, a potem czeka w kupionym sobie w ten sposób spokoju na rozwój najkorzystniejszej dla siebie sytuacji. Jednak tych, którzy robili to pod presją, oceniała jednoznacznie. Przynajmniej w pierwszych miesiącach wojny.

Kiedy jej postawa zaczęła ewoluować? Nie była w stanie precyzyjnie określić tego momentu. Może wydarzyło się to w chwili, gdy słysząc echa historii z getta, zrozumiała, że być może chłopak, którego zgubę wciąż chowała pod poduszką, nigdy się po nią nie zjawi. A może było to wtedy, gdy zobaczyła wdzięczność w oczach niemieckiego Żyda z Hamburga? Dość, że wciąż mogła więcej, lepiej, skuteczniej!

Nie ona pierwsza wpadła na to, że powiększanie przez okupanta szeregów volksdeutschów to w gruncie rzeczy miecz obosieczny, należało tylko nauczyć się nim posługiwać do swoich celów. Zrozumiała to w końcu, kiedy po konspiracyjnie jałowym krótkim okresie spędzonym w Skierniewicach wróciła do Łodzi. Zaraz potem dostała rozkaz, by wystarać się o volkslistę, i tym razem nie stanęła okoniem swoim dowódcem, ale przystąpiła do wykonania zadania w pełnej gotowości. Niech no już tylko zacznie się coś dziać!

Ale w żadnym wypadku nie miała na myśli wojny domowej...

– Wiesz, na co nas narażasz?! – Słowa Marianny Kłęb kipiły niepokojem i rozczarowaniem. – Najpierw ta twoja ucieczka do Skierniewic, nie wiadomo po co, a teraz to! Nie uważasz, że jesteś nam winna wyjaśnienia? Nie dość, że chleba nie ma, to jeszcze przez ciebie

ostatnich życzliwych ludzi do siebie zrazimy! Wincenty, błagam cię, przemów jej do rozumu... – Kobieta splotła obie dłonie jak do modlitwy i uniosła twarz, zaciskając powieki.

Przez krótką chwilę Halina miała wrażenie, że na ukrytą prośbę matki niebiosa zaraz się rozstąpią i na znak bożego gniewu sufit spadnie im wszystkim na głowę. Zamiast tego usłyszała spokojny głos ojca, w którym było tyleż wewnętrznej ciszy, co najprawdziwszej troski.

– Dobrze przemyślałaś swoją decyzję? – Ton mężczyzny zdawał się wyzuty z emocji. Ale Halina wiedziała, że to tylko pozory. Zawsze gdy rozmawiali śmiertelnie poważnie, ojciec był stonowany, mówił mało i długo zastanawiał się nad każdym zdaniem, jakby każde kolejne słowo władne było zmienić świat.

– Tak, tato. – Szesnastolatka wzięła głęboki oddech. – Łódź to teraz niemieckie miasto. Uważam, że będzie nam łatwiej, gdy...

– Matuchno Przenajświętsza! – weszła jej w słowo matka. – Jaki to będzie ciężki wstyd...

Halina wolno wypuściła powietrze, po czym zamknęła oczy, tak samo, jak Marianna Kłęb chwilę wcześniej.

– Marianno, proszę cię – odezwał się stanowczym głosem Wincenty.

– Nie mnie powinieneś pouczać, ale swoją córkę, która chce nas wszystkich pogrzyć. To jakieś kuriozum!

W dziewczynie wzbierały frustracja i niemoc. Przecież nie może się potknąć o histerię matki!

– Tu są teraz Niemcy. – Halina starała się mówić najspokojniej, jak potrafiła. – Nie jest mi wszystko jedno, co o tym sądzicie, ale jesteśmy w *Warthegau* i... powinniśmy się dostosować.

Wiedziała, że się powtarza, ale wolała już, by rodzice uznali tę jej mantrę za objaw wykrzywionej wojną psychiki, niż przejrzeliby choć ułamek jej planu, który starała się trzymać w tajemnicy od przeszło pół roku. Patrzyła w oczy ojca długo i błagalnie, pojedynkowała się z nim na

wzruszenia oraz nieme prośby. Przez chwilę miała wrażenie, że w spojrzeniu mężczyzny widzi przyzwolenie, przykryte tylko czystą ojcowską miłością... Mogło to być jednak jej pobożne życzenie. Dobry, kochany tato – niewykluczone, że domyślał się prawdy. Mógł też zwyczajnie dojść do wniosku, że i ją jak złowroga burza porwała faszystowska ideologia. A może miał po prostu krztynę nadziei, że tylko w ten sposób córka przejdzie przez bagno krwi suchą stopą.

Kiedy w źrenicach Wincentego pojawił się błysk zwykłej łyzy, poczuła, że bliska jest obłądu i kolejnej rejterady z domu, ale tym razem przed własnym tchórzostwem. Tylko czy można uciec przed nim gdziekolwiek? Czy nie będzie się ono wlokło za nią za każdym razem, gdy przypomni sobie widok ludzi wywlekanych na siłę z mieszkań przy Piotrkowskiej i mordowanych wprost pod murami kamienic albo podwórkowych dziecięcych wojenek, gdzie zamiast drewnianych mieczy i szmacianych piłek dzierży się w dłoni scyzoryk, by odcinać nim guziki od szyneli dawnych szkolnych kolegów, może nawet przyjaciół...? Czy wciąż będzie gonił ją ten cykor, gdy przypomni sobie słowa piosenki żydowskich brudnych sierot, zebranych samotnie o skórkę chleba: *Mamatschi, schenke mir ein Pferdchen, ein Pferdchen waer' mein Paradise*<sup>30</sup>...?

<sup>30</sup> niem. Mamo, podaruj mi małego konia, mały koń byłby moim rajem...

Na pewno nie chciała tak żyć i dlatego dzień później na pytanie urzędnika o pochodzenie odpowiadała z rozmysłem, przygotowana, starannie artykułując każdy wyraz.

– Zgadza się. Jestem Niemką w dwudziestu pięciu procentach, ale tutaj mam Niemcy na sto procent! – Uderzyła się w pierś, aż huknęło.

Mocno szpakowaty otyły mężczyzna za biurkiem przyglądał się dokumentom, które przyniosła ze sobą, jakby te pisane były znikającym atramentem. „A gap się, gap, ty stary capie” – myślała, też po niemiecku, gdy pracownik magistratu, miała wrażenie, uczył się jej danych na pamięć.

– Matka panienki: pięćdziesiąt. To już lepiej.

Matematyk się znalazł!

– Ale jeśli chodzi o wygląd, nie może mi pan nic zarzucić – powiedziała na głos, tym samym odrywając wzrok służbisty od papierów.

Mężczyzna palcem wskazującym prawej dłoni poprawił okulary na nosie i marszcząc czoło, zmierzył dziewczynę od stóp do głów, po czym z aprobatą pokiwał głową. Spróbowałyby nie! Wysoka blondynka, starannie zaplecione długie warkocze, zimne spojrzenie błękitnych oczu i ciało jak wyprostowana struna, czegoż chcieć więcej?!

– I do BDM<sup>31</sup> należę! Chodzę na wszystkie zbiórki, to można bardzo dokładnie, wie pan, sprawdzić. Jestem zdyscyplinowana, pracowita i zawsze punktualna – wyrecytowała, jakby zabiegała o piątkę, i w postawie na baczność uniosła wyprostowane ramię w hitlerowskim pozdrowieniu.

<sup>31</sup> *Bund Deutscher Mädel* – Związek Niemieckich Dziewcząt, żeńska sekcja Hitlerjugend.

– Nieźle, nieźle... – podsumował szpakowaty. – Ale jeśli komisji to nie wystarczy, załapie się panienka najwyżej na trójkę.

„Dobre i to – odpowiedziała w myślach urzędnikowi. – Dalej już sama wymyślę, jak tu podskoczyć w hierarchii”.

Po wyjściu z urzędu odetchnęła pełną piersią. Jakoś tak czuła, że ma dużą szansę nawet na drugą kategorię volkslisty, zaprezentowała się przecież perfekcyjnie. Już za samą fizis – dobra sylwetka, dopasowana i odprasowana *Kletterweste*<sup>32</sup> – należały się jej dodatkowe, mocne punkty.

<sup>32</sup> Krótka brązowa kurteczka noszona przez młode Niemki.

Do przystanku szybko zbliżał się tramwaj. Spojrzała na numer, mogłaby dojechać nim w okolice parku na Zdrowiu; nawet w myślach nowa nazwa zielonych płuc miasta – *Volkspark* – nie chciała jej przejść przez gardło. Nigdy nie przyzwyczała się do tego, że, jak większości Łódzian od momentu włączenia miasta do Niemiec, wolno jej było wejść tylko do Wenecji. Kiedyś musi się to zmienić... Musi!

Ale teraz już czas wracać do domu i do książek, gdyż same robią się tylko dziury w pończochach!

Gdy powietrze wokół zatrzymującego się przed nią tramwaju zakręciło młynka z jej spódnicą, zbliżyła się do pojazdu, a potem zgrabnym ruchem wskoczyła na schodki. Wybrała przepisowy drugi wagon – niepotrzebne jej kłopoty wynikające z nadmiaru pewności siebie, choć musiała przyznać, że chyba po raz pierwszy poczuła się w polskim wagonie nieswojo. Plus to czy minus – oto jest pytanie...

\*\*\*

Adolf-Hitler-Strasse – za każdym razem, gdy Halina patrzyła na niemieczoną w ten sposób Pietrynę, doznawała jakiegoś rodzaju szoku, który powodował, że budziły się w niej nagle wszystkie negatywne emocje. Trudno jej było zrozumieć, jak szybko ta niewielka grupa literek może zmienić jej nastrój...

Przed nią było pierwsze lato pod niemieckim butem. A potem kolejny wrzesień – oby inny, oby lepszy niż ten sprzed roku!

Ostatnie miesiące diametralnie zmieniły łódzkie „mrowisko”. Nie tylko pod względem powierzchni, która powiększyła się kilkakrotnie po przyłączeniu do miasta okolicznych wsi, ale także w związku z podwojeniem się przez to liczby mieszkańców, którzy wciąż przemieszczali się w jego granicach jak koczownicze plemiona. Ustał wprawdzie ruch mas żydowskich, stłoczonych obecnie w samym sercu najstarszej części miasta, bezwzględnie i krwawo izolowanej od reszty aglomeracji, lecz wciąż trwały mieszkaniowe przetasowania w pozostałych dzielnicach. Nie znała liczb, ale obserwując uważnie otoczenie, doszła do wniosku, że w tej chwili było w Łodzi dużo więcej Niemców niż przed wybuchem wojny. Nie chodziło jej o tych, którzy mieszkali tu od dawien dawna i zdążyli już wrosnąć w polską rzeczywistość, a o rzesze przesiedleńców, zajmujących miejsca wypędzonych lub pomordowanych.



Każdy centymetr miasta naznaczony był ciałem obcym. Z całego serca pragnęła, żeby ropny proces, który prędzej czy później musiał się tu rozpocząć, wypchnął je tak, jak robi to żywa tkanka reszty zdrowego organizmu, by z nową siłą móc odbudować oczyszczoną w ten sposób ranę.

Idąc w tej chwili ramię w ramię ze swoją rówieśniczką, znajomą z BDM, bogatą w pierwszą kategorię volkslisty Niemką z Prus Wschodnich, czuła, że nurt niezgody na czas, w którym przyszło jej dojrzewać, jest tym silniejszy, im głębiej wchodziła w świat, który do tej pory był jej zupełnie obojętny, na wpół przezroczysty.

Po zakończonej zbiórce przyjęła zaproszenie dziewczyny na wspólny spacer, układając sobie w głowie, czego jeszcze musi się nauczyć, żeby wróg uznał ją za swoją. Taka chwila jak ta była dodatkową lekcją, z której należało wyciągnąć być może przydatne jeszcze kiedyś wnioski, a już na pewno ugruntowywać w ten sposób w oczach obserwatorów wizerunek kogoś, kto jest świetlaną przyszłością Rzeszy.

*Serce z sercem zbiega, zlatuje się, ściska,*

*Lice z licem zbiega się, drży, pali;*

*Dusza w duszy tonie. – Ziemia, niebo pryska,*

*Jak w stopionej około nas fali*<sup>33</sup>.

<sup>33</sup> Friedrich Schiller, *Amalja*, fragment z przekładu Adama Mickiewicza.

Policzki deklamującej Niemki zdawały się przejmować w siebie jeden z kolorów porozwieszanych na elewacjach nazistowskich flag.

– Dlaczego akurat Schiller? – zapytała Halina, błogosławiąc w duchu moment, w którym omawiała konstrukcję utworu na którychś z zajęć u Wali Kaizer.

– Bo to miejsce, to miasto mnie uwzniośla. – Dziewczyna wciągnęła głośno powietrze przez nos. – Ta wojna jest najlepszym, co mi się przydarzyło! Czy możesz sobie wyobrazić, jak nudne jest życie z dala od miasta, pośród mazurskich lasów i bagien?

Halina miała to w nosie, ale rzuciła swojej towarzyszce spojrzenie pełne ciekawości.

– A poza tym... – ciągnęła jej rozmówczyni – ...zawsze, gdy cytuję te strofy, czuję dreszcz podniecenia.

– Fascynuje cię mężczyzna, po którym zostało tylko kilka kości?!

– Jaka ty głupia jeszcze jesteś... Myślę wtedy o Greiserze!

Kłębówna próbowała się skupić, opanowując jednocześnie drzenie ciała o zupełnie innym charakterze.

– Masz na myśli TEGO Arthura Greisera?

– Mhm... – przytaknęła, zalotnie modulując głos. – Chciałabym, żeby mnie miał, jeśli wiesz, co mam na myśli – dodała, zaczepiając wzrokiem przechodzących akurat obok dwóch niemieckich oficerów.

– Przecież on jest stary i żonaty! – krzyknęła Halina, przykrywając tym swoje zażenowanie.

– A jakie to ma znaczenie, z kim śpi...? – Przeciągnęła się jak kotka. –

Uwielbiam starszych. Poza tym jest wystarczająco seksowny i doskonały w tym, co robi dla Rzeszy, żeby nie przejmować się jego metryką, a tym bardziej żoną – dodała, śmiejąc się głośno.

– Pożyczysz mi ten tomik? – zapytała przymilnie Halina, dusząc się wewnątrz z obrzydzenia.

– Choćby zaraz! – Młoda Niemka pociągnęła Halinę w stronę przystanku tramwajowego. – Mieszkam niedaleko. Ale nie wsiadamy do tego z białymi szybami, chcę chłonać dzieło mężczyzny mojego życia każdym zmysłem.

Mimo wysokiej temperatury Halinie zrobiło się zimno na myśl o zamalowanych szybach tramwajów, przejeżdżających codziennie przez łódzkie getto; nakaz zniszczenia pojazdów w taki sposób miał za zadanie utrudnić komunikację z ludźmi za drutami. Raz widziała te koszarne ogrodzenia, mocno i wyraźnie, jak i moment, gdy ktoś stojąc na podeście ostatniego wagonu, rzucił za mury mały czarny pakunek. Jakiś czas

później się dowiedziała, że najprawdopodobniej znajdował się w nim kawałek chleba, a tego typu akcje wśród łódzkich tramwajarzy szybko stały się „jedenastym przykazaniem” podczas kursów na Zgierską...

Tak właśnie wyglądał doskonały obraz świata według Namiestnika Kraju Warty, Arthura Greisera.

Gdyby wiedziała, że jej znajoma mieszka na tej samej ulicy, na której znajdował się jeden z punktów kontaktowych łódzkiego ZWZ, znalazłaby jakąś wymówkę, żeby wymigać się od zaproszenia. W tej chwili mogłoby się to wydać podejrzane, więc gdy już z daleka zobaczyła, że przed bramą, która prowadziła do lokalu konspiracyjnego, stoi kilka wojskowych aut otoczonych przez żołnierzy w mundurach Gestapo, nie zwolniła kroku, udając, że poruszenie nie robi na niej wrażenia.

W pewnym momencie minęła je karetka pogotowia ratunkowego, która zwolniła przed obstawioną bramą, a potem zniknęła w jej wnętrzu. W tej samej chwili Halina została lekko popchnięta w głąb podwórka kilkadziesiąt metrów przed miejscem zamieszania.

– To tu. – Jej towarzyszka wskazała drzwi prowadzące na klatkę schodową. – Pierwsze piętro.

Zanim zdążyły chwycić za klamkę, pojawił się za nimi nieznany Halinie mężczyzna. Gdyby była jeżem, podniosłaby w tej chwili wszystkie kolce.

– Ewa! Jak minął dzień? – Usłyszały radosne pozdrowienie.

– Kurt, co za spotkanie, sąsiedzie! – Niemka uśmiechnęła się do wysokiego, szczupłego szatyna, opierając się zalotnie o ścianę. – Nasz doskonale! – Na sekundę zawiesiła wzrok na Halinie. – A co nowego u ciebie?

– Sporo szczęścia! Za tydzień ruszamy na front.

– Brawo!

– Słyszałaś już?

– O czym? – Młoda Niemka zamrugła zalotnie.

– Mieliśmy za sąsiadów te polskie świnie<sup>34</sup>! – Mężczyzna wsadził ręce do kieszeni, krzywiąc się, jakby połknął coś niestrawnego. – Nasi wyciągnęli właśnie kilka konspiracyjnych szczurów dwie kamienice dalej. Jeden z nich podobno próbował uciekać, wyskakując przez okno z drugiego piętra. Idiota! Przecież szczury nie umieją latać.

<sup>34</sup> W połowie czerwca 1940 roku Gestapo zorganizowało zasadzkę w konspiracyjnej kwaterze dowódcy ZWZ Okręgu Łódź przy ulicy Kilińskiego 117, gdzie na spotkanie z Leopoldem Okulickim przybył ppor. Stefan Czesław Pikuliński, ps. Biały. Znalazłszy się w pułapce, wyskoczył przez okno z drugiego piętra, łamiąc sobie kręgosłup. Związane z tym zamieszanie uratowało dowódcę Okręgu Łódź oraz kilku innych oficerów, pozwalając im na ucieczkę. Sam „Biały” zmarł po przewiezieniu do szpitala.

Kobieta wybuchnęła śmiechem, do którego dołączył rechot mężczyzny. Halinie zawartość żołądka podeszła do gardła.

\*\*\*

Jaką drogą trzeba podążać, żeby znaleźć w sobie nienawiść do świata? Jeśli się go zbruka, upodli, jeśli ukamieniuje się nadzieję i ludzkie miłosierdzie, a na obliczu miłości zaciśnie maskę kłamstwa, to czy po wszystkim znajdzie się jeszcze w nim miejsce, by wznieść coś słonecznego od nowa? Może wojna wedrze się do serca każdego, kto jej doświadczy, i pchnie w jego wnętrze lodowaty odprysk śmierci, kłujący już raz na zawsze? Czy warto więc zabiegać o ten żywioł? Czy nie lepiej zamknąć oczy i pozwolić mu się wypalić, a potem to już niech sam Bóg zadba o popioły...?

Wiatr niosący z sobą zapach pogorzeli i smaru bojowych maszyn rozegnał gdzieś jej marzenia o romantycznych koronkach, trzepocie rzęs i pierwszych pocałunkach, a w zamian przywiał ponure historie o trzech drewnianych kładkach nad Zgierską przemierzanych przez ludzi-duchy, o miejscach w głębi Rzeszy, w których przepadały całe rodziny, w końcu o katowniach na Gdańskiej i na Radogoszczu... W tym ostatnim nie rządził już, jak kiedyś, tajemniczy krasnoludek, ale *revierleutnant*<sup>35</sup> Walter Pelzhausen.

<sup>35</sup> niem. porucznik

Z nasłuchów nielegalnych radiostacji, którymi dysponował również jej oddział, wiedziała o ludzkiej gehennie w Auschwitz – a przecież mogły być kolejne.

Miała siedemnaście lat, a bywało, że czuła się na siedemdziesiąt siedem. Wydoroślała z dnia na dzień. Niecierpliwiła się, ale czekała na swój czas, aktywnie i mądrze, bo sprawa koszmarnej wyspy na Kilińskiego mówiła jasno: wroga machina wywiadowcza pracowała na pełnych obrotach.

Tak bardzo chciałyby móc opowiedzieć o tym wszystkim Alicji albo Bogusi! Nie ukrywać żadnej emocji, zapytać, czy czują podobnie, zwierzyć się jak dawniej, poradzić... Jednak z racji wziętego na siebie obowiązku nie było mowy o dziewczęcych szczebiotach, ile dusza zapagnie; w krótkich chwilach, gdy mijała się z dawną drużynową gdzieś na konspiracyjnych ścieżkach, rozmawiały ze sobą szybko i oszczędnie, a i za tym tęskniła, gdy Sierpińska poprosiła o oddelegowanie do Warszawy, by móc łączyć tam pracę w AK z medycznymi studiami.

Kontakt z Tkaczukówną urwał się jeszcze gwałtowniej. Alusia wprawdzie wciąż była na miejscu, w Łodzi, ale któregoś dnia po prostu przestała przychodzić na ulicę Andrzeja. Halina domyślała się, że przyjaciółka zaczęła jej unikać, być może pod wpływem plotek albo zwykłego strachu, którego zwyczajnie nie należało lekceważyć. Dość, że rola, którą Kłębówna zdecydowała się grać, odebrała jej nie tylko zaufanie wśród znajomych i sąsiadów, ale pogrzebała też wieloletnie przyjaźnie, których brak był dla niej w tej chwili podwójnie dojmujący i bolesny. Nieraz widziała w oczach koleżanek nieme pytanie, którego nie pomyliłaby z żadnym innym: „Czy zdradziła?”. Bardzo trudno było milczeć. I snuć się czasem po ukochanej Łodzi, jakby samemu na świecie...

Ledwo oddychała; chyba jednak marsz ulicami miasta byłby lepszym rozwiązaniem niż tłoczenie się w niewielkim tramwajowym wagonie rozgrzanym do czerwoności w lipcowym upale. Odwróciła twarz

w stronę ulicy. Nagle wśród przechodniów mignęła jej znajoma sylwetka. Nie mogła się mylić; była pewna, że właśnie zobaczyła niewidzianego od dawna swojego szkolnego prefekta, księdza Jana Warczaka, do lutego również wykładowcę homiletyki w łódzkim seminarium, a w tej chwili – z polecenia okupanta – proboszcza w parafii św. Jana Chrzciciela na Nowym Złotnie.

Tramwaj szarpnął dwa razy i zatrzymał się na przystanku. Przepchnęła się pośpiesznie do wyjścia i wyskoczyła na ulicę, próbując nie stracić z oczu duchownego. Trzydziestokilkuletni ksiądz Warczak był drugą osobą po Bogusi Sierpińskiej, przed którą nic nie musiała ukrywać – mężczyzna doskonale zdawał sobie sprawę z jej drugiego życia. Chciała spróbować zamienić z nim chociaż kilka słów, być może mężczyzna miał nawet jakieś nowe wieści od Bogusi...

Spiesząc się, prawie wywróciła stojącą przed nią na chodniku płaczącą kilkulatkę. Z automatu przykucnęła przed dzieckiem i spojrzała mu w oczy.

– A czemu ty płaczesz, chrabąszczu maleńki kolorowy, coś cię boli? Gdzie jest twoja mama? – zapytała malucha, próbując przełożyć w myślach zdanie na niemiecki, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

„Chrabąszcz” pociągał nosem, przyciskając do piersi wypchaną czymś papierową torebkę.

– W domu – brzmiała grzeczna odpowiedź w jej ojczystym języku.

Halina wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i delikatnymi ruchami zaczęła osuszać twarzączkę dziewczynki, przesuwając za uszy dziecka rude pierścionki wilgotnych od łez włosów.

– Powiesz mi, gdzie on jest? Twoja mama na pewno martwi się teraz o ciebie.

Może jej łagodny głos, a może dotyk sprawiły, że dziewczynka uspokoiła się szybko i pozwoliła wziąć się za rączkę.

– Jak masz na imię? – Halina zadała pytanie ciepłym głosem, zastanawiając się już, którędy dojść do najbliższego posterunku, bo mało

prawdopodobne było, żeby mały włóczykij wiedział, gdzie mieszka.

– Ania.

– No to gdzie jest ten twój domek, Aniu? – spróbowała szczęścia.

– Na Andrzeja pięć – odpowiedział maluch z głośnym westchnieniem.

– O! To jesteśmy sąsiadkami!

„Dobra nasza” – dodała w myślach, mając nadzieję, że dziewczynka podała jej prawidłowy adres. Jeśli tak było, dziecko oddaliło się od domu grubo ponad kilometr. Jego opiekunowie musieli już zapewne rwać sobie włosy z głowy...

– Chodźmy więc!

– A uratujesz Maciusia? – rzuciła kilkulatka.

– Oczywiście! Z przyjemnością – zapewniła Halina skwapliwie. – Tylko musisz mi opowiedzieć, kto to jest i jak mogę mu pomóc.

– Maciuś to mój kanarek! Jest cały żółty, sam się myje, umie śpiewać i baaardzo dużo je. – Zachichotała.

Teraz to Halina westchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do siebie – ewentualna misja ratunkowa mogła się powieść.

– O, tu mam dla niego ziarenka. – Dziewczynka wyciągnęła przed siebie drugą rączkę, trzymającą pakuneczek. – Sama kupiłam!

– To po to wyszłaś z domu?

Mała pokiwała głową, a jej wszystkie loki zalśniły w ostrym słońcu.

– Bo mama powiedziała, że kiedy nas wysiedlą, Maciuś musi zostać. – Usta dziewczynki na moment zamieniły się w podkówkę. – Nie może wyfrunąć przez okno, bo zaraz zjedzą go koty, więc... wypuszczę go tylko z klatki, poukładam w całym domu miseczki z wodą i rozsypię na podłodze ziarenka. A kiedy już zje wszystkie, bo on baaardzo dużo je, to ty wtedy przyjdiesz i go uratujesz!

Dziewczynka podskoczyła z radości i spojrzała na Halinę oczami, które wciąż jeszcze lśniły wilgocią. Serce nastolatki zadrżało. Naraz wróciło do niej kilka wersów z Talmudu, cytowanych swego czasu przez Zosię Wróblewską: *Jeśli człowiek niszczy jedno życie, to jest tak, jak gdyby niszczył cały świat. A jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat.*

– Coś wymyślę... – powiedziała wzruszona, uśmiechając się do małego rudzielca.



# Rozdział 6

*Łódź już nie istnieje!*<sup>36</sup>

<sup>36</sup> Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

Arthur Greiser, Namiestnik Kraju Warty; z przemówienia na wiecu w dniu  
11 kwietnia 1940 roku

*Z rozkazu Führera Lodsch od tej chwili zwie się Litzmannstadt.*

„Litzmannstädter Zeitung”, 12 kwietnia 1940 roku

Przychodziła tu tak często, jak mogła, zwykle zaraz po lekcjach. Niewiele osób zdołałoby ją dostrzec wśród starych jesionów i buków, skrytą za omszałymi płytami wiekowych nagrobków. Gdyby nie wrześnie chłody, spędzałaby tu każdą wolną godzinę, wpatrując się w oszczędne inskrypcje na mogiłach powstańców z 1863 roku. Nazwiska polskich bohaterów sprzed lat dodawały jej otuchy i pozwalały wierzyć, że i obecną historię da się jeszcze kiedyś napisać ojczystym alfabetem, a nie znieawidzoną szwabachą.

Halina lubiła to miejsce. Odkryła je przypadkiem, podczas swego pierwszego spaceru po Kaliszu. Cmentarz, nazywany przez miejscowych rosyjskim, był w tym urokliwym mieście jednym z ostatnich miejsc, gdzie rzadko słyszało się niemiecką mowę. A prawda była taka, że zwyczajnie potrzebowała wytchnienia. Chwili przerwy od nieustającego natłoku germańskich piosenek, wierszyków, formułek i zwrotów, którymi bombardowało ją otoczenie.

Po wystąpieniu o volkslistę decyzja o opuszczeniu Łodzi była jedyną z możliwych. Za dobrze ją znano, by uwierzyć, że w jednej chwili z wzorowej harcerki stała się niemiecką posługaczką. Ktoś dociekliwy mógłby zadać sobie trud i spróbować rozwikłać tajemnicę jej przemiany, a to już niosło za sobą ryzyko dla niej, rodziców i całej organizacji. W Kaliszu miała szansę zacząć od zera, potrzebowała tylko jakiegoś punktu zaczepienia. Podjęcie nauki w niemieckiej szkole wydawało się najrozsądniejszym wyjściem.

Halina przebiegła wzrokiem po najbliższych dwóch nagrobkach, odszyfrowując naruszone zębem czasu litery. „Kopernicki, Miśkiewicz” – odczytała z trudem, uśmiechając się ciepło. Polskie nazwiska, jakże odmienne od jej własnego, zniemczonego potrzebą chwili. Czy miała inne wyjście?

– Klomb? – Dyrektor Hans Ziepult, zawiadujący Oberst Mölders-Schule für Jungen, nie wydawał się przekonany. Na pierwszy rzut oka widać było, że ta dziewczyna odstawać będzie od reszty klasy. Przez chwilę popatrywał to na nią, to na kartkę z podaniem o przyjęcie do gimnazjum. Skrzywił się lekko, widząc gramatyczną nieporadność dokumentu. – Pani nie jest Niemką, a to nie jest szkoła dla każdego.

– *Herr Oberstudiendirektor...* – Halina zrobiła najśłodszy grymas, jaki mogła w takim momencie przywołać na twarz. Oby zadziało! – Proszę dać mi szansę. Mam niemieckie korzenie, należę do BDM, chcę się dalej kształcić.

– Ja to wszystko rozumiem, ale to jest *Kalisch*, tu są Niemcy! – Ziepult wydawał się nieprzejednany, bębnił miarowo palcem w swoje zavalone papierami biurko. – Chociaż z drugiej strony...

Halina wyłapała ledwo wyczuwalne zwątpienie w jego głosie. Wstrzymała oddech i patrzyła na mężczyznę błagalnym wzrokiem.

„Czasy są ciężkie, szkolne korytarze świecą pustkami. Ta cała Klomb powinna trafić do – Ziepult spojrział jeszcze raz na leżące obok podanie – siódmej klasy gimnazjum. A tam mam akurat czternaście osób. Czternaście, co to jest?! Ta Polka będzie piętnasta, byle tylko wyjaśniła się kwestia jej pochodzenia”.

– No dobrze, przyjmujemy panienkę na próbę – rzucił jakby od niechcienia dyrektor, choć radość malująca się na twarzy dziewczyny i jemu sprawiła przyjemność. – Proszę nie zawieść mojego zaufania!

„Dopóki nie będzie miała porządku w papierach, przystąpi do nauki warunkowo. W razie czego pożegna się ją z dnia na dzień. Wilk syty i owca cała” – pochwalił swoją decyzję. Zresztą, większość obecnych

mieszkańców Kalisza nie była rdzennie niemiecka, w ostatnim czasie zjeżdżało tu coraz więcej *Baltendeutschów*. Ziepułt nie zamierzał wybrzydzać.

– Nie zawiodę – potwierdziła skwapliwie Halina.

Rozpoczęcie nauki było najważniejszym z zadań, które musiała spełnić, i właśnie zaliczyła je na piątkę. Teraz, będąc uczennicą, mogła legalnie mieszkać w Kaliszu, i choć otoczona była zewsząd przez Niemców, to mogła czuć się bezpieczna, z dala od łódzkich powiązań i nie zawsze przychylnych komentarzy. Tu nikt nie splunie na jej widok i nie krzyknie przez ramię: „niemiecka dziwka”! Za to ona mogła poświęcić się teraz wypełnieniu rozkazów, z którymi przyjechała tu, na sam zachodni kraniec *Warthegau*. Doskonalenie języka i... robota wywiadowcza, tylko to się liczyło.

Szkoła, którą nazwano imieniem bohaterskiego lotnika, pułkownika Möldersa, była stosunkowo małą placówką. Powodowało to, że tradycyjny podział na klasy dla dziewcząt i chłopców tracił sens. Dla Haliny była to z pewnością nowość, dlatego trochę czasu zajęło jej przyzwyczajenie się nie tylko do wszechobecnej niemczyzny, ale i ciekawskich spojrzeń nowych kolegów. Dziewięciu chłopców, pięć dziewczynek, ona szósta. Wyróżniała się, tym bardziej że ponad połowa jej klasy przyjechała z samej Rzeszy, a tylko kilka osób z dawnych Kresów w Polsce. Halina postanowiła zagryźć zęby i wypełnić zadanie. Zwłaszcza że swoją deklaracją podniosła stawkę – już nie tylko chodziło o szybką naukę języka niemieckiego, zapowiedziała przecież, że nie zawiedzie Hansa Ziepułta. I chociaż tej ostatniej obietnicy nie traktowała jakoś wyjątkowo poważnie, to przecież nie miałyby nic przeciwko, by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. A nawet trzy, bo zmagania z niemiecką gramatyką były na dobrą sprawę tylko wymówką. Centrala postawiła przed nią bardziej wymagające zadania. Żeby jednak temu sprostać, musiała choć trochę okrzepnąć w nowym środowisku. Pierwszy krok właśnie został zrobiony.

\*\*\*

Po szoku, którego doznała w ostatnich miesiącach, obserwując skalę hitlerowskiego terroru w jej rodzinnej Łodzi, przyjazd do Kalisza był niemal jak wyjazd na wakacje. Tu także zewsząd otaczały ją obce, może nawet wyniosłe twarze, ale musiała uczciwie przyznać, że byli to nieco inni Niemcy. Przez miasto zdążyła się przetoczyć nawałnica, skutecznie usuwająca wszelkie ślady polskości; próżno by szukać choć jednej tabliczki z nazwą ulicy w jej ojczystym języku, usunięto pamiątkowe tablice i zburzono pomniki polskich bohaterów.

– Widzicie to wspaniałe dzieło? – zapytał ich podczas porannego apelu Hans Ziepult. – *Kalisch* wraca do Rzeszy, dzieje się historyczna sprawiedliwość! Macie wielkie szczęście, że możecie uczestniczyć w tym wiekopomnym wydarzeniu. Przed wami Rzesza i *Führer* też w swoim czasie postawią odpowiednie zadania.

Halina z uwagą przyglądała się innym uczniom, starając się odczytać ich emocje, przekonania i myśli. Równie uważnie odnotowywała wystąpienie dyrektora szkoły, zostawiając w pamięci co trudniejsze zwroty i nieznanne słowa. Potrafiła się już porozumiewać całkiem sprawnie i codzienne rozmowy szły jej gładko, ale przebywała teraz w bardzo zróżnicowanym towarzystwie. O ile do Łodzi ściągali Niemcy w większości z rdzennych terenów tego kraju, o tyle tu aż się roiło od *Baltendeutschów*, mówiących nadmorską gwara, pełną naleciałości estońskich czy łotewskich. Dalekie to było od książkowej niemczyzny, ale przynajmniej nikt nie traktował z góry jej oraz jej potknięć z gramatyką. Jakby polityka czy kwestie rasowe nie miały dla nich większego znaczenia. Nawet teraz, podczas tego apelu, Ziepult dwoił się i troił, by obrazowo przekazać im dziejową powinność, która spotyka *Kalisch* – ale mało kto z nowych obywateli stolicy rejencji przyjmował te słowa do siebie.

Takie miała wrażenie, potrzebowała jeszcze potwierdzenia. Choć w zasadzie małą próbkę dostała już wczoraj... Obudził ją hałas za drzwiami, zaspana wyszła na korytarz, przekonana, że sąsiadom przyda się jej pomoc. Dość młode niemieckie małżeństwo nie zdążyło się tu jeszcze zadomowić, od ich przyjazdu z Rewala nie minął miesiąc. Halina

podejrzewała, że czuli się gośćmi pod tym dachem niemal tak samo, jak ona. Zaproponowali, by panienska Klomb podreperowała matematyczne braki Grety, ich córki. Bez namysłu zgodzili się co do ceny.

Halina wynajęła stancję w jednej z kamienic niedaleko szkoły. Jej gospodyni, stara pani Awdyska, nie była przesadnie serdeczna, ale dysponowała dwoma pokojami; jeszcze przed wojną jeden z nich użyczała uczennicom, takim jak Halina. Wstawiała wcześniej i znikła na dłuższą część dnia. Kłębównie to pasowało.

Pierwszej nocy nie śniło jej się nic, za to pobudka była niespodziewana i dostarczyła silnych emocji. Obudzona głośnymi dźwiękami wyszła na korytarz.

– *Guten tag.* – Grzecznie skinęła głową, widząc sąsiadów w towarzystwie nieznanej pary.

Za plecami mężczyzny krył się ktoś trzeci, chłopiec, na oko kilkuletni. Na podłodze, u stóp całej gromady, piętrzyły się łyżki i widelce. Musiały się wysunąć z nieumiejętnie zamkniętej walizeczki, służącej do przechowywania zastawy.

– Dzień dobry paniencie. – Margareta Golcs spojrzała na nią przepaszająco. – Narobiłam hałasu i pewnie obudziłam.

– Nie szkodzi – odpowiedziała z uśmiechem. – I tak już powinnam wstawać.

Obca para z małym chłopcem stała w milczeniu, ale w ich twarzach widać było napięcie. Halina nie wiedziała, jak się zachować – przeprosić i zniknąć czy pomóc zbierać rozsypane sztućce.

– To są poprzedni właściciele tego mieszkania, *familie* Nowak – wyjaśnił Edward Golcs. – Władze wysiedliły ich oraz pozostałych Polaków z tego budynku. Przyszli prosić o zwrot kilku swoich rzeczy.

Halina spojrzała na gości, próbując zachować pokerową twarz. Nie mogła zdradzić, jakie myśli przebiegają jej teraz przez głowę, ani jak mocno ściska się jej serce. Czy i ona spędziła noc w łóżku jakiegoś chłopca, który musiał zostawić dobrze sobie znane cztery kąty i ruszyć

z rodziną na tułaczkę? W Łodzi Niemcy nie mieli z tym najmniejszego problemu, brali co im się żywnie podobało, wysiedlali prawowitych właścicieli, czyniąc to w majestacie prawa. Zapewne w Kaliszu było podobnie, więc co robili tu jeszcze ci nieszczęśnicy i skąd te noże i widelce na podłodze?

– To bardzo niezręczna sytuacja – odezwała się Margareta. – Czujemy się z mężem bardzo nieswojo. Ale nie chcemy przywłaszczać sobie żadnych rzeczy.

– Proszę, nie ma powodów do niepokoju – odezwał się Polak; mówił cicho, za to znośną niemczyzną. – Nie chcemy robić kłopotów, prosimy tylko o kilka rodzinnych pamiątek.

– Oczywiście, dostaniecie, co chcecie – zapewnił Golcs.

– Te sztucce... – Mężczyzna urwał, kładąc rękę na głowie swojego syna. – To był nasz prezent ślubny, dostaliśmy je od rodziców żony. Już nie żyją, więc...

Zapanowała cisza. Halina, niewiele myśląc, rzuciła się naprzód, by pomóc pozbierać walające się na podłodze platery. Bez słowa powkładała je do etui i podała kobiecie.

– Są tu jeszcze wasze zdjęcia i kilka drobiazgów, spakowałam wszystko do skrzyni. – Margareta Golcs szturchnęła męża łokciem. – Edwardzie, przynieś, proszę, stoi tam, w *Lagerung*<sup>37</sup>.

<sup>37</sup> niem. składzik, magazyn

Halina zdumiona spojrzała jeszcze raz na Polaków, po czym skinęła głową na pożegnanie i wróciła do swojego pokoju. Nie tego się spodziewała. Nie było tu krzyków, wyzwisk i gróźb, tylko całkiem zwyczajne i takie nieniemieckie zakłopotanie. *Kalisch* naprawdę wydawał się innym zakątkiem Kraju Warty.

\*\*\*

Tego dnia po lekcjach ruszyła w stronę *Am Markt*, centralnego placu miasta. Przez chwilę wałęsała się bez celu, leniwie przyglądając się

mijanym budynkom. Z miejsca, w którym przystanęła, miała świetny widok na budynek straży ogniowej i kościoła pod wezwaniem – jak zdążyła się już dowiedzieć – św. Mikołaja.

Weszła do cukierni pani Rielle, wybierając pysznie wyglądający kawałek wiedeńskiego tortu. Zajęła stolik przy oknie, z ulgą sadowiając się w wygodnym foteliku. W środku było ciepło i przytulnie, pachniało kawą, likierami w różnych smakach i czekoladową polewą, oblepiającą wymyślne wypieki, z których – o tym zapewniała sama Awdyska – słynął ten lokal. Sięgnęła po leżącą na ladzie gazetę, chcąc połączyć przyjemne z pożytecznym – słodka chwila zapomnienia podparta kolejną lekcją gramatyki i ortografii w języku najeźdźcy. Przecież po to tu była, by szkolić swoje lingwistyczne umiejętności.

Z premedytacją odsuwała moment, w którym rozprawi się z porcją tortu. To miała być nagroda, ale chciała na nią w pełni zasłużyć. Przerwy w lekturze wykorzystywała więc nie na pałaszowanie ciasta, a na obserwowanie rynku. Był dość tłoczny, godzina sprzyjała nie tylko spacerom, ale i innym powinnościom, jakie stały przed domowymi gospodyniami czy ojcami rodzin. Wiele osób przemieszczało się zatem, wchodząc do *Am Marktu* i opuszczając go w sobie tylko znanych kierunkach.

Halina czytała uważnie, przyswajając słówka i formułki, gdy wtem jakiś ruch za oknem przykuł jej uwagę. W kilku miejscach znienacka pojawiły się wojskowe ciężarówki, blokując możliwość opuszczenia rynku. Zaraz wysypały się z nich gromady umundurowanych żołnierzy, a krzyki i komendy słychać było całkiem wyraźnie również w Cafe Rosa. Halina z przerażeniem patrzyła, jak spokojnie spacerujący dotąd ludzie rzucają się do ucieczki, szukając w popłochu miejsca, w którym można by się schować i przeczekać zagrożenie.

– To już druga w tym tygodniu *Straßenrazzia* – odezwała się kobieta za kontuarem.

Halina popatrzyła na nią pytająco. Znaczenia tego słowa jeszcze nie знаła, mogła się tylko domyślać.

– Łapanka. Łapią Polaków albo Żydów – wyjaśniła pracownica cukierni. – Co panienka taka zaskoczona, trzeba tu robić porządek!

Kłęb kiwnęła tylko głową i znów spojrzała na kaliski rynek. Krzyki esesmanów na zmianę z pojedynczymi wystrzałami karabinów raz po raz przecinały powietrze. Dziewczyna bała się nawet pomyśleć, że każda z tych kul może oznaczać zakończenie czyjegoś życia. Akcja trwała jednak bardzo krótko i zanim zdążyła się uspokoić, było już po wszystkim. Auta z budami wypełnionymi nieszczęśnikami, którym nie udało się uciec, odjechały równie szybko, jak się pojawiły. *Am Markt* wracał do poprzedniego stanu, przed halą targową było jeszcze pusto, ale z kościoła zaczęli się nieśmiało wysypywać ludzie. Oni mieli szczęście.

Halina złożyła gazetę i odsunęła talerzyk z deserem. Nagle odeszła jej ochota na wszelkie słodkości. Prawie dała się oszukać. Tak, może to nie jest Litzmannstadt, ale tu ciągle są cholerni Niemcy! Nie może zapominać o tym, że jest wojna. I ona też jest tu na wojnie. Nie mogła więc zdradzać targających nią emocji. Z kamienną twarzą sięgnęła po widelec i wbiła go w ciasto. Po kilku minutach opuściła lokal, rzucając w stronę ekspedientki suche *Auf Wiedersehen*<sup>38</sup>.

<sup>38</sup> niem. do widzenia

\*\*\*

Było ich czterech, ale już sama stanowcza postawa dwóch pierwszych sprawiła, że Halina zadrzała ze strachu. Szła właśnie w kierunku pracowni języka niemieckiego, mieszczącej się na parterze, na lewo od wejścia do budynku szkoły. Na widok ich czarnych skórzanych płaszczy stanęła jak sparaliżowana. Widziała takie wielokrotnie, jeszcze w Łodzi. Ich właściciele nie należeli zwykle do – delikatnie mówiąc – grzeszących uprzejmością, a ich wizyty najczęściej zwiastowały dla polskiej ludności spore kłopoty. „Gestapo? *Kriminalpolizei*<sup>39</sup>?” – zastanawiała się gorączkowo, rozglądając się w poszukiwaniu ewentualnej drogi ucieczki. Dziewczynę ogarnęła irracjonalna myśl, że pojawili się tu z jej powodu. Jakby na potwierdzenie wzrok jednego



z Niemców prześlizgnął się po jej twarzy i mogłaby przysiąc, że człowiek ten skrzywił się przy tym nieprzyjemnie.

39 niem. policja kryminalna

Przybysze bez słowa skierowali się do gabinetu dyrektora, do którego szło się w głąb budynku. Ci dwaj, których zobaczyła na początku, torowali drogę wśród cizby gimnazjalistów pozostałej dwójce. Ta ostatnia ubrana była w ciemne prochowce i wyglądała na urzędników. Halina dopiero po chwili oprzytomniała na tyle, by zauważyć, że cała czwórka nosiła na sobie mundury SA. Brunatne koszule, *Die Sturmabteilungen der NSDAP...*

Nie знаła się na zawiłościach niemieckiej polityki wewnętrznej i nie do końca wiedziała, z której strony płynąć może dla niej większe zagrożenie, ale odetchnęła z ulgą, że nie było to SS – ich trupie czaszki na czapkach kojarzyły jej się bowiem zdecydowanie gorzej. Mimo to doszła do klasy na drewnianych nogach i czekała na rozwój wypadków. „Niech się dzieje, co ma się dzieć” – zdecydowała. Przez głowę przeleciała jej jeszcze myśl, że może sprawa dotyczy jej volkslisty, ale czy dla takiej błahostki pojawiłoby się tutaj aż czterech funkcjonariuszy? Złożone przez nią i matkę papiery były przecież bez zarzutu, wszystko odbyło się w zgodzie z przepisami. Nie musiała naginać faktów ani konfabulować, więc o co chodzi?

Doktor Petersenn, śmieszny mały staruszek, który uczył ich niemieckiego, drzwi do klasy otworzył z wyraźnym przejęciem. Pochodził, jak wielu obecnych mieszkańców Kalisza, z Rygi. Nie miał najlepszego zdania o nowej uczennicy, nie był przekonany, czy jej obecny poziom znajomości języka pozwoli na przystąpienie do matury. Dał to Halinie wyraźnie do zrozumienia w ubiegłym tygodniu, oceniając pisemną pracę, która miała zbadać stan wiedzy uczniów po wakacjach. Polce nie poszło najlepiej. Dziś jednak omijał ją wzrokiem, koncentrując się na uczniach, po których mógł się spodziewać gruntowniejszej wiedzy.

– Siadajcie, cisza i porządek! – zakomenderował Petersenn, samemu sadowiając się za katedrą.

Przestronne pomieszczenie z wysoko uniesionym sufitem bardziej przypominało uniwersyteckie sale wykładowe niż klasy w zwykłych szkołach. Tutaj, na podwyższeniu, miał doskonały widok i żaden z uczniów nie mógł się ukryć przed jego świdrującym wzrokiem. Halina siedziała w ostatnim rzędzie. „To dobrze, nie będzie niepotrzebnego problemu” – skostatował nauczyciel.

– Klasa siódma melduje się gotowa do zajęć. Stan: piętnastu, wszyscy obecni. – Dyżurny Klotz zdał relację i usiadł na swoim miejscu.

Petersenn zlustrował jeszcze raz salę, zerknął na czystą tablicę, przeliczył pobieżnie kawałki kredy i dopiero wtedy, wyraźnie zadowolony, odetchnął z ulgą.

– Będziemy mieć gości podczas lekcji – odezwał się nauczyciel. – Naszą szkołę wizytuje dziś delegacja z kuratorium. Panowie przyjechali z Litzmannstadt i liczą na to, że zaskoczą ich swoją wiedzą. Zrozumiano?

– Tak jest! – odpowiedział w imieniu klasy Gerhard Klotz.

Halina poruszyła się nerwowo. Urzędnicy z Łodzi? Wolałaby unikać takich spotkań, ale skoro nie było wyjścia, trzeba będzie poradzić sobie i z tym. Nie miała zresztą czasu, by rozmyślać o tym dłużej, bo drzwi do sali otworzyły się gwałtownie i do środka wmaszerowała czwórka gości, prowadzona przez dyrektora. Hans Ziepult dokonał szybkiej prezentacji i usadowił urzędników. Lekcja mogła się wreszcie rozpocząć.

– Na ostatnich zajęciach rozmawialiśmy o naszym wielkim niemieckim dramaturgu Gottholdzie Ephraimie Lessingu – zaczął Petersenn. – Kto przypomni, skąd pochodził ten twórca?

To nie było specjalnie trudne pytanie, nauczyciel zadał je właściwie tylko na rozgrzewkę, chcąc wprowadzić klasę w odpowiedni tryb pracy. Zależało mu, by i jego, jako pedagoga, oceniono w Łodzi pozytywnie. Jako *Baltendeutsche* musiał się starać bardziej niż jego rdzennie

niemieccy koledzy. Tymczasem zamiast lasu rąk sygnalizujących chęć odpowiedzi nie dostrzegł ani jednej. Po chwili z końca sali dało się słyszeć szuranie krzeselka i zaraz po nim gotowość do podjęcia wyzwania zgłosiła... Halina Klomb. „Tylko nie ona” – pomyślał Petersenn, ale nie miał wyjścia, innych chętnych nie było. Skinął zezwalająco głową.

– Gotthold Ephraim Lessing urodził się dwudziestego drugiego stycznia tysiąc siedemset dwudziestego dziewiątego roku w Kamenz w Saksonii, a zmarł piętnastego lutego tysiąc siedemset osiemdziesiątego pierwszego roku w Brunszwiku – wyrecytowała Polka, i zrobiła to bezbłędną niemczyzną.

Wprawne ucho nauczyciela wyłowiło delikatne zawahanie przy liczebnikach w dacie, ale poza tym nie można jej było niczego zarzucić.

– *Ja, gut!* – potwierdził skwapliwie, wymieniając jednocześnie spojrzenia z Ziepultem. Dyrektor jeszcze chwilę temu wyglądał na spiętego, teraz zaczynał się rozluźniać.

Gdyby tak do lekcji zechciała się jeszcze włączyć reszta klasy... Petersenn sięgnął po drugie, równie proste pytanie. Mogło być przyczynkiem do ożywionej dyskusji, gdyby tylko ktoś zechciał podnieść rękawicę. „No dalej, liczę na was” – pomyślał.

– A co możecie powiedzieć o jego twórczości? Skupmy się na dramatach Lessinga.

Po sali przeszedł szmer, któryś z uczniów otworzył kajet, inny sięgnął po podręcznik. I znów w górę powędrowała tylko jedna ręka. Petersenn spojrzał na wizytatorów, ale w ich oczach nie dostrzegł zniecierpliwienia. Kto wie, może byli po prostu ciekawi, jak z tym zagadnieniem poradzą sobie gimnazjaliści. Nie mógł dłużej ignorować Haliny, więc ponownie skinął głową, z kwaśnym uśmiechem.

– *Der junge Gelehrte* to komedia z tysiąc siedemset czterdziestego siódmego roku, pierwszy dramat Lessinga – wyjaśniła dziewczyna. –

A w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym autor publikuje swój ostatni dramat, *Nathan der Weise*. Lessing zmarł dwa lata później.

– Co o nim możesz powiedzieć? O tym dramacie? – zapytał zniechęca jeden z gości.

„To ten, który przyglądał mi się na korytarzu” – zauważyła Halina.

– *Natan mędrzec* jest uznawany przez badaczy Lessinga za humanistyczny testament autora – powiedziała ostrożnie Polka. –

Głównymi tematami utworu są humanitaryzm, tolerancja religijna, krytyka uprzedzeń, ale i hierarchii kościelnej.

– A dlaczego to jego, jak to powiedziałaś, humanistyczny testament? – drążył Niemiec.

– Humanistyczne przesłanie dramatu streszcza obrazowo słynna przypowieść o pierścieniu z... trzeciego aktu. – Halina zawahała się celowo, umiejętnie wchodząc w rolę pilnej uczennicy. Miała szczęście, że wyczytała to wszystko i zdołała na tyle dobrze zapamiętać, że teraz mogła się tym pochwalić. Dlatego kuła żelazo, póki gorące! –

Ta przypowieść jest wezwaniem do bezinteresownej miłości bliźniego oraz zarzucenia jałowych sporów religijnych.

Profesor zadał jeszcze kilka pytań, z czasem do rozmowy o pisarstwie Lessinga włączyło się jeszcze kilka osób, ale to Halina wiodła prym. Ziepult, teraz już wyraźnie zadowolony, spoglądał na nią z uznaniem. Może jego obawy, podsycane jeszcze nie najlepszą oceną, wystawioną dziewczynie przez Petersenna, nie były do końca uzasadnione? Ta czwórka z Litzmannstadt nie dawała po sobie zbyt wiele poznać, ale uczciwie trzeba było przyznać, że lekcja języka ojczystego wypadła bardziej niż przyzwoicie. I to dzięki tej osobie, po której nie spodziewał się zbyt wiele. Halina Klomb, no, no, no!

Ku zdziwieniu wszystkich uczniów z siódmej klasy czterech wizytatorów pojawiło się również na następnej lekcji. Tym razem w łaski ważnych gości wkraść się próbował Egon Liesch, matematyk przybyły do Kalisza tuż przed wakacjami. Dopiero poznawał swoich

podopiecznych, ledwo co zaczął realizować program przewidziany na ten semestr. Wiedział również, że wybrana przez niego dziedzina nie należy do ulubionych, a zapalonych miłośników królowej nauk trzeba by wśród gimnazjalnej młodzieży szukać ze świecą. Jeśli ta lekcja ma zrobić wrażenie na kuratorach, potrzebny będzie cud.

Za to Halina była już spokojna. Zdawała sobie sprawę, że jej brawurowe wręcz zachowanie na lekcji niemieckiego zyskało aprobatę dyrektora Ziepulta. Petersenn nawet jakby się jej lekko uklonił, kiedy opuszczała salę po dzwonku na przerwę. Teraz, na zajęciach z algebry, mogło być tylko lepiej – jeszcze w Łodzi poczciwy profesor Oskar Eckert już dawno przerobił z nimi materiał, który w Kaliszu w zasadzie zaczynali poznawać. Była na wygranej pozycji, bo jej fotograficzna wręcz pamięć do reguł oraz umiejętność zastosowania ich w praktyce powodowały, że znów brylowała na tle klasy.

Liesch mozolnie wypisywał na wielkiej tablicy coraz to nowe równania, z którymi jej koledzy najwyraźniej mieli problemy. Ona zaś bez wahania pręła do przodu, szczęśliwa, że znów może błysnąć i podać rozwiązanie szybciej niż inni. Z tyłu głowy kołatała się jej uwaga Hansa Ziepulta o warunkowej zgodzie na podjęcie nauki. Ta dzisiejsza sytuacja mogła jej pomóc; Halina liczyła na zmianę, i to na lepsze.

„Kochany profesor” – pomyślała, wracając myślami do chwil, które minęły bezpowrotnie. Nie było już Oskara Eckerta, nie było tamtej Łodzi. Tyle dobrego, że zdobyta wtedy wiedza przydała jej się tutaj. Błyskawicznie kreśliła cyfry w kajecie i bezbłędnie rozprawiała się z najbardziej podchwytliwymi zadaniami. Egon Liesch nie musiał się już bać o swą opinię po tej wizytacji. Zadowolone miny tak Ziepulta, jak i łódzkich urzędników mówiły dużo. Szkoła pułkownika Möldersa wyszła z dzisiejszej potyczki zwycięską ręką, ale każdy z jej pracowników wiedział, że to głównie zasługa tej rezolutnej dziewczyny.

Halina zaraz po lekcjach pobiegła prosto do domu. Choć tego dnia miała tylko pięć godzin zajęć, to czuła się kompletnie wyczerpana. Stres, jaki opanował ją wtedy, na korytarzu, dopiero teraz zaczął znikać. Leżała

w swoim łóżku, rozpamiętując niedawne wydarzenia i zastanawiając się, czy wpłyną na poprawę jej notowań. Musiała przetrwać tu jak najdłużej, najlepiej do matury.

Tak bardzo chciała pochwalić się swoim sukcesem. Ojcu, Alusi, a najchętniej profesorowi Eckertowi. Przed wyjazdem z Łodzi poszła na cmentarz, ale nie dotarła do mogiły swojego nauczyciela. Wystraszyła się żandarmów, którzy kręcili się przy wejściu do nekropolii. „Kiedyś to nadrobię” – pomyślała.

Z zadumy wyrwało ją delikatne pukanie do drzwi.

– Proszę, proszę – odezwała się zachęcająco.

Drzwi się uchyliły i w szparze pojawiła się głowa Greta, córki sąsiadów. Polubiła tę dziewczynkę, była pojętna i skora do nauki. Halinie pasowało jej towarzystwo, miała przyswajała przerabiany materiał, a w przerwach opowiadała korepetytorce o miejscu, w którym żyli z rodzicami przed wojną. W większości było to bajanie dziecka, ale przynosiło Halinie choć trochę wewnętrznego spokoju. Sama, będąc jedynaczką, wyobrażała sobie, że Greta to jej młodsza siostra.

– Mama pyta, czy zjesz z nami zupę. Z kartofli i boczku. – Mała przełknęła ślinę, myśląc zapewne o solidnych kawałkach bekonu, pływających w wazie.

– Zupę twojej mamy? Nie mogłabym odmówić, to przecież jedna z najlepszych zup na świecie.

Po skończeniu posiłku pouczyły się trochę matematyki, ale Halina nie przedłużała specjalnie zajęć. Przedpołudniowy nadmiar emocji sprawił, że była już wyczerpana, wróciła do siebie i z ulgą przyłożyła głowę do poduszki. Słyszała jeszcze, jak pani Awdyska krząta się po sąsiednim pokoju, utyskując na co się da. Na szczęście sen przyszedł szybko. Mijał siedemnasty dzień, który spędzała w tym mieście. Co przyniosą kolejne?

\*\*\*

Nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się zawitać do szkoły tak wcześnie. Teraz jednak przejmowała obowiązki dyżurnej, więc to na jej głowie

było zadbanie o porządek w klasie, zapas kredy przy tablicy i wypłukanie gąbki, tak by ta nie zostawiała smug na zielonej tafli. Halina i z tych zadań chciała się wywiązać jak najlepiej. Wczoraj, po całkiem udanym dniu, zasnęła z myślą, że gra o pełną pulę. Ciekawe, co los przyniesie jej dzisiaj?

– Klomb! – Alfons Koltke, woźny, szedł w jej stronę, lekko sapiąc i podtrzymując opadające spodnie. Musiał schudnąć w ostatnim czasie, bo jego garderoba nosiła wyraźne ślady krawieckich przeróbek, jakby mężczyzna otrzymał ją od kogoś tęższego albo sam zmniejszył nieco swoje gabaryty. – Dyrektor Ziepult wzywa panienkę do gabinetu!

– Teraz? – zapytała zaskoczona. Czego może chcieć stary Hans? Czy nie wystarczy już tych niespodzianek w tym tygodniu? – Ale ja mam tu klasę do przygotowania...

– Dyrektor kazał niezwłocznie! – Koltke przystanął przed drzwiami pracowni, tarasując przejście. – Panienska biegnie, ja tu wszystkiego dopilnuję.

Chcąc nie chcąc, Halina ruszyła w kierunku, z którego nadszedł woźny. Co znowu? Czyżby jej wczorajsze popisy przyniosły odwrotny skutek? Może któremuś z niemieckich uczniów nie spodobało się to, że Polka wypadła tak dobrze, i poskarżył się rodzicom, a ci zdążyli zainterweniować u Ziepulta? Nie była w gabinecie dyrektora od dnia, w którym ten zezwolił na jej naukę. Czy okres próbny właśnie dobiegł końca i będzie zmuszona spakować swoje manatki?

– *Guten tag, Herr Oberstudiendirektor*<sup>40</sup> – rzuciła cicho, stając w progu. – Pan mnie wzywał?

<sup>40</sup> niem. Dzień dobry, panie dyrektorze.

– Zapraszam, musimy porozmawiać, panno Klomb! – Głos Ziepulta nie brzmiał jakoś nad wyraz oschle, ale na próżno by szukać w nim miała nadzwyczajnych oznak sympatii.

Halina westchnęła w duchu – a więc jednak przyjdzie jej pożegnać *Kalisch*. Dyrektor przyglądał jej się w milczeniu, czekając, aż zajmie

miejsce po drugiej stronie biurka. Kiedy to zrobiła, wstał i począł się przechadzać po gabinecie, zbierając się chyba do poważnego wywodu. Stanął wreszcie i uśmiechnął się do niej niemal po ojcowsku.

– Przyjmujemy panią do naszej szkoły – zaczął bez ogródek, wprawiając ją tym w osłupienie. Ten stan z wolna przeradzał się w euforię, dziewczyna słysząc, co do niej mówił, promieniała. – Muszę przyznać, że uratowała pani honor Oberst Mölders-Schule.

– Panie dyrektorze, przecież obiecałam, że się pan na mnie nie zawiedzie – rzuciła w swoim stylu i dopełniła wypowiedź uśmiechem.

– Jesteśmy tu wszyscy panience bardzo wdzięczni. – Ziepult usiadł na swoim miejscu i wygładził poły marynarki. – Nie muszę chyba dodawać, że pani postawa znalazła uznanie także u członków komisji wizytującej naszą placówkę.

– Jestem z tego powodu niezmiernie dumna!

– Osobiście pragnę także dodać, że dołożę wszelkich starań, by sprawa tej nieszczęsnej volkslisty znalazła jak najszybszy finał, oczywiście po myśli *Familie Klomb*.

Halina niemal uniosła się w powietrzu, słysząc zapewnienia dyrektora. Już samo to, że stała się pełnoprawnym członkiem szkolnej społeczności, było jak gwiazdka z nieba. Zapowiedź pomocy ze strony Ziepulta jawiła się jak niespodziewany bonus. Do tej pory nie otrzymała żadnej wiadomości z Łodzi co do rozpatrzenia wniosku, jaki złożyły z matką. Może teraz sprawa nabierze tempa? Oby!

Podziękowała za pochwały i ofertę pomocy, dygnęła na pożegnanie i wróciła do klasy. To był zdecydowanie taki obrót spraw, jaki mogła sobie tylko wymarzyć. Tak trzymać!

\*\*\*

Łańcuch wysłużonej damki niemieckiej firmy Mifa, pożyczonej przez Halinę od pani Awdyskiej, przepuszczał na zębatce, nieznacznie utrudniając pedałowanie. Dziewczyna zdążyła się już przyzwyczaić do tego defektu, dlatego zamiast złorzeczyć, za każdym razem – siadając na



pożyczonym rowerze – w myślach komplementowała zarówno swoją gospodynię, jak i należący do niej pojazd. Gdyby nie uczynność kobiety, Halina musiałaby przemierzać pieszo wiele kilometrów albo szukać jakiegoś środka lokomocji.

Charakter jej zadań wymagał pewnej mobilności, więc rower – nawet taki sprawiający drobne problemy – był najlepszym rozwiązaniem. Cichy, nierzucający się w oczy. Dokładnie taka powinna być również ona sama, kiedy z meldunkiem, rzadziej z bibułą, ruszała w miasto albo i poza Kalisz. Teraz, kiedy jej pozycja w szkolnej społeczności została ugruntowana, Halina mogła się poświęcić pracy konspiracyjnej. I zrobiła to z wrodzoną sobie fantazją.

Początkowo przenosiła meldunki tylko w obrębie miasta, ale dość szybko okazało się, że potrzeby organizacji są dużo większe, a osób zdolnych do zaangażowania się w działalność jest wcale nie tak wiele.

– Musi pani zacząć penetrować teren w okolicy Kalisza – zarządził jeden z zastępców szefa łódzkiej komórki podczas spotkania, na które stawiała się pod pretekstem odwiedzin rodziców w Litzmannstadt. – Nie mamy tam rozbudowanej siatki, przyda się twoja pomoc, Halino.

– Poradzę sobie – odpowiedziała po namyśle.

Dawniej takie zdanie okrasiałaby sporą porcją beztroski, ale czasy, w których przyszło jej służyć, zredukowały nadmierny optymizm, zastępując go trzeźwym osądem i rozwagą.

– Musisz być nad wyraz ostrożna. – Przełożony obrzucił ją ciepłym, ojcowskim spojrzeniem, po raz kolejny zastanawiając się, ile jeszcze szczęścia uda się z życia ukraść tej dziewczynie i jak długo będą mogli liczyć na jej udział w planowanych akcjach.

Co prawda, sam Kalisz stracił na znaczeniu z chwilą przeniesienia stolicy rejencji do Łodzi, ale wciąż pozostawał ważnym obszarem, na którym trzeba było prowadzić zarówno rozpoznanie, jak i dywersję. W ocenie organizacji z obu tych zadań Halina wywiązywała się jak dotąd bardzo sumiennie, prowadząc obserwację najbliższego otoczenia

i raportując na czas o swoich spostrzeżeniach. Duża była w tym zasługa prowadzącego ją na miejscu „Jacka”, tylko trochę od niej starszego mężczyzny, posługującego się podrobionymi dokumentami na nazwisko Andreas Lukscha, sugerującymi białoruskie pochodzenie. Ale gdyby nie wrodzone umiejętności samej dziewczyny, jej konspiracyjna kariera skończyłaby się pewnie jak setki innych w tych niepewnych czasach. Niemiecki terror zbierał przecież ponure żniwo każdego dnia.

– Jestem – odpowiedziała krótko.

Najwyraźniej ten zwięzły przekaz był dla siedzącego przy stole mężczyzny równie znaczący, co najzarliwsze potwierdzenie. Temat został zamknięty.

– A zatem postanowione! – Gospodarz spotkania podniósł się z krzesła, dając tym samym znak, że pora się pożegnać. – Nie zmieniamy sposobu komunikacji, raporty składa pani „Jackowi”, od niego też odbiera dalsze dyspozycje. Powodzenia!

Od czasu tej rozmowy minęło już kilka miesięcy, Halina zdążyła nie tylko okrzepnąć w konspiracyjnej robocie, ale też zdecydowanie poprawić kondycję. Kilometry pokonywane na niemieckim rowerze zrobiły swoje; dziewczyna stopniowo wydłużała planowane trasy, by w niedługim czasie – tak jak teraz – wypuścić się nawet do oddalonej od Kalisza niemal o siedemdziesiąt kilometrów Zduńskiej Woli. Dzięki linii kolejowej łączącej Śląsk z Gdynią miasto to było ważnym węzłem komunikacyjnym, a położone w pobliskich Karsznicach kolejowe osiedle – miejscem prowadzenia ważnych zadań dywersyjnych. Halina regularnie przenosiła nowe dyspozycje dotyczące kolejowego sabotażu, wzbudzając uznanie u Władysława Cegielskiego, dowodzącego tamtejszą Samodzielną Placówką Kolejową.

– Idzie burza, może jednak zostanie pani u nas na noc? – Mężczyzna wskazał na rower, jakby powątpiewając, czy jego dwa kółka i sfatygowana rama to najlepsze rozwiązanie przy spodziewanej zmianie pogody. – Mamy tu gościnny pokój, żona przygotowuje coś do jedzenia...

– Nie ma potrzeby, panie Władku – odpowiedziała bez namysłu.

Trochę dlatego, że miała zaufanie do swoich sił, nieco krygowała się też przed swoją gospodynią. Niezapowiedziane zniknięcie na noc z pewnością byłoby przez nobliwą nauczycielkę źle postrzegane i Halina musiałaby się mocno tłumaczyć. A każde tłumaczenie to pretekst do coraz to nowych pytań – staruszka była w tym działaniu niemal tak pomysłowa, jak wytrawni funkcjonariusze policji kryminalnej. Panna Kłęb wolała dmuchać na zimne.

– Odmeldowuję się zatem i do zobaczenia następnym razem! – rzuciła, kierując się w stronę wyjścia.

– Z Panem Bogiem – pożegnał ją Cegielski.

Łańcuch zgrzytnął, kiedy z impetem nacisnęła pedał, ale po chwili cała rowerowa maszyna pracowała już płynnie. Halina przyjęła najwygodniejszą z możliwych pozycję i nie poświęcając uwagi na obserwację terenu, szybko pokonywała kolejne kilometry. „W takim tempie dotrę do Kalisza sporo przed zmierzchem” – cieszyła się dziewczyna.

Pochylona nad kierownicą, skupiała się tylko na drodze, świadomie rezygnując z normalnego zwiadu, który robiła zwykle przy okazji swoich wypraw. Dość często miała okazję zauważyć coś, o czym mogła powiadomić organizację – czy to nieoczekiwany ruch ciężarówek, przewożących niemieckich żołnierzy, czy dodatkowy posterunek żandarmerii, który mógłby być źródłem potencjalnych problemów w planowanych akcjach. Dziś jednak miała do pokonania sporą trasę, więc postanowiła odpuścić obserwację. Tym bardziej że prognoza pogody, którą usłyszała w Karsznicach, najwyraźniej miała zamiar się sprawdzić. Niebo na zachodzie wyraźnie pociemniało i Halina jechała teraz na wprost burzowych chmur, zapowiadających ulewę. Gdyby dostrzegła je wcześniej, pewnie zawróciłaby i skorzystała z gościny zaproponowanej przez Cegielskiego. Teraz było na to już za późno, musiała poradzić sobie sama.

Zjechała z szosy, kierując się w stronę szopy, jaką któryś z okolicznych gospodarzy postawił przy swym poletku chyba wieki temu. Liche ściany

drewnianego budynku pełne były prześwitów i obiecywały jedynie jako takie schronienie. Nie mogła wybrzydzać; od najbliższej osady dzieliło Halinę, co prawda, tylko kilkanaście minut szybkiej jazdy, jednak spadające z impetem krople deszczu sprawiły, że porzuciła rower i z ulgą schroniła się pod skromnym, ale zawsze dachem. Szopa była pusta, w jednym z kątów stał prawdopodobnie zeszłoroczny jeszcze snopek, na którym przysiadła, prostując nogi. Ostatnie metry pokonała z wyraźnym trudem, koła roweru zapadały się w piachu, więc teraz odpoczywała, dysząc głośno. Tymczasem na dworze rozpętało się piekło. Niebo co rusz rozświetlały błyskawice i Halina mimowolnie kuliała się za każdym razem, kiedy chwilę po błysku następował długi, czasem nawet kilkusekundowy huk. Burza musiała przechodzić bardzo blisko i ani myślała ustąpić, deszcz również przybierał na sile.

– Zapowiada się, że spędzę tu trochę czasu – powiedziała na głos, gramoląc się z prowizorycznego siedziska.

Bez pośpiechu obeszła pomieszczenie, zastanawiając się czy nie można by go jakoś wykorzystać w pracy konspiracyjnej. „Nie, bzdura – napomniała się przytomnie. – Samotna szopa wśród pól, w pobliżu szosy na Kalisz i na dodatek niedaleko kolejowych torów? Z daleka wygląda to podejrzanie!”. Oby tylko nie dostrzegł jej tu jakiś patrol albo nadgorliwy niemiecki *bauer* – papiery miała w porządku, jej „legenda” również nie budziła podejrzeń, ale po co kusić los? Sprawy mogły przyjąć przecież niespodziewany obrót i nawet jej najlepsza, niebieska volkslista mogła się okazać za słabym glejtem.

Ciągle jeszcze nie mogła się nadziwić skuteczności wstawiennictwa Ziepulta, który – tak jak obiecał – musiał zadzwonić tu i ówdzie, bo stosowny dokument wydano nie tylko błyskawicznie, ale i zaliczono ją do najwyższej ocenianej kategorii obywateli. Niebieskie volkslisty wydawano jedynie Niemcom, którzy jeszcze przed wojną angażowali się w ruch hitlerowski, oraz tym, którzy mieszkając na terenie Polski, zachowywali swą odrębność. Większość jej znajomych z klasy mogła się pochwalić niższą kategorią tego dokumentu – zieloną. Otrzymywali je ci, którzy mogli udowodnić swoje niemieckie pochodzenie, ale dzieci

posyłali do polskich szkół. Halina wolała nie wnikać w powody, jakimi kierowali się łódzcy urzędnicy, i po prostu przyjęła to z całym dobrodziejstwem inwentarza. Miała dokument, który stawiał ją na równi z Niemcami oraz zapewniał swobodę podróżowania, a to było przecież najważniejsze.

Wróciła na poprzednie miejsce, wstrząsnęła lekko snopkiem, by zwiększyć jego objętość, i usiadła, wygodnie opierając się o ścianę. Grzmiało już nieco mniej, burza była z gatunku tych gwałtownych, ale krótkotrwałych. Z nadzieją wyjrzała na zewnątrz, wykorzystując w tym celu dziurę po sęku, niestety, deszcz nie ustawał. Zdawało jej się nawet, że pada coraz rzęsiściej.

– Niech to dunder świśnie! – Chciała zakląć po niemiecku, ale nie znalazła odpowiednich słów.

„Będę się musiała podciągnąć w tym zakresie” – uśmiechnęła się słabo i oparła głowę o suchy kawałek ściany. Przymknęła oczy i niemal natychmiast zapadła w płytki, czujny sen. Kilkadziesiąt kilometrów na rowerze zrobiło swoje, ciało osiemnastolatki domagało się odpoczynku.

Musiała spać jednak dobrych kilka godzin, bo kiedy otworzyła oczy, było już po deszczu. W księżycowej poświacie lśniły jedynie kałuże, odbijając w swych lustrach nieliczne gwiazdy. Nasłuchiwała przez chwilę, bo miała wrażenie, że obudził ją nie tylko chłód nocy, ale i narastający hałas. Z daleka dochodziło miarowe stukanie; podobne dźwięki słyszała – choć wtedy z innym napięciem – tego samego dnia, kiedy odwiedziła dworzec w Karsznicach. Tak, nie pomyliła się, to musiał być sznur wagonów, ciągnięty przez potężną lokomotywę. Podniosła się z legowiska i wyszła przed szopę, omijając połyskujące pozostałości po deszczu. Z tego miejsca ułożony wzdłuż szosy szlak kolejowy widać było całkiem wyraźnie.

Przezornie skryła się w cieniu, tak by nawet wprawne oko nie mogło jej dostrzec. Ona za to bez trudu widziała zbliżający się skład wagonów; zwyczajnych, towarowych, zбитych z brązowych desek – i szybko policzyła, że było ich nie mniej niż piętnaście, może nawet więcej.

Większość z nich miała jedynie oznaczenia wypisane po niemiecku białą farbą. W kilku dostrzegła niewielkie otwory, które można było chyba potraktować jako okna. Zaciągnięte były jednak drutem; pewnie ktoś się bał, że przewożone w tym transporcie będzie zechce tą drogą wydostać się na zewnątrz.

– Bo to przecież wojskowy transport była? – rzuciła w mrok, wyteżając jednocześnie wzrok, zadowolona, że i w takich okolicznościach zebrała materiał do kolejnego meldunku.

W kompletnej ciszy, która spowijała noc, słychać było sapanie parowozu, skrzypienie kół i... Halina raptownie cofnęła się o krok, bo jej wyczulone ucho wyłowiło jeszcze inne dźwięki. Słabe, ale jednak obecne. Ktoś tam płakał, ktoś wzywał pomocy, jeszcze kto inny błagalnie powtarzał: *Wasser, bitte, Wasser*<sup>41</sup>...

<sup>41</sup> niem. Woda, poproszę o wodę...

Teraz, kiedy środkowa część składu mijala ją niemal na wprost, księżyc zaświecił mocniej, a może to jej oczy przyzwyczyły się już do warunków, jakie panowały na dworze? W jednym z niewielkich otworów dojrzała dłoń – dziecięcą rączkę zaciśniętą na drucie. Cofnęła się jeszcze głębiej w cień budynku, nie mogąc pojąć, co właśnie zobaczyła. W tych wagonach byli ludzie? A jeśli tak, to co ich czekało na końcu tej koszmarnej podróży?

Do rana nie zmrużyła już oka, wstrząśnięta swoim odkryciem. Tak, słyszała o transportach ludzi do obozów koncentracyjnych, ale co innego słyszeć, a co innego zobaczyć na własne oczy. „Ta wojna... Ci okropni, bezduszni Niemcy! To musi się skończyć” – powtarzała przez całą drogę do Kalisza, w którą ruszyła skoro świt.

Do kamienicy przy Tannenberg Strasse dotarła w porze śniadaniowej. Pani Awdyska powitała ją w progu z marsową miną, ale widząc poruszenie „zguby”, nie zadała żadnego z przygotowanych zawczasu pytań. Zaparzyła za to herbatę, którą Halina przyjęła z wdzięcznością. W głowie miała już plan – musi zaangażować się jeszcze mocniej, dać z siebie jeszcze więcej. Ona, krucha i niepozorna jak motyl, właśnie

znalazła w sobie noc, poznała czerń swojego charakteru. Gniew i siłę, rozpacz i nadzieję.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – powiedziała cicho.

– Co tam bajdurzysz, Halinko? – Pani Awdyska ocknęła się nad swoją filiżanką herbaty.

– *Keine große Sache, nur Pläne für die nahe Zukunft*<sup>42</sup> – odpowiedziała z nieodgadnionym wyrazem twarzy. I w myślach dodała, już po polsku: „Da Bóg, że ta przyszłość naprawdę nie będzie odległa”.

<sup>42</sup> niem. Nic takiego, tylko plany na najbliższą przyszłość.

\*\*\*

Od kilku dni szkołę ogarnęło istne szaleństwo. Ziepult pieklił się na wszystkich i wszystko, nieustannie przemierzając korytarze gimnazjum i wrzeszcząc, co, komu i skąd jest gotów powyrywać. Powód był prozaiczny i ten sam od kilku przynajmniej lat – *Führergeburtstag*. Zbliżała się wyjątkowa data, 20 kwietnia 1941 roku, a więc dzień, w którym Adolf Hitler będzie obchodził pięćdziesiąte drugie urodziny. Halina jak przez mgłę pamiętała echo prasowych artykułów z 1939 roku, które donosiły wtedy o okrągłym jubileuszu kanclerza Niemiec. Mało ją to obchodziło, notkę w gazecie omawiał ojciec, który był pod wrażeniem ogromnej, bo osiemdziesięcioletniej defilady w Berlinie.

– Ale feta! – podsumował z uznaniem i dodał coś o udziale polskiej delegacji, ale Halina robiła wtedy wprawki przed lekcją fortepianu i słowa ojca utonęły pośród wybijanych z zapałem dźwięków wyjątkowo rozbudowanego pasażu, chyba Chopina.

Teraz z rozrzewnieniem przywołała to wspomnienie. To tylko dwa lata wstecz, a jak bardzo zmieniło się wszystko wokół. To, co wtedy było tak odległe i nieistotne, dziś wysunęło się na pierwszy plan i ona musiała brać w tym udział.

– Panienko Klomb! – Ziepult nawet nie przystanął, zagarnął ją ramieniem i pociągnął za sobą. – Jest panienka przygotowana do występu?

Halina rzuciła mu uspokajające spojrzenie i posłusznie dotrzymała mężczyźnie kroku.

– Naturalnie, panie dyrektorze.

– Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem – pochwalił ją Niemiec. – Wielki dzień już wkrótce, chcę, by wszystko było dopięte na ostatni guzik.

– Instrument jest nastrojony, zagram najpiękniej, jak potrafię.

Chociaż *Führergeburtstag* nie był oficjalnie świętem państwowym, a na terenie Rzeszy ograniczano się jedynie do wywieszenia flag państwowych, to każda ze szkół prześcigała się w przygotowaniu programu artystycznego, którym można by w odpowiedni sposób uświetnić ten dzień. Szkoła pułkownika Möldersa nie mogła być gorsza – z polecenia Ziepulta z recitalem fortepianowym wystąpić miała uczennica klasy siódmej, Halina Klomb. Bach i Beethoven wydawali się najlepszymi kompozytorami na taką okazję. Uczniowie młodszych klas zaprezentują fragmenty poezji. „Będzie podniośle” – rozrzewnił się Ziepult. Żałował tylko, że akademia odbyć się musi w piątek, a więc dwa dni przed właściwą datą, ale cóż, z kalendarzem się nie wygra. Żaden z uczniów nie byłby szczęśliwy z dodatkowych zajęć w niedzielę.

– A właśnie, byłbym zapomniał... – Dyrektor zatrzymał się tak nagle, że dziewczyna niemal wpadła na niego. – Chodźmy do mojego gabinetu, mam dla młodej damy coś wyjątkowego.

Halina nie chciała zdradzać podekscytowania, dlatego skinęła tylko uprzejmie i podążyła za dyrektorem. Co on też wymyślił tym razem? Może szkoła zakupiła jakiś galowy strój, żeby mogła odpowiednio zaprezentować się na urodzinowej akademii? A może sprowadzili z Niemiec jakąś muzyczną notację, ulubiony utwór *Führera*, który każą jej odegrać z wyjątkową emfazą?

– Książka? – zapytała z wyraźnym niedowierzaniem, widząc, że Ziepult podnosi z biurka jakieś opasłe tomisko. Jeszcze tego brakowało, żeby oprócz koncertu musiała recytować wierszyki dla Hitlera!



– Tak, młoda damo – odpowiedział przejęty dyrektor. – I to wyjątkowa, nie byle jaka pozycja.

Halina patrzyła na niego, nadal nic nie rozumiejąc.

– Mam ją przeczytać podczas uroczystości?

– Ależ skąd, to nieporozumienie! – wykrzyknął mężczyzna i przez chwilę przytrzymał księgę blisko serca. – Proszę przyjąć ten skromny prezent jako wyraz naszego uznania dla panienki umiejętności, talentu i wiedzy.

Halina uśmiechnęła się z ulgą. „*Mein Kampf* Adolf Hitler” – głosił napis na okładce. Dotychczas nikt z uczniów siódmej klasy nie mógł się pochwalić takim prezentem. Jej zadowolenie wyraźnie wzrosło, kiedy otworzyła tom i na stronie tytułowej znalazła dedykację.

*Der Schülerin Halina Klomb aus Klasse 7 als Auszeichnung im Auftrage des Herrn Reichministers für Wissenschaft, Erziehung und Volksbildung für besondere Leistungen überreicht.*

*Kalisch, am 52. Geburtstag des Führers<sup>43</sup>.*

<sup>43</sup> niem. Wręczono uczennicy Halinie Klomb z klasy 7 – jako odznaczenie na polecenie Ministra Rzeszy do spraw Nauki, Wychowania i Wykształcenia za szczególne osiągnięcia. Kalisz, w dniu 52. urodzin *Führera*.

I jeszcze podpisy – Ziepulta i opiekuna jej klasy, doktora Petersenna.

Przez moment stała jak wryta. Wyobrażenia podpowiadała jej najbardziej nieprawdopodobne scenariusze, nie mogła się doczekać, kiedy tym chichotem losu podzieli się z „Jackiem”. Ona, pełnoprawny członek polskiego podziemia, trzymała w rękach książkę, prezent od niemieckiego ministra nauki! Dziękowali jej za szczególne osiągnięcia! *Mein Kampf*, moja walka? Ona tu walczyła, żeby nie wybuchnąć śmiechem w twarz Ziepultowi.

– Widzę, że nawet wygadanej i rezolutnej Halinie przydarza się zaniemówić z wrażenia? – Dyrektor mylnie odczytał jej milczenie. – Zadowolona?

– Niezmiernie! – odparła i tak jak gospodarz gabinetu przed chwilą, również przytuliła nagrodę do piersi. – To absolutnie wyjątkowa rzecz

i nie wiem, jak mam okazać swoją wdzięczność!

– Zagraj naszemu *Führerowi* najpiękniej, jak się da! – zakomenderował nauczyciel.

– Obiecuję! – niemal krzyknęła, w duchu dodając: „Zagram mu, ale na nosie, ty szwabski świniaku!”.

Szczególne osiągnięcia, dobre sobie! Ta wykaligrafowana starannie formułka bawiła ją jeszcze długo, szczególnie wtedy, kiedy po skończonych lekcjach pakowała do torby kolejną porcję konspiracyjnej bibuły. Oprócz dopołudniowych zajęć w gimnazjum miała przecież na dzisiaj zaplanowany też kolportaż niewielkiej partii gazetek, przywiezionych z Łodzi ostatnim kursem.

Jej praca przynosiła efekt, mogła nawet mówić o sukcesie i wynikach wcale nie gorszych niż te osiągnane w szkole. Choć zwykli Niemcy byli ostrożni i publicznie nikt nie odważył się wątpić w sukces wojennej myśli Hitlera, to ze strzępków rozmów zasłyszanych w kawiarni, parku czy nawet na szkolnym korytarzu dało się wyłowić słowa świadczące, że artykuły przygotowane przez polskie podziemie wprowadzały lekki ferment. Halina kolportowane przez siebie gazetki znała na pamięć, więc bez trudu rozszyfrowywała sens usłyszanych wypowiedzi. Informacje przemycane w ulotkach miały za zadanie zasiać u Niemców wątpliwości co do polityki prowadzonej przez *Führera*. Nie było to łatwe zadanie, bo kolejne sukcesy militarne mocno jednoczyły naród i pozwalały z ufnością podążać za Hitlerem. Halina wiedziała, że praca, którą przed nią postawiono, jest obliczona na długi czas i wcale nie musi przynieść spektakularnych efektów. Ale uczynienie nawet wąskiego wyłomu w tej nieskazitelnej szwabskiej strukturze uznała za swoją misję.

Niemal z czułością zapięła skórzaną klamrę na torbie, zabezpieczając zawartość przed niekontrolowanym wydostaniem się na zewnątrz.

– Znowu cię gdzieś niesie! – Zrządzenie pani Awdyskiej przyjęła z uśmiechem.

Zdążyła jeśli nie polubić, to zwyczajnie przyzwyczać się do dziwactw tej kobiety i starała się traktować ją z sympatią, jak ciotkę lub inną daleką krewną. Z uwagą słuchała snuty przez nią rodzinnych opowieści, bo biorąc pod uwagę jej rosyjskie i niemiecki korzenie, zwykle były one bardzo barwne. Równie ciekawie opowiadała o swoich dwóch synach, choć nieco mniej o młodszym, skrzypku, który wstąpił na początku wojny do SS, czym wyraźnie podpadł staruszce. O drugim, Jurku, wypowiadała się cieplej, choć informacji miała zdecydowanie za mało. Mężczyzna w 1939 roku znalazł się w Anglii, gdzie został i pracował jako konstruktor okrętów podwodnych. Wybuch wojny rozdzielił matkę z synem, przynajmniej na razie.

Posiadane przez gospodynię dwupokojowe mieszkanie przy dawnej ulicy Harcerskiej było dla Haliny idealnym rozwiązaniem, tym bardziej że staruszka udzielała korepetycji i często znikwała na całe dni. Kłębówna mogła się tu czuć w miarę bezpiecznie; korzystała z jej roweru, a nawet – kiedy tylko odkryła sprzęt w schowku – również maszyny do pisania, na której wystukiwała pieczołowicie kolejne linijki swoich meldunków. Pilnowała jednak, by robić to tylko, będąc w domu samą, ciekawość starszej kobiety mogła bowiem mieć w tym przypadku tragiczne skutki.

*Sei wahr, sei klar, sei Deutsch*<sup>44</sup> – głosiła maksyma *Bund Deutscher Mädel*, którą w takich przypadkach Halina łamała bez mrugnięcia okiem. Dlatego słysząc zrzęczenie swej gospodyni, znów posłużyła się kłamstwem.

<sup>44</sup> niem. Bądź prawdziwa, bądź przejrzysta, bądź niemiecka.

– Muszę poćwiczyć przed urodzinową galą *Führera*. Chyba zdaje sobie pani sprawę, jaka odpowiedzialność na mnie ciąży? – Nie czekając na odpowiedź, wymknęła się z mieszkania. Rower już czekał oparty o studnię.

Do spotkania z „Jackiem” zostały już tylko dwa dni. Dziś rozwiezie gazetki, a kiedy się zobaczą, zda mu raport i pewnie odbierze nową „bibułę”, czyli – jak mówiono w ich środowisku – „prasę N-owską”<sup>45</sup>.

Jeśli się jej poszczęści, Lukscha poświęci jej trochę więcej czasu. Nie chciała wyobrazać sobie zbyt wiele, ale zauważyła, że starszy od niej o kilka lat mężczyzna po każdym spotkaniu żegnał się z nią coraz mniej chętnie, a samą porę rozstania odsuwał w czasie. Ona też wyczekiwała tych codwutygodniowych szpiegowskich sesji, choć dokładała starań, by nic nie mąciło konspiracyjnego charakteru ich relacji. Bo czy była to pora na miłość? Zdecydowanie nie, ale... Jeśli życie sprowadzić do krótkiego odcinka, niewielkiej kreski rozdzielającej szereg cyfr składających się na dwie daty – narodzin i zgonu – nie miałyby nic przeciwko, by jej odcinek przebiegał tam, gdzie i jego. W nutowych zapisach, które towarzyszyły jej od dziecka, takie sąsiadujące linie wyglądały przecież całkiem zgrabnie.

<sup>45</sup> Prasa N-owska, ulotki, odezwy i gazety to element „Akcji N”. Stanowiła ona oddzielny dział walki psychologicznej z okupantem, toczonej przez polskie podziemie. Prowadzono ją poprzez specjalne konspiracyjne pisma i ulotki w języku niemieckim, które miały wywołać wrażenie, że są dziełem niemieckich grup antyhitlerowskich.

# Rozdział 7

*Dla uczczenia nieudanego puczu Adolfa Hitlera w Monachium w 1923 roku, ustanawiam dzień dziewiąty listopada świętem narodowym w Kraju Warty.*

Arthur Greiser, namiestnik Kraju Warty, 1 sierpnia 1940

*Nakazuję konfiskatę i zniszczenie wszystkich śpiewników i książeczek do nabożeństwa zawierających pieśń Boże coś Polskę. Księża mają apelować do wiernych podczas nabożeństw o oddanie zakazanych książeczek i śpiewników.*

Arthur Greiser, namiestnik Kraju Warty, 13 sierpnia 1941

*[...] zakładnicy zachowywali się godnie i dumnie. Szli na miejsce kaźni w 15-osobowych grupach w milczeniu i wyprostowani, a na ich twarzach malował się dziwny spokój. Ciała rozstrzelanych przewieziono do lasów lućmierskich i tam zostały pochowane we wspólnej mogile.*

Fragment zeznań świadków egzekucji setki Polaków 20 marca 1942 roku  
w Zgierzu<sup>46</sup>

<sup>46</sup> Cyt. za: Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

Andreas Lukscha szedł powoli pół kroku przed nią. Jego lekko pochylona masywna sylwetka hipnotyzowała Halinę. W zasadzie każde z nich mogło już się udać w swoją stronę, ale chyba obydwójce nie byli jeszcze gotowi na pożegnanie.

Na spotkanie wybrali miejsce zwane przez kaliszian „Na czaszkach” – niewielkie wzniesienie między maleńkimi Dobrzecem i Rypinkiem, gdzie ustanowiono cmentarz żydowski; od jesieni trzydziestego dziewiątego teren spowity był ciszą, nieznaną temu skrawkowi ziemi od wieków. Większość macew była zniszczona, na oko było też widać, że nie tak dawno musiało się ich tu znajdować dużo więcej. Wiedziała, że lwią część zabrali Niemcy; materiał wykorzystali w celu wybrukowania brzegów kanału Rypinkowskiego. Doszły ją nawet słuchy, że jakiś procent nagrobków posłużył jako chodnikowe płyty na kaliskich uliczkach oraz tarasowy budulec w domach niemieckich oficerów... Nie miała czasu, żeby to sprawdzać, a może wcale nie chciała tego robić?

Niedługo po tym, jak pojawiła się w Kaliszu, w mieście utworzono półotwarte getto; pustoszało szybko, choć i tak była w nim wówczas tylko garstka społeczności, liczącej przed wojną dziesiątki tysięcy osób.

Zapewne jeszcze dwa lata temu o tej samej porze ktoś przychodził tu często, żeby powspominać albo zwyczajnie doglądać rodzinną kwaterę. Dziś już nie było komu robić tego wszystkiego; ci, na których barkach spoczywał ów obowiązek, zniknęli, być może na zawsze. Jako aktywny członek ruchu oporu miała tę wiedzę w jednym palcu, ale owa znajomość rzeczy ciążyła, jakby ktoś położył jej na sercu ogromny głaz i nie zamierzał go usunąć, póki nie zbierze, nie usystematyzuje i nie zapamięta wszystkiego, co działo się wokół niej.

W półprzejrystym powietrzu unosiły się cieniutkie nitki babiego lata, rozbłyskując co rusz delikatnie w promieniach jesiennego słońca. Miała wrażenie, że opadając na ramiona i głowę mężczyzny, wtapiają się one w strukturę jego włosów, tworząc z nimi łagodną, przyjemną falę. Chciała zrobić ze swoimi dłońmi to samo, co czyniły w tej chwili te ledwie widoczne na tle bladego nieba zwiastuny pierwszych chłódów – pragnęła przesuwając między palcami jasne pasma i dotykiem wchłonąć w siebie misterium chwili. Niech ta się uniesie i trwa...

– I to właśnie po nas pozostanie: kilka potłuczonych kamieni, które, zanim się obejrzymy, przykryje ziemia. Chyba że przeszkodzi jej w tym ludzka pamięć. Jeśli nie, wystarczy zwykły ruch planet i zmienimy się w okruch niewidoczny dla oka. Nasza nieśmiertelność wcale nie zależy od nas samych... – Lukscha westchnął i odwrócił się w jej stronę. –

A jednak wciąż kręcimy się tu jak chomik w kołowrotku, łudząc świadomość, że zostawimy po sobie jakiś ślad, drogowskaz na ścieżkach donikąd.

– Nie mów tak, proszę... – Poczowała, że jej policzki rozgrzewa wewnętrzne ciepło. – Nie po to stworzono nas tak różnych, tak niepowtarzalnych, żeby nie miało to żadnego znaczenia. Coś musi się za tym kryć.

– Może tylko to, co sami uznamy za ważne? Może nikt nie kreuje tego świata za nas, a tylko my stwarzamy w nim każdy detal, wznosząc własny układ sił? Nie sądzisz? – Spojrzał jej głęboko w oczy, a jeden z kącików jego ust drgnął lekko. – Swoją drogą, przemijanie to

przekleństwo i błogosławieństwo w jednym. Kiedy odkryje się jego dwulicowość, każda chwila staje się nieoszlifowanym diamentem.

– Jeszcze nie przemijamy! – zawołała, chociaż wolałaby krzyknąć, że gdy jest przy niej, ona ma nad czołem cały diadem z brylantów.

– O! Jak odważnie się, panna, buntujesz! W TYM coś musi być! – Wysoki blondyn pokazał w szerokim uśmiechu ładny garnitur zębów.

Rzuciła swojemu rozmówcy spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Zdradź więc, jak chcesz wygrać z czasem. No? – zachęcił, a potem zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki.

– Ty pierwszy – zaproponowała, wyprzedzając go o dwa kroki.

Świadomość, że jest tuż za nią, że Andreas ma przed oczami jej włosy i ramiona, sprawiła jej przyjemność, jakby weszła w sam środek mgiełki ulubionego zapachu. I naprawdę była ciekawa odpowiedzi.

Pod stopami szeleściła im nieśmiało pierwsza warstwa jesiennych liści. Lubiała to przejście między gorączką lata a chwilą, gdy zaczynały rządzić pierwsze przymrozki, nabrzmiewało wtedy kolorami i soczystym miąższem dojrzałych owoców – nigdy nie miała ich dość. Gdyby to było możliwe, najadłaby się na zapas, żeby nie tęsknić za nimi tak namacalnie, gdy zima zaciśnie wszystko w swoich lodowatych kleszczach. Teraz czuła podobnie – trochę zjawiskowe, trochę uroczyście, słodkie piękno, które można tylko zapamiętać.

– Jeszcze niedawno planowałem zmierzyć się z drugim fakultetem, może nawet zostać na uczelni i wsiąknąć w literaturę, tak, wiesz, do końca, wielopłaszczyznowo. Ale teraz... – Mężczyzna kopnął lekko kępkę podeschłej trawy, a potem wsunął dłonie do kieszeni spodni. – ... wolę sprawdzać, na co przyda mi się filozofia wielkich tego świata, chcę doświadczyć życia empirycznie, poza studencką aulą. Jestem bardzo podekscytowany tą perspektywą, jakby ktoś otwierał na oścież drzwi do nieznanych światów.

– Czasem boję się myśleć tak o przyszłości – powiedziała cicho Halina, trochę do siebie, trochę do swojego rozmówcy.

– Czasem tylko to nie pozwala mi oszaleć – uzupełnił ciepłym tonem.

– Opowiedz mi o tym, co zamierzasz. Dokładnie! – Zatrzymała się i spojrzała uważnie na swojego towarzysza.

Dwudziestosześcioletek zastanawiał się chwilę, patrząc przez nią na przestrzał.

– Zaczęlbym od podróży na południe, do Turcji. Może chodząc śladami Talesa, zrozumiem to i owo. Potem... – Zrobił pauzę, trąc mocno brodę palcami. – ...kiedy już życiowa mądrość będzie mi wychodzić uszami, poszukam miejsca, gdzie będzie mój dom.

– Skąd będziesz wiedział, że znalazłeś to właściwe?

– Będę bardzo mądry, więc zorientuję się w trymiga. – Puścił oko do Haliny. W odpowiedzi kobieta posłała mu ładny uśmiech. – Dom byłby mały, drewniany.

– Murowany solidniejszy...

– Ale mniej przyjemny dla duszy – podsumował szybko. – Zatem... Otoczyłbym go dużym sadem, a o jego kondycję dbałbym najpierw sam, potem z dużą rodziną. Klucz przetopiłbym na mały krzyż, który wisiałby nad naszymi drzwiami...

Halinie załopotalo serce, jak ptak zerwany do lotu.

– Żeby zło nie miało dostępu do tych, którzy do mnie zajdą. Witałbym ich z radością i raczył najlepszym winem. A gdy już upiją się szczęściem w moich skromnych progach, wyszedłbym na ganek dziękować Bogu za przyjaciół. Wrogowie niech szeszczą...

– A ten ganek? Jaki? – zapytała, rozgarniając dłońmi pociemniałe pióropusze traw.

– Też mały, też drewniany, z dwoma schodami z polnego kamienia. Może nawet siedziałbym tak na nich do rana!

– Nie „siedziałbym”, „witałbym”, ale „usiądę”, „powitam”, „wyjdę”! Czasy się panu mylą, proszę pana, będziesz pan musiał po wojnie zacząć od powtórki materiału – zauważyła zaczepnie.



Przez dłuższą chwilę mężczyzna nie odpowiadał.

– Nic mi się nie myli, błękitnooka dziewczyno – przerwał w końcu ciszę głosem, w którym nie było cienia uśmiechu. – Obiecuj mi coś...

– Wszystko, tylko porzuć ten grobowy ton. – Wzburzyła się nagle.

– Powiedz mi to teraz. – Stał z nią twarzą w twarz. – Że będziesz pamiętać. Nawet gdy mnie już nie będzie.

Odniosła wrażenie, że wszystko wokół pociemniało. Czyżby wiedział o czymś, co dla niej wciąż było tajemnicą?

– Dlaczego tak do mnie mówisz? To okrutne...

– Bo nigdy cię nie okłamałem. Dlatego. I dlatego że jest we mnie... rośnie we mnie przeświadczenie, że nie doczekam końca wojny.

– Andreas... – Tak bardzo chciała znać jego prawdziwe imię. – To minie...

– To tkwi bardzo głęboko. I kłuje. Za każdym razem, gdy myślę o tym, co potem. Więc obiecuj mi, że nie zapomnisz. – Chwytał Halinę oburącz za ramiona tak mocno, że poczuła ból.

– Obiecuję... – wyszeptała, walcząc z krótkim oddechem.

Uścisk osłabł, ale wciąż czuła ból. Serca.

\*\*\*

Przysunęła sobie krzesło pod okno, ale nie za blisko, żeby ciągnącym przez szpary zimnem nie psuć sobie przyjemności obserwacji. Owinęła się mocniej kocem, przyciskając do piersi kubek z gorącą herbatą, słabiutką, bo w puszcze z suszem było już widać dno – musiała brać pod uwagę fakt, że kiedy zużyje te resztki, pojemnik może stać pusty przez dłuższy czas. Oszczędzała na wszystkim, a i tak wciąż czegoś brakowało. Od wczesnej jesieni przede wszystkim ciepła, bo i tu, w Kaliszu, tak samo, jak wcześniej w Łodzi, zdobycie jakiegokolwiek opału graniczyło z cudem. Tylko w okolicach świąt Bożego Narodzenia pani Awdyska w jakiś tajemniczy sposób zadbała o to, by chociaż przez kilka dni Halina nie musiała spać w ubraniu. To był czas, którym

cieszyła się jak dziecko, czując, że ciepło rozluźnia każdy mięsień i budzi ciało do życia. Miał ten moment tylko jedną wadę: kiedy przestawało się myśleć o przenikliwym zimnie, umysł oplatały wspomnienia, w których pachniało skórką świeżego chleba, maminymi dłońmi, zeszytami nutowymi i kwitnącymi na parapetach pelargoniami – aromatem domu, który zniknął, gdy musiała się zająć planowaniem, jak przetrwać kolejny dzień. Przetrwać i wypełnić wszystkie powierzone jej zadania.

Po dobrze zagranym spektaklu aktorom wręcza się kwiaty; im trudniejsza kreacja, tym większa szansa na spektakularny bukiet. Ciekawe, jak okazałaby się poszczycić, gdyby zauważono, ile wysiłku kosztuje ją lawirowanie między dwiema niesamowicie wyczerpującymi rolami, w których bardzo łatwo można było pomylić kwestie, gesty, grymasy. A spektakl wciąż trwał, bez antraktów, bez suflera, bez prób – każde w nim potknięcie mogło kosztować życie.

Nie wyglądało na to, żeby kilkunastostopniowy mróz, który utrzymywał się od tygodnia, zelżał dziś choć na jotę, mimo iż luty czuł już na plecach oddech marca. Niebo było nieskazitelnie czyste i uroczo błękitne, jeśli akurat wiatr zdołał co jakiś czas rozgonić chmury białych dymów unoszących się nad miastem. Kiedyś smugę z komina kojarzyła z tańcem, teraz, obejmując wzrokiem ten sam obraz, przychodziło jej do głowy tylko jedno – węgiel, czarne złoto budzące pożądanie graniczące z obłędem.

W tej chwili świat skrzył się wszechogarniającą diamentową bielą, jakby chciał ukryć pod pięknem zimowych klejnotów śmierć i zwątpienie. Czy przypadkiem nie powinien wyglądać inaczej dla kogoś, kto zaliczył celująco egzamin dojrzałości? Na dodatek jako jedyny w klasie? Za dwa miesiące z hakiem skończy osiemnaście lat. I jakież to prezent szykuje jej los z tej okazji? Cóż, miałyby dla niego kilka propozycji, na przykład...

Z zamyślenia wyrwało ją głośne, natarczywe pukanie do drzwi. Wzdrygnęła się. Hałasu na pewno nie robiła damska dłoń. Instykt

podpowiedział jej, że nie należy zwlekać z reakcją. Skierowała kroki w stronę wyjścia z pokoju, przekręciła klucz w zamku i otworzyła zamaszystym ruchem, nie zapominając o wyprostowanej sylwetce i uniesionej brodzie. Stojący przed nią mężczyzna miał lekko zaskoczony wyraz twarzy.

– Pani Halina Klomb? – zapytał po niemiecku i bezceremonialnie wpakował się do środka.

Na widok czarnego munduru Gestapo żołądek Haliny zawiązał się w supeł. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i na chwilę zamknęła oczy, korzystając z momentu, gdy miała przed sobą plecy mężczyzny.

– Tak, to ja. W czym mogę panu pomóc? – odpowiedziała dość głośno, żeby nie dać się złamać głosowi. W głowie dudniło jej stado skojarzeń, równie czarnych jak ubranie nieznajomego.

Gestapowiec okręcił się na prawej stopie i stanął naprzeciwko niej. Przez cholernie długą chwilę świdrował ją wzrokiem. Miał porcelanową, delikatnie zaróżowioną cerę i jasne tęczyki nieokreślonego koloru. Ciemny uniform podbijał nieskazitelną urodę i szczupłą sylwetkę. Mężczyzna pachniał mroźnym powietrzem i cytrusami. „A więc wciąż są jeszcze ludzie, którzy w tych koszmarnych czasach pamiętają o dobrym zapachu” – pomyślała, rejestrując, że uroda nieznajomego jest tą z najwyższej półki. W tej chwili jednak stanowiła ona dla Haliny synonim piekła, a nie jakichkolwiek ekscytacji.

Gość usiadł na tym krześle, z którego przed chwilą wstała. Nie poprosił, by zrobiła to samo, więc zbliżyła się tylko do stołu i oparła dłoń na jego blacie, na wypadek, gdyby zasłabła.

– Odstąpiła pani swoje kartki żywnościowe wrogowi Trzeciej Rzeszy – padło oskarżenie, wypowiedziane dosadnym tonem.

– Nie rozumiem... – Grała na zwłokę, żeby opanować nagły ucisk w całym ciele.

Doskonale wiedziała, co mężczyzna miał na myśli. Mogło chodzić tylko o jedno: o Reisemarki, które dała Andreasowi podczas ich

ostatniego spotkania, żeby kupił sobie ciepły posiłek na dworcu, podczas którejś z konspiracyjnych podróży. Wygumkowali wówczas z kartoników nazwisko Haliny, wpisując na jego miejsce dane Lukschy. Tymczasem ktoś, kto dokładnie szukał, znalazł...

– Czyżby?

– Nie rozumiem, jak można przejść obojętnie obok kogoś, kto prosi o pomoc. Rzeczywiście kilka miesięcy temu młody Niemiec, którego spotkałam na jakimś peronie, skarżył mi się, że przed nim długa droga, a jemu brakuje pieniędzy na jedzenie. To przecież oczywiste, że na tak grzeczną prośbę należało odpowiedzieć równie uprzejmie.

„Dopadli go” – huczało jej w głowie, ale uśmiechała się, uważając, by nie wykonywać żadnych gwałtownych gestów. Jeśli tak, być może nie nacieszy się zbyt długo „dziewiczą” dojrzałością... Teraz musiała przypomnieć sobie wszystko, co ustalali z Andreasem na wypadek aresztowania któregoś z nich. Robili to wiele razy, więc miała nadzieję, że jej pamięć już stoi na baczność.

– Czy zdaje sobie pani sprawę, że nie wolno przekazywać innym własnych kartek?

„Dlaczego nie zabiera mnie na Jasną?” – krzyczała wewnątrz na myśl o kaliskim budynku Gestapo.

– Ależ skąd! Nawet nie przyszło mi to do głowy. Był taki uprzejmy, nienachalny... miałabym nie wyciągnąć ręki do rodaka w potrzebie? – zapytała, ładnie modulując głos; kiedy musiała kłamać, zewnątrz była oazą spokoju. Teraz wreszcie ta cecha mogła ją uratować. – I ubrany był też w taki sposób, że nie nabrałam żadnych podejrzeń, bo miał na sobie...

– Resztę powie pani do protokołu. Pójdzie pani ze mną.

W drodze na posterunek układała sobie w głowie już tylko to, co powinna mówić, z uwzględnieniem szczegółów, które mogłyby uwiarygodnić jej słowa oraz zeznania Lukschy, jeśli ten nie powiedział Niemcom czegoś, co pogrzyżyłoby i ją. Tak się chyba nie stało, bo po

przeraźliwie długim, wyczerpującym psychicznie przesłuchaniu, prowadzonym przez dwóch gestapowców, kazano jej podpisać sprawozdanie, po czym puszczono wolno. Uwierzyli jej więc, ale nie musiało to oznaczać końca kłopotów.

Gdy w końcu znalazła się na ulicy, potrzebowała dłuższej chwili, żeby dojść do siebie. A jeszcze przed kwadransem była pewna, że wpadła na dobre.

Kilka kolejnych dni, podczas których obserwowała otoczenie baczniej niż kiedykolwiek, dłużyło się Halinie niemiłosiernie. Gdy uzyskała pewność, że nie jest śledzona, począł rosnać w niej strach przed konfrontacją z aresztowanym. Nie czuła się na siłach spojrzeć Andreasowi w oczy w obecności funkcjonariuszy SS. To mógłby być koniec ich obojga...

Podróż do Łodzi i spotkanie twarzą w twarz z dowódcą łódzkiego oddziału ZWZ-AK, kapitanem Janke<sup>47</sup>, uznała za konieczne. W drodze wyjątku, po nakreśleniu sprawy przez Bogusię Sierpińską, po raz pierwszy pozwolono jej na bezpośredni kontakt z „Gertrudą”.

<sup>47</sup> Zygmunt Janke ps. „Walter” – urodzony 21 lutego 1907 roku w Chojnach (obecnie Łódź), zmarł 25 lutego 1990 roku w Pabianicach; generał brygady Wojska Polskiego, żołnierz ZWZ i AK, ofiara represji stalinowskich, doktor nauk humanistycznych, historyk, działacz polityczny, kawaler Orderu Virtuti Militari.

Nazajutrz w spojrzeniu swojego dowódcy próbowała wyczytać przyszłość Andreeasa Lukschy. Tym razem, gdyby tylko mogła, zakneblowałyby usta przeczuciom.

\*\*\*

Wielka metalowa klamka, na której dłoń Haliny wyglądała jak delikatny płatek róży, była gładka i lodowata. Zimny dotyk przedmiotu powędrował przez skórę palców wzdłuż ramion, a potem do serca, i nie zatrzymując się, zastygł dopiero na policzkach nieprzyjemnym, łaskocząco-kłującym skurczem. Zaskrzeczały chwiejące się na zawiasach wrota drewnianej bramy. Kłębowna minęła ją w towarzystwie czarno-białej brzemiennej kotki, która musnęła jej nogi ciepłą

puszystością. Była szersza niż dłuższa; wyglądało na to, że tegoroczne „marcowanie” minie młodej mamie na karmieniu sporego przychówku. Przez chwilę miała ochotę przykucnąć, chwycić zwierzaka w ramiona i wtulić twarz w miękkie futerko.

Zagracone niewielkie podwórko, przykryte brudnym płaszczem pośniegowego błota, sprawiało przygnębiające wrażenie. Kotka, która jeszcze przed chwilą ocierała się o jej pończochy, mruczając, w kilku zgrabnym susach znalazła się na parapecie konstrukcji wyglądającej na skleconą z byle czego szopę. Naprzeciw stała parterowa dobudówka, a oba budynki łączył niski, lekko pochylony płot, za którym Halina widziała już tylko puste w tej chwili pola i majaczącą w oddali szarą linię lasu.

Zawiesiła wzrok na firance w jednym z okien. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że czyjaś ręka delikatnie zmienia jej położenie...

– A panna czego tu? Drogę zgubiła?

Głos mężczyzny, który wypełnił niewielką przestrzeń podwórza, był więcej niż nieprzyjemny; przecisnął się przez krtań, jakby ta najeżona była utrudniającymi oddech i mówienie kolcami.

– A może przyszła kraść, co?! – Ostatnie słowo wypowiedziane zostało tak głośno, że usłyszała jego suche, chropowate echo.

– Przepraszam za najście...

– Zarobić trzeba na chleb, a nie po prośbie! – Mężczyzna zaniósł się kaszlem. – A i tak by my nie dali, bo sami suchy w wodzie moczym, żeby zapchać pusty kałdun. Idź panna gdzie indziej!

– Jestem krewną Andreeasa Lukschy. – Halina łagodnym tonem spróbowała wyprowadzić mężczyznę z błędu. – Mówił, że tu właśnie wynajmuje pokój. Czy źle trafiłam?

Mocno zgarbiony starzec stał dwa metry od niej, podpierając się grubym kijem. Dostrzegła, że prymitywna laska, która w każdej chwili mogła się zamienić w narzędzie ataku, drżała, wprawiana w ruch pomarszczoną, prawie czarną dłonią.

– Może odnajmuje, a może nie. A skąd mnie znać, czy ona prawdę mówi? – Zbliżył się do dziewczyny o krok. – Panna powtórzy, kogo niby szuka.

Do jej nozdrzy dotarł zapach roboczych ubrań i dymu z kuchni opalanej drewnem. Powtórzyła nazwisko przyjaciela i dodała krótką charakterystykę Lukschy. Przez dłuższą chwilę gospodarz mierzył Halinę wzrokiem.

– Jakby tu nawet kiedy mieszkał, to i tak go panna nie znajdziesz w chałupie. – Stary kiwnął nieogoloną brodą w kierunku przybudówki, po czym poprawił sobie na głowie brudną czapkę.

– Wiem, bo to on mnie tu przysłał – tłumaczyła. – Andreas zachorował. Na tyle poważnie, że jeszcze przez wiele tygodni nie będzie mógł podnieść się z łóżka. Jadę prosto od niego – brnęła, niezrażona grymasami gospodarza. – Mój kuzyn przeze mnie bardzo prosi, by zapewnić pana, że kiedy tylko stanie na nogi, przyjedzie tutaj, ponieważ bardzo dobrze mu się u pana mieszka. To jego słowa. I żeby nie oddawał pan kwatery komuś innemu, bo on wróci. – Tak bardzo chciała, żeby to kłamstwo stało się faktem. – Mam pieniądze! – Postanowiła użyć ostatecznego argumentu, widząc, że mężczyzna wyraźnie wietrzy podstęp. – Za cztery miesiące z góry.

Kostur znieruchomiał na kilka sekund.

Dołożyła jeszcze historyjkę o ulubionych lekturach oraz konieczności zabrania bielizny, niezbędnej dla rekonwalescenta, opowiedzianych płaczącym, pełnym dramatyzmu tonem, i w końcu mogła zamknąć się na chwilę w czterech ścianach Lukschy.

Mieszkali tak blisko siebie... Z kaliskiego rynku do podmiejskich zabudowań, gdzie ZWZ ulokował jej przyjaciela, można było dotrzeć szybkim marszem w niecałe pół godziny. A jednak miejscem ich spotkań nigdy nie było to lokum, które wydawało się jej znajome i bliskie, choć była tu pierwszy raz. W skromnej, porządnie uprzątniętej izbie poruszała się sprawnie, pakując do zabranego z sobą neseseru wszystko, co mogłoby dostać się w niepowołane ręce, a tym samym zachwiać

stabilnością jej organizacji. Wierzch pakunku wyłożyła kilkoma sztukami odzieży, wyciągniętej z dna prostej szafy, na wskroś przeżartej przez korniki. Szereg pustych wieszaków zamykał jeden z białą męską koszulą, czystą i starannie wyprasowaną.

Poczuła tak silny ucisk w okolicach klatki piersiowej, że przez moment cały świat wokół niej zawirował. Żeby nie upaść, chwyciła się oburącz mebla. Gdy zawroty głowy ustały, najpierw zdjęła z siebie palto i wełniany bezrękawnik, potem szarpnęła za koszulę Andreeasa i błyskawicznym ruchem założyła ją na bluzkę. Drżące palce nie chciały jej słuchać i wydawało się, że zapinanie guzików trwało w nieskończoność. Podwinęła sztywne mankiety i objęła się ramionami. Zamknęła oczy. Chciała zmówić modlitwę o cud ocalenia, ale umysł przeraził ją bezwzględną pustką. Wpadła w panikę, wystraszona własną reakcją. Ze łzami w oczach zakładała na siebie zimowy płaszcz. Męska koszula nie dotykała jej ciała, w szyję ledwie drapał za szeroki kołnierzyk, ale świadomość, do kogo należało ubranie, uspokoiła ją w końcu; wewnątrz zmiękła, jakby dopiero od tej chwili naprawdę zaczął liczyć się czas. „Gdziekolwiek jesteś – pomyślała – jestem przy tobie...”. Otuliło ją wewnętrzne ciepło.

Wychodząc z mieszkania, zderzyła się z kobietą, która mogła być w wieku jej matki. Oczy nieznajomej były nienaturalnie rozszerzone, usta półotwarte, tłuste, siwiejące, skołtunione włosy okalały pociągłą twarz o niezdrowym kolorycie. Kobieta, podobna bardziej do upiora niż do człowieka, wpatrywała się w Halinę, jakby chciała przeświecić jej myśli.

– Powiedz mi, że on żyje! – Rzuciła się w stronę dziewczyny z wyciągniętymi rękoma.

Dopiero teraz Kłębówna zauważyła, że dłonie kobiety są całe czerwone, jakby chwilę temu miały kontakt z czymś ostrym i twardym. Dziewczyna zrobiła krok w tył.

– Dlatego przyszłaś?! – Krzyk nieznajomej przeszedł w jęk. – Żeby mi powiedzieć, że moje dzieci żyją?



– Nie wiem, o czym pani mówi. Ja... – Halina plątała się zaskoczona.

– Napisali, że wszyscy trzej zginęli za *Führera* i Trzecią Rzeszę, ale ja w to nie wierzę! To kłamstwo!

Kobieta trzęsła się cała i próbowała rozwinąć brudną, zmiętą kartkę.

– To dobre dzieci, lepszych synów nikt nie ma... – Usta kobiety, spękane do krwi, poruszały się jak w delirium. – Przyszłaś powiedzieć, że to pomyłka, tak? Widziałaś ich. Mów!

Nieznajoma wczepiła się boleśnie w przedramiona Haliny. Nastolatka czuła na twarzy nieświeży oddech swojej rozmówczynie, a raczej agresora.

– Proszę wybaczyć, nie znam pani synów i nigdy ich nie widziałam...

Kobieta patrzyła na Halinę niewidzącym wzrokiem. Nagle zacisnęła usta i wydawało się, że odejdzie, zrozumiawszy, że kierowała swoje pytania pod niewłaściwy adres.

– Hitler nie będzie kroczył po dywanie z krwi moich dzieci! – zaskowyczała nagle nieznajoma, a Halina zobaczyła w jej oczach pragnienie zemsty o sile potężnego wulkanu. – Prędeż utopi się w niej, a my, matki, będziemy wdeptywać go w niego własnymi butami! Thomas! Uwe, Paul!

Halina odepchnęła od siebie wyjąca z bólu kobietę i rzuciła się w stronę bramy. Już na ulicy rozłożyła wilgotny od potu świstek papieru, wciśnięty chwilę temu w jej dłonie. Miała przed sobą „N-ową” odezwę, którą znała na pamięć:

*Kto chciałby żyć dalej w tym piekle i spokojnie czekać na śmierć? Każdy z nas ma żonę i dzieci albo matkę i ojca, chce i musi dla nich żyć. [...] Dlaczego mamy w tej rosyjskiej zafajdanej wojnie ginąć nędznie? [...] Przecież my nie chcieliśmy żadnej wojny<sup>48</sup>!*

<sup>48</sup> Cyt. za: *Akcja N: wspomnienia 1941–1944*, pod red. Haliny Auderskiej i Zygmunta Ziółka. Czytelnik, Warszawa 1972.

\*\*\*

Gdy on umierał, ją pochłaniały same przyziemne sprawy: odebranie pończoch z punktu repasacji, zacerowanie wysłużonych rękawiczek, bo

wciąż nie było jej stać na nowe, na koniec zadbanie o urodę w przededniu nowej pracy – obcięła warkocze, cudem zdobyła szminkę – ot, zwykłe rzeczy, mniej lub bardziej potrzebne do życia. Tego dnia nie pracowała nad raportem, nawet nie myślała o żadnym z nich, jak gdyby na te dwadzieścia cztery godziny zrobiła sobie wakacje od konspiracji.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego Bóg nie szepnął jej słowa, że on, Andreas, stoi tam i marznie w jednej tylko koszuli, szukając znajomego spojrzenia, ratunku. Może ich myśli nie połączyły się właśnie dlatego, że mężczyzna czuł ten przeraźliwy chłód?! Stałoby razem! Wtedy wszystko byłoby prostsze, może nawet tak jak trzeba...

– Pani Halino?

Jeszcze nic nie widziała, nie słyszała; oczyma duszy czuła tylko dziwny płas babiego lata z kosmykami jego jasnych włosów. Tylko dlaczego tak zimno, tak straszno...

Przed oczami błysnęła jej krew.

– Pani Halino! Dobrze się pani czuje?

„To nie krew – pomyślała zdziwiona. – To tylko wino... Ale dlaczego tak?”.

Łagodny tembr głosu kapitana Zygmunta Jankego powoli wyciągał ją z otchłani. Po dłuższej chwili, w czasie której usilnie starała się nie wymiotować, znów była w Łodzi, na General-Litzmann-Straße, w mieszkaniu pod numerem 31, gdzie w zastępstwie „Jacka” zjawiała się z dostarczaniem regularnie meldunkami.

Spojrzała na swojego dowódcę, który powierzył jej rejon Lukschy niedługo po wpadce. Pierwszy raz widziała w oczach tego mężczyzny tak dużo troski i ciepła. Zwykle trzydziestopięcioletni wojskowy o łagodnych rysach twarzy i chłopięcym spojrzeniu skupiał się na jasnych, konkretnych poleceniach, wydawanych stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. W tej chwili miała przed sobą przede wszystkim człowieka, który stracił kogoś bliskiego.

Cały ten czas drżała w niej nadzieja, że zdarzy się cud i że na koniec wszystko potoczy się starym, bezpiecznym torem. Przez tyle tygodni przemierzała ścieżki swojego towarzysza broni i przyjaciela, a jednak żadna z nich nie zawiodła jej do Zgierza, na plac Stodół, gdzie 20 marca w odwecie za śmierć dwóch funkcjonariuszy Gestapo w publicznej egzekucji, rozstrzelano stu Polaków – cztery kobiety i dziewięćdziesięciu sześciu mężczyzn. Wśród zabitych był Andreas Lukscha, jej „Jacek”...

Wzięła głęboki oddech. Nie czuła łez pod powiekami, pierś paliła jedną wielką raną. Co teraz?

– Jego śmierć dotknęła nas wszystkich. – Janke przyglądał się kobiecie ze smutkiem w oczach. – Zginął nie tylko doskonały żołnierz, ale przede wszystkim ktoś, kto potrafił nauczyć wiary w zwycięstwo. Jestem pewien, że ogrom pracy, którą wykonał dla Polski, przybliżył nas do triumfu.

Halina wciąż unosiła się w jakimś innym wymiarze, ale sens słów kapitana docierał do niej już niezakłócony. Nie... Nie zapadnie się w nicość! Ucieczka w rozpacz byłaby zbyt łatwa w stosunku do tego, przez co musiał przejść Andreas, on... nie pochwaliliby odwrotu. W tej chwili tylko to miało znaczenie.

– Czy wiadomo coś więcej? – zapytała już całkiem przytomnie, choć zarejestrowała chropowatość w swoim własnym głosie, jakby jej dusza wyszła na wiór. – Jak...? – Pytanie o zachowanie przyjaciela w czasie śledztwa jednak nie chciało jej przejść przez gardło. Odchrząknęła tylko i uciekła wzrokiem w stronę okna.

– Nic ponad to, co przekazałem pani miesiąc temu. Próbowali go złamać chyba na wszystkie sposoby, ale... – Akowiec zrobił krótką pauzę, pozwalając, by spokojnie upiła kilka łyków nalewki, która smakowała zaskakująco dobrze. – ...milczał do końca.

Za uchylonym oknem para sikorek wirowała wokół siebie w górę i w dół. Ptaki dotykały się skrzydłami, hałasowały; ich energia i wspólny

rytm były jak niewidzialny most pomiędzy śmiercią a życiem. Nie powinno się chodzić po nim samotnie.

– Był... jedną z niewielu osób, do których miałem bezgraniczne zaufanie. Żałuję, że w taki sposób przyszło mi się przekonać, iż nie myliłem się co do niego – mówiąc to, Janke wstał i obszedł niewielkie biurko, po czym przysiadł na jego brzegu.

Jeszcze kilka minut temu widziała w oczach mężczyzny niemal ojcowską łagodność, teraz pojawił się w nich rodzaj władczości, której nie zamierzała się przeciwstawiać.

– Pani zaangażowanie cenię równie mocno. – Służbowy ton zmusił ją do skierowania wzroku w stronę mężczyzny. – Dlatego podjąłem decyzję, w myśl której przejmie pani teren oraz wszystkie obowiązki „Jacka”. Wiem, że to mnóstwo pracy, odpowiedzialnej i bardzo niebezpiecznej, ale jestem pewien, że zawierzam to brzemie komuś, kto je udźwignie.

Halina się wyprostowała, zaciskając usta.

– Nie będzie się już pani posługiwać pseudonimem „Ryszard”. – Janke lekko zmrużył oczy. – Od tej chwili stoi przede mną „Jacek II”. To imię ma być nie tylko synonimem pełnej lojalności, ale także stanie się jednością z pani duszą, naturą tak człowieka, jak i żołnierza.

Przez jej ciało przetoczyła się fala gorąca.

– Czekam na rozkazy – zareagowała opanowanym głosem.

– Zatem... – Kapitan Zygmunt Janke podniósł się ze swojego miejsca i wrócił za biurko, opierając czubki palców dłoni o blat wysłużonego mebla. – ...jest pani dla nas zbyt cenna, aby po dwóch latach nienagannej służby oraz tak świetnie zdanej maturze utknąć w jakiejś dziurze, pełniąc służbę we *Flugmelde Dienst*<sup>49</sup>, czy co tam jeszcze Niemiaszki wymyślą dla świeżo upieczonej maturzystki. Nasz plan dotyczący pani najbliższej przyszłości jest następujący...

<sup>49</sup> Służba meldowania o namierzonych samolotach wroga. Stan osobowy stacji radarowej pierwszej kategorii wykrywania samolotów wroga liczył od 250 do 300 osób. Większą część tych

jednostek stanowiły tzw. *Nachrichtenhelferinnen*, czyli kobiety pełniące służbę pomocniczą w niemieckim wojsku.

Była gotowa na wszystko.

# Rozdział 8

*Wprowadzam w całym Kraju Warty zakaz sprzedaży Polakom owoców, kalafiorów, szparagów i cebuli.*

Arthur Greiser, Namiestnik Kraju Warty, 16 marca 1942 roku

*Proponuję, aby do końca wojny Polacy w Kraju Warty nie mogli zawierać małżeństw i zostali oznakowani na wzór Żydów [...].*

Friedrich Übelhör, Prezes Rejencji Kaliskiej, 20 maja 1942 roku

*Na terenie szpitali odgrywały się dramatyczne sceny. Próby ucieczki likwidowane były krwawo: kto próbował ratować się ucieczką, a został przez władze spostrzeżony, musiał opłacić to życiem.*

Kronika getta łódzkiego, 1 września 1942 roku<sup>50</sup>

<sup>50</sup> Do ośrodka zagłady w Chełmnie nad Nerem zostali wywiezieni wszyscy chorzy ze szpitali getta (1–3 września 1942 roku). Za: Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

Drobiąca przed Haliną niska, przeraźliwie chuda kobieta, która mogła mieć równie dobrze trzydzieści, co sześćdziesiąt lat, prowadziła ją wąskim korytarzem w stronę wyjścia z budynku. Za dyrektorką wiejskiej szkoły w podkaliskich Piwonicach, w których jutro osiemnastolatka rozpocznie pracę początkującej nauczycielki, ciągnął się silny zapach potu i długo niepranych ubrań. Kłęb odruchowo wstrzymała oddech i przyspieszyła kroku, żeby zrównać się z przewodniczką.

Była zmęczona i przemarznięta. Dotarła do wsi na koźle rozklekotanej furmanki, a ostatnie kilometry pokonała pieszo, czując, że niewielka walizka ciągnie ją boleśnie ku ziemi. Teraz myślała już tylko o łóżku. Uporczywy deszcz ze śniegiem sprawił, że wychłodzone ciało domagało się przede wszystkim ciepła, a zaraz potem długiego odpoczynku – kolejny dzień powitać powinna zwarta i gotowa.

W ślad za kobietą Halina wyszła na zewnątrz, rozglądając się za ścieżką prowadzącą na tyły szkoły – spodziewała się, że wejście do służbowego mieszkania znajduje się gdzieś za załomem szkolnego muru.

Dyrektorka zatrzymała się u podnóża schodów i podała Halinie rękę na pożegnanie.

– Proszę być punktualnie o szóstej trzydzieści. Jest jeszcze parę spraw do omówienia, a przecież to pani ma czekać na dzieci, a nie one na panią.

– Oczywiście, rozumiem. Stawię się na czas – zapewniła Halina, wciągając w nozdrza żywiczny aromat świeżej tarcicy. Skąd się tu wzięła ta miła wonna odmiana? – A klucz? – zagaiła, widząc, że kobieta zamierza zostawić ją samą.

– Jaki klucz? – Kostyczna Niemka zmarszczyła ledwie widoczne, mocno przerzedzone brwi.

– Od mojego pokoju. Rozumiem, że jest gdzieś w podwórzu.

– Och! – Twarz kobiety rozjaśnił blady przepaszający uśmiech. – Remont sprawia, że przestaję myśleć!

Kobieta uniosła rękę, wskazując swojej rozmówczyni niekompletny dach budynku. Halina dopiero teraz połączyła zapach świeżego drewna i budowlany rozgardiasz wokół szkoły z tym, co działo się powyżej stropu. Niewielka część pokrycia świeciła w tej chwili gołymi belkami. Nie zwróciła na to uwagi, wchodząc do szkoły pół godziny wcześniej, zaaferowana czekającym ją nowym zadaniem oraz zorganizowaniem sobie wygodnych, bezpiecznych warunków do jego zrealizowania.

– Na szczęście nasz wspaniały sąsiad zgodził się przyjąć panią pod swój dach do czasu, aż skończy się cały ten bałagan! – Cienkie, drgające lekko palce dłoni dyrektorki kojarzyły się Halinie z niecierpliwym ruchem pajęczych odnóży.

Miała nadzieję, że udało się jej dobrze ukryć obrzydzenie, jakie budziła w niej ta niezgrabna, choć w sumie nawet dość uprzejma kobieta.

– To cudowna rodzina – kontynuowała Niemka. – Jestem pewna, że będzie się pani dobrze czuła w gościnie u *Obersturmbannführera* Vigro.

„A to niespodzianka” – pomyślała Halina, unosząc brwi. Jeszcze miesiąc temu taka informacja wywołałaby u niej natychmiastową panikę, której przekucie w efektywne działanie kosztowałoby ją mnóstwo energii. W tym momencie poczuła jednak tylko nieprzyjemny język

chłodu, który nagle smagnął jej serce. Gdy odpuścił, dotarło do niej, że los wykonał już za nią część zadania, nad którym pochylała się od wielu dni. Piastując posadę wiejskiej nauczycielki, musiała bowiem w maksymalny sposób wykorzystać pracę do konspiracyjnych celów. Jednym z najważniejszych mogło się stać właśnie patrzeć na ręce *Obersturmbannführerowi* Beno Vigro.

Walter-Janke, wysyłając ją na tę misję, scharakteryzował go krótko:

– To absolwent uczelni rolniczej w Królewcu, ale pochodzi z twojej Łodzi. Obecnie, co jest dla nas niezwykle istotne, pełni obowiązki szefa *Siedlungsamtu Kalisch*.

– Co konkretnie mam robić w tych całych Piwonicach? – zapytała Halina.

– Ma się pani do niego zbliżyć na tyle, na ile się uda. – Kapitan uciekł wzrokiem, jakby wypowiedane słowa miały drugie dno, o którym nie wypadało mu nawet pomyśleć. – Halino, masz rozpracować mężczyznę decydującego o likwidacji Żydów oraz o wysiedleniach Polaków z ziemi kaliskiej i zasiedlaniu jej ludnością niemiecką. To paskudny człowiek, wykonujący nie mniej paskudną robotę.

Wzdrygnęła się na wspomnienie tej rozmowy. Miała więc zamieszkać w samym gnieździe żmij. Zamieszkać i oczywiście nie dać się pokąsać... Czy czuła strach? Nie, to było coś zupełnie innego... Rodzaj pokaleczonej radości, że jeśli odnajdzie ją tam śmierć, to będzie ona zaledwie wyzwoleniem, słodkim wygnaniem ze świata, który odwraca się od boskiego oblicza.

„Żmijowisko” było dworem, z którego krótko po wybuchu wojny wysiedlono jego prawowitych, polskich właścicieli. Nowymi okazała się rodzina urodzonego w Łodzi Beno Vigro, dziś wysokiego urzędnika Trzeciej Rzeszy, kochającego ojca trójki dzieci. Jedną z pociech obecnego władcy ziemi kaliskiej – siedmioletniego chłopca – Halina miała od jutra edukować...



Nie mogła sobie nawet wyobrazić, co może czuć ktoś, kto zmuszony jest zostawić za sobą cały dorobek życia. „Tak piękne dzieło!” – myślała, mijając otwartą na oścież kutą bramę. Środek obszernego dziedzińca, wydzielony od reszty podwórza grubo ciosanymi kamieniami, tworzył urokliwą łączkę, kwitnącą w tej chwili na fioletowo. O tej porze roku mogły to być tylko krokusy.

Halinie przypomniała się obietnica matki – gdy swego czasu oglądały wspólnie fotografie wiosennych tatrzańskich łąk, ta zapewniała, że zobaczą to kiedyś na własne oczy. Rozpalona z emocji, przyrzekała wówczas matce, że tego dnia będzie najszczęśliwszą dziewczynką na świecie.

Teraz ten barwny magnetyzujący kobierzec wcale nie był przedstonkiem ziemskiego raj, choć na dobrą sprawę tak właśnie mógłby wyglądać. Pod niskimi, błyszczącymi czystością oknami głównego budynku wychylały z ziemi swoje szarawe główki kępy tulipanów. Starannie wygrabione czarne podłoże ładnie kontrastowało z nieskazitelną bielą elewacji. Po obu stronach dworu rozmieszczono – na oko świeżo odmalowane – budynki gospodarcze. Gdzieś z głębi jednego z nich dochodził kwik świń, w wydzielonej części posesji kręciły się kury i kilka kaczek. Gdy spojrzała w lewo, zobaczyła otwarte wrota stajni i dwóch rosnących mężczyzn oglądających końskie kopyta. Oprócz willi stajnia zdawała się największym z budynków tworzących dworski kompleks; w środku musiało się znajdować więcej zwierząt, rzenie co najmniej kilku z nich słyszała bardzo wyraźnie. Wolne przestrzenie frontu majątku zajmowały olbrzymie lipy; owocowy sad pysznił się zapewne z drugiej strony dworu.

W sercu kwitnącego dywanu kucała kilkulatka. Mała zrywała kielichy kwiatów i upychała je z zapamiętaniem w małej dłoni. Halina przyspieszyła kroku. Chrząst przesuwających się pod jej stopami drobnych kamyczków zwrócił uwagę dziewczynki. W jej spojrzeniu Halina dostrzegła ciekawość i odrobinę rezerwy. Niewykluczone, że było jej dużo więcej, ponieważ w pewnym momencie dziecko podniosło się

ze swojego miejsca, by w kilka sekund z głośnym „papa” na ustach zniknąć we wnętrzu willi.

W chwili gdy w podwójnych drzwiach dworku pojawiła się smukła sylwetka dobrze zbudowanego przystojnego szatyna w mundurze oficera SS, usłyszała tętent kopyt, a zaraz po nim męskie krzyki. Kątem oka zarejestrowała szybki ruch, coś zmierzało w jej stronę. Zanim zdążyła pomyśleć, co może to dla niej oznaczać, poczuła silne szarpnięcie za ramię i zaraz po nim aksamitny dotyk liliowych płatków na policzku. Barwny dywan i rozpulchniona wiosenną wilgocią ziemia zamortyzowały upadek, który uchronił ją od stratowania przez ewidentnie przestraszone czymś zwierzę.

*Krokusy wyskakują z ziemi  
jak wiolinowe nuty,  
a panny się chylą nad niemi  
i z nut układają bukiet<sup>51</sup>.*

<sup>51</sup> Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Krokusy*, z tomu *Pocałunki*, Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa 1926.

Słowa poetyckiej miniatury, wyczytanej w jakimś przedwojennym periodyku, zatańczyły wokół niej wspólnie z aromatem kwiatów. Mężczyzna, któremu zawdzięczała całą głowę, a może i życie – skonstatowała w myślach przewrotność losu – pomógł jej się podnieść.

– Dziękuję – wydukała, sprawdzając naprędce stan garderoby i włosów.

– *Fräulein* Klomb? – pytanie zadał właściciel ładnej śniadej cery i zatroskanych oczu.

Skinęła głową, rejestrując jednocześnie bolesne otarcie skóry na prawym nadgarstku.

Zza pleców Vigro nieśmiało wychyliła się dziewczynka. Pukle jasnych włosów, wysuwające się spod bereciku, przesłaniały zabawnie jedno z ciekawskich oczek.

– Chyba nic mi nie jest... – dodała uspokajająco.

– Proszę więc podziękować tej oto damie, bo gdyby nie ona, nie byłoby co świętować. A tak... – Niemiec postawił córkę przed sobą. – ... wszyscy mamy dziś dużo szczęścia.

– O tak! – Halina skwapliwie zgodziła się ze swoim wybawicielem. – Wygląda na to, że dobrze jest mieć państwa odpowiednio blisko. – Skrzywiła się wewnętrznie na dźwięk własnego kłamstwa.

Mężczyzna wskazał ręką na front willi.

– Czekaliśmy na panią. Zapraszam do środka – powiedział, biorąc walizkę Haliny i puszczając kobietę przodem.

Kłęb poczuła na plecach baczne spojrzenie gospodarza. A po chwili również ciepło drobnej dziecięcej rączki chwytającej ją nieśmiało za obolałą dłoń.

Ile jeszcze twarzy mogą mieć słowa „szczęście” i „wróg”? W ciągu następnych tygodni zadawała sobie to pytanie nader często.

\*\*\*

Znów długo nie mogła zasnąć, a na domiar złego podobna sytuacja powtarzała się od początku jej pobytu w Piwonicach. Wszystko przez głośnie, monotonne dźwięki kolejowych taborów, sunących już któryś tydzień z rzędu z zachodu na wschód. Dworek, w którym przyjmował ją Vigro, leżał blisko magistrali łączącej Berlin ze Wschodem, tory szły aż do Smoleńska. Pewnie przed laty jeździły tą trasą rzesze turystów, dziś jednak Trzecia Rzesza wypuszczała już tylko zastępy swoich junaków, mających za zadanie podbić i ujarzmić rosyjskie ziemie i zamieszkujący je naród. O ile w dzień stukot kół wagonów z dostawami broni i amunicji oraz śpiewającymi dziarsko żołnierzami ginął w ogólnym zgiełku, o tyle w nocy sąsiedztwo torowiska stawało się nad wyraz uciążliwe.

Halina leżała, nasłuchując nie tylko odgłosów za oknem, ale i tego, co działo się w domu. Gospodarz wyjechał gdzieś wczesnym popołudniem, zapowiadając, że wróci dopiero nazajutrz rano. Był sumiennym urzędnikiem, niewiele zwykł pozostawiać przypadkowi, a powierzone mu obowiązki wypełniał bardzo skrupulatnie. Stąd częste nieobecności,

które – jak usłyszała od Elwiry, pomocy kuchennej, z którą szybko znalazła wspólny język – odbiły się na małżeńskiej sielance państwa Vigro. Podpułkownik był świeżo po rozwodzie, a mając zapewnioną opiekę nad dziećmi, mógł ze swobodą poświęcić się pracy i dbaniu o własną karierę.

Jak zwykle wykorzystała tę okazję do myszkowania w jego papierach. *Obersturmbannführer* większość dokumentów trzymał na wierzchu, tylko jedna z szuflad solidnego biurka zamknięta była na klucz. Ale i z tym poradziła sobie dość szybko, wykorzystując specjalnie wykrzywiony metalowy pręcik, przygotowany na tę okoliczność przez chłopców z akowskiego wywiadu. Wytrych normalnie udawał spinkę do włosów, niemniej spisywał się znakomicie także i w tej mniej oficjalnej roli.

W szufladzie nie znalazła jednak nic ciekawego, oprócz pistoletu, zapewne zabezpieczonego tu w obawie przed dziecięcą ciekawością. Więcej do niej nie zaglądała, bojąc się, że Vigro zauważy ślady manipulowania przy zamku. Woląca nie kusić losu, tym bardziej że o wiele ciekawszych odkryć dokonać mogła niemalże z marszu – listy przesiedlonych, skoroszyty pełne zapisków o zajętych majątkach, nieruchomościach czy innych dobrach materialnych, przejętych przez Niemców w majestacie nazistowskiego prawa. Trafiała także na pieczołowicie wynotowane nazwiska Żydów, obejmujące całe rodziny, uzupełnione danymi o posiadanej biżuterii, meblach, odzieży czy dewizach. Smutna to była lektura, świadectwo zagłady całej społeczności – jeszcze z czasów nauki w kaliskim gimnazjum Halina bowiem pamiętała, że z kilkudziesięcotysięcznej grupy ostało się ich wkrótce kilkuset, a ostatni z tej gromady dokonywali właśnie żywota w Litzmannstadt Ghetto. Ich domy Vigro zasiedlił nowymi, niemieckimi lokatorami, przybyłymi do *Kalisch* po 1939 roku. Dowód na rozmiar wojennych zbrodni miała zatem przed sobą i to w prawdziwie niemieckim, bo prowadzonym porządnie, w sposób usystematyzowany i dokładny, zbiorze dokumentów.

Popołudniem spisała część korespondencji, którą Vigro otrzymał w tym tygodniu. Nie miała dość czasu na dokładne przestudiowanie zawartości wszystkich kopert i teczek, dlatego z rozmysłem zostawiła to na noc. Grube, sięgające do ziemi zasłony, w jakie zaopatrzone były okna gabinetu, nie przepuszczały nawet małego błysku światła, mogła się więc czuć bezpiecznie. Dzieci dawno już spały, przypilnowała tego – zresztą i teraz, wytyżając słuch, nie odnotowała aktywności żadnego z domowników. Gospośia – stara, pomarszczona Gundel, jej pomocnica Elwira i ogrodnik Johann mieszkali w zabudowaniach położonych nieco dalej. Nikt więc jej nie niepokoił, zwyczaje panujące w gospodarstwie rozpracowała na samym początku pobytu w podkaliskim majątku.

Cicho zeszła na dół, dla niepoznaki zahaczając o kuchnię, w której przysiadła na chwilę, by wziąć kilka łyków wody. W swojej wywiadowczej pracy była wierna zasadzie, by żadnych dokumentów nie wynosić z pomieszczenia, w którym je znalazła. Uznała, że bardziej przekonujące w momencie wpadki będzie jakiegokolwiek, nawet naprędce sklecone tłumaczenie. Jeśli jednak złapaliby ją z dowodem w rękę, w najlepszym wypadku dostanie kulkę w łeb. I to jeśli los będzie łaskawy, w przeciwnym razie czekałoby ją przesłuchanie w kaliskiej siedzibie Gestapo. Wiedziała, z czym się to wiąże.

Vigro nie miał nic przeciwko, by lekcje jego syna odbywały się w cichym, ale i zarazem dobrze nasłonecznionym i przestronnym gabinecie. Z rzadka, ale jednak zdarzało się, że siadał w kącie w fotelu i przysłuchiwał się zajęciom. Czasem komplementował ucznia, częściej miłe słowo adresował do nauczycielki. Dla Haliny ważne było jedno – zgoda na przebywanie w tym newralgicznym miejscu i możliwość pracy przy ogromnym biurku *Obersturmbannführera*. Dlatego jeśli ktoś czułby potrzebę zapytania, co właściwie robi w tym miejscu pod nieobecność gospodarza, na podorędziu czekała już gotowa formuła – przygotowuję jutrzejszą lekcję, maluchy czeka trudny sprawdzian!

Jak na razie nikt nie kwestionował jej metod, nikomu też nie musiała się tłumaczyć. „Oby tak dalej” – westchnęła cicho i przeszła do gabinetu, by dokończyć pracę. Rozłożyła swoje szpargały na blacie, na wypadek,

gdyby jednak zjawił się tu niespodziewany gość. Szybko przejrzała stosik korespondencji, gdzie jej uwagę przykuł telegram z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, informujący o rychłej wizycie licznej grupy urzędników z Berlina. Szczegółów nie podano, Halina się domyśliła, że te przekazane będą telefonicznie lub w kolejnej wiadomości. Odnotowała informację, przepisała też kilka innych, bardziej treściwych. Organizacji zależało na jak najbardziej szczegółowych raportach i takie też starała się przekazywać, zawierając w nich kulisy pracy podpułkownika, podejmowane przez niego decyzje, otrzymywane instrukcje i rozkazy. Było tego naprawdę sporo, tym bardziej że, nie mając pojęcia, co się okaże istotne i przydatne polskiemu wywiadowi, gromadziła wszystko, co wpadło jej w ręce. Starała się przy tym zachować schemat, jaki wpoił jej „Jacek”.

– Zaczynamy od kwestii *stricte* militarnych, a więc rodzaje i wielkość zaobserwowanych jednostek, numery poczty polowej, a jak się da policzyć, to i liczba oficerów czy posiadane uzbrojenie. – Szkolił ją podczas jednego z pierwszych spotkań, przybierając poważny, trochę belferski ton. – W dalszej kolejności wspomnieć należy o przemieszczających się transportach, nastrojach panujących zarówno wśród żołnierzy, jak i miejscowej ludności niemieckiej.

– Mam ich tak po prostu przepytować? – Zachnęła się wtedy.

– Nie, to musi wyjść samo, w rozmowie. Zobacysz, ludzie czasem mówią więcej, niż chcą powiedzieć, musisz tylko być gotowa i czujna.

Ważne były również doniesienia o przemyśle, zwłaszcza zbrojeniowym. Centralę interesowało także, co się dzieje z polską ludnością – jaka jest skala represji, rozmiar przeprowadzanych przez okupanta aresztowań czy wywózek na przymusowe roboty. Zebrać to wszystko w logiczną całość i ubrać w słowa składające się na raport nie było zadaniem prostym. Halina uśmiechnęła się na wspomnienie Andreasa Lukschy, przywołując ostatnie chwile, jakie spędzili razem. Wiele by dała, żeby ten spacer mógł się powtórzyć...

Po jakimś czasie spojrzała na zegarek i z niezadowoleniem pokręciła głową. Było późno i powinna złapać choć trochę snu. Jutro też jest dzień i obowiązków jej nie ubędzie. Zebrała papiery i wróciła do siebie.

Sznur pociągów za oknem zdawał się nie kończyć – Hitler posyłał w bój niezliczone zastępy, pewnie zdając sobie sprawę, że zdobycie Moskwy jest kluczowe w jego szaleńczym planie podbicia świata. Halina nasłuchiwała się o konieczności znalezienia dla niemieckiego narodu nowych miejsc – *Lebensraum*. Miała nadzieję, że tym razem Niemcom powinnie się noga i operacja *Barbarossa*, o której wyczytała w dokumentach Vigro, spali na panewce. Choć hałas dobiegający zza okna mocno nadwyręzał tę wiarę – na Moskwę ciągnęły tysiące ton stali, ołowiu i wojska gotowego ginąć za *Führera*.

\*\*\*

Nie ulegało wątpliwości, że *Obersturmbannführer* Beno Vigro „przyjrzał się” jej bardzo dokładnie – nie co dzień wpuszcza się do swojego domu obcego, zapraszając go na dodatek do swojego życia, jak pełnoprawnego członka rodziny. Ziepult musiał więc wystawić jej doskonałą rekomendację, jeśli esesmanowi nie przyszło do głowy kopać głębiej w przeszłości młodziutkiej nauczycielki syna. A może wynikało to z wewnętrznego przekonania Vigro, iż żaden wywiad nie wykaże się brakiem ostrożności, umieszczając swojego agenta pod nosem wroga.

Obserwując dyskretnie swojego gospodarza, domyślała się, gdzie miały swoje źródło arogancja i zadufanie urzędnika *Kreisamt Kalisch* – Beno Vigro był człowiekiem przekonanym o swojej niezachwianej pozycji na politycznej scenie Trzeciej Rzeszy, personą o niesamowicie rozbuchanym ego, permanentnie lekceważącą działania przeciwnika. Była tego najzupełniej pewna, w przeciwnym razie mężczyzna już dawno przydzieliliby Halinie jakiegoś „anioła stróża”. Jednak od samego początku pracy w szkole towarzyszył dziewczynie tylko jeden cień – jej własny. Szybko zrozumiała, że jeśli nie wykorzysta tych sprzyjających jej zadaniu okoliczności, zrobi duży błąd, który w przyszłości może kosztować kraj jeszcze więcej niewinnych istnień – niemiecka machina

wojenna miała się przerażająco dobrze, miażdżąc ludzkie życie jak cienkie szkło.

To był prawdziwy cud, że Halina jeszcze ani razu nie zwątpiła w słuszność sprawy, o którą tak wytrwale zabiegała. Parła do wyznaczonego celu, wciąż pełna gniewu, zapiekłego żalu i obłądnej tęsknoty za swobodą, zdającą się trwać już tylko w snach, coraz rzadziej zresztą niosących ukojenie. Po śmierci „Jacka” szukała go wszędzie. Bezskutecznie. Czasem tylko miała wrażenie, że spowija ją wreszcie upragniony spokój, ale wkrótce się okazywało, że było to tylko wyczerpanie, wynikające z ogromnego napięcia, które towarzyszyło jej codziennie.

Już w pierwszych dniach pobytu w Piwonicach zorientowała się, że jeśli nie zorganizuje się inaczej, potrzebna jej będzie pomoc. Fakt, że nie знаła nikogo w okolicy, dodatkowo utrudniał sprawę. Problemem okazała się również liczba szkolnych zajęć, które miała obowiązek prowadzić, rano z niemieckimi, po południu z polskimi dziećmi. W efekcie tak napiętego planu dnia na konspiracyjną działalność mogła przeznaczyć wyłącznie niedziele. Dawała radę jedynie dlatego, że napędzały ją chęć zemsty i nienawiść. Już jako dowódca rejonu kaliskiego, pojawiała się co kilka dni w łódzkim i zduńskowolskim punktach kontaktowych, przeznaczając często na podróże nocne godziny, byle zdążyć na wspólne śniadanie z rodziną podpułkownika, a potem dotrzeć na lekcje przed pierwszym dzwonkiem. Jednak ten mocno nadwerężony układ sił mógł się na niej zemścić w każdym momencie.

O dziwo, Beno Vigro, zajęty dziećmi i własnymi obowiązkami, nie dopytywał szczególnie o czas, który Halina spędzała poza domem, skupiając się całkowicie na postępach w nauce najstarszej latorośli oraz doskonałym kontakcie całej trójki maluchów z młodziutką nauczycielką. Chyba tylko raz przemknęło dziewczynie przez myśl, że gospodarz traktuje ją wyjątkowo jeszcze z jednego powodu – aby w odpowiednim momencie zagarnąć ją tylko dla siebie. Nie miała doświadczeń z mężczyznami, więc trudno jej było uzyskać pewność, że uważne



spojrzenia Vigro mają swój konkretny, intymny cel. Niemniej coraz częściej czuła się w obecności gospodarza nieswojo, obawiając się momentu, w którym obserwujący dostrzeże w końcu coś więcej oprócz jej czysto zawodowego zaangażowania. Na szczęście finał remontu szkolnego poddasza był już naprawdę blisko, musiała wytrzymać więc „na wdechu” jeszcze jakiś czas.

Byle do przodu, byle do niedzieli, kiedy będzie można bezkarnie oddalić się na kilka godzin od nauczycielskich obowiązków, od bystrych spojrzeń i prowadzonych z sobą wewnętrznych dialogów – wręcz myślenia po niemiecku, by w chwili najwyższego zdenerwowania nie krzyknąć czegoś w ojczystym języku.

Najpierw Halina usłyszała podjeżdżające przed dom auto, potem trzaskające podwójne drzwi ganku i szybkie, zdecydowane kroki. Chwilę później względną ciszę w budynku przerwał nabrzmiały gniewem krzyk gospodarza:

– Jakim sposobem wciąż jest tutaj to polskie gówno!

Halina zawisła ciałem nad stosem szkolnych klasówek. Ani dziś, ani wczoraj nie odważyłaby się pracować nad raportami. Od dwóch dni panował w willi spory ruch. Z fragmentów rozmów służby i dziecięcych szczebiotów zorientowała się, że gospodarz spodziewa się w najbliższym czasie jakichś ważnych gości. Pilnowała się więc w dwójnasób, odkładając konspiracyjną robotę na bardziej sprzyjający moment. Czy niecodzienne zachowanie Vigro oznaczało, że coś przeoczyła?

Położyła dłoń na lewej piersi, czując i słysząc bicie serca, pracującego na najwyższych obrotach. Gest ten nie miał jednak na celu jego uspokojenia – instynktownie dotknęła miejsca, gdzie w małej kieszonce, wszytej starannie w bieliznę, ukryła fiolkę z cyjankiem potasu. Palce odszukały niewielkie wybrzuszenie i również zastygły. Wystarczyło tylko szybkim ruchem wyłuskać truciznę z fałdów tkaniny, wziąć ją do ust, rozgryźć i...

Cichy pisk sześciolatniej Marietty Vigro zmusił Halinę do odwrócenia się w stronę malucha. Mała lubiła przesiadywać w pokoju nauczycielki,

zasypując dziewczynę pytaniami albo po prostu bawiąc się w kacie lalką. Kłęb nie przeszkadzało towarzystwo grzecznej dziewczynki, a nawet było jej na rękę – wyraźnie ocieplało wizerunek tak w oczach samego Vigro, jak i wszystkich osób kręcących się wokół obejścia.

Dziś dziewczynka zabunkrowała się w sypialni Haliny w zasadzie od samego rana, z tą tylko różnicą, że zamiast lalek przyniosła ze sobą książkę, którą przez jakiś czas studiowały nawet razem. Mała poznawała zwyczaje ptaków, opisanych w pięknie wydanym polskim albumie ornitologicznym, Halina natomiast wykorzystwała „lekcję” do szlifowania niemieckiego. Kłęb domyśliła się, że zbiór rycin pochodził z biblioteki, która musiała się znajdować w zagrabionej przez Niemców willi. Od woźnego w piwonickiej szkole dowiedziała się, że poprzednim właścicielem posesji był polski lekarz...

Marietta chyba także przestraszyła się ojcowskiego głosu, bo najpierw spłoszona spojrzała na Halinę, a potem wsunęła się pod biurko. Coraz wyraźniej było słychać kroki gospodarza. Dało się również wychwycić kilka wydanych ostrym tonem poleceń. Chwilę później w pomieszczeniu rozległo się spokojne pukanie do drzwi.

Śmierć zawsze kołacze tak cicho?

– Proszę – odpowiedziała szybko Halina, wstając od biurka.

Beno Vigro wszedł do pokoju i omiół przestrzeń uważnym spojrzeniem.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale szukam takiego jednego szkraba, który jest winien bałaganu przy wejściu.

Halina wolno wypuściła powietrze. Gdzieś za jej plecami potrójne kichnięcie zdradziło kryjówkę sześciolatki.

– I znalazło się domowe tornado! – Mężczyzna splótł dłonie za plecami, kierując spojrzenie w stronę biurka, spod którego dochodziło ciche szuranie.

Kłębówna przesunęła się o pół kroku, żeby ojciec mógł lepiej zobaczyć córkę. Cieszyła się, że esesman nie był zainteresowany jej osobą.

Odetchnęła z ulgą.

– Marietto, wyjdź, proszę – zabrzmiała surowa prośba.

Odpowiedziała mu cisza i jeszcze jedno kichnięcie. Halina kucnęła i zajrzała pod biurko.

– Kochanie, posłuchaj taty i bądź grzeczną dziewczynką... – Wyciągnęła rękę w stronę wystraszonego malucha.

Dziecko posłusznie chwyciło dłoń Haliny i wygramoliło się spod mebla, drugą rączką przyciskając do piersi album.

– Ale to chyba nie jest twoje? – Vigro zmarszczył brwi i wskazał palcem na okładkę książki.

– Moje! – Marietta wydeła usta i cofnęła się o krok.

– Zabrałaś ją ze skrzyni w korytarzu, czy tak?

Maluch milczał naburmuszony.

– Idź i odłóż ją tam, gdzie była, moja córka nie będzie się bawić śmieciami. Jeszcze dziś wszystkie one trafią gdzie ich miejsce, czyli na dno Babinki<sup>52</sup>!

<sup>52</sup> Babinka – płytki kanał, który jeszcze w 1942 roku łączył się z korytem Proсны. Babinę zasypano, używając do tego między innymi... książek polskich oraz żydowskich ze zbiorów bibliotecznych miasta.

Teraz to Halinie drgnęła brew. Zatem kostucha oszczędza dziś ciało, nie darując słowu... Nie rozumiała tylko, co miała wspólnego groźba mężczyzny z płytkim, cuchnącym kanałem w sercu Kalisza.

Bródka małej zaczęła się gwałtownie trząść, co zwiastowało prawdziwą powódź dziecięcych łez.

– Marietto? – zagaiła Halina i delikatnie dotknęła drobnej twarzyczki.

– Przypomnij mi, kochanie, a myślę, że twój tata też chciałby to wiedzieć, jakie kolory mogą mieć bociany?

Dziecko wyprostowało się momentalnie, a w jego oczach zagościł uśmiech.

– Białe i czarne! – padła prawidłowa odpowiedź.

– Bravo! – zawołał Vigro. – Ale...

– Ta wiedza zawarta jest w tym pięknym albumie, mała jest nim zachwycona. Siedzi nad nim od rana... A ja razem z nią, bo musiałam odpowiedzieć na tysiąc pytań, co zrobiłam zresztą z ogromną przyjemnością – paplała Halina, zastanawiając się, czy wchodzenie w rodzicielskie kompetencje nie sprowadzi jej na manowce. – Ciekawość świata u tak małego człowieka to prawdziwy skarb!

Vigro milczał.

„I po co mi to było? – pomyślała. – Mało ci jeszcze kłopotów, głupia babo?”.

– A dla mnie jest nim pani, pani Halino.

Niemiec spojrzał na nią tak, że nagle zrobiło się jej gorąco. Dwuznaczność komplementu sprawiła, że zapiekły ją uszy – błogosławiła chwilę, w której zdecydowała się na fryzurę, która je zasłaniała.

– Edukacja moich dzieci magicznie nabrała tempa.

– Dziękuję, *Herr Obersturmbannführer*, ale to nie magia, tylko zdrowy pęd do wiedzy pańskich latorośli...

– Doceniam pani skromność i skuteczność! – rzucił Vigro w jej stronę.

– Zatem niech będzie. Marietto... – Podeszedł do córki. – Możesz zatrzymać książkę.

Dziewczynka zadrżała z radości i posłała Halinie słodki uśmiech.

– Ale pod jednym warunkiem! – Uniósł palec wskazujący prawej dłoni. – Że będziesz bardzo grzeczna, gdy pojedziecie jutro z mamą na krótkie wakacje. Obiecujesz?

– Taaak! – Po złym humorze sześciolatki nie było już śladu.

– Zmykaj i zajmij się pakowaniem. Już, już, migiem!

Tupot małych nóżek przycichł, gdy dziewczynka wybiegła z pokoju.

– Doprawdy nie wiem, jak moja rodzina radziła sobie wcześniej bez pani. – Vigro uśmiechnął się do Haliny.

– Proszę mnie nie przeceniać, *Herr Obersturmbannführer*, robię tylko to, co należy do moich obowiązków – zapewniła, starając się nie wykraczać poza służbowy ton.

– A jednak bardzo chciałbym, żeby jutro zrobiła pani coś więcej.

Stał przy niej tak blisko, że czuła zapach wiatru przyniesionego z dworu.

– Nie rozumiem... Czy mam jechać z pańską córką?

– Wręcz przeciwnie! – zaproponował mężczyzna. – Musi pani zostać i towarzyszyć moim wyśmienitym gościom podczas jutrzejszej kolacji.

Nie wierzyła własnym uszom. Na dzisiaj miała chyba dosyć zwrotów akcji.

– Czy moja obecność jest koniecznością? Jestem tylko nauczycielką. Ktoś może poczuć się urażony, jeśli...

– To absurd! – zawołał, śmiejąc się. – Jestem pewien, że ubarwi pani ten wieczór, i mnie, i moim przyjaciołom. Proszę mi nie odmawiać. Nalegam!

– Nie śmiałabym... – powiedziała bez namysłu, już czując, że jutro w legowisku bestii będzie naprawdę gorąco.

\*\*\*

Stara Gundel postawiła na sprawdzone rozwiązania, szykując dla przybyszów z Berlina może nie wystawną, za to sycącą i opartą na niemieckiej tradycji kolację. W dwóch głębokich rondlach wrzącej kąpieli zażywały solidne golonki, które za chwilę dochodzić będą w piekarniku. Elwira miała za zadanie skroić ugotowane kartofle w równe plastry i wymieszać śmietaną z musztardą, co stanowić powinno podbudowę sosu; samym doprowadzeniem *Kartoffelsalat* zająć się miała leciwa kucharka tuż przed samym przybyciem biesiadników. Po drodze przygotować jeszcze trzeba będzie sznycle po wiedeńsku, a na

przystawkę nie od parady wydawała się solidna porcja *currywurst*. Miało być po domowemu, smacznie i syto, w sam raz na spotkanie w męskim, częściowo żołnierskim gronie. Doskonałe zakąski do alkoholu, choć goście następnego dnia ruszają dalej, na wschód.

– Same wiecie najlepiej, jak to ma wyglądać – zarządził dzień wcześniej Beno Vigro, zostawiając organizację kolacji w rękach sprawnej i doświadczonej gospodyni. – Johann niech zadba o napitki, będziemy potrzebowali przynajmniej kilku butelek. Niech będzie *schnapps*, reńskie wino i obowiązkowo koniak!

Halina zajrzała do kuchni w porze śniadania, zgłaszając chęć pomocy w przygotowaniach. Z podziwem obserwowała krzątanicę, zgadując, co też kuchnia poda i przygotuje na ucztę.

– Panienska do gotowania nienawykła, nic tu po niej – zrzędziła Gundel, sprawdzając widelcem miękkość mięsa. – Niech zje co na szybko i lepiej będzie, jak stołu w jadalni i salonu podogłąda. My tu się wszystkim same zajmiemy.

Samochody z berlińskimi dygnitarzami zjeżdżać zaczęły wczesnym popołudniem, wzbijając kurz na polnej drodze. Szoferzy w wojskowych mundurach parkowali auta w cieniu i – kiedy tylko przywiezieni przez nich urzędnicy znikali w budynku – natychmiast luzowali guziki kołnierzyków. Wiedzieli, że mogą sobie pozwolić na pewne odstępstwo od regulaminu; spędzą tu przecież dobrych kilka godzin, a skoro spotkanie ma charakter towarzyski, pojawi się alkohol, to i podczas powrotu bura ze strony przełożonych raczej im nie groziła. Może nawet jakaś miła kuchareczka wpuści ich do środka, uszczuplając nieco zapasy gospodarza?

Halina przyglądała się tym scenom z okna domowej biblioteki. Przez cały dzień nie mogła sobie znaleźć miejsca, coś nie dawało jej spokoju. Obawiała się, że przed takim audytorium zwyczajnie sobie nie poradzi. Udawać Niemkę w maturalnej klasie – proszę bardzo, ale tu, wśród najważniejszych z ważnych? Przecież to byli ludzie, których Hitler wysłał z konkretną misją! Mieli przejąć rządy w podbitym kraju.

Wprowadzić niemiecką administrację w radzieckiej Moskwie! Czy nakładałby takie zadanie na mężczyzn, którym by nie ufał? To były stare polityczne wygi, typy zaprawione w knuciu, spiskowaniu i podejmowaniu decyzji mających wpływ na rzeszę. „I na Rzeszę – dodała w myślach. – I nagle jestem tu ja, Halinka z Łodzi, polska harcerka udająca zagorzałą członkinię hitlerowskiej BDM? Rozniosą mnie na strzępy, i to zanim Elwira wniesie tę cholerną sałatkę ziemniaczaną!”.

Rozmyślenia przerwało jej ciche pukanie, po którym drzwi do pomieszczenia otworzyły się i stanął w nich Beno Vigro. Kłęb wciąż była pod wrażeniem jego kindersztuby, ten Niemiec nawet we własnym domu pukaniem oznajmiał zamiar wejścia do pokoju, jeśli ktoś inny był już w środku. Musiał odebrać naprawdę staranne wychowanie. Jak mógł je pogodzić z wypełnianiem potwornych rozkazów swoich przełożonych?

– Goście przybywają – oznajmił mężczyzna, ubrany tego dnia w wyjątkowo gustowny sposób. Ciemny granat materiału, z którego uszyty był jego garnitur, ładnie harmonizował ze starannie dobraną poszetką i krawatem, gładkim i – co oczywiste – zawiązanym idealnie.

– Zauważyłam, panie pułkowniku. – Halina wskazała głową w stronę okna. – Sądząc po liczbie aut, będzie pan miał całe popołudnie wypełnione śmiechem i rozmowami.

– Znając tych łobuzów, na popołudniu się nie skończy – odpowiedział żartem i otworzył szerzej drzwi. – Muszę się zająć przybyszami, gospodarz ma w tym względzie pewne obowiązki. Dlatego będzie mi miło, jeśli zechce mi panienka towarzyszyć.

– Naprawdę? – To pytanie wyrażało dużo więcej. Gdzieś tam krył się jej strach, ale i odraza, jaką żywiła do tych ludzi.

– Proszę nie brać moich ocen dosłownie. – Vigro postanowił rozwiać wątpliwości, które dostrzegł w jej wahaniu. – Powiedziałem, że to zgraja łobuzów, ale to nic zdrożnego. Zaręczam, że w towarzystwie panny

Haliny będą się zachowywać wzorowo, jak na niemieckich oficerów przystało.

– A więc to sami wojskowi? – Halina złapała trop. Przecież powinna zameldować o tym, co się tu wydarzyło. Skoro już musi brać w tym udział, niech przynajmniej będzie z tego jakaś wywiadowcza korzyść.

– Niezupełnie, jest w tej kompanii wielu sprawdzonych w boju żołnierzy, są też i cywile – wyjaśnił, nieświadomy podstępu. – To dobrzy ludzie, zaufani i porządni. Nasz *Führer* dysponuje szerokimi kadrami, a ruska swołocz wymaga nad sobą sprawnego aparatu.

– To oczywiste! – zgodziła się dziewczyna.

– Przynajmniej dopóki nie wytrzebimy do końca tych stalinowskich bękartów. – Vigro dokończył myśl i spojrzał na nią pytająco, unosząc przy tym łokieć w jej kierunku. – To jak, uczyni mi panienska ten zaszczyt?

„Żeby tylko dała radę – przeleciało jej przez głowę. – Żeby zniecka nie zapłonęła świętym gniewem, widząc w jednym miejscu tylu «porządnych i zaufanych ludzi Hitlera»”. Pozwoliła ująć się pod rękę i poprowadzić w dół schodami. Już w połowie drogi zgromadzeni w holu goście nagrodzili gospodarzy brawami, komplementując zapewne zarówno gust Vigro, jak i urodę jego towarzyszk, a na pewno powab, który rozsiewała wokół.

Po krótkiej prezentacji Halina zgodziła się zasiąść do fortepianu i skryta za instrumentem pozwoliła muzyce wypełnić przestrzeń bawialni.

„Chichot losu, kolejny już w moim krótkim życiu – pomyślała. – Gdyby oni wiedzieli...”.

Przy posiadanej wprawie grała, poświęcając nutom niewielką uwagę, ale i tak słuchaczy porwała interpretacją utworu, o który poprosił któryś z gości. To był jakiś wojskowy marsz, mówiący o rychłym zwycięstwie. Uderzała w klawisze z werwą, jakby od tego zależał los jej i bliskich.



„Zwycięstwo... – znów odpłynęła myślami. – Każdy widzi je gdzie indziej i dla każdego oznacza ono co innego. Gdyby oni wiedzieli!”.

# Rozdział 9

*A wtedy Jahwe spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia. I tak zniszczył te miasta oraz całą okolicę [...]. I gdy [Abraham] spojrział w stronę Sodomy i Gomory i na cały obszar dookoła, zobaczył unoszący się nad ziemią gęsty dym, jak gdyby z pieca, w którym topią metal.*

Księga Rodzaju 19, 24–28

*Oni zasiali wiatr, niech więc teraz zbiorą burzę!*

sir Artur Harris, dowódca RAF Bomber Command, lato 1943 roku

Opuściła Piwonice bez żalu. Jeszcze długo miała przed oczami twarze ludzi, którzy wprowadzać mieli nowy porządek w stolicy Związku Radzieckiego. Kolacja, w której brała udział, przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Halina miała nadzieję, że nigdy więcej nie spotka na swej drodze żadnego z tych mężczyzn. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, pod byle jakim pretekstem wyjechała do Litzmannstadt. Tu czekało ją kolejne zadanie i kolejna przeprowadzka.

Gdyby zdecydowała się na szybki marsz, przejście tych kilku przecznic zajęłoby jej najwyżej kwadrans, natomiast korzystając z tramwaju, byłaby na miejscu za siedem, może osiem minut.

Nie wybrała żadnej z opcji – odwiedziny u matki, nawet krótkie, mogły mieć nieprzewidywalne konsekwencje dla nich obu. Było jej wszystko jedno, czy Marianna Kłęb powitałaby ją z otwartymi ramionami, czy raczej przeklęła godzinę, w której zobaczyłaby córkę w progu. Pragnęła tylko objąć rodzicielkę i poczuć ciepło jej ciała, dotknąć włosów przesiąkniętych wszystkimi zapachami domu... Chciałaby sprawdzić, czy kobieta jest zdrowa, nawet jeśli uzyskanie tej wiedzy wiązałoby się z obelgami i nowym bólem.

Nie mogła przecież powiedzieć matce całej prawdy. Każdego dnia myślała o rodzicach i modliła się za nich oraz o ich przebaczenie, gdy przyjdzie czas rozliczeń. Domyślała się tylko, a i to mgliście, co działo się między matką i ojcem. Ten nie podpisał volkslisty, a ona wyparła ze świadomości logiczne konsekwencje tego kroku – zwyczajnie nie była w stanie wyobrazić sobie rodzinnego domu, w którym najbliżsi sobie

ludzie być może stać muszą po dwóch stronach barykady. Czy kiedyś przyjdzie dzień, gdy wszyscy troje zburzą ten mur i powrócą do normalności, do miłości, do życia?

A jednak prosto z punktu kontaktowego, po złożeniu jak zwykle raportów „Gertrudzie”, skierowała kroki w stronę dworca Łódź Kaliska. Musiała się skupić; emocje związane z jej prywatnymi sprawami były złym doradcą.

Miasto było skażone śmiercią. Nie, nie było wymarłe, na ulicach nie leżały też stosy rozkładających się trupów, jak na każdym placu boju. Wręcz przeciwnie – panował zimny porządek i obca jej ruchliwość, jakby nic się nie stało, jakby każda cegła i każda kostka bruku chciały jej powiedzieć, że Łódź ma się dobrze, że żyje, że trwa i trwać będzie pomimo zawieruchy, która zmieniała obraz miasta nieprzerwanie od ponad trzech lat.

Teraz już łatwo można było odróżnić, komu podoba się taki stan rzeczy, a kto wciąż żyje strachem i słabą nadzieją. Jeśli wypełniał powietrze czyjś śmiech, był on pełen buty, zuchwałości i chełpliwej brawury, jeśli wypatrzyła gdzieś niepokój, ów miał w oczach głód, obłęd niezamierzonych rozstań, niepewność każdego kroku i bolesną, nieukojoną nienawiść, trawiącą ludzkie ciała jak postępująca gangrena.

Czy była to jeszcze jej Łódź, czy już tylko zupełnie obce Litzmannstadt? Jej serce miało z tym problem, tłocząc do żył zamiast tlenu nową porcję gniewu i oszołomienia. W raportach członków polskiego ruchu oporu znajdowało się wszystko, co uczynił okupant z miastem i jego mieszkańcami; czasem odnosiła wrażenie, że groza tych zmian jest nie do udźwignięcia, że jedyne, co można zrobić, to zamknąć oczy i spłonąć w ogniu wstydu, że nie dostrzegło się zawczasu zwiastunów tej przerażającej fali...

Ta ostatnia pochłonęła rzesze ludzkie w ilościach, które prześladowały ją niemal każdej nocy. Znała losy wielu wysiedleńców i listy straconych, już wiedziała, z jakiej przyczyny i w jaki sposób kurczyło się łódzkie getto, dlaczego bydlęce wagony wypełnione ludźmi wracały puste

z Chełmna nad Nerem. Gdy dotarły do niej wiadomości o wrześniowej tragedii żydowskich matek<sup>53</sup>, nie miała już łez, żeby płakać nad losem kobiet i ich dzieci, oddawanych w ręce żydowskiej starszyny na pewną śmierć, a składając dłonie do modlitwy w wiedeńskich kościołach, w których klęczała przed kolejnymi konspiracyjnymi zadaniami, zaciskała zęby i obiecywała Najwyższemu, że zrobi wszystko, by *Polenjugendverwahrlager der Sicherheitpolizei in Litzmannstadt*<sup>54</sup> przy ulicy Przemysłowej w Łodzi było ostatnim takim miejscem na ziemi!

<sup>53</sup> Wielka Szpera (całkowity zakaz opuszczania domów) – jeden z najtragiczniejszych momentów w dziejach łódzkiego getta. Ofiarami przeprowadzonej wtedy akcji wysiedleń do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem padły dzieci poniżej 10. roku życia oraz ludzie starsi, a także chorzy i ci, którzy nie pracowali. W dniach 5–12 września 1942 roku wywieziono ponad 15 tysięcy osób. Za: Zofia Trębacz, *Wielka Szpera w getcie łódzkim*, [www.jhi.pl](http://www.jhi.pl) [dostęp: 17.12.2022].

<sup>54</sup> niem. Obóz prewencyjny dla młodych Polaków Policji Bezpieczeństwa w Łodzi. Powstał 1 grudnia 1942 roku na terenie wydzielonym z getta, jako miejsce przymusowej pracy dla nieletnich. Obóz funkcjonował do końca okupacji, stając się miejscem kaźni i śmierci dla wciąż nieokreślonej liczby osadzonych – różne źródła podają, że wskutek nieludzkich warunków, obciążenia pracą, chorób, bicia i głodu zmarło w obozie przy Przemysłowej od kilkuset do kilku tysięcy sierot i bezdomnych dzieci. A. Ossowski, *Obóz dziecięcy przy ulicy Przemysłowej w Łodzi nie został zapomniany*, [dzieje.pl](http://dzieje.pl) [dostęp: 1.12.2022].

Jakaś kobieta, przeciskająca się obok niej w dworcowej ciżbie, upuściła parę rękawiczek. Halina schyliła się i podniosła zgubę.

– Czy to pani? – zwróciła się do nieznamym.

– O, tak! Jaka jestem pani wdzięczna, to rodzinna pamiątka. Po babce – ucieszyła się wysoka, szczupła brunetka.

– Niesłychanie miękkie... To prawdziwa jagnięca skóra? – Zareagowała przytomnie, gładząc przedmiot przed oddaniem i rejestrując jednocześnie sporej wielkości walizkę, którą brunetka postawiła tuż przy jej nogach.

– Etiopskie małe чудо – powiedziała wolno nieznamym, patrząc Halinie w oczy. – Jeszcze raz dziękuję. I przepraszam, spieszę się!

Kilka minut później bogatsza o bagaż pozostawiony przez brunetkę panna Kłęb sadowiła się w jednym z przedziałów pociągu do Wrocławia.

Oburącz dźwignęła ładunek i umieściła go na półce ponad siedzeniami dla pasażerów, obok upychając własną podróżną torbę. Korzystając z tego, że wciąż jeszcze była sama, uniosła wieko walizki, zamkniętej na zwykły zamek. Spodziewała się zobaczyć w środku jakieś fragmenty damskiej garderoby albo inne osobiste przedmioty, kamuflujące drugie dno z konspiracyjną kontrabandą. Widok ją zmroził. Sakwojaż w całości wypakowany był „N-kami”, przykrytymi zaledwie jednym egzemplarzem jakiejś gazety. Nic więcej.

Zanim zdążyła ochłonąć, do przedziału napłynęła ludzka fala. Nie było już czasu na przepakowanie problematycznego bagażu. Mogła tylko zacząć odmawiać *Pod Twoją obronę*, najlepiej od razu, bo pierwsza kontrola pojawi się zapewne, zanim skończy modlitwę. Nie pomyliła się... Tuż przed pierwszą stacją, na której skład miał się zatrzymać, do przedziału wszedł otyły konduktor w towarzystwie dwóch mężczyzn. Brakowało tylko tego, żeby pociąg gwałtownie zahamował i by cała zawartość walizki sypnęła się z półki jak płatki kwitnącej wiśni.

Pracownik kolei skupiał się na oględzinach biletów, jego dwaj towarzysze mieli bardziej rozbiegane spojrzenia.

Halina starała się obojętnie patrzeć przed siebie.

– Otworzyć walizkę. Natychmiast! – padło polecenie wydane nieprzyjemnym tonem.

Siedzący obok Haliny mężczyzna zadrżał i z niechęcią zabrał się za otwieranie mocno sfatygowanego neseseru.

– Szybciej... – Ponaglenie zabrzmiało jak syk jadowitego węża.

Mimo iż temperatura w nieogrzewanym przedziale nie przekraczała piętnastu stopni, dziewczyna czuła, że się poci. Drugi z tajniaków przeglądał dokumenty, jakby z wiadomości w nich zawartych zdawać miał egzamin życia. W jednym z nich mężczyzna dopatrył się jakiejś nieścistości i z zapamiętaniem oddał się „maglowaniu” właściciela papierów w osobie bladej starszej kobiety, próbującej uspokoić dwoje marudzących dzieci.

W pewnej chwili przedział wypełnił się aromatem świeżej wędzonki, nieumiejętnie ukrytej między różnymi szpargałami w bagażu „sąsiada”. W tym samym czasie jedno z maluchów zaczęło płakać i wydawać dźwięki niewykluczające wymiotów. Konduktor przyspieszył swoje czynności, natomiast towarzyszący mu mężczyźni wyszarpnęli z walizki przemytnika całą jej spożywczą zawartość i z wyrazem największego obrzydzenia na twarzy opuścili przedział. W powietrzu wisiała skroplona para i całkowita bezsilność.

Na wrocławskim dworcu nieco odetchnęła, ale zupełnie spokojna będzie dopiero wtedy, gdy za kilkanaście godzin od wewnątrz zamknie za sobą drzwi swojej austriackiej kwatery. W tej chwili ta ostatnia jawiła się Halinie jak odległa galaktyka.

Zdecydowaną większość podróżnych wypełniających wielką, podłużną halę stanowili mężczyźni w mundurach różnych formacji. Panował ogromny hałas i ścisk; jej drobna postać musiała być ledwie zauważalna wśród żołnierskich sylwetek, ale i tak czuła się w niej jak wrona na polu pokrytym czystym śniegiem.

Podziemnym przejściem, łączącym długą, wąską poczekalnię z peronami, zaczęła się przeciskać w kierunku tego, z którego za kilka minut odejść miał pociąg do Wiednia. Lawirując między ludźmi i górami tobołów, postawiła stopę na pierwszym schodku, prowadzącym do wyjścia z tunelu. Przystopowała ją czyjaś koścista dłoń, chwytająca ją nagle za nadgarstek, dokładnie ten, który dzierżył walizkę z „N-kami”. Siłą powstrzymała się od ucieczki, odwracając się w miarę spokojnie w stronę mężczyzny w mundurze *Schutzpolizei*. Policjant nie był sam. Towarzyszący mu kolega po fachu kontrolował właśnie bagaż jakiegoś nieszczęśnika. Procedura miała się ku końcowi; wyglądało na to, że za chwilę to ona wzięta będzie już w dwa ognie. Była zaskoczona, bo takie sytuacje były codziennością raczej w Generalnej Guberni, na terenie Trzeciej Rzeszy trafiając się sporadycznie – pech drwił z niej dziś w żywe oczy...

Tonem nieznoszącym sprzeciwu rozkazano jej otworzyć walizkę. Jakim cudem nie zemdląła – Bóg jeden raczy wiedzieć, może dlatego, że całą swoją energię włożyła w nerwowy chichot, mając nadzieję, że ten zostanie odebrany przez żandarmów jako spazm wariatki, od której należy trzymać się z daleka. Ku jej rozpaczycy żaden z mężczyzn nie wykazywał tego rodzaju lęku.

– Kiedy człowiek się spieszy, zapomina, wie pan, gdzie kładzie najpotrzebniejsze rzeczy – zagadywała napięcie, grzebiąc w kieszonkach kostiumu. – No gdzie jest ten kluczyk...? – dodała, zastanawiając się, który moment będzie najlepszy, żeby dać nura w gęsty jak smoła tłum.

– *Achtung, Achtung, der Zug nach Wien fährt von Bahnsteig zwei. Bitte einsteigen und Tür schliessen*<sup>55</sup>! – Głos z megafonu odebrała jak wiadomość od samego Stwórcy.

<sup>55</sup> niem. Uwaga, uwaga, pociąg do Wiednia odjeżdża z peronu drugiego. Proszę wejść i zamknąć drzwi!

Gwałtownym szarpnięciem wyrwała walizkę z rąk policjanta i udając kompletne szaleństwo, krzyknęła:

– Zostaw mnie w spokoju, człowieku, to mój pociąg! Mój pociąg odjeżdża! – Nie oglądając się za siebie i pokonując po trzy schody naraz, wpadła jak burza na peron, a kilka sekund później do ruszającego właśnie składu.

– Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie, dziękuję... – szeptała do siebie za Mickiewiczem, przesuwając się powoli wąskimi korytarzami rozpędzającego się pociągu.

Przed oczami wciąż miała minę zaskoczonego służbisty, w sercu – ulgę, wdzięczność i przeogromne umiłowanie życia...

\*\*\*

Kilkuset starannie zaadresowanymi kopertami wyłożyła środek podniszczonej walizki. Sakwojaż nie wyglądał wyjątkowo estetycznie, ale nawet gdyby posiadał dziury wielkości pięści, ruszyłaby z nim w każdą podróż. Należał do Lukschy; była wdzięczna losowi, że trafił

pod jej opiekę. Wierzyła, że jeśli będzie stale jej towarzyszył, ona stanie się w jakiś tajemniczy sposób „niewidzialna” dla wroga...

Zabezpieczyła drugie dno, zakrywając je szczelnie osobistymi rzeczami w ilości, która mogła świadczyć o potrzebie kilkudniowej podróży. W zasadzie o jej kolejnym etapie, bo w swoim wiedeńskim pokoiku przy Hofstadtgasse 14 spędziła niecałą dobę, w całości poświęcając ją na przygotowanie „N-ek” do kolportażu. Czasu na sen poszuka później, w pociągach wiozących ją w głąb kraju, jeśli oczywiście będzie miała trochę szczęścia i jakimś cudem znajdzie sobie miejsce siedzące.

Wiedeń... To tu był jej kolejny wywiadowczy rejon i baza wypadowa w głąb Rzeszy w jednym. Cieszyła się – miasto było niezwykle barwne, interesujące, stwarzało mnóstwo możliwości nauki, rozwoju i... skutecznego ukrycia się. Kalisz pod tymi względami nie miał jej prawie nic do zaoferowania. Ale była też daleko od Łodzi, od domu, to bolało. Chociaż jednak im dalej rodzice byli od niej, tym wszyscy troje byli bezpieczniejsi... *Summa summarum* przyjęła nowy przydział z radością i rodzajem pozytywnego podniecenia.

Niemłosiernie piekły ją oczy, szumiało jej w głowie ze zmęczenia.

Jak co dwa tygodnie i tym razem z setek nekrologów zamieszczonych w aktualnych gazetach wyłuszczyć musiała adresy niemieckich rodzin, oplakujących swoich synów i ojców poległych na europejskich frontach, i bez pomyłek nanieść je na blade papierowe prostokąty. Listy-ulotki, mające sprawiać wrażenie przygotowanych przez niemieckie antyfaszystowskie organizacje podziemne, należało wrzucić do jak największej liczby skrzynek pocztowych na terenie całej Rzeszy, nie dać się przyłapać na tej czynności, a potem wrócić bezpiecznie do Wiednia. Rzec karkołomna i przeraźliwie męcząca, ale możliwa. Jej najdłuższa w tym celu podróż trwała nieprzerwanie cały tydzień, długie siedem dni i siedem nocy, podczas których ani razu nie przytuliła głowy do poduszki, nie przebrała się i nie umyła, nie mogła też przypomnieć sobie, by chociaż raz zjadła wtedy do syta... A jednak odnajdywała w sobie



coraz to nowe pokłady sił i „walczyła”, bo ktoś na nią liczył, bo... ktoś nad nią czuwał.

Przed wyjściem Halina dokładnie przyjrzała się sobie w lustrze. Schludna, idealnie gładka fryzura, dopasowany, grzeczny kostium, wypastowane pantofle, te same, które wprowadziły ją w dorosłość, twarz obleczona w drwiący grymas – wszystkie te elementy tworzyły jej osobistą zbroję. Dbała o nią, gdyż była tak samo ważna, jak i taktyczne umiejętności.

Zrobiła jeszcze kilka gestów, podpatrzonych wśród typowych Niemców, po czym opuściła mieszkanie, zamykając za sobą drzwi na klucz. Dokładnie tak samo robi kiedyś z „niemieckością”, którą nosiła teraz jak drugą skórę. Było jej pod nią duszno, czasem każdy oddech był jak krzyk bólu. „Ale przecież to nie na zawsze – tłumaczyła sobie – nie na wieczność. Jeśli tak wielu nie boi się tego cierpienia, Bóg chociaż jedno z nich musi w końcu zauważyć...”.

Wyszła na rozjaśnioną światłem ulicę. Dochodziła szósta, ale miasto obudziło się dużo wcześniej. Temperatura powietrza, stosunkowo wysoka jak na tę porę dnia, sprawiała, że sporo mijanych przez nią okien było otwartych lub uchylonych. Dochodzące zza nich dźwięki i zapachy wiedeńskiego poranka dodały jej nowej energii. Na pewno zużyje ją do końca, ponieważ trasa, którą musiała pokonać, będzie wymagała od niej dużo więcej.

Dziwne, ale od początku pobytu w Wiedniu nie czuła się przytłoczona wielkością miasta, chociaż mogłoby się wydawać, że po spokojnym, prowincjonalnym Kaliszu i jego okolicach ponadmilionowa aglomeracja sprzyjać będzie zagubieniu. Zaskakująco szybko odnalazła w niej swoje miejsce, skupiając się na pracy wywiadowczej jak nigdy dotąd. Jej powtarzalność i wyraźnie nakreślone ramy perfekcyjnie wpisywały się w naturę Kłębówny, przyzwyczajonej do wymiernych efektów metodycznego działania. Nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że zwyczajnie mogła tu wtopić się w tłum, gdyby zaszła nagle taka potrzeba. Niemniej i tak stale czuwała jak zając na miedzy, dlatego na

wydziale slawistyki Uniwersytetu Wiedeńskiego, na który zapisała się zaraz po wypełnieniu kart meldunkowych, zabawiła tylko jeden semestr. Instytut był mały i nie cieszył się popularnością wśród braci studenckiej – Halina zbyt mocno wyróżniała się na tle słuchaczy, więc drugą część roku akademickiego przywitała jako studentka medycyny. Tu na każdym roku uczyło się zawodu po kilkadziesiąt osób, trudno więc było dostrzec regularne nieobecności jednego z młodych ludzi. Korzystała więc z tej swobody, choć musiała przyznać, że chętnie wróciłaby jeszcze kiedyś na wykład znakomitego znawcy historii i kultury bizantyjskiej, profesora Jagoditscha, na zajęcia z gramatyki języka staro-cerkiewno-słowiańskiego może już trochę mniej...

Nauczona doświadczeniem, w którejś z piekarni po drodze na dworzec kupiła dwa bochenki chleba i upchnęła je na dnie podręcznej torby; będą jak znalazł, gdyby w drodze pojawił się problem z dostaniem czegoś ciepłego do jedzenia. Głód nie zawsze zdawał egzamin, gdy każdą z sytuacji należało ocenić na bieżąco, i do tego całkiem samodzielnie.

Pieczyno podał jej młody mężczyzna z blond czupryną, która w kilku miejscach sprawiała wrażenie całkiem białej. To nie były jej pierwsze zakupy w tym miejscu i za każdym razem, gdy odliczała sumę potrzebną na sprawunki, zastanawiała się, czy gdyby poprosiła o towar nienaganną polszczyzną, blondyn spojrzałby na nią ze złością czy może raczej z zaciekawieniem albo nadzieją. Mógł być Polakiem z Warszawy, Łodzi czy innego polskiego miasta, schwytanym w łapance i sprowadzonym do Wiednia wbrew własnej woli. Być może ominęła go gehenna któregoś z obozów zagłady tylko dzięki temu, że genotyp podarował mu jasne włosy i błękitne oczy. Może właśnie dlatego dostał tę pracę, jakieś wystarczające do życia lokum, niewykluczone, że i szansę studiowania na wybranej uczelni, czyli cały arsenał możliwości mających za zadanie wessać go w nową społeczność, pomóc znaleźć w niej drugą połówkę i założyć rodzinę, a w dalszej kolejności pomnożyć szeregi „rasy panów”, zdziesiątkowanej przez wojnę. Plan godny nowego gatunku pomagierów diabła...

A jednak nie wszystko szło w nim tak jak trzeba... Na zmęczonych twarzach swoich towarzyszy podróży dostrzegła ostatnie niepowodzenia Hitlera. Miała nadzieję, że niedawna klęska niemieckich wojsk pod Stalingradem będzie początkiem końca nazistowskiej powodzi. Znaczna część pasażerów, przygnębiona i niespokojna, milczała, młodzi żołnierze, których pełno było w każdym wagonie, także nie mieli w sobie tej energii, która rozpierała brunatnie umundurowane kolumny na początku wojny.

Ocknęła się z płytkiej drzemki na dźwięk spadającego przedmiotu. Był nim jej własny ciężki podręcznik anatomii Rauber-Kopscha, który już nieraz uchronił ją od dokładniejszej kontroli. Niemiecka studentka medycyny niebezpieczna dla Rzeszy? Mało prawdopodobne. W związku z powyższym większość takich podróży była dla Haliny nad wyraz spokojna, a nawet nużąca i monotonna.

Spojrzała za okno. Chyba byli już blisko Monachium.

– Dobra rzecz, taki urlop! – stwierdzenie nastoletniego bruneta było jak wystrzał armatni w sennej przestrzeni zatłoczonego przedziału. – Poje sobie człowiek w domu, popije... Bo i zasłużył!

Halina uniosła głowę i spojrzała w stronę siedzącego przy oknie chłopaka. Ten wbił się do przedziału tuż za Wiedniem i już od progu obwieścił współpasażerom, że rozpoczął swoją podróż daleko na wschodzie.

– A jak dowódca tak mówi... – Czknął głośno. – ...to znaczy się, że prawda.

Żaden z podróżnych nie skomentował uwagi młodego mężczyzny, zaciągającego wyraźnie bawarską gwara, więc Halina była zdziwiona, gdy chłopak, przełknąwszy wcześniej ogromny kęs surowego boczku, powrócił do swojej opowieści.

– Za rok, może dwa pozbędziemy się wreszcie żydowskiego smrodu!

Kłębówna na moment wstrzymała oddech, a potem powolnym ruchem otworzyła medyczne tomiszczce, żeby zająć czymś dłonie.

– Bo już bardzo dobrze nam z nimi idzie. Szybko. Coraz szybciej! A jak się mówi Żydkom, że idą się myć... – Tu chłopak parsknął śmiechem, a część na wpeł przezutej zawartości jego ust znalazła się na ubraniach współpasażerów. – ...to już wcale szybko idą do gazowania, jak dzieci jakie głupie. Ja to przy Waldkommando nie chciałem robić, bo tam za ciężko, no bo kopanie, dźwiganie trupów, zasypywanie i tak w kółko! Wolałem w samym obozie, nie w lesie. Komendant się zgodził, bo mu mówiłem, że najlepiej pracuję i żem jest do wszystkiego. Bo jak Żydki przyjeżdżają, to trzeba stać na baczność, ale tak, żeby oni się mało co bali, bo nie chcą do samochodów wchodzić. – Bawarczyk podłubał brudnym paznokciem w zębach. – Bo oni najpierw muszą się rozebrać, do goła, bo jak to do łaźni w łachach? Potem po schodkach do budy, bez nijakich okien ani dziur. Jedna tylko jest, na rurę wydechową, ale nie widzą jej od razu, a jakby zobaczyli, to i tak nie wiedzą, do czego ona. Głupie! To się orientują wtenczas dopiero, jak samochód ruszy. To znaczy on nie rusza się, ino stoi w miejscu, a tylko silnik pracuje. Po co ma jechać, jak to nie o jechanie chodzi? Na początku dużo krzyczą, płaczą, dzieci piszczą, ryk tam jeden jest! Ale niedługo. Szybko robi się cisza, jakby nożem łeb uciął. Na początku myślałem, że to gazowanie trwa dłużej, z godzinę nawet albo dwie, trzy! A tu pięć minut. – Niemiec rozcapierzył palce obu dłoni i zapatrzył się na nie przez chwilę. – Ktoś nawet mówił, że cztery. Może i cztery. Niech będzie cztery. Ważne, że trup! Kiedyś to ich liczyłem, te Żydy parszywe... Ale kto by tam ich zliczył, no i czy tych, co trzeba dobić po gazie, to podwójnie rachować? – Wydał usta i pokiwał głową, jakby odpowiedź na to pytanie była najważniejszym, czego w tej chwili pragnął.

Halina przyglądała się dyskretnie pozostałym podróżnym. Jeden z nich spał, tudzież udawał że śpi, kilkoro patrzyło przed siebie lub za okno obojętnym wzrokiem; w spojrzeniu zaledwie jednego z nich rozpoznała cień przerażenia, choć ten człowiek usilnie starał się to ukryć.

Młody Bawarczyk, niezrażony brakiem jakiegokolwiek reakcji, kontynuował swój makabryczny monolog:

– Mamy dwa auta, ciężarowe takie. Jak jedno jedzie w las, to my kończymy myć w środku drugie, to, co to na niego kolejne transporty czekają. A tam smród, że ledwo zdzierzyć można! Żadne gówno nie cuchnie tak jak żydowskie, żadne szczyny. Tfu! Prawdę mówię! Ale skąd tam była krew? – Chłopak wzruszył ramionami i wrócił do tłustego posiłku. – Przecie strzela się później, jak się jeszcze który rusza. I takie one poskręcane, jak węże, gdy się za wyciąganie ścierwa bierzem. Pozwijane, zaplątane, jak nie ludzie... – Splótł przedramiona, po czym zapatrzył się w okno. – Człowiek inaczej śmierć wita.

Na horyzoncie Halina dostrzegła burzowe chmury, w szybie zadumaną twarz młodego mężczyzny, właściwie dziecka jeszcze, które być może już nigdy nie zrozumie istoty człowieczeństwa.

– Taki ogryzek mydła dla Żyda i ręcznik to pomysł, że ho! – huknęło jeszcze spod okna.

Była wstrząśnięta.

\*\*\*

Wyszły z kościoła, trzymając się pod rękę. Halina nie widziała przyjaciółki ponad rok, a miała wrażenie, jakby od czasu ich ostatniego spotkania minęła co najmniej dekada...

Przystanęła na chwilę. Była w Warszawie tylko gościem, to Bogusia Sierpińska nadawała rytm tej wizycie, jako ta, która dobrze już poznała miasto, a tym samym miejsca, gdzie mogły czuć się w miarę bezpiecznie. Według dawnej drużynowej Kościół Panien Kanoniczek przy Senatorskiej 20, w którym się umówiły, był jednym z nich. Kompleks znajdował się niedaleko placu Teatralnego, w jego pobliżu mieszkała także Jadwiga Krasicka, do której zamierzały dziś jeszcze wstąpić.

– Panny Kanoniczki? – zapytała Halina, oglądając się za siebie. – Co za dziwaczna nazwa!

– Dziwniejsze jest to, co się za nią kryje – pospieszyła z odpowiedzią Sierpińska. – Przy kościele funkcjonuje świecki zakon, skupiający

samotne panny i wdowy. Żyją tu jak prawdziwe mniszki.

– Smutna perspektywa. Nikt by mnie nie zmusił do takiego życia.

– Do tego tutaj nawet nie miałabyś wstępu, bo do stowarzyszenia mogą należeć tylko te kobiety, które udowodnią swoje szlacheckie pochodzenie. W trzech pokoleniach wstecz, moja droga, i to z obydwu stron!

– Mhm, rozumiem... Zatem pozostaje mi tylko poszukać sobie kogoś miłego dla duszy i ciała! – Mrugnęła do przyjaciółki. – Dokąd teraz?

Rozejrzała się po ulicy. Nie była do końca pewna, czy ruchliwe serce miasta to najlepszy wybór na spacer dwóch żołnierzy AK, nawet jeśli wciąż wyglądały jak pensjonarki, a nie czynni towarzysze broni.

– Tu, w lewo. – Bogusia pociągnęła lekko Halinę.

– Nie można jakoś obejść tego kwartału?

Sierpińska popatrzyła na przyjaciółkę. Kłęb obrzucała właśnie niepewnym spojrzeniem okolicę warszawskiego magistratu, w całości zarekwirowanego w tej chwili przez okupanta. Wszędzie pełno było wojskowych aut i niemieckich mundurów, których widok niezmiennie wywoływał u dwudziestolatki gęsią skórkę.

– Najciemniej zawsze pod latarnią... – odpowiedziała Sierpińska, nie zwalniając kroku. – Nie patrz w tamtą stronę, tylko lepiej powiedz mi, jak dawno widziałaś moją matkę i czy ona jakoś... jakoś daje sobie radę. – Głos kobiety załamał się lekko.

– Jest zdrowa – ciepło odpowiedziała Halina i zaraz pomyślała, że chciałaby usłyszeć to samo o swoich najbliższych. Mimo regularnych podróży do Łodzi, nie kontaktowała się z rodzicami... dwa lata. W tym czasie mogło się wydarzyć naprawdę wszystko! Potrząsnęła głową, żeby odrzucić od siebie wspomnienia domu i przywołać obraz kolejnego łódzkiego punktu kontaktowego, tym razem w mieszkaniu państwa Sierpińskich. – Nie martw się o nią, ewidentnie widać, że jeśli czuje się potrzebna, jest silniejsza.

– Co za uparta kobieta. Nie rozumiem tego.

– I mówi to ktoś, kto tu cienko przedzie, a jednak nie wraca na stare śmieci – skomentowała Kłębówna z delikatnym uśmiechem na twarzy.

– Wiesz przecież, co jest teraz dla mnie ważne... – Bogusia westchnęła ciężko, przemilczając temat tajnych kompletów, jak gdyby zakurzona miejska przestrzeń mogła przekazać jej słowa wrogowi.

Szły przez chwilę w całkowitym milczeniu.

Przez cienki materiał płaszcza Halina czuła wychudzone ramiona przyjaciółki, ale i determinację, która wciąż kazała trzymać się Sierpińskiej prosto.

– Boisz się czasem? – zapytała „warszawianka”.

Halina długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Czasem. Ale nie wiem, czy to jeszcze jest strach, czy może już tylko chęć zemsty. – Spojrzała przed siebie. – Chyba jednak jestem bardziej zła niż wystraszona. Choćby dlatego, że nie mogę wysłać do matki zwykłego listu albo że nie wyrzucam zjełczałego masła. Że... ludzie znikają tak szybko, tak całkowicie, jakby nigdy ich nie było. Człowiek powinien wiedzieć, kiedy jest to ostatnie spojrzenie, ostatnia rozmowa! – Zacisnęła usta.

– Może lepiej nie wiedzieć? – Wyszepiała to tak cicho, że jej przyjaciółka nie była pewna, czy naprawdę usłyszała komentarz, czy był to tylko szum zmęczonej ulicy.

Halina westchnęła.

– Nie zdążyłam ci jeszcze podziękować za Winię – powiedziała w końcu po dłuższej chwili milczenia.

– Sprawdziła się? – W pytaniu Sierpińskiej była szczerza ciekawość.

– O tak. – Halina uśmiechnęła się na wspomnienie sześć lat starszej towarzyski broni, oddelegowanej przez Bogusię pod jej skrzydła w Kaliskiem, gdy ogrom obowiązków zaczynał ją przerastać. – Była nieoceniona! Zna Kalisz jak własną kieszeń, dużo wie, zna kogo trzeba.

Jej pomoc oznaczała dla mnie mniejszy stres i szybszą robotę. A w kilku sprawach tak naprawdę tylko dzięki niej dokopałam się do konkretnych informacji.

– Zawsze można było na niej polegać. Patrz, przeszła swoje w życiu, a jednak zachowała w sobie i uczciwość, i empatię. Oraz odwagę! Wiedziałam, że jeśli miałam podesłać ci człowieka stamtąd, to nie mógł to być nikt inny, tylko ona – skomentowała Sierpińska. – A różnica wieku między wami? Nie przeszkadzało ci, że twoja podwładna jest od ciebie starsza?

– Ani trochę. Jest w niej jakiś rodzaj zaufania do świata, którym mi imponuje. Staralam się go nie zawieść i sama nauczyć się tego odczuwania od niej. Wciąż działamy jak naczynia połączone, dzieląc się doświadczeniami i wiedzą. Trafiam na nią w mieszkaniu twojej matki. Zaprzyjaźniłyśmy się! Naprawdę łatwiej mi było... z tym wszystkim, co wokół, gdy miałam ją gdzieś blisko. Ale ciebie też bardzo mi brakuje. –

Halina przesunęła dłonią po ramieniu swojej towarzyszki. – Czasami cała ta wojna wydaje mi się tak nierealna, że tylko ucieczka we wspomnienia zmusza mnie do działania. Są silniejsze niż modlitwa...

– Chwalcie Pana, białe chóry anielskie! Moje gołąbki nadziei... – Jadwiga Krasicka prawie się rozplakała na widok swoich dawnych podopiecznych, nie szczędząc młodym kobietom gorących uścisków.

Godzinę później gospodyni nie chciała słyszeć o zakończeniu wizyty. Nie opierały się długo, bo żadna nie miała już dziś nic pilnego do załatwienia. Halina wracała do Wiednia dopiero następnego dnia, nic nie stało na przeszkodzie, żeby przedłużyć tę przyjemną chwilę.

– Tak się cieszę, że widzę cię całą i zdrową, Halinko. Żałuję, że takie momenty jak dzisiejszy spotykają mnie tak rzadko...

– Nie po drodze mi Warszawa, pani Jadwigo. Liczy się każdy dzień pracy, a nasze szeregi... Sama pani wie, jak szybko się kurczą. Pracuję za dwóch, a czasem i za trzech! Na relaks nie ma czasu, choć, muszę przyznać, już kilka razy proponowano mi wakacje. Ale odmawiam. Nie chcę, nie teraz. Za dużo jest jeszcze do zrobienia, potem odpocznę,



kiedyś... Oni nie odpoczywają, my też nie powinniśmy. – Uśmiechała się do obu kobiet, czując z emocji przyjemne ciepło na policzkach.

– Jak ci tam jest, gdy wokół sami obcy? – zapytała Sierpińska, zapadając się głębiej w starym, wypłóviałym fotelu.

Halina dopiero teraz dostrzegła ogromne sińce pod oczami przyjaciółki. Na ulicy pełnej światła dziewczyna wyglądała dużo lepiej – przyznała się, że nie dojada, ale jak na dłoni było widać, że dwudziestodwulatka zwyczajnie głoduje.

– Mają mnie za swoją... A ja już nawet śnię po niemiecku. – Wzruszyła ramionami. – Czy mi kiedyś święty Piotr otworzy, jeśli zapomnę to i owo i nie przywitam się tak jak trzeba? – Zaśmiała się.

– Do tego czasu będzie tu Polska – odezwała się twardo historyczka.

Kłębówna patrzyła uważnie na swoją rozmówczynię.

– Trzy dni temu wróciłam z objazdu Rzeszy – zaczęła. – Monachium, Lipsk, Augsburg, Stuttgart, Kolonia, potem na północ, do Düsseldorfu, Essen i Bremy, a stamtąd do Szczecina przez Hamburg... Czasem nie wiem, czy jeszcze śpię na stojąco, czy już maszeruję ulicami jakiegoś nadreńskiego miasta. Bywa, że ze zmęczenia mylą mi się rozkłady jazdy, daty, niektórych miejscowości w ogóle nie pamiętam, choć odchudzona walizka mówi, że musiałam „zejść na ląd”. I wszędzie te przeszywające spojrzenia, samokontrola, od której ciągle boli mnie brzuch. – Halina skrzywiła się na samą myśl o nieprzyjemnych odczuciach. – Lecz nie to jest najgorsze, strach oswoiłam już dawno. Ale obrzydzenie, wściekłość, furia wręcz, które muszę zmasać z twarzy, gdy o niczym innym nie myślę, tylko by właśnie pokazać i wykrzyzczyć je całemu światu! I wciąż mi się wydaje, że robimy za mało, za wolno, zbyt asekuracyjnie, że zanim zbierzemy się w sobie na dobre, zgniotą nas i zdepczą!

– Cierpliwości, Halinko, przyjdzie czas na wszystko. – Krasicka miała łązy wzruszenia w oczach.

– Halina ma rację, pani Jadwigo. – Sierpińska z wysiłkiem uniosła się w fotelu. – W getcie nie czekają, przecież pani wie. Powinniśmy myśleć

o powstaniu tak jak oni, jak Żydzi! Tam lada moment się zacznie...

– Trzeba czekać.

– Czekać?! – zapytała z niedowierzaniem. – Jak długo? Po co?!

Halina badawczo przyglądała się obu kobietom.

– To, że pomagamy im się zbroić, nie znaczy, że cała Warszawa ma dziś stanąć na barykadach. Możemy mieć tylko jedną szansę, trzeba ją mądrze wykorzystać – dodała nauczycielka, patrząc na starszą z dziewcząt.

– Ci ludzie mają więcej odwagi od nas! – Bogusi błyszczały źrenice.

– Musiałyby sam Bóg wyprowadzić ich przez bramy, żeby uszli z życiem... – Krasicka westchnęła ciężko. – Lada dzień Niemcy mają wywozić tych, którzy tam jeszcze dogorywają. Trudno nawet przewidzieć, ilu z tych nieszczęśników będzie miało siłę, żeby unieść karabin. Jeśli się jednak odważą, to...

– Wątpi w to pani? – Sierpińska weszła kobiecie w słowo.

– W taki czas człowiek nie zna samego siebie, a co dopiero drugiego, któremu spłonął cały świat. Cały...

– Jeśli getto się ruszy, nasi też pójdą? – zapytała Halina, czując, że jej serce zaczyna przyspieszać.

A może powinna tu zostać? Wziąć do ręki prawdziwą broń i odebrać życie za życie!

– Pójdą, to już pewne. Ustalenia idą pełną parą. – Historyczka przykryła swoimi dłońmi drobne palce Haliny i gładziła je przez dłuższą chwilę. – Zawsze grałaś z pasją. Tak samo, z takim samym ogniem recytowałaś harcerską przysięgę w naszych kochanych Stajkach. Wiedziałam, że kiedy przyjdzie czas, pięknie przekujesz ją w czyn. Jestem z ciebie taka dumna, Halinko...

Kłębówna czuła, że i ją ścisza coś za gardło.

– Dlatego nie zwlekaj z wyjazdem – kontynuowała nauczycielka, jakby czytała jej w myślach. – Tutaj nawet jutro wszystko może się zmienić, a to, co robisz... to duża rzecz. Pamiętaj o tym. Obie powinnyście opuścić Warszawę – dodała i objęła spojrzeniem starszą z dziewcząt.

Bogusia Sierpińska bez słowa pokręciła głową.

Gdy wymieniały się uściskami na pożegnanie, Halina poczuła na ramionach prawdziwie matczynej dotyk. Wezbrała w niej nieznana tkliwość. I całe morze smutku. Dziwne uczucia w dniu, kiedy po raz ostatni ma się naście lat...

\*\*\*

„Theodor Riedel” – wodowanie: stocznia w Bremie, 1936. Wyporność standardowa okrętu – 2171 ton, pełna – 3110. Długość niszczyciela: 119 metrów, szerokość: ponad 11 metrów, prędkość: 38 węzłów, zasięg przy maksymalnej prędkości: 1900 mil morskich, liczba załogi: 325 osób. I najważniejsze – uzbrojenie: kilkadziesiąt dział i działek przeciwlotniczych, 8 wyrzutni torpedowych oraz 18 bomb głębinowych. „Paul Jacobi” – wodowany w tym samym roku i w tej samej stoczni; budowa, uzbrojenie i liczba marynarzy na pokładzie – prawie identyczne. „Hans Lody” – nowoczesny niszczyciel, miejsce narodzenia: stocznia Germania; wejście do służby w 1938 roku, długość i wyporność nieco większe od dwóch poprzednich jednostek, zasięg mniejszy o prawie pół tysiąca mil morskich przy takiej samej prędkości jak kolosy z Bremy, uzbrojenie – po zęby, załoga – jak wyżej...

Wydawałoby się, że zmęczona długą podróżą powinna zasnąć jak kamień, ale gonitwa myśli i powtarzane w głowie treści, mające pomóc jej w wykonaniu kolejnego zadania, skutecznie odpędzały sen.

Od godziny siedziała w przedziale pociągu do Hamburga, do którego z trudem udało się jej dostać na berlińskim dworcu. Jediną osobą zajmującą niewielką przestrzeń razem z nią był mocnej budowy czterdziestoparoletni Niemiec, który dosłownie wykłócił się z konduktorem o ten azyl, zarezerwowany ponoć dla innych podróżnych. Halina skorzystała z zaproszenia butnego nieznajomego; mając

w perspektywie jeszcze wiele godzin jazdy, uznała, że głupotą będzie odmówić wyszczekanemu blondynowi – bardziej przerażała ją podróż na stojąco w wąskim, zatłoczonym korytarzu.

Co jakiś czas powolnym ruchem przerzucała kartki podręczników medycznych, udając, że w skupieniu studiuje zawarte w nich zagadnienia. W rzeczywistości jednak przypominała sobie i porządkowała wiadomości z dwutygodniowego szkolenia w zakresie wywiadu morskiego. Zdobyta wiedza już za chwilę miała jej się przydać podczas pracy w jednym z największych miast Niemiec Północnych.

Temat „powtórki” nie miał nic wspólnego z epidemiologią ostrego zapalenia trzustki, o którym traktował otwarty rozdział szkolnego repetytorium, ale przecież jej towarzysz nie miał o tym zielonego pojęcia, mogła więc bezpiecznie żeglować po swoich oceanach specjalistycznych dyscyplin. No chyba że dzieliła przedział z doświadczonym medykiem, wtedy mogło się okazać, że potrzebne jej będzie solidne koło ratunkowe...

Na razie jednak mężczyzna kontemplował jej łydki, choć niewykluczone, że pod kątem układu przebiegających pod skórą mięśni.

– Jestem handlowcem.

Halina podniosła grzecznie głowę znad lektury.

– Nie dla wszystkich wojna to dramat – ciągnął blondyn tonem pełnym nonszalancji. – Bywa, że człowiek dopiero wtedy odbija się od dna. Mnie i mojej firmy to oczywiście nie dotyczy! – Mężczyzna zaśmiał się krótko. – Od zawsze prosperowała doskonale, ale od chwili konfliktu Europy z Rzeszą, ogólnie mówiąc, przyspieszyliśmy.

– To czym się pan zajmuje? – Wypadało, żeby choć trochę udało zainteresowanie; bądź co bądź, wywalczył dla niej miejsce siedzące w składzie zatłoczonym do granic możliwości.

– Tetraetylołów! Trudne słowo... – Mrugnął do niej. – Ale słupki sprzedażowe wyjątkowo przyjemne – dodał, sondując jej reakcję.

Nie dała po sobie poznać, że już słyszała ten termin przy okazji rozmów z akowcami na temat ogromnych paliwowych potrzeb Luftwaffe.

– Tu też jest sporo trudnych zwrotów. – Uniosła z kolan gruby wolumin. – Ale ten wymieniony przez pana tu nie figuruje, zapamiętałabym. Zatem już przynajmniej wiem, że nie jest pan związany z medycyną, liczę więc, że... – Przekrzywiła głowę. – ...nie przepytamnie pan z budowy kośćca ani objawów schizofrenii na ten przykład.

– Skądże! – Niemiec uczynił obronny gest wypiełgowanymi dłońmi. – Ale chętnie się dowiem, w jakim celu taka młoda, delikatna osóbką zmierza tam, gdzie jest coraz bardziej niespokojnie.

– Czy wojna musi oznaczać rezygnację z zawodowych ambicji?

Mężczyzna uniósł brew.

– Brawo! Nowe Niemcy będą potrzebowały właśnie takiej młodzieży!  
– Klepnął się dłonią w udo.

– Będą? – zagrała dociekliwą, obrażoną Niemkę.

Blondyn pokiwał głową i przyglądał się Halinie z jeszcze większą ciekawością.

– Widzi pan... zawód lekarza to prestiż, ogromne wyzwanie i zawsze pewna robota, pewna przyszłość – tłumaczyła, starając się trzymać wzrok swojego rozmówcy na smyczy. – Jadę, by ją sobie zbudować. Pochodzę z Rygi. Moim marzeniem jest osiąść gdzieś w strefie równikowej. Od dawna fascynuje mnie ten region. W Hamburgu funkcjonuje Instytut Medycyny Tropikalnej, może pan słyszał? Noszę się z pomysłem studiowania na jednym z jego wydziałów – wyrecytowała bez zajknięcia notkę, opracowaną na wypadek takiej sytuacji jak dzisiejsza.

Jeśli jej towarzysz podróży był rzeczywiście tym, za kogo się podawał, powinien dać sobie spokój z tą niestrawną dla laika medyczną bajaderką.

– Proszę na siebie uważać – powiedział po krótkiej chwili milczenia. – Bomby wroga nie mają wbudowanego systemu segregacji ofiar, a w dużych miastach odnotowuje się dziś nalot za nalotem. – Zmarszczył brwi, gasząc lekko swój zagadkowy uśmiech. – Gdzie się pani zatrzyma w Hamburgu?

Mężczyzna zaskoczył ją tym pytaniem.

– Och, poszukam sobie jakiejś prywatnej kwatery – odpowiedziała szybko. – W razie niepowodzenia zawsze pozostaje mi dom studencki.

„Co za wścibski typ” – pomyślała, przygryzając wargę i marząc jednocześnie o wygodnym łóżku oraz czystej pościeli. A przecież dobrze wiedziała, że najprawdopodobniej skończy się na twardej dworcowej ławce...

– Jeśli nie będzie dużego opóźnienia, zjawimy się u celu przed północą – zauważył mężczyzna i zrobił krótką pauzę dla nabrania oddechu. – W środku nocy Hauptbahnhof to najpewniejszy hamburski adres. Obsługa na pewno znajdzie coś wygodnego dla pani, proszę mi pozwolić o panią zadbać.

Podejmowanie natychmiastowych decyzji zaczęło jej wchodzić w krew.

Kilka godzin później kolejna łapówka nieznanego, który w hotelowej recepcji czuł się jak u siebie, otworzyła jej drzwi do wygodnego lokum, w którym mogła wreszcie odespać trudy ostatniej doby i dać pożywkę umysłowi – rankiem musiała przecież opracować chociaż wstępny zarys działania.

Zdała się na intuicję, a potem zasnęła jak dziecko, gdy tylko przytuliła głowę do poduszki.

\*\*\*

Jak tak dalej pójdzie, wróci do Łodzi z materiałem niewartym funta kłaków! Cóż z tego, że dzięki krzykaczowi z Bukaresztu mogła wygodnie i bezpiecznie mieszkać, co z tego, że miała aż dwa tygodnie na wykonanie zadania i wycacany aparat fotograficzny, którym była

w stanie zrobić dobre zdjęcia, nie przystawiając go nawet do oka. To wszystko nie miało znaczenia, jeśli w ustalonym przez swoje dowództwo terminie nie dotrze do konkretnych danych. Czas (dziesięć do czternastu dni) i cel (miejsca ważne strategicznie) – tylko to miała ściśle określone, całą resztę musiała wymyślić i zorganizować sobie sama.

Pierwszy dzień pracy uznała za stracony. Kilka ostrożnie zrobionych fotek w portowej części miasta, która najbardziej interesowała jej szefów, nie posiadało według niej większej wartości wywiadowczej. Doszła do wniosku, że musi wejść w sprawę głębiej i domacać się konkretnych kształtów w jakiś sprytniejszy sposób.

Nazajutrz skierowała kroki w stronę hamburskiego portu dużo wcześniej. W głowie krystalizował się jej pewien plan – jeśli miał się powieść, musi wykorzystać swój kobiecy potencjał. Da się zrobić. Niech no tylko trafi na rybkę, która zechce grzecznie wpłynąć w tę gęsto tkaną sieć.

Już wczoraj wpadła jej w oko motorówka, która mniej więcej w godzinnych odstępach kursowała między jednym brzegiem Łaby a drugim, przewożąc na swoim pokładzie grupy robotników. Jednostkę obsługiwał młody mężczyzna, może tylko ciut od niej starszy. Zauważyła, że chłopak umierał z nudów, czekając na kolejny dźwięk syreny portowej, wzywający go do cyklicznej aktywności. „Rybka”, dla której miała w zanadrzu konkretną przynętę, miała rudawą czuprynę w koszmarnym nieładzie, różowe, piegowate oblicze i zdecydowanie maślane spojrzenie od pierwszej chwili, w której zbliżyła się do nabrzeża. Młody Niemiec przypominał jej oślizgłego śledzia nie pierwszej świeżości, ale nie zamierzała wybrzydzać; zegar tykał, a ona pragnęła mieć wyniki, najlepiej teraz, zaraz!

– Ależ ja panu zazdroszczę... – Westchnęła głośno, gdy tylko skupiła na sobie wzrok przewoźnika. – Obłądnie zazdroszczę... – dorzuciła, przewracając teatralnie oczami.

– Czego? – Mina rudzielca nie wróżyła konwersacji na najwyższym poziomie. Jeszcze nie wiedziała, czy uznać to za plus czy minus.

„Jak Boga kocham, pospolity *Baltikum allec*<sup>56</sup>” – pomyślała, posiłkując się zapamiętaną ze szkoły łacińską nomenklaturą.

<sup>56</sup> Łacińska nazwa śledzia bałtyckiego.

– Prawdziwy zapach morskiej przygody, niecodzienna panorama pięknego miasta, krzyki mew i wiatr we włosach! – deklamowała, uśmiechając się do samej siebie i pilnując, żeby chłopak mógł dokładnie przyjrzeć się jej harmonijnemu profilowi.

– Eee... – Dotarł do niej wyszukany komentarz. – Rybą ino tak czasem jedzie, że szmatą nos zawiązać to mało! Ale robota dobra. Spokojna. Nie to co na froncie.

Chłopak wzruszył ramionami, ale po tej uwadze łypnął na Halinę, ciekaw jej reakcji.

– Był pan na froncie? I walczył dla naszej Rzeszy? – Zrobiła duże oczy i zatrzepotała rzęsami. – Marynarz bohater...

Miała nadzieję, że nie przesadziła. Na wszelki wypadek dodała do zachwyty przeciągłe westchnienie. Młody Niemiec na moment uciekł spojrzeniem.

– W Afrika Korps, pod Rommlem. Alem zachorował i w końcu zwolnili. Tu kazali robić, to robię. I sto razy mi lepiej na tej łajbie niż w wojsku. – Rudzielec spojrzął na swoją rozmówczynię spode łba, a potem splunął ze złością pod nogi.

„Lokalny patriota inaczej” – skonstatowała, próbując opanować dreszcz obrzydzenia.

– Opowie mi pan o tym? Jak to jest stawać w polu za *Führera*? – Zbliżyła się dwa kroki w stronę mężczyzny.

– W polu to ja, proszę panienki, za przeproszeniem... wie panienska...  
– Twarz chłopaka przybrała nagle buraczaną barwę. – Na Hitlera też!



Zachichotała w nadziei, że jej rozmówca uzna ją za kogoś idealnego do głębszych zwierzeń.

– Tak że... ekhm! – chrząknął, a na czole pojawiła mu się zmarszczka głębokiej zadumy. – O tym polu, froncie znaczy, to może kiedy indziej, ale o morzu to mogę, jak panienka ciekawa czego jest – dokończył i okraślił ostatnie zdanie szerokim uśmiechem, w którym brakowało górnej lewej trójki.

Powietrze przeszył długi, mocny dźwięk portowej syreny. Chłopak drgnął lekko, ale nie odwrócił twarzy w stronę przeciwległego brzegu. Jego twarz przybrała znów w miarę naturalny odcień, a w oczach pojawiło się wyraźne oczekiwanie. Nie spuszczać oka z dziewczyny, poprawił na głowie czapkę z błyszczącym daszkiem. Halina zarejestrowała, że wygląd dłoni chłopaka wskazywał, że ten pracuje raczej w kopalni, i to gołymi rękoma, niż otoczony zewsząd czystą wodą.

– Naprawdę? Mógłby pan? – zapytała już normalnie, bez egzaltacji, bo odniosła wrażenie, że i bez tego mogła zacząć „zwijać żyłkę”.

– Ta! Ino jak się wrócim z chłopami. Może być? – Rudzielec znów się zaczerwienił. Tym razem nieco lżej.

– Cudownie! Poczekam na pana. Dziś akurat mam bardzo dużo czasu... – Odetchnęła zadowolona, również dlatego, że tej akurat emocji nie musiała ukrywać.

Przerwa między zębami przewoźnika znów zbiła ją lekko z tropu, ale postanowiła być twarda i posłała swojemu rozmówcy uprzejmy uśmiech.

– Jak panu na imię?! – zawołała jeszcze, gdy odcumowana łódź kręciła młynka.

– Peter! – poniosło się po fali. – A pani?

– Halina!

– Zaczekasz na mnie, Halina?

– Zaczekam! – odkrzyknęła, unosząc się lekko na palcach.

Kilka minut później ruszyła wolnym krokiem wzdłuż nabrzeża. Wyciągnęła z kieszeni podsuszoną już maślaną bułeczkę, wyniesioną rano z hotelowej jadalni. Porządnie wypieczone pieczywo przyjemnie chrupało w zębach; jeśli gdzieś na terenie Niemiec były problemy z dostawami żywności, dyrekcja Hauptbahnhofu potrafiła skutecznie omijać te zaopatrzeniowe mielizny, bo goście nie mogli narzekać na hotelową kuchnię. Tak naprawdę po miesiącach zaciskania pasa i jedzenia tego, co się akurat szczęśliwie trafiło, tu, w Hamburgu, wszystko smakowało jej jak ambrozja...

Podmuchy chłodnego wiatru tańczyły z zawiązaną na szyi apaszką. Miała jakieś trzy kwadransy, żeby ułożyć sobie w głowie listę pytań, które będzie próbowała przemycić w rozmowie z młodym Niemcem. Jeśli rozegra tę partię ostrożnie, z wyczuciem, być może opłaci się jej odgrywanie przed młokosem naiwnego dziewczątka z dobrego domu. Cóż, lepszego pomysłu na razie nie miała, a chłopak palił się, żeby jej czymś zaimponować. Żal było nie dać mu się wykazać...

\*\*\*

Gdyby zostawiła teraz port za sobą i udała się w górę rzeki, trafiłaby na strome zbocza Łaby, przechodzące w piękne naturalne plaże – kremowobiały raj prawie sto dwadzieścia kilometrów od Morza Północnego, bo mniej więcej tyle dzieliło Hamburg od wybrzeża. A jednak na każdym kroku miało się wrażenie, że wystarczy znaleźć pierwszy lepszy punkt widokowy, żeby zobaczyć wrota oceanu oraz ich gładki horyzont. Atmosferę nadmorskiego kurortu tworzyły wszechobecna woda, wiatr niosący jej specyficzny zapach i ptasi harmider, w którym prym wiodły rybitwy, mewy i... kormorany! Gdy po raz pierwszy ujrzała te majestatyczne ptaki w centrum miasta, była niebotycznie zdziwiona; ich charakterystyczną sylwetkę z mocną wygiętą szyją i masywnym dziobem kojarzyła raczej z morskim brzegiem i łąkami drobnego jasnego piasku, a nie z tętniącą wielkomięjskim ruchem milionową aglomeracją. Zrozumiała ten fenomen dopiero po dokładniejszym przestudiowaniu mapy miasta.

Wcześniej zjawiała się w Hamburgu tak naprawdę na chwilę. Na dobrą sprawę wystarczyło tylko nieznacznie oddalić się od głównego dworca, żeby szybko pozbyć się dywersyjnego balastu, a potem ruszyć w dalszą drogę. Do takiej akcji nie potrzebowała żadnego przewodnika. Teraz było inaczej. Musiała poznać więcej punktów odniesienia. Dysponowała wprawdzie starawym już nieco wydaniem Baedekera, ale ten przewodnik turystyczny w zupełności wystarczył, by ułożyła sobie w głowie własną siatkę dróg, którą zamierzała wykorzystać w wędrówkach po metropolii. Fotograficzna pamięć podawała jej obraz tego niezwykłego miejsca, jakby Halina znała je od lat – ogromny, jedyny w swoim rodzaju organizm pulsujący życiem w delcie między dwiema rzekami, okryty płaszczem utkanym z kanałów oraz tysiący rozwieszonych nad nimi mostów i kładek, patrzący okiem Cyklopa w postaci Außenalster; twór dopieszczony architektonicznie, rozszalały setkami parków i zieleńców, huczny, odważny...

Studiując rzuty, a potem konfrontując ich szczegóły z rzeczywistością, doznawała uczucia, że oto nie człowiek ze swoją wszechwiedzą okiełznał wodny żywioł, lecz Łaba i jej siostra Alster zgodziły się łaskawie udostępnić ludziom swoją życiową przestrzeń. I już nie dziwiła się temu, że w tym pływającym mieście – jak myślała o Hamburgu – osiedlały się tak licznie ornitologiczne perły słonych wód, ale że w tej urokliwej, wymuskaney krainie żyją ludzie siejący śmierć.

Karl Baedeker „podpowiedział” jej również, że powierzchnia samego portu to kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych nabrzeża, magazynów i hal, prawdziwy las dźwigów i potężna stocznia, a wśród nich ludzkie mrowie, które w każdej chwili wykazać się może niezdrową dla niej ciekawością. Na razie zaspokajała własną, zachłannie, ale i metodycznie, z ławicy informacji wyławiając wszystko, co miało szansę zabłysnąć w jej raportach – jak piracki skarb odnaleziony w głębinach przez nieustraszonego śmiałka...

Mierziło ją udawanie zauroczonej mężczyzną kokietki, ale za dobrze jej szło, żeby porzucać tę swoistą mistyfikację. W ciągu dwóch dni, w czasie których nie musiała dużo mówić, a jedynie dobrze nadstawiać

uszu, Peter dosłownie zasypał ją informacjami na temat funkcjonowania stoczni i samego portu. Sprawozdania z tych eskapad, nad którymi siadywała wieczorami, pełne były szczegółów i konkretnych danych. Jeśli dołączy do nich zdjęcia, wywołane w odpowiednim czasie z aparatu fotograficznego, eksploatowanego tak często, jak tylko się dało, zebrany materiał powinien zadowolić jej łódzkie dowództwo.

– Smakuje? – zapytała młodego Niemca, pałaszującego z zapamiętaniem kanapkę z rybną wkładką, którą kupiła dla niego, przechodząc przez zatłoczony *Fischmarkt* w drodze do portu.

Chłopak tylko pokiwał głową.

„Jedz, jedz – myślała. – Niech szare komórki w tej rudej łepetynie zaczną tańczyć na moją nutę”.

– Zastanawiam się, czy nie porzucić studiów medycznych na rzecz inżynierii – powiedziała głośno, patrząc w kierunku stoczni.

Peter przestał przeżuwać i utkwiał wzrok w jej zamyślonej twarzy.

– To chyba za trudne dla...

– Chcesz powiedzieć: „dla kobiety”? – weszła mu w słowo i spojrzała na swojego rozmówcę. Chciała dodać, że jej płeć potrafi dużo więcej, ale ugryzła się w język. Nie powinna wychodzić z roli; jeśli chłopak odkryje, że ma do czynienia z manipulantką, a nie naiwną gęsią, gotów się obruszyć i spłoszyć. Porażka tego typu nie wchodziła w grę. –

Opowiadasz o swoim miejscu pracy tak wspaniale, że właściwie mogłabym robić tu cokolwiek, żeby stać się częścią tego miejsca. Chociaż... może i masz rację. To jednak bardzo skomplikowana maszyna, nie wiem, czy zdołałabym dostać się w jej tryby i niczego nie popsuć... – Uzupełniła wypowiedź wzruszeniem ramion.

Peter dokończył posiłek, po czym otarł brzegiem rękawa zatłuszczone usta.

– Chcesz zobaczyć stocznnię z bliska? – rzucił, pokazując ruchem brody przeciwległy brzeg Łaby.

– Głupie pytanie – prychnęła. – Jasne, że tak!

– To wsiadaj – zaproponował rudzielec i ruszył w stronę motorówki.

– Ale...

– Zrobimy tak... Schowasz się teraz pod pokładem i będziesz siedzieć cicho, gdy wejdą robotnicy. W jedną stronę popłyniemy sami, wtedy ci powiem, gdzie masz patrzeć. Umowa stoi?

– A to wolno tak?

– Nie wolno. Ale... – Peter wyciągnął do niej rękę. – Jak mnie zdybią, to płakać nie będę. Wielkie mi co, krzyk bosmana! Idziesz?

Nie dała sobie czasu na wahanie. Z pomocą młodego Niemca zrobiła duży krok i chwilę później poczuła pod stopami falujące podłoże. Nie była pewna, czy zakręciło się jej w głowie z emocji, czy w wyniku częściowej utraty stabilności.

Gdy nie czekając na dźwięk syren, odpłynęli kilkaset metrów od nabrzeża, Peter wyłączył silnik i zszedł do Haliny.

– Masz dziś dużo szczęścia... – obwieścił z zadowoloną miną, przeciskając się w stronę dziewczyny.

Instynktownie przesunęła się w stronę rufy.

– Popatrz tam. – Chłopak przysiadł nagle na wąskiej koi, zwrócony twarzą do podłużnych okienek.

Posłusznie podążyła za spojrzeniem przewoźnika, niespokojnie łapiąc oddech.

– Co to za wzgórze? – Wyciągnęła mocniej szyję.

Peter zaśmiał się głośno.

– To nie wzgórze, panienko, tylko arcyważna zamaskowana część stoczni.

– Pleciesz! – zachnęła się teatralnie. – Przecież tam rosną drzewa i domy też jakieś widzę. Coś kręcisz – podjudzała.

– Rośliny tylko udają las, a budynki to zwykła makieta. Spójrz lepiej w lewo, będziesz miała ciekawszy widok.

Zmrużyła oczy pod wpływem świetlnych refleksów. Po chwili widziała już bardzo wyraźnie. Po wodzie sunął szaroczarny długi kształt; na jego wypłaszczonej powierzchni poruszało się szybko kilku marynarzy. Z tej odległości mężczyźni wyglądali jak mrówki, które, biegając, zastanawiają się, w jaki sposób przenieść tę potężną zdobycz do mrowiska. Nie miała wątpliwości, że właśnie ogląda z bliska jeden z podwodnych okrętów wroga. W myślach próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, jaka dokładnie jednostka kieruje się w tej chwili w stronę wybrzeża.

– To nasz najlepszy... – zakomunikował Rudy zachwyconym tonem. – *Unterseeboot* VIIC. Dokładnie U-955... – westchnął.

Miała więc przed oczami jedną z krwiożerczych macek ośmiornicy zwanej *Kriegsmarine*. Umysł od razu rozpoczął wyszukiwanie wiadomości na temat U-boota. Zdaje się, że...

– Pewnie nie wiesz, no bo skąd... – zaczął Peter. – Ale takich jak ten tutaj wyszło w morze sześćset dziewięćdziesiąt trzy sztuki. Piękna sprawa!

– Mhm... – bąknęła pod nosem, starając się nie przerywać chłopakowi.

„Część wyprodukowano w Danziger Werft i Vulcan Stettin, w Gdańsku i Szczecinie, mądrusiu” – dopowiedziała sobie bezgłośnie.

– Jak na oceaniczne mikrusy mają niesamowite właściwości. Pierwsza rzecz to zanurzenie. Nawet ponad dwieście pięćdziesiąt metrów, głównie dzięki mocnym blachom poszycia kadłuba sztywnego. Pierwszy prototyp zaprojektowano w trzydziestym czwartym. Są wzorowane na VIIB ze zbiornikami na trzydzieści trzy tony paliwa, co pozwalało im na robienie dwóch i pół tysiąca mil morskich przy dziesięciu węzłach. Rozumiesz, jaka to moc?! – Policzki chłopaka płonęły. – Miały pod wodą świetną manewrowość, bo wbudowano im drugą płetwę sterową, pływały więc na podwójnym sterze, umieszczonym zaraz za śrubami. Rufową

wyrzutnię torpedową przeniesiono do kadłuba sztywnego, a na jej miejscu w kadłubie lekkim upchnęli dwie dodatkowe torpedy. No i potrafiły schodzić na dwadzieścia metrów w ciągu pół minuty. A U-955 VIIC są od nich dużo lepsze! Słuchasz mnie, Halina? – Rudzielec wbił jej łokieć pod żebro, zadowolony ze swojego wykładu.

– Tak, tak, mów dalej, to bardzo... pouczające – zachęciła bezzwłocznie, rejestrując, że gdy chłopak wymieniał zalety U-bootów, brzmiał jak wytrawny znawca tematu.

– Pływają w wilczych stadach – dorzucił młody Niemiec, cmokając z zachwytu.

– W czym?

Chłopak uśmiechnął się półgębkiem i spojrzał na Halinę wzrokiem, jakby ta nie potrafiła dodać dwa do dwóch.

– U-booty tego typu pływają w grupach. Jest pięć takich grup. Tak, tak, proszę panienki, jest pięć wilczych stad. Są rozmieszczone na ogromnym obszarze. I teraz słuchaj, bo to jest najlepsze: gdy jeden z okrętów nawiąże kontakt z wrogim konwojem, powiadamia o tym wszystkich pozostałych. Tamci płyną w stronę wzywającego. Watahą płyną, rozumiesz? Jak głodne, rozwścieczone wilki... Tak polują na angielskie i radzieckie jednostki! – tłumaczył, a w jego oczach błyszczała namiętność. – Otaczają, atakują i czekają, aż ofiara się wykrwawi. Sprytne, co?

Rudzielec przygryzł dolną wargę, jakby odczuwał niezwykłą przyjemność.

„Otaczają... i czekają, aż się wykrwawi” – dudniło jej w uszach, nawet wtedy, gdy przewoźnik opuścił już kajutę i znów stanął przy sterze.

„Nie znasz dnia ani godziny – złorzeczyła w myślach, zaciskając pięści. – Bo są i tacy, którzy wychodzą na zwierzynę w pojedynkę i potrafią wrócić z łupem, marynarzu od siedmiu boleści...”.

\*\*\*

– Jest dobrze, jest bardzo dobrze – mruzczała do siebie, przyglądając się efektom swojej pracy.

Na planie Hamburga udało się jej oznaczyć wszystkie obiekty, które w porcie pokazał jej Peter, a w samym mieście – przechodnie. W zależności od potrzeb wcielała się albo w turystkę, albo w studentkę poznającą metropolię tudzież okolice hamburskich uczelni. Jej wygląd i płynny niemiecki ułatwiały zadanie – ludziom, zaczepianym na ulicach, placach czy skwerach i pytanym o przykryte siatkami maskującymi budynki, nie przychodziło do głowy, że ubrana grzecznie dziewczyna z blond warkoczykami może wykorzystać zdobyte w ten sposób informacje przeciwko nieśmiertelnej Rzeszy. Większość odpowiadała chętnie i wyczerpująco, nierzadko zahaczając przy okazji o historię rejonów, które interesowały ewidentnie zagubioną – według nich – w obcym mieście młodziutką Niemkę.

Po siedmiu dniach stara mapa, którą przywiozła ze sobą z Wiednia, upstrzona była mnóstwem wyróżników i symboli, do których stworzyła nową legendę. Kilka dodatkowych szkiców rozrysowanych od podstaw przedstawiało zbliżenia i szczegóły miejsc, które uznała za wyjątkowo ważne dla misji, a tym samym dla łódzkiej komórki Armii Krajowej.

Rozmieszczenie jednostek obrony przeciwlotniczej, w tym stanowisk *Fliegerabwehrkanone*, miejsca stacjonowania jednostek wojsk lądowych i marynarki wojennej, sposób maskowania ważniejszych obiektów cywilnych oraz wojskowych na terenie miasta i portu, i w raporcie osobnym: produkcja wojenna w hamburskiej stoczni, sytuacja ludności cywilnej, robotników przymusowych i samych Niemców.

Ogarnęła wzrokiem całość. Miała wszystko. Przeanalizowała zapiski jeszcze dwukrotnie, nanosząc za każdym razem drobne poprawki. Schodząc na późne śniadanie do hotelowej restauracji, myślała już tylko o powrocie do Łodzi i złożeniu obszernego sprawozdania z wyjazdu swoim przełożonym.

– Hamburg musi być dla pani szalenie interesujący, bo jeśli, jak mniemam, nie spędza pani całego dnia w pościeli, to czuję, że zajrzała



pani w tym mieście już w każdą mysią dziurę. Zniknęła mi pani jak kamfora! Jakże to tak, *Fräulein* Klomb?

Wielki jak góra bukareszteński Niemiec wyrósł jej niespodziewanie za plecami. I może właśnie teraz będzie próbował wymóc na niej podziękowanie za pomoc w zakwaterowaniu! Zaaferowana pracą, zupełnie zapomniała o poznanym w pociągu przedsiębiorcy. Mężczyzna zaskoczył Halinę swoim pojawieniem się, choć dobrze, że stało się to teraz, a nie podczas penetrowania przez nią zakamarków znajdujących się w zupełnie innej strefie klimatycznej niż tropiki.

Westchnęła, ale tak, żeby ten nie zauważył jej zniecierpliwienia, i zaraz potem przyoblekła twarz w uprzejmy uśmiech.

– A tak, rzeczywiście – odpowiedziała szybko. – Marnowanie czasu nie leży w mojej naturze, więc tak, ma pan rację, zdeptałam miasto wzdłuż i wszerz. Ale gdzieś przy setnym moście zgubiłam rachubę i wolałam już tylko patrzeć. Milsze to memu sercu niż suche cyfry.

– Jednak musi pani przyznać... – Blondyn ujął jej dłoń i musnął ją ustami. – ...że dwa i pół tysiąca, ponad dwa i pół tysiąca kładek i mostów to spektakularna liczba, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że Amsterdam i Wenecja razem wzięte mają takowych mniej.

– Niesamowite... – Tego akurat nie wiedziała, więc tym łatwiej przyszło jej otworzyć buzię ze zdziwienia. – Przyznaję się do skandalicznej niewiedzy w tej kwestii.

– Ależ to żadna ujma! – zaproponował czterdziestoparolatek. – Ma pani jeszcze czas na wszystko, i zdobywanie wiedzy, i dzielenie się nią, i na pomyłki, rzecz jasna! Młodości mnóstwo się wybaczają. Ale i zazdrości! –

Niemiec uniósł palec wskazujący prawej dłoni. – Czego akurat jeszcze pani nie wie, więc proszę się z tego cieszyć, póki można.

Musiała mieć nieokreśloną minę, bo mężczyzna nie drążył tematu.

– Czy jest dziś pani bardzo zajęta? – zapytał zniecka, zanim zdążyła odpowiedzieć coś mądrego.

– Zdecydowanie. Dlatego pozwoli pan, że się pożegnam. – Odstawiła na stół pustą filiżankę po herbacie, a potem podniosła się ze swojego miejsca. – Koniecznie muszę jeszcze raz zajrzeć na uczelnię, o której panu wspominałam. Czeka mnie wizyta w tamtejszej bibliotece.

– Doskonale! To może chociaż krótki wspólny spacer? Idę właśnie w tamtą stronę – padła trochę nerwowa propozycja. – Co pani powie na towarzystwo mojej skromnej osoby?

Skromna osoba przewiercała ją wzrokiem, jakby całe życie chodziła na spacer wyłącznie z podlotkami.

Halina postanowiła, że jeśli to wystarczy zamiast dziękczynnych pokłonów, to jakoś to zniesie. A po drodze wymyśli jakąś bajeczkę, by w odpowiednim momencie zrobić w tył zwrot.

– Mówił pan, o ile dobrze pamiętam, że świetnie zna Hamburg... – zagaiła, gdy znaleźli się na ulicy.

– O, tak! Jego historia sięga czwartego wieku przed naszą erą, wiedziała pani? Nieco później, bo...

– W tej chwili chciałabym znać adres najlepszej cukierni w mieście... – przerwała mu delikatnie słodkim tonem.

– Zatem tędy!

Jej towarzysz zdawał się wniebowzięty, a ona nie miała pomysłu na ciąg dalszy.

Jakiś kwadrans później przemysłowiec zatrzymał się przed wysokim szarym gmachem. Kilkanaście betonowych schodów wieńczyły czteroskrzydłowe drewniane drzwi w czekoladowym kolorze. Jednak to nie ich barwa, ale napis nad nimi sprawił, że zadrżała. W tym samym momencie Niemiec poprosił, żeby weszła z nim do... głównej komendy policji. Była pewna, że mężczyzna dostrzegł jej wahanie, ale mimo to spróbowała pożegnać się spokojnie i jak najszybciej oddalić. Nie pozwolił jej na to i wzięwszy zdecydowanym gestem pod rękę, poprowadził w kierunku wejścia. Na wpół sparaliżowana została

wprowadzona do wielkiej sali z kilkoma stanowiskami, przy których kręcili się umundurowani *Schupo*<sup>57</sup>.

<sup>57</sup> Schupo (Schutzpolizei) – Policja Prewencyjna, dosł. Policja Ochronna – w miastach powyżej 5000 mieszkańców zwarte skoszarowane jednostki policyjne, używane także poza macierzystymi garnizonami, w tym na obszarze tyłowym frontu i w krajach okupowanych przez Trzecią Rzeszę (również na ziemiach polskich). Za: *Mała encyklopedia wojskowa. R-Ż*. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1971.

„A trzeba było posadzić tyłek na podłodze, a nie łąsić się na wygodny przedział – jęczała w myślach na wspomnienie decyzji podjętej na szybko w pociągu relacji Berlin–Hamburg. – Co zrobiłam nie tak?”

Towarzysz musiał wyczuć jej napięcie; ona sama poczęła sztywnieć z sekundy na sekundę. Gdy czekali na swoją kolej do barierki dla interesantów, mężczyzna nienaturalnie się ożywił i zaczął ją zabawiać jakimś anegdotami. W nerwach nie rozumiała połowy z tego, co do niej mówił. Chwilę później, która trwała dla niej całą wieczność, pojęła, że jej kompan załatwia tu po prostu jakieś zwyczajne urzędowe sprawy, przypieczętowane przez policjanta na pliku dokumentów.

Do wyjścia ruszyła na miękkich nogach, przygotowując się mentalnie do gradu pytań w związku z jej dziwacznym zachowaniem.

– Jak długo jeszcze pozostanie pani w Hamburgu? – zapytał jej towarzysz, lustrując spokojnie otoczenie.

To było zdecydowanie lepsze niż „Czego się pani boi?”...

– Wracam na dniach do Wiednia. Wzywają mnie rodzinne obowiązki i szkoła – odpowiedziała nieswoim głosem.

– Może jutro?

– Jutro? – powtórzyła bezrefleksyjnie.

– Tak. Możemy wrócić razem. Właśnie na jutro mam zamówiony lot do Wiednia. Nie powinienem mieć kłopotów z załatwieniem drugiego biletu, jeśli zgodzi się pani, żebym postarał się o niego w jej imieniu.

„Zasadzka?! Podstęp... Ale po co ta cała cholerna komedia, jeśli można było mnie skuć tam, na miejscu!” – myślała gorączkowo,

rzucając ukradkowe spojrzenie w stronę szarego gmachu.

To samo pytanie zadała sobie chyba setny raz, kładąc się do łóżka w hotelowym pokoju. Zanim udała się na spoczynek, spakowała się z myślą o wyjeździe z miasta skoro świt. Rosła w niej pewność, że powinna wynieść się stąd czym prędzej. Przemysłowca zbyła spolegliwym „tak”, ale nie zamierzała dotrzymać słowa, tylko złapać pierwszy poranny pociąg do Berlina, nawet jeśli całą drogę miałyby stać w nim na baczność.

Nad ranem obudziło ją głośnie pukanie do drzwi. W głowie miała tysiące scenariuszy kolejnych zdarzeń, ale zabrakło jej tego jednego, który stał się jej udziałem. Boy hotelowy, który swoim wyglądem – długi, spiczasty nos – przypominał jej trochę Pinokia z baśni, wręczył jej liścik od bukareszteńskiego Niemca. Ten ostatni donosił, że jest mu bardzo przykro, iż nie będzie mógł jej towarzyszyć w podróży samolotem do Wiednia, ponieważ zatrzymują go w Hamburgu interesy oraz że w związku z tym odstępuje jej swój bilet, życząc jednocześnie spokojnego lotu... Wykluczyła i zasadzkę, i podstęp, poczuła za to zew przygody.

Tym sposobem zamiast męczyć się kilkadziesiąt godzin w śmierdzących przedziałach i na brudnych, niebezpiecznych peronach, po dwóch godzinach lotu na pokładzie wojskowego samolotu wiozącego niemiecką generalicję znalazła się w Wiedniu jeszcze przed obiadem.

Hamburg z lotu ptaka wyglądał jak rys z Baedekera – kolorowy, piękny, fascynujący! Chyba będzie trochę tęsknić za tym miastem, gdzie spotyka się dziwnych aniołów stróżów...

\*\*\*

– A dlaczego tylko w Gestapo mają świętować! No? To u ciebie czy u mnie?

Do męskiego głosu, artykułującego zdanie po niemiecku, które Halina usłyszała tuż obok, dołączył głośny śmiech kobiety. Nie była ciekawa pary, umawiającej się właśnie na jakieś słodkie *tête-à-tête*, chociaż

musiała przyznać, że to, co działo się za jej plecami, gdy przysiadła na którejś z ocienionych łódzkich ławeczek, nie było jej całkiem obojętne. Wywołało bolesny skurcz serca i falę smutku, które odrealniły ją na dłuższą chwilę. Oczyma wyobraźni zobaczyła twarz Lukschy, jakby ten stanął przed nią żywy. Oczy mężczyzny błyszczały i wpijały się w jej źrenice jak płonące promienie słoneczne. Gdy ucisk odpuścił, poczuła szczypanie pod powiekami, a potem tęsknotę, za nią złość, bezsilność, chęć ucieczki od tych uczuć gdziekolwiek i żal do wszystkich świętych. Zamknęła oczy tak mocno, że kilka wyciśniętych w ten sposób łez zaczęło spływać jej po policzkach. Nie była pewna, czy bardziej boli ją serce czy rana na pięcie, którą zafundowała sobie, wybierając marsz ulicami rozgrzanego lipcowym upałem miasta zamiast paru minut jazdy tramwajem. Ale za bilet mogła kupić czerstwą bułkę, może nawet dwie – rachunek był prosty.

Delikatnie wysunęła stopę z pantofla. „Powinnam zmienić je na sandały albo na cokolwiek w lepszym stanie – pomyślała, patrząc na zdarte obcasy i powycierane noski. – Najlepsza pasta nic już tu nie zdziała”. Zaraz potem przypomniała sobie, że nie posiada żadnej. Skrzywiła się z bólu oraz na widok dużej czerwonej plamy na skarpetce. Nic to, wkroczy dziś na salony swojego dowództwa na bosy.

– Ot, paryżanka – powiedziała do siebie cicho i rozejrzała się ukradkiem, czy ktoś przypadkiem nie przygląda się jej niecodziennej gimnastyce.

Zatrzymała spojrzenie na sylwetkach kobiety i mężczyzny, tulących się bezwstydnie do siebie w wejściu na jakieś śródmiejskie podwórko. Szczupły mężczyzna w mundurze niemieckiego oficera całował w szyję swoją kochankę, jego prawa dłoń sunęła wolno po zewnętrznej stronie uda smukłej brunetki, unosząc coraz wyżej kolorową falbanę sukienki. Kobieta miała przymknięte oczy, jej lekko rozchylone usta kwitły burgundem i słabym uśmiechem. Halina czuła się zażenowana, ale jednocześnie coś kazało jej patrzeć – zdawało się jej, że widzi w obrazie znajomy profil... Nagle kilka słów wypowiedzianych przez kobietę miękim głosem przywołało wcale nie tak dawne wspomnienia i już

wiedziała, kim jest lgnąca do żołnierza dziewczyna. Pamiętała tę postać bardzo dobrze ze szkolnych korytarzy w gimnazjum Heleny Miklaszewskiej.

Dyrektorka jej szkoły od lat trzymała się sztywno zasady, w myśl której co roku zwalniała z chesnego za naukę jedną lub dwie wyjątkowo zdolne uczennice, w przypadku gdy bliscy nie byli w stanie opłacać dalej ich edukacji w placówce. W ten sposób najbiedniejsze panny miały szansę wejść w dorosłość z pełną głową. Jedną z takich „wygranych” była Ania, córka krawcowej oraz szeregowego pracownika w fabryce Finstera. Małomówna, skromna i nieśmiała, wręcz wycofana, uczyła się w klasie równoległej. Halina tylko dwa, może trzy razy zamieniła z nią kilka słów, chociaż przez parę tygodni Ania uczęszczała na te same harcerskie zbiórki. Tylko raz dziewczyna „stała się” kimś innym, silnym, zdecydowanym, kipiącym szczerą emocją – gdy jak na deskach teatru wyrzucała z siebie w gorączce poetyczne słowa:

*Nie ma ziemi, na której bym spoczął  
Bez szarego, dawnego wspomnienia.  
Wszędzie, wszędzie moim oczom  
Jedno jest do patrzenia.  
Nic mnie, nic nie uspokoi,  
Nic w porywie już nie zatrzyma.  
Wiecznie otworem nade mną stoi  
Niebo – ziemia moja rodzima<sup>58</sup>.*

<sup>58</sup> Julian Tuwim, *Nie ma kraju*.

Halina zapamiętała tę chwilę, bo w tamtym momencie słowa były czymś więcej niż tylko wierszem. Teraz była zdezorientowana i dziwnie poruszona. Co musiało się wydarzyć w życiu tej dziewczyny, że ta „sprzedała” swoją pasję za garść namiętności, żegnając w ten sposób dziewczęcą niewinność...? Gdzie była prawda, a gdzie kłamstwo w scenie, która w swoim wyrazie winna być jednoznaczna? Ale nie była, bo gdy dziewczyna otworzyła oczy i zatrzymała wzrok na patrzącej, nie było w nich szczęścia i miłosnej magii, Halina dostrzegła jedynie popłoch, cień przygnębienia i wstyd... Może w źrenicach Ani odbijał się

jej własny, gdy wraz z krótką BDM-owską kurteczką „zakładała” na siebie fałszywą skórę? Czy powinna więc, nawet w myślach, rozliczać dawną miklaszankę z czegokolwiek?

Wciąż lekko rozkojarzona, pojawiła się pod konspiracyjnym adresem przy Targowej. Jej koledzy z oddziału byli właśnie w środku jakiejś zagorzałej dyskusji. Została tu dziś wezwana w trybie natychmiastowym, więc jej ciekawość szybko wzięła górę nad emocjami natury moralnej. Przywitała się i z ulgą przysiadła na zaproponowanym przez gospodarza miejscu; już czuła, że jutro leczyć będzie obie stopy.

– Wielki Bradfish! – Mars w postaci ciemnej smugi na czole „Mikołaja”, zastępcy „Emmy”<sup>59</sup>, zdeterminował cały wyraz twarzy mężczyzny. – Zasłużył się na Wschodzie, więc Łódź to nagroda, skurwysyn jeden! Cały jego mózg to gnijące robactwo zamiast nerwowych zwojów. Tysiące w Mińsku, Białymstoku i całe nasze getto... – wyliczał. – Co się teraz zacznie, Bóg jeden raczy wiedzieć.

<sup>59</sup> Bolesław Jabłoński, ps. „Kalia”, „Bill”, „Emma”, „Witocin”. Polski inżynier chemik, oficer Wojska Polskiego, Polskich Sił Zbrojnych i Armii Krajowej, major piechoty, cichociemny.

– Chodzi o króla Gestapo? – zapytała, obserwując podminowanych przełożonych.

– Tak. – „Emma” kiwnął głową. – Nigdy nie zrozumieć, dlaczego Bóg zapomina o niektórych ludziach i daje im kamienie zamiast serc... Kilka dni temu Otto Bradfish objął nadburmistrzostwo Łodzi – wytłumaczył mężczyzna, kończąc zdanie ciężkim westchnieniem. – Przy Anstadta cieszą się i tańczą!

– Teraz rozumiem niektóre widoki na ulicach... – dodała ciszej.

Znała dobrze to nazwisko. Nosił je człowiek, który karmił się śmiercią jak cukierkami. Aż dziw, że ktoś taki mógł być jednocześnie oddanym mężem i ojcem, bo o tej roli łódzkiego anioła apokalipsy też doskonale wiedziała. Z rozkazu Bradficha straciła życie lwią część ich konspiracyjnych szeregów; była pewna, że ci, którzy pozostali, każdego dnia pielęgowali w sobie chęć zemsty za ukochanych braci i przyjaciół.

– Ale przyjdzie i czas na nasze wesele: słodki taniec radości na mogiłach katów! Oby niedługo, bo nasza cierpliwość właśnie rozpada się w pył.

Wizję święta roztoczył dwudziestopięcioletni szczupły, przystojny brunet, którego poznała jeszcze wiosną. Wesoły, bystry chłopak mówił doskonale po niemiecku, dlatego razem zostali skierowani na szkolenie z morskiego wywiadu. Nie znała jego prawdziwego imienia ani obszarów, na których działał w tej chwili „Gustaw”, miała jedynie pewność, że obydwójce pracują w Niemczech Północnych w wywiadzie głębokim. Dotychczas spotykała mężczyznę tylko w łódzkich lokalach kontaktowych, ale już zdążyła polubić za szczerość i ciepło, którym potrafił się dzielić z kolegami. Był też w nim jakiś rodzaj nostalgii, który sprawiał, że widok chłopaka był dla niej zawsze dużą przyjemnością i rozbudzał nowe nadzieje...

– A pani zatańczy pierwsza, pani Halino! – Głos majora Bolesława Jabłońskiego przepełniony był powagą.

Poczuła dreszcz na plecach.

– Jutro, najdalej pojutrze musi pani być w Hamburgu. – „Emma” wypowiedział polecenie stanowczym tonem.

– Ale... jak to?! – krzyknęła zaskoczona. – Przecież nie minęło jeszcze dwa tygodnie od mojego powrotu. I dlaczego? To konieczne?

Jej dowódca najwidoczniej spodziewał się tej lawiny pytań, bo usiadł spokojnie naprzeciwko podwładnej i spojrzał na nią poważnie.

– Wykonała pani w Hamburgu doskonałą robotę. Chyba nie muszę tego pani powtarzać, nasze zadowolone twarze podczas składania przez panią raportu powiedziały, mam nadzieję, wszystko. Ale uda się tam pani jeszcze raz.

– Nie rozumiem! – Halina nie potrafiła ukryć wzburzenia. – Podkreślałam kilka razy, że zdobyte informacje to był w dużej mierze łut szczęścia, który może się już nie powtórzyć. Sądzę, a nawet jestem



pewna, że mój kolejny wyjazd będzie tylko stratą czasu. Nie wiem, jak mogłabym przeświecić to miasto jeszcze bardziej!

– To rozkaz, nie prośba.

W ciszy sennego upałem pokoju słyszała tylko swój przyspieszony oddech. Nadal nie wiedziała, na czym będzie polegało jej następne zadanie, ale zrozumiała, że dalszy opór jest bezcelowy.

– Jutro, najdalej pojutrze – powtórzył mężczyzna, a ona czekała na kolejną część rozkazu. – I ma pani tylko patrzeć... Tylko patrzeć, kiedy będą umierać.

\*\*\*

Przez całą noc prawie nie zmrużyła oka, chociaż jakimś cudem udało się jej znaleźć miejsce siedzące. Powodem była wysoka temperatura w przedziałach, mimo iż nocna pora powinna zdecydowanie ją obniżyć. Wczesny, całkowicie bezchmurny świt nie pozwolił na to, rozgrzewając na nowo słonecznymi promieniami ledwo schłodzone ciasne przestrzenie. Zapowiadał się kolejny upalny dzień z miazdzącą zmysły duchotą.

Czuła, że jej skóra już teraz lepi się od potu, a język kołowacieje. Nie miała przy sobie ani kropli wody – zupełnie o niej zapomniała, gdy zdecydowała się wykonać rozkaz swojego dowództwa od razu, wykorzystując w tym celu pierwsze kolejowe połączenie z Berlinem, jakie zapowiedział dworcowy megafon. Była przyzwyczajona do wielogodzinnych podróży, ale tym razem, najprawdopodobniej ze względu na brak jakiegokolwiek ruchu powietrza, ogarniało ją zniecierpliwienie i ogromne znużenie. Kilkugodzinne opóźnienie na trasie Berlin–Hamburg dołożyło swoje. Chciała już wysiąść i działać, cokolwiek by to miało znaczyć w obliczu zagadkowego służbowego polecenia majora Jabłońskiego. W tej chwili jednak mogła zejść schodkami tylko w szczere pole, gdzie od ponad dwóch godzin stał jej pociąg.

Kolejny nieprzewidziany w rozkładzie jazdy postój dawał się we znaki większości pasażerów, wyraźnie zaniepokojonych przedłużającą się podróżą oraz strzępami informacji, docierającymi do nich podczas takich niekomfortowych przerw. Mówiło się o jakimś dużym nalocie na Hamburg, który miał zdeorganizować miasto. Nie podawano wielu szczegółów, ale w relacjach powtarzało się jedno: bomby zapalające wzniecające koszarne pożary i mnóstwo ofiar wśród ludności cywilnej. Podczas swoich marszrut po Rzeszy przeżyła już kilka nalotów, więc wiadomości znad morza nie były dla niej czymś wyjątkowo zaskakującym, niemniej strach i niepokój w oczach tak opowiadających, jak i słuchaczy zdecydowanie udzielał się i jej. Siedziała jak na szpilkach.

Na rogatkach było już pewne, że śródmieście jest tylko kupą gruzu; skład nie dojechał do dworca głównego, a i przerażonych sytuacją komentatorów było coraz więcej. Znany Halinie Hauptbahnhof znajdował się w strefie rażenia, więc nawet nie próbowała sprawdzać, czy budynek ocalał. Nie bez trudu udało się jej wynająć coś w sercu Altony, jednej z nienaruszonych przez bomby dzielnic miasta. Ale musiała się nachodzić, żeby znaleźć w końcu ten czynszowy kawałek podłogi – część mieszkańców myślała o opuszczeniu Hamburga, z nieufnością patrząc na kogoś, kto pragnie zrobić coś dokładnie odwrotnego. Samotna starsza kobieta, u której zatrzymała się Kłębówna, zdawała się dziwną oazą spokoju na spalonej słońcem pustyni, bo ponoć właśnie tak jałowe i martwe były teraz miejsca, w które uderzyła wczoraj podniebna flota aliantów.

– A po co pani los kusi? – zapytała Halinę siwiejąca, lekko zgarbiona gospodyni znad ręcznej robótki. W jej spojrzeniu nie było podejrzliwości, a jedynie odrobina troski. W tej pozie przypominała jej matkę. – Jak nie musi, niech nie wychodzi. Jaglanka zaraz dojdzie, to zje panienka trochę, bo jak zawieje mocniej, to i przewróci, taka ona cienka...

– Dziękuję, nie jestem głodna – skłamała Halina, kierując się w stronę wyjścia z mieszkania. Niemniej przechodząc obok paleniska, spojrzała

na nie tęsknym wzrokiem.

– Z masłem dam – zachęcała Niemka, łowiąc spojrzenie swojego gościa. – Niech zostanie jeszcze.

Halina przysiadła w końcu ciężko na kuchennym stołku, po czym jednym haustem wypła zawartość podsunętego przez gospodynię kubka. Wyczuła w napoju śladowe ilości rabarbaru, ale i tak płyn smakował wybornie. Kilka minut później zapachniało gorącą potrawą. Nie miało znaczenia, że wchłonięcie jej w siebie w taki upał podniesie temperaturę ciała – z prędkością światła zjadła posiłek do ostatniego ziarenka.

W sąsiednich oficynach trwało poruszenie, trzaskały drzwi i okiennice, brzęczały szyby, pokrzykiwania i prośby mieszały się z marudzeniem dzieci i rzeniem koni. Pod szeroko otwartymi oknami co rusz ktoś przebiegał albo, dźwigając jakiś tobół, zatrzymywał się na chwilę, żeby złapać oddech.

– Paczta ich, uciekają tera, o! – Gospodyni kiwnęła brodą w stronę podwórza. – A jeszcze wczoraj i ten, i tamten tak szybko wdziewał mundur, że mu kalesony z dupy spadali, jak szła mobilizacja. A tera płacz! I wołaanie!

Halina bez słowa obserwowała pochyloną kobietę.

– I się dziwią jeszcze jeden z drugim. A co to takiego dziwnego jest, że jak kogo biją, to ten się broni?! Każden kły wyszczerzy, jak mu obcy but klepisko w chałupie zabłoci i łapy po cudze wyciągnie. – Skrzywiła się. – I zagryźć zagryzie, byle tylko śmierć za próg wygnać...

Kłęb słuchała jednym uchem, zastanawiając się, którądy najszybciej dojść do centrum; Niemka wydawała się jej starą dziwaczką, której samotność pokieroszowała racjonalne myślenie.

– Udają, że nie rozumieją... – Kobieta chwyciła nagle dziewczynę za nadgarstek i spojrzała na nią byстрыm wzrokiem. Halina była lekko skonsternowana, ale coś wewnątrz blokowało jej ruchy i nie próbowała wyrwać dłoni z uścisku. – Ale ja wiem. I niejeden, co gryzie

teraz palce ze strachu, też wie, tylko cicho siedzi. – Zacisnęła usta. –

Za Żydów mamy to piekło. W oczach kobiety błysnęła łza i zwykłe przerażenie. – Kara boska to jest, panienko... Za to, że palim, rabujem, że ludzkim życiem chcem władać jako i Chrystus! To za Żydów, moje dziecko, za ich mękę Bóg teraz niebo zamiata, żeby tamtym drogę zrobić, żeby dobrze widzieli z góry, gdzie uderzać...

– To co robić? – wykrztusiła cicho Halina, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że jej rozmówczyni wcale nie postradała zmysłów, ale zachowuje się jak normalny, zdrowo myślący człowiek, którego sumienie nie jest już w stanie udźwignąć ciężaru cudzych win. A może wcale nie cudzych?

– Co...?

Dźwięk tłuczonego szkła, a po nim przekrzykujące się, zdenerwowane głosy wdarły się do izby i zawisły grozą nad stołem.

– Co robić? – Gospodyni zaczęła kiwać się na krześle, jakby straciła nagle kontakt z rzeczywistością. – Co robić... – powtórzyła i zapatrzyła się gdzieś przed siebie. – Ano modlić się o taką pokutę, żeby choć przez jeden dzień nie nosić w sercu zgnilizny. I taką, by nasze dzieci nie musiały płacać nie swoich długów. A potem... Potem czekać na odkupienie, bo bez niego życie ino dławi, dręczy, pali żywym ogniem.

\*\*\*

– Tam żywy ogień! Gdzie chcesz, panna, iść?!

Kierowca ratowniczego konwoju bezpardonowo odepchnął Halinę od samochodu.

– Studiuję medycynę, mogę się przydać! – Chwyciła mężczyznę za poły munduru. – Pierwszą pomoc mam w jednym palcu, proszę mnie zabrać ze sobą...

– Nie ma mowy, dość mamy trupów. Chce pani być kolejna?!

Po tych słowach ratownik biegiem okrążył auto i wskoczył do szoferki. Po chwili grupa samochodów z medycznymi oznaczeniami, wzniesając

tumany kurzu, potoczyła się w kierunku blokad, tarasujących wjazd na teren zbombardowanej w kolejnym nalocie dzielnicy.

Zaczęło się znów wczoraj, o dwudziestej drugiej. Najpierw upiorne wycie przeciwlotniczego alarmu, potem głuchy pomruk bombowców, rozsadzający czaszkę, a niedługo po nim detonacje, które zdawały się nie mieć końca. Wszystko trwało kilka minut, ale zaatakowane kwartały ciągle płonęły. Miasto poruszało się całe jak ogromne mrowisko rozgarnięte naprędce czyjąś złośliwą, bezmyślną ręką. Halina nie spała kolejną noc, obserwując do rana w towarzystwie swojej gospodyni łuny potężnych pożarów.

W gestach i spojrzeniach mijanych na ulicach ludzi dominowały niedowierzanie, przygnębienie i strach, przeplatające się z jakimś diabolicznym rodzajem katatonii, który nakazywał patrzeć na trawione pożogą miasto. Miała wrażenie, że wcale nie jest częścią tego koszmaru, a jedynie jego bezwolnym obserwatorem, który w każdej chwili, zamykając oczy, będzie mógł się przenieść w bezpieczne miejsce.

Chodziła między grupami przerażonych mieszkańców i nie musiała o nic pytać, a i tak w krótkim czasie jej świadomość wynotowała sobie bilans zniszczeń. Zaskoczona obrona przeciwlotnicza nie była w stanie skutecznie odeprzeć ataku na mnóstwo ważnych militarnie obiektów – pogrom miał zatrważające rozmiary, pochłaniając również masę ludzkich istnień...

Kolejny nalot powtórzył się równo dwadzieścia cztery godziny później i wywołał falę paniki, rozpoczynającą prawdziwy ludzki exodus.

Trzeciego dnia, tknięta przecuciem, wyniosła się z Altony, znajdując jakiś kąt na przedmieściach. Jeszcze tej samej nocy nad Hamburgiem rozpętało się piekło. Halina obserwowała gehennę metropolii z wiejskiego ogródka. Zaczynał docierać do niej w pełni sens rozkazu „Emmy” i rola, jaką być może odegrała w tym dniu ostatecznym...

Tym razem nie zamierzała dać się „odsunąć od sprawy” miejskim służbom. Nie pytając nikogo o zgodę, wcisnęła się na ciężarówkę wiozącą grupę mężczyzn w kierunku centrum. Była przygotowana na

awanturę z tego powodu, ale nic takiego się nie stało – robotnicy, zwerbowani do pracy przy zgliszczach, nie zwracali na nią uwagi, pochłonięci sytuacją i rozdzielaniem zadań.

– Żeby tylko było kogo ratować... – Czyjś trwożliwy głos przebił się przez jazgot silnika.

– Ludzie w schronach siedzą. Po co to gadanie?! – padło z naprzeciwka. – A ty co? Fajkę byś palił, jakby ci szyby w oknach od bomb leciały? Czy walił do piwnicy?

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie, jakby nie rozumieli nawzajem swoich uwag.

– Ktoś mówił, że tam, w schronach, tylko czarne trupy można znaleźć... Że ogień przechodzi przez betonowe ściany – odezwał się siedzący obok niej chłopak.

– A zawrzesz ty gębę?! – spróbował uciszyć go jeden z rozmawiających.

– Prawdę mówi, sam zobaczysz.

– Słuchajta, chłopcy! – Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku jednego z najstarszych na pace mężczyzn. – To nie był zwykły pożar. Ci, co się chcieli ratować, topili się w asfalcie jak w kotłach piekielnych... Mówta, co chceta, ale podług mnie to jeszcze nie koniec.

Sprzeczką ścichła, gdy samochód zaczął się z trudem przedzierać przez dopalające się pogorzelska.

Halina nie mogła rozpoznać ulic, którymi spacerowała jeszcze kilka tygodni temu. Miasto, a raczej resztki jego szkieletu spowijał gryzący dym nasączony nieokreślonym smrodem i mgłą unoszących się z gorącym wiatrem popiołów. O ile w nienaruszonej przez bomby części Hamburga panował chaos związany z ucieczką tysięcy mieszkańców, o tyle tu złowrogą ciszę przerywał tylko hałas nielicznych aut spieszących na ratunek. Duszące powietrze blokowało swobodny oddech, potęgując przytłaczające wrażenie, jakby zaledwie przed chwilą kroczyła tędy śmierć – ludzkie zwłoki, fragmenty ciał i wszechobecny

czarny gruz tworzyły jedną rozszarpaną tkankę oddającego swoje ostatnie tchnienie organizmu.

Przed wejściem do jednego ze schronów, pod ogromnym betonowym blokiem, dostrzegła zmiażdżone koła i rączkę dziecięcego wózka; żaden z mężczyzn nie próbował nawet sprawdzić, czy uda się chociaż spojrzeć na jego zawartość...

Liczba zwęglonych ofiar przyprawiła Halinę o potężne zawroty głowy – ludzi nie uchroniły grube metalowe drzwi, powyginane teraz od żaru i dosłownie wepchnięte do środka, jakby ktoś lekkomyślnie wykonał je z kiepskiej jakości plasteliny. W drugiej i trzeciej piwnicy zobaczyła podobne obrazy. W którejś z kolejnych natknęła się na zwłoki młodego mężczyzny. Nienaruszone jakimś cudem ciało przytulało się do ściany w rogu pomieszczenia. Chłopak o nienaturalnie długim, chudym nosie zdawał się wsłuchiwać w szept osmalonego betonu. W oczach „Pinokia” było tylko zdziwienie, jakby usłyszał on coś zaskakującego, jakby posiadał nagle wiedzę tajemną, tylko dla wybranych...

Na twarzach otaczających ją Niemców, żywych i martwych, oglądała tę samą paletę doznań, której przyszło jej dotykać wśród swoich od pierwszych dni wojny. Tę samą twarz, nad Łódką i tu, nad Łabą, miały ból, obłęd umierania i błaganie o litość, tak samo chwiała się nadzieja na wietrze niepewności i jednakie było pragnienie odwetu za gwałt, zniszczenia, za grzebanie żywcem radości życia – w obliczu śmierci, głodu i niewyobrażalnego cierpienia ludzkość naga jest wszędzie.

Wydostając się z Hamburga na piechotę, niosła ze sobą tylko ciężar tej konkluzji, trzymając się za serce, w którym nie było cienia satysfakcji, że oto winny zgina kark pod naporem kary. Wypełnione było szlochem oraz bezgranicznym smutkiem i przerażone wizją świata, w którym zagubiona miłość nie może znaleźć sobie miejsca...

# Rozdział 10

*Nakazuję konfiskatę wszystkich znajdujących się w posiadaniu Polaków urzędzeń dentystycznych.*

Arthur Greiser, Namiestnik Kraju Warty, 21 października 1943 roku

*W Łodzi przyszło na świat czwarte dziecko (syn – Jens Jürgen) Nadburmistrza Miasta Wernera Ventzkiego. Z tej okazji rodzice rozesłali do urzędów i przyjaciół w mieście uroczyste zawiadomienie.*

13 marca 1944 roku

*Do ośrodka zagłady w Chełmnie nad Nerem ponownie przybyło niemieckie komando śmierci. Tym razem obóz został zakwaterowany w barakach położonych na leśnej polanie, blisko miejsca grzebania ofiar<sup>60</sup>.*

<sup>60</sup> Andrzej Rukowiecki, *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.

kwiecień 1944 roku

Czujesz, jak pachnie kawą i maślanymi ciastkami? – „Gustaw” zamknął na chwilę oczy. – Brzęczy myte pospiesznie szkło, w dłoniach gości dzwonią czyste sztucce, a w tle muzyka rwie się do życia, jakby kostucha nigdy nie nosiła naszyjnika z ludzkich skalpów.

Po kilku spotkaniach z przyjacielem akowcem Halina zdążyła przyzwyczać się już do tych poetyckich porównań. Podobała się jej nawet zawarta w nich przejaszczona twórczo rzeczywistość.

– Nie bój się. Nie zwiedzie mnie urok tej knajpy – powiedziała, nie siląc się próbę literackiego dorównania mężczyźnie. – Wiem, kto przyjaciel, a kto...

Siedzieli naprzeciwko siebie w jednej z berlińskich restauracji, dla bezpieczeństwa udając kochanków. Trzymali się za ręce – w ten sposób mogli bezkarnie szeptać.

– Radzisz sobie? Nie potrzeba ci czego? – W pytaniu mężczyzny, okraszonym przenikliwym spojrzeniem, była szczerza ciekawość i mnóstwo przyjacielskiej czułości. – Miałaś nadzieję, że tu będzie większy spokój, co?



Domyśliła się, że „Gustaw” pytał ją jeszcze o Hamburg i alianckie naloty, które w ciągu dziesięciu dni pogrzebały większą część miasta. Trudno, żeby o nich zapomniała, od tych dramatycznych momentów minął zaledwie miesiąc.

– Chciałam, żeby rozsypał się jak domek z kart, ale kiedy to się w końcu zaczęło dziać... – Westchnęła.

Miała nadzieję, że coraz częstsze bombardowania, które nękały od jakiegoś czasu również stolicę wielkiej Rzeszy, są jaskółką zmian na frontach tej wojny. Niemcy nie były nieśmiertelne – widziała to na własne oczy – Niemcy popełniały błędy i ponosiły straty, były zaskakiwane i wyprowadzane w pole, w ich zwarte na początku konfliktu szeregi zakradał się duch zwątpienia, rosnący w siłę pod wpływem nowych, nieznanych cierpień.

– Nie uwierzysz, ale potrafię być tak zmordowana całym dniem, że którejś nocy prawie przespałam nalot. – Uśmiechnęła się wstydliwie, jakby młody mężczyzna przyłapał ją na gorącym uczynku.

– Nie żartuj sobie ze mnie...

– Ani myślę! – Zachnęła się. – Jeśli wydaje ci się, że praca pomocy pielęgniarskiej w gabinecie laryngologa rzeźnika jest prostym zajęciem, to się mylisz. Ale przynajmniej mam alibi na pobyt tutaj i na chleb. Chociaż bywa też, że posiadam pełny portfel i ani jednej kartki... Nie nowina to dla mnie, przyzwyczyłam się nawet. No i koniecznie muszę zmienić lokum, bo lada dzień do bursy przy Oranienburger Strasse, w którym teraz mieszkam, zleci się prawdziwa szarańcza studentek. Teraz budynek jest prawie pusty, ale trzeba mi już teraz szukać nowej norki. W tym molochu będę za chwilę jak podana na tacy smaczna przekąska. – Pozwoliła sobie na zabawną minkę. – Bardziej jednak niż to wszystko razem doskwiera mi brak konkretnego działania.

– Niecierpliwa jesteś... Ale cieszę się, że widzę cię całą.

– Wierzysz w rychły koniec? – Ścisnęła dłoń swojego rozmówcy.

– Wierzę, że zatriumfuje sprawiedliwość.

– Gustaw, błagam. Nie jestem już harcerczką, której wystarczą wzniosłe słowa. Potrzebuję prawdy, nawet jeśli ma mi się od niej zjeżyć włos na głowie.

– Ech, uwielbiam cię i tę twoją fascynującą zapalczywość!

Pokazała zęby w szerokim uśmiechu.

– Mów!

Mężczyzna rozejrzał się dyskretnie po sali. Sąsiednie stoliki, szczęśliwie dla nich, opustoszały jakiś czas temu. Z tej strony nie musieli obawiać się zdemaskowania.

– Czerwoni pchają swój walec na wschodzie i miażdżą skutecznie. To jedno co jest pewne. Reszta to małe i większe wojenki, wypadkowa marzeń, ambicji i odwagi. Finał zbyt mglisty, zbyt odległy – westchnął. – A może wcale nie... Nie wiem. Robię swoje.

Skrobnął widelcem po pustym już talerzu.

– Ty też nie myśl o tym, na co nie masz wpływu – dodał. – Wykorzystaj tę energię tu i teraz, najlepiej jak potrafisz, albo po prostu ćwicz cierpliwość oczekiwania na odpowiedni moment do ataku. Czasem cały sukces tkwi tylko w jego rozpoznaniu. To też trzeba umieć, wiesz, pogadać ze swoją intuicją. A kiedy się rozpraszasz, bo chcesz już, natychmiast, nie słyszysz tego, co trzeba. – Mężczyzna milczał przez dłuższy czas. – Zresztą ty to wiesz, już od dawna.

Uniósł brwi i spojrzał jej prosto w oczy. Delikatnym skinieniem podziękowała za komplement.

– Ciekawe, o czym on śpiewa tak rzewnie? – Halina nadstawiła uszu, ale włączone zbyt cicho restauracyjne radio odpowiedziało tylko rozmytą w knajpianym szumie muzyką.

– Może o wystygłej herbacie? – „Gustaw” mrugnął do niej zaczepnie, zamieniając na chwilę lekko chmurny wyraz twarzy na chłopięce oblicze. – O spacerze z księżycem we włosach, o tym wszystkim... co nie może stać się<sup>61</sup>? – dodał całkiem poważnie.

61 Janusz Różewicz, ps. „Gustaw”, „Zbyszek”, był starszym bratem Tadeusza i Stanisława. Podczas II wojny światowej służył w wywiadzie Armii Krajowej (Okręg Łódź) w randze podporucznika. 10 czerwca 1944 roku został aresztowany przez łódzkie Gestapo i osadzony w więzieniu policyjnym przy ulicy Sterlinga 16. Rozstrzelany 7 listopada 1944 roku na cmentarzu żydowskim przy ulicy Brackiej, spoczął tamże w zbiorowej mogile. Janusz pozostawił po sobie wiele pięknych strof. Te tutaj, okrojone wersy, to fragment niezwykle czułego wiersza – *List do Ciebie*.

– O... jakie to ładne – pochwaliła z bijącym sercem.

Dwudziestoczerolatek obdarzył swoją towarzyszkę zagadkowym uśmiechem. A potem przechylił się w jej stronę i szepnął wprost do ucha:

– Mogę dokończyć twoją porcję? Wciąż jestem szatańsko głodny.

– Kiedy ty się w końcu najesz?! – zawołała ze śmiechem, przesuwając w stronę przyjaciela niedojedzone resztki.

– Nie wiem, ale myślę sobie czasem, że gdyby nie to ciągle nienasycenie, nie miałbym pomysłu na siebie.

– Musisz mi to wyłożyć. Umieram z ciekawości!

– Innym razem – zaproponował, wycierając usta chusteczką. – Czas na mnie – dodał, wyciągając z portfela kilka marek.

– To za dużo! – syknęła, spoglądając wymownie na banknoty i przytulając się ramieniem do mężczyzny. – Żaden prawdziwy Niemiec nie zostawi tak dużego napiwku, to zwyczaj dusz słowiańskich... Zostaw dwadzieścia fenigów, najwyżej pięćdziesiąt – dokończyła cicho. – Pamiętaj o tym następnym razem, to ważne.

– Dziękuję.

Jej towarzysz spiekł delikatnego raka? Nie była tego pewna, ale to akurat było bez znaczenia. Liczyło się tylko to, by nie robić błędów, które mogły kosztować ich zbyt wiele. Wciąż obydwójce byli na froncie, wciąż każde pożegnanie miało w sobie więcej treści niż zwykłe „do zobaczenia”.

\*\*\*

Czesła mokre włosy przed poplamionym ze starości lustrem w sanitariacie bursy, z nudów przysłuchując się rozmowie dwóch studentek piątego roku medycyny. Z pełnej napięcia wymiany zdań młodych kobiet wynikało, że te odbywają w Berlinie wakacyjne praktyki. Jedna z nich miała z tymi ostatnimi wyraźny problem.

Im dłużej Halina tłumaczyła sobie w głowie kolejne zdania konwersacji, tym wolniej poruszała dłońmi.

– Ależ tak! Zgodził się bardzo szybko. Może mnie puścić do domu choćby zaraz, a jakże! Oczywiście pod warunkiem, że znajdę sobie porządne... Porządne, rozumiesz? Zastępstwo. – Głos należał do ładnej, szczupłej szatynki o szybkich, zdecydowanych ruchach.

– I co? Znalazłaś jakieś? – Druga z kobiet, blondynka wyższa od koleżanki o głowę, sprawdzała palcami gładkość swojej szyi, jakby kłopoty przyjaciółki nic ją nie obchodziły.

– No właśnie nie!

– To szkoda... – padła odpowiedź wyartykułowana lekko rozkojarzonym głosem.

– Lena, czy ty mnie słuchasz?

– Tak, tak, jak najbardziej. Nie masz zastępstwa na robotę marzeń w Glaspalast<sup>62</sup>.

<sup>62</sup> Mowa o budynku berlińskiego Reichstagu. Niemcy używali nazwy „Glaspalast”, nawiązując do metalowo-szklanej kopuły wieńczącej środkową część budynku.

– Kiepski żarcik – prychnęła drobniutka Niemka. – Szczerze mówiąc, byłam pewna, że akurat ty zareagujesz inaczej! Odkąd się przyjaźnimy?

– A co to ma do rzeczy? – Blondynka o kanciastych rysach odwróciła się twarzą do swojej rozmówczyni. – Od zawsze trzymamy się razem, zgadza się, ale to nie znaczy, że mam nagle rzucać wszystko i robić to, co akurat wymyślisz.

– Lena, nie drocz się ze mną, proszę cię. Przecież wiem, że gdybyś tylko chciała...

– Hola! Prrr! – Zamachała rękoma. – Nie rozpędzaj się tak i nie zapominaj, że nie jesteś pępkiem świata, ja też mam swoje plany.

– Niby jakie? – Studentka wydeła usta.

– No nie mogę, i już! Nie dręcz mnie, Katrin... – Lena się skrzywiła.

Przez dłuższą chwilę w pomieszczeniu było słychać tylko kapanie wody z nieszczelnego kranu.

– Mogłabyś to jeszcze przemyśleć? – zaświergotała szatynka, zmieniając front. – To musi być ktoś, kogo dobrze znam, i ktoś, kto obudzony w środku nocy śpiewa po łacinie jak z nut. Zlitujże się, kobieto, nade mną, dobrze wiesz, że tylko ty odpowiadasz rysopisowi... To jak? – Miękką jak jedwab melodia prośby zrobiła dźwięcznego zawijasa w wilgotnym powietrzu łazienki.

Kłębównie zrobiło się gorąco. Jak to szło? „Czasem cały sukces tkwi tylko w jego rozpoznaniu”...

– Ja mogę ci pomóc! – zawołała szybko.

– Słucham? – Obie studentki odwróciły się w jej stronę w tym samym momencie.

– Mogę cię zastąpić. Jeśli chcesz, oczywiście. – Czują, że jej policzki zaczynają pulsować pod wpływem nagłej fali ciepła. – Znam łacinę, szukam spokojnej pracy i zapewniam, że można na mnie polegać – zareklamowała się.

– Nie znamy się. To problem – rzuciła szatynka, mierząc Halinę od stóp do głów.

– A jeszcze ktoś musi o tym wiedzieć? – Wzruszyła ramionami, udając stoicki spokój.

Obie studentki w milczeniu spojrzały po sobie.

– Masz jakiegokolwiek doświadczenie w pracy biurowej? – Zainteresowana zamianą dziewczyna splótła przedramiona i oparła się plecami o zlew.

– To rzecz najprostsza, tu trzeba tylko cierpliwości i metodycznego działania.

– A tam trzeba dodatkowo znać terminologię kliniczną. Właśnie po łacinie – punktowała szatynka.

– To jest pewien problem...

– Sama widzisz... – Westchnienie zawodu wypełniło przestrzeń sanitariatu.

– ...tylko do momentu, w którym uzyskam dostęp do odpowiedniej lektury.

Kobiety znów popatrzyły na siebie, ale tym razem w ich oczach nie było cienia zdziwienia ani drwiny.

– Wszystko jest w łacińsko-niemieckim słowniku terminologii medycznej. Masz?

– Mogę mieć – odpowiedziała Halina bez wahania.

– No nie, to jakaś noworoczna szopka! – Szatynka roześmiała się nagle. – Chcesz w kilka dni zrobić to, co ludzie wkuwają miesiącami?

– Cholernie szybko się uczę, niejeden się zdziwił. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Ale jeśli masz jakąś ciekawszą propozycję, to przepraszam... – Uniosła obie ręce, udając, że zamierza wyjść z łazienki.

– Zaczekaj! – Katrin zrobiła krok w jej stronę, ale jeszcze przez chwilę się wahała. – Naprawdę mogłabyś spróbować opanować to wszystko w tydzień? – zapytała z niedowierzaniem.

– Pewnie! – Halina kiwnęła głową. – Wskaż mi tylko zakres wiedzy i... już. A na koniec zrobisz mi egzamin. – Puściła oko do malutkiej szatynki. – Zdam, to masz dłuższe wakacje! Proste.

Katrin wypuściła głośno powietrze. Chwilę później pokiwała wolno głową na znak zgody.

– Jeszcze jedno...

– Tak? – Halinę rozsadzała nowa energia.

– Kiedy stąd wyjdziemy, to już jako stare przyjaciółki. Rozumiemy się?

Kłębówna wyrzuciła przed siebie wyprostowaną jak struna rękę.

– *Heil Hitler!* – krzyknęła z pasją.

Włosy z nadmiaru emocji wyschły jej same.

\*\*\*

– Bezwzględnie dochować tajemnicy wojskowej, zaś wszystko, co tu zobaczę i usłyszę, pod groźbą śmierci dla siebie tylko zachować, przysięgam!

Trzymała się prosto i patrzyła śmiało w oczy lekko przygarbionego starszego pana, generała i dyrektora Zentralarchiv w jednej osobie, który wyglądał jej bardziej na dobrotliwego dziadulka niż surowego szefa tak ważnej dla Trzeciej Rzeszy instytucji. Zapewne jednak mężczyzna wiedział i odsłużył swoje, bowiem nie darmo piastował to wysokie stanowisko – powinna pamiętać o tym cały czas. Dlatego ściągnęła brwi i w napięciu czekała na rozwój sytuacji.

Po zaprzysiężeniu, a wcześniej krótkiej prezentacji jej nowa „przyjaciółka” Katrin z ulgą i zadowoleniem na twarzy opuściła gmach Reichstagu. Halinę natomiast poprowadzono przestronnymi korytarzami na piętro, do ogromnej hali z przeszklonym sufitem. Dopiero w tym momencie pojęła genezę nazwy tego miejsca. Była pod wrażeniem architektonicznego rozmachu oraz innowacyjności – nie dziwiła się wcale, że Niemcy byli tak dumni z projektu.

Rozległe pomieszczenie wypełniały wielkie stoły, przy których kręciło się albo siedziało mnóstwo żołnierzy w mundurach bez dystynkcji. Na szerokich blatach piętrzyły się stosy dokumentów; mężczyźni pochylali się nad nimi, przekładali papiery i dyskutowali między sobą, najprawdopodobniej o ich treści. Panowała atmosfera wytężonej pracy i skupienia.

Jej również przydzielono stanowisko, a potem zapoznano z obowiązkami. Najpierw odbierała od jednego z żołnierzy plik krótkich

historii chorób. Znajdujące się w nich dane – rozpoznanie jednostki chorobowej, personalia rannego lub chorego żołnierza frontowego oraz jego stopień, nazwę i numer jednostki wraz z aktualną lokalizacją tej ostatniej, rodzaj udzielonej pomocy medycznej, adres Feldlazarett i wojskowego szpitala – należało skrupulatnie zaszyfrować odpowiednimi liczbami...

Emocje rozsadały ją od środka. Rękę by sobie dała uciąć, że na takie właśnie informacje czekają jej przełożeni. Nie zamierzała więc marnować okazji, która mogła się okazać prawdziwą manną z nieba. Dała sobie trzy dni na wdrożenie się w rytm nowych zadań, obserwację najbliższego otoczenia i oczywiście przeniesienie się z bursy w bardziej „niewidzialne” miejsce – do zagraconego domku w Karlshorst, jednej ze wschodnich dzielnic Berlina. Jego właścicielami było małżeństwo przygłuchych staruszków, poruszające się z prędkością muchy zażywającej smołowatej kąpieli, w przestrzeni, w której można było bezkarnie ukryć całą armię Kambyzesa, a nie tylko kilka cienkich listków dywersyjnej bibuły.

Po tygodniu pracy w Zentralarchiv z pierwszą porcją danych w ręku usiadła przed majorem Bolesławem Jabłońskim. Jeśli „Emma” i „Mikołaj” uznają, że gra jest warta świeczki, jeszcze dziś wsiądzie w pociąg relacji Łódź–Berlin, żeby w poniedziałek rano stawić się, jak gdyby nigdy nic, na niemieckim posterunku. Ale jeśli nie...

Mężczyźni w ciszy analizowali przywiezione przez Halinę materiały. Wierciła się na swoim miejscu. „No niech już coś powiedzą! – krzyczała w myślach. – Czy ta moja maskarada w ogóle jest coś warta? I co tak długo?!”. Siłą się powstrzymywała, żeby nie skubać skórek.

– Jak pani to robi? – Pierwszy odezwał się „Emma”, przyglądając się dziewczynie.

Szybko zebrała się w sobie.

– Spisuję wszystko, co się da na osobnym kartelusku, kiedy widzę, że któryś z moich sąsiadów idzie na przerwę albo jest zajęty rozmową z innym urzędnikiem. Chowam potem te świstki gdzieś przy sobie,



najczęściej jednak wkładam za okładkę *Terminologii medycznej*, z którą nigdy się nie rozstaję. Moje szefostwo jest poinformowane, do czego jest mi potrzebne to kompendium – tłumaczyła spokojnie.

– A rewizje przy wejściu do budynku? Do hali? – wtrącił się „Mikołaj”.

– Zdarzają się, ale bardzo rzadko. Mnie się jeszcze nie trafiła żadna...

Jabłoński zatrzymał na dłuższą chwilę wzrok na swojej podwładnej. Zaraz potem wrócił do studiowania kontrabandy.

– Pani Halino, powiem tak... – zaczął w końcu.

Po intonacji głosu starała się wywnioskować, jakie mężczyzna posiada zdanie o jej nowym, karkołomnym pomysle.

– Sam nie jestem w stanie w pełni ocenić wagi tych informacji. Chciałbym, żeby poczekała pani na ich kompletny osąd do przyszłego tygodnia. Potrzebujemy konsultacji wyższej instancji. – Major posłał kobiecie służbowy uśmiech. – Musimy mieć pewność, że ryzyko, które podejmuje pani w związku ze sprawą, opłaci się nam wszystkim. Czy to jest dla pani jasne?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Dlatego to tylko mała próbka, zaledwie kilkadziesiąt przypadków, ponieważ nie byłam w stu procentach pewna, ile warta jest dla oddziału moja praca. Pragnę jeszcze tylko nadmienić, że docelowo w ciągu jednego dnia bez problemu powinno mi się udać odpisać co najmniej pięć razy tyle – dodała, uznając, że teraz już nic więcej od niej nie zależy. Zrobiła swoje. Niech deliberują inni.

– Niemniej... – Wyraz twarzy majora Jabłońskiego złagodniał. – ... proszę działać dalej i nie zatrzymywać się. Byle ostrożnie! – dodał, obejmując dwudziestolatkę ojcowskim spojrzeniem.

– Z niecierpliwością będziemy czekać na panią za siedem dni. – „Mikołaj” zbliżył się do Haliny i uściskał ją serdecznie. – Powodzenia.

Dzięki pełnej koncentracji, którą powzięła, wracając do Glaspalast, oraz wewnętrznemu napięciu towarzyszącemu pracy „wyszarpany” materiał miał już konkretne rozmiary – od rana do wieczora myślała tylko o tym, jak skutecznie i szybko okradać szklany sezam z jego bogactwa. Efekt zadowolił ją samą, a łódką komórkę wprowadził w pełen nadziei entuzjazm – tydzień później rozmowa między nią a dowódcami łódzkiej AK miała zdecydowanie więcej iskier.

\*\*\*

Drzwi na parterze raz się zamykały, raz otwierały. Dźwiękom towarzyszyła głośna kłótnia gospodarzy. Chcąc nie chcąc, Halina była niemyym świadkiem cudu dojrzałej miłości.

– Ty stary, nieruchawy dziadygo! – Gospodyni celowo wypowiadała słowa głośno i wyraźnie.

– Ooo! – Dało się słyszeć w odpowiedzi. Starzec się rozkasłał i przez dłuższą chwilę walczył z ciężkim oddechem. – Myślałby kto, łabędzica. – Zarechotał złośliwie. – A to czapla siwa. Siwa i krzywa!

– Eż ty! Żadnego pożytku z ciebie nie ma, tylko pod gębę podstaw, stare łachy pierz i lataj, węgiel noś, chociaż plecy same pękają. A ten co? Jeszcze skrzypi i zębami kłapie. A w kolejkę jaką stań, niedojdo! I zapytaj tam którego, tylko głośno, co tam ten twój Goebbels albo Himmler jadają na podwieczorek. Bo że wodą go nie popijają, to ja wiem! Judasze...

– Co ty tam wiesz...

– Widzisz go! Jeszcze wczoraj był głuchy!

– Głuchy, głuchy – zaskrzeczał mężczyzna. – Nie głuchy, tylko głodny jestem! Dawaj, babo, co jeść, mówię!

Na chwilę zapadła cisza.

– O! To dawaj mnie.

– To nie dla ciebie – zareagowała kobieta.

– A dla kogo?!

– Dla panny Hali.

Kłębówna zeszywniała. „A to się trafiło ślepej kurze ziarno” – pomyślała i natychmiast zgarnęła ze stołu zapisane gęsto i przygotowane do segregacji bibuły. Upchnęła kartki pod zgryzionym przez mole chodnikiem. Ledwo zdążyła podnieść się z kolan, drzwi do pokoiku otworzyły się z cichym szelestem. Na parterze dało się słyszeć niewyraźne mamrotanie. Gospodyni, kiwając się jak kaczką, podeszła do Kłębówny i postawiła na stole miskę z gorącą owsianką. Wierzch potrawy ozdobiony był okazałym kleksem z truskawkowej pulpy.

– Poezja... – Halinie pociekła ślinka. – To dla mnie? A mąż pani?

– Kto pracuje, ten ma. – Stara objęła rękoma obwisły brzuch i zadowolona z siebie czekała na podziękowania.

– Ach, jestem wdzięczna, ale nie trzeba było...

– Trzeba. – Gospodyni tupnęła. Tuman kurzu momentalnie uniósł się pod sam sufit poddasza. – Wy, młodzi, jedzcie, kiedy możecie, bo musicie mieć siłę, żeby doczekać lepszych czasów.

– Robimy wszystko, żeby ku temu gonić, proszę pani – odpowiedziała grzecznie i asekuracyjnie, bo coś jej podpowiadało, że i pod tym niemieckim dachem dyskusje o polityce to grząski grunt.

– Oj, dziecko moje... – Stara zmięknęła i pogłaskała Halinę po głowie. Jej dłoń była twarda i szorstka, ale za to przyjemnie ciepła. – Od kogo wy się teraz będziecie uczyć mądrości, to ja nie wiem.

– Nie rozumiem... – powiedziała między jedną a drugą łyżką.

– Kiedyś wszystko zrozumiesz, dziewczyno. – Westchnęła ciężko. – Że nie ten wielki pan, co umie gębą robić, choćby i wonnymi różami parskął, ale ten, kto przez niego nikt nie płacze. To i takie moje rozumienie jest. Tylko trza najpierw ten płacz rozróżnić. Czy on ze szczęścia, z gniewu, czy ze złamanego serca płynie.

Zabrała pustą już miskę i wycofała się do drzwi. Halina milczała, wzruszona przenikliwością swojej gospodyni. Ta chwyciła za klamkę

i odwróciła się jeszcze.

– A ty, dziecino, pracuj, bo robota uczy mądrości. I roztropnych wypatruj, kręcą się to tu, to tam... No i uwiń się dziś szybciej, to ci jeszcze co dobrego przygotuję na wieczór. Boś robotna, nie to co ten stary truteń.

Halina nawet nie przypuszczała, że wieczór będzie jednak chłodny i głodny... Zadowolona, że po całym dniu pracy ominęła ją również rewizja, postanowiła zrobić sobie prezent i kupić kawałek chleba po drodze na kwaterę. Miała się z czego cieszyć. Pod okładką medycznego tomiszcza ukryła pokaźny stosik wywiadowczego materiału – mogła dziś działać wyjątkowo bezkarnie, bo dwoje jej „sąsiadów”, nieobecnych z powodu szalejącej grypy, nie mogło patrzeć jej na rękę.

Podala ekspedientce kartkę żywnościową. Była zmęczona. Myślała już tylko o posiłku i długim, wzmacniającym śnie. Sprzedawczyni wyszła z małym kartonikiem na zaplecze, oświadczając, że musi poszukać drobnych. Halina czekała cierpliwie, walcząc z ziewaniem. Ale zamiast obiecanej reszty i kostki pieczywa kobieta przyprowadziła ze sobą policjanta. Ten natychmiast chwycił dziewczynę za łokieć i szarpnął mocno.

– Pani kartka żywnościowa jest fałszywa. Wytłumaczy się pani na posterunku – zawyrokował, ciągnąc ją w stronę wyjścia.

– To jakieś nieporozumienie! – próbowała oponować. – Niech mnie pan puści, to pomyłka!

– Okaze się. Spokój!

Nogi się pod nią ugięły.

Od dłuższego czasu w Berlinie i okolicach krążyły fałszywe kartki, pewnie dlatego pracownica sklepu zareagowała tak podejrzliwie. Halina jednak była przekonana, że kogo jak kogo, ale jej przełożeni na pewno nie zaopatrzyliby własnego agenta w trefne papiery. Miała nadzieję, że sprawa zostanie szybko wyjaśniona. Tyle że jeśli dojdzie do dokładniejszej rewizji, a na to się, niestety, zanosilo, nic jej nie uratuje.

Dowód swojej działalności na szkodę Rzeszy nosła przecież właśnie pod pachą...

Na komisariacie posadzono ją w niewielkim pokoju i kazano czekać. Do pilnowania wyznaczono dwóch żandarmów, którzy bardziej zainteresowani byli jakimś pismem niż doprowadzoną. Zanim zdążyła porządnie zebrać myśli, do pomieszczenia wszedł jakiś umundurowany służbista i rzucił od progu:

– Imię i nazwisko.

– Halina Klomb. Ale chciałabym od razu wytłumaczyć, że to czyjś błąd, bo...

– To my o tym zdecydujemy! – uciął ostrym tonem. – Co pani robi w Berlinie?

Wzięła głęboki oddech. Dziwne, ale miała w głowie zupełną pustkę.

„Wpadłam” – tylko to jedno tłukło się jej pod czaszką.

– Ja...

Drzwi pokoju nagle się otworzyły, jakby uderzyło w nie czoło burzy.

– Elias? – W progu pojawiła się masywna sylwetka nabuzowanego wysokiego bruneta.

– Co jest? – Mężczyzna, który pytał ją przed chwilą o personalia, odwrócił się w stronę kolegi. – I niech to będzie coś ważnego.

– Mamy tego kurwiszona. Właśnie ją przywieźli. Mam zacząć sam?

– W żadnym wypadku! – Elias gestem nakazał koledze nie ruszać się z miejsca, sam zaś skupił znów wzrok na Halinie. – Są sprawy ważne i ważniejsze.

Siedzącym obok policjantom przypomniał o obowiązkach, wskazując na postać aresztantki, po czym wybiegł z pokoju. Żeby nie zdradził ją rozbiegany z nerwów wzrok, patrzyła w jeden punkt, ale kątem oka obserwowała swoich strażników. Kilka minut później dołączył do nich trzeci policjant, który przyniósł jakieś dodatkowe wieści. W pokoju

zrobiło się spore zamieszanie. Korzystając z rozgardiaszu, przybliżyła się ciałem do biurka, na którym leżała jej *Terminologia medyczna*. Szybkim ruchem wygarnęła zza okładki małe karteczki, zgmiotła je i wsunęła do kieszeni żakietu.

– Muszę do toalety... – zajęczała, starając się, żeby zabrzmiało to jak groźba śmiertelnego skażenia.

Chyba wypadła przekonująco, bo jeden ze strażników, zasłuchany w opowieść swojego kolegi, wskazał jej tylko odpowiednie drzwi i pozwolił wyjść. W łazience trzęsącymi się rękoma podarła wszystkie notatki. Gdy po raz trzeci spuszczała wodę z resztkami papieru, na korytarzu rozległ się ryk wściekłości. Chwilę potem została wepchnięta do pokoju, który przed chwilą opuściła. Na ziemi leżała jej rozbebeszona torebka i książka pozbawiona okładki – osłonka, kompletnie podarta, wałała się pod nogami czerwonego ze złości Eliasza.

– Czy wy, kurwa, nawet jednej rzeczy nie możecie zrobić dobrze? – Mężczyzna miotał przekleństwa i ciskał wzrokiem pioruny. – Może się tu nawet zesrać, ale ma siedzieć!

Wydzwięk uwagi wywołał u Kłębówny falę gniewu i obrzydzenia. Ale teraz mężczyzna mógł już sobie mówić, co tylko chciał.

– Na osobistą! I to już! – wykrzyczał jej prosto w twarz.

Po rewizji i spisaniu bardzo szczegółowego protokołu wypuszczono ją w końcu, nie znajdując dowodów, które pozwoliłyby na zatrzymanie. Chwilowo – do czasu rozprawy po uzyskaniu pisemnej ekspertyzy nieszczęsnej kartki – była wolna. Ale nie wróciła już do „zakochanych” staruszków, decydując się jeszcze tej samej nocy ruszyć w podróż do Łodzi.

W środku nocy, głodna, zmęczona i osłabiona stresem wcisnęła się w kąt przepelnionego przedziału. Za kilka godzin będzie w Poznaniu, rankiem powinna dobić w okolice domu. Dzisiejszą sytuację uznała za znak – być może jej czas w Berlinie właśnie dobiegł końca.

Do takich samych wniosków doszło również jej dowództwo po tym, jak zaraz po przyjeździe zrelacjonowała im swoją ostatnią dobę w stolicy wielkich Niemiec.

– A zjawiała się pani na czas, jak zawsze – podsumował jej opowieść major Jabłoński. – Ponieważ i tak na dniach zamierzaliśmy wycofać panią z Berlina. Nadeszła bowiem długo oczekiwana przez nas ocena aliantów. A słowa naszych sprzymierzeńców na temat pani działań w Zentralarchiv mówią same za siebie... – „Emma” zrobił krótką pauzę. – Anglicy twierdzą, że *sama praca pani wystarczy, aby utrzymać cały oddział drugi w Łodzi... Zebrany przez panią materiał pozwala rozpracować między innymi wielkie jednostki niemieckie walczące na froncie wschodnim, w kluczowym okresie walk decydujących o losach wojny*<sup>63</sup>. Może być pani z siebie dumna.

<sup>63</sup> Słowa majora Bolesława Jabłońskiego „Emmy” skierowane do Haliny Kłęb – fragment ze wspomnień pani Haliny Kłęb-Schwarz.

Tego dnia poczuła z mocą, że jest godnym przeciwnikiem zła i że w tej walce nie będzie jej żal nawet umierać.

# Rozdział 11

*Zarządzam likwidację Litzmannstadt Ghetto.*

Heinrich Himmler, Minister Spraw Wewnętrznych Niemiec, 26 maja 1944 roku

Jeszcze ze szkoły podstawowej pamiętała jedną z tych mało przydatnych informacji, o kasztanowcach sprowadzonych do Polski za sprawą króla Stefana Batorego. Pierwsze drzewa posadzono w królewskim pałacu w Łobzowie – rozległej posiadłości pamiętającej czasy panowania Kazimierza Wielkiego. Jakieś dwieście lat później przebudowy rezydencji na zlecenie króla Stefana Batorego i jego żony Anny Jagiellonki podjął się włoski architekt Santi Gucci, będący nadwornym artystą królewskiej pary. Przy tej okazji powstał malowniczy ogród, pobudowano okazały trakt, obsadzony nowym wtedy, a pochodzącym z Bałkanów kasztanowcem. Zawsze chciała zobaczyć ten kompleks na własne oczy i skonfrontować zdobyte informacje ze stanem faktycznym. Nigdy się nie udało, ale wiedza pozostała – ot, kilka faktów, którymi mogłaby zabłysnąć podczas rozmowy przy herbatce albo podpowiedzieć jakieś hasło rozwiązującemu krzyżówkę ojcu.

To wszystko przyszło jej do głowy, kiedy spoglądała na malowniczo kwitnące drzewa, od lat dające jasny sygnał dla maturzystów. Teraz jednak próżno by wypatrywać przejętych uczniów, odzianych w białe koszule i odświeżone garsonki. Z okna ich kamienicy widziała, co prawda, kremowobiałe, wiechowate kwiatostany kasztanów, ale chodnikiem przemieszczali się jedynie pewni siebie Niemcy, nowi mieszkańcy jej ukochanej Łodzi.

Nie chciała tu wracać, między tych ludzi, ich język, zwyczaje i wszechobecną atmosferę podejrzliwości. Tu była Rzesza, Polaków jak na lekarstwo, wokół sami Niemcy i volksdeutsche, w większości – co do tego nie miała żadnych wątpliwości – przyjmujący nowy porządek jako coś zbawiennego i zgodnego z Bożym planem dla świata. Albo planem Hitlera, co dla tych ludzi było zazwyczaj jednakie. Dlatego Halina tak bardzo zabiegała o zgodę przełożonych choć na krótki pobyt



w Warszawie, wśród znajomych dziewcząt, które pomieszkiwały w tym mieście od jakiegoś czasu. Żeby zwyczajnie porozmawiać po polsku, znów mieć polskie sny i nie musieć oglądać się za siebie na każdym kroku. Tam, w Generalnej Guberni, choć terror był nie mniejszy, to wyglądał nieco inaczej, można było żyć wśród swoich. Łódź stała się na wskroś niemiecka; mimo że obie z matką posiadały doskonałe papiery, to podskórnie czuła, że nie może tu spacerować bezpiecznie.

Matka, no właśnie... Gdyby nie jej alarmujący list, nie opuściłaby Warszawy tak szybko. Podobała jej się ta atmosfera, miasto i ludzie, młodzi i starzy, mówiący o nadziei i snujący plany. Do tej pory działała w osamotnieniu, przemykając się po wielkich miastach i zapadłych dziurach Rzeszy czy Austrii. Nie dosypiając, często głodując, byle zdążyć na pociąg, byle dowieźć bibułę w kolejne zaplanowane miejsce. Ciągłe czujna, stale wyczulona na dźwięki, niespodziewane zmiany w otoczeniu, podejrzaną reakcje mijających ją ludzi. Jej organizm zaczął się buntować, dlatego urlop zaproponowany przez „Emmę” przyjęła jak dar od losu. Ale właśnie wtedy, kiedy znalazła już pracę w jednym z warszawskich szpitali, kiedy stała się niezależna i samowystarczalna, a nowe środowisko przyjęło ją z otwartymi ramionami, przyszedł list od Marianny Kłęb. Matka pisała, że odwiedził ją niejaki „Mundzio”, szukający kontaktu z Haliną w ważnej sprawie.

– Proszę jej przekazać, że Stanisław sypie – powiedział tylko i zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Matka nie wiedziała ani o kogo chodzi, ani jaki ten mężczyzna może mieć związek z jej córką, ale posłaniec był na tyle przekonujący, że ostrzeżenie przekazała do adresatki bez zbędnej zwłoki. Halina wróciła do Łodzi, zostawiając Warszawę z żalem, bo w mieście coraz głośniej mówiło się o jakimś zrywie, o potrzebie reakcji na ostatnie militarne potknięcia Niemców. Halina chciała być przy tym obecna, mieć swój udział, złożyć ofiarę.

Bez trudu rozszyfrowała, przed kim ostrzegał ją „Mundzio”. Znała tego człowieka. Stanisław Kętrzyński. Przez krótki czas miała z nim kontakt;

to już będzie cztery lata temu, kiedy zaczynała swoją służbę w Związku Walki Zbrojnej. Jednak dobrze pamiętała trzydziestokilkulatka, który w lokalu na łódzkich Dołach popisywał się przed dziewczynami posiadającym pistoletem, wymachując nim jak rewolwerowiec z kowbojskich opowieści z Dzikiego Zachodu. Zachowanie tamtej grupy wydało jej się tak banalne i głupie, że odmówiła współpracy z tym człowiekiem. „Jeśli tak ma wyglądać praca w konspiracji, to ja dziękuję – zdecydowała. – Tak szybko, jak się zapisałam, tak się i wypiszę!”. W ustach szesnastolatki brzmiało to dziwnie, ale dowództwo zrozumiało i nie łączyło ich już we wspólne działania.

Kilka miesięcy później Stanisław został zatrzymany przez Gestapo i wysłany „do obróbki” do Wiednia. Słuch o człowieku zaginął. Czy został konfidentem? Nikt nie mówił o tym głośno, ale ostatnie aresztowania, wyspy oraz największa z tragedii – przejęcie przez Gestapo archiwum łódzkiej komórki – nie mogły wziąć się z niczego. Obie strony prowadziły ze sobą nieustanną walkę, swoisty rodzaj podchodów, próbując przechytryć przeciwnika na każdym kroku. Tym razem to Niemcy odnosili sukcesy, ale Kłęb szła o zakład, że ktoś musiał im w tym wymiernie pomóc.

Nie mogła zostawić matki samej. Nie teraz, nie w takim czasie. Starsza pani coraz bardziej pogrążała się w chorobie, wymagała towarzystwa i opieki. Potrzebowała koło siebie kogoś bliskiego... Córki.

Dorożkę zbliżającą się do ich kamienicy Halina dostrzegła z daleka. Na widok dwóch wysiadających z niej mężczyzn poczuła lekkie ukłucie w okolicy serca. Widziała ich tu po raz pierwszy, ale to jeszcze nic nie musiało znaczyć. Przecież tylu tu nowych lokatorów, na dobrą sprawę przez ostatnie lata zmieniło się niemal wszystko, łącznie z ludźmi. Ale kiedy zniknęli w bramie, a po chwili ktoś zastukał do drzwi jej mieszkania, wiedziała już, że tak właśnie kończy się jej historia. Odruchowo sięgnęła do kołnierzyka bluzki, chcąc wymacać fiolkę z cyjankiem. Zamarła, bo pojemnika nie było na stałym miejscu, po prostu zapomniała, że ukryła go gdzie indziej, zapewne po powrocie do

domu. Teraz na szukanie było już za późno, pukanie do drzwi przeradzało się w coraz głośniejszy łomot. Niemcy tracili cierpliwość.

– Co tam się dzieje? – Z drugiego pokoju z pretensją w głosie odezwała się matka.

– Nie wiem, ale niech się dzieje, co chce – odpowiedziała szeptem Halina i ruszyła w stronę drzwi.

A więc tak to się kończy?

Ledwo odciągnęła skobel, drzwi pchnięte przez jednego z gestapowców otworzyły się ze świstem. Do mieszkania wkroczyła dwójka, którą widziała przed chwilą na ulicy. Jeden z nich, trzymając rękę w kieszeni płaszcza – pewnie ścisnął w niej gotowy do strzału pistolet – pchnął ją na ścianę. Drugi bez ceregieli wpakował się do pokoju, po czym spenetrował pozostałe pomieszczenia.

– *Was ist los mit...?* – zdążyła zapytać, nim uderzenie na odlew w twarz zmusiło ją do milczenia.

– *Ruhe!* – jakby na przekór treści przekazanego komunikatu wrzasnął jej do ucha jeden z mężczyzn.

Drugi w tym czasie prowadził przed sobą Mariannę Kłąb, popychając ją w stronę sofę. Najwyraźniej chcieli mieć je obie na oku.

– Halina Klomb? – zapytał dla porządku ten, który spoliczkował ją na dzień dobry. Kiedy potwierdziła skinieniem głowy, on również kiwnął z aprobatą. – Jest pani aresztowana.

Natychmiast w jego rękach znalazły się kajdanki. Metal z cichym zgrzytem ścisnął dłonie dziewczyny, ona sama zaś została pchnięta w kierunku starszej domownicy. Bardziej poleciała na wolne miejsce, niż usiadła z godnością. Skrępowane dłonie nie pozwoliły zachować równowagi, na dodatek potknęła się o stopę Marianny.

– Przepraszam – odezwała się matka.

– *Ruhe!* – krzyknął tym razem drugi z gestapowców, może pozazdrościł koledze i też chciał pokazać, kto tu rządzi.

– Mamy cię, ptaszku! – Sardoniczny uśmiech wykwitł na twarzy gestapowca, kiedy patrzył na Halinę z góry.

Pomyślała, że w ten sposób jakiś młody domorosły entomolog mógłby przypatrywać się preparowanemu przez siebie motylom. Specyficzna mieszanka sadyzmu, podniecenia, egzaltacji. Odwróciła wzrok.

– Do trzech razy sztuka, ale dziś zaczniesz nam wreszcie śpiewać – odezwał się ten drugi i całkiem bez powodu trzepnął jej matkę książką, zagarniętą ze stołu.

Marianna, uderzona w bark, jęknęła, nie dała jednak po sobie poznać, jak bardzo ją to zabolęło. Halina poczuła wściekłość, ale i dumę. „Dzielna kobieta, muszę być taka jak ona. Zniosę to wszystko. Choć pewnie prędzej umrę, ale to akurat nie będzie najgorsze rozwiązanie” – pomyślała.

Niemcy spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym jeden z nich zaczął wywalać wszystko, co wpadło mu w ręce. Z pieczołowitością opróżniał po kolei szuflady, zaglądał do komód, wywlekając na środek pokoju bieliznę pościelową, odzież, a w końcu zastawę stołową. Skorupy tłuczonych naczyń piętrzyły się obok obrusów i zasłon, wkrótce dołączyły do nich książki i stare zeszyty nutowe Haliny. Rewizja nie przyniosła spodziewanego rezultatu, intruzi nie znaleźli niczego interesującego.

– Pojedziecie z nami. – Po kilkudziesięciu minutach przeszukiwania pomieszczeń, połączonego z pobieżnym przesłuchaniem, urozmaiconym krzykiem i ciosami, Niemcy przystąpili do realizacji kolejnego etapu przygotowanego wcześniej planu. – Zbierajcie się.

Z pewnym zdumieniem Halina odnotowała fakt, że funkcjonariusze Gestapo zadali sobie trud, by okryć je obie paltami. Skute kajdankami ręce jej i matki stały się niewidoczne pod materiałem, postronny obserwator nie zauważyłby, że te dwie kobiety eskortowane są właśnie pod bronią. Z daleka wyglądali na zwyczajną – co za ironia – rodzinę, spieszącą się na przystanek tramwajowy. Dorożka wciąż stała w miejscu,

w którym Halina widziała ją wcześniej; woźnica uciekł wzrokiem, kiedy tylko zauważył, że przygląda mu się nieco dłużej.

– No już, wsiadajcie! – padła komenda, po czym czworo pasażerów przewiezionych zostało na ulicę Ewangelicką, do pobliskiego komisariatu policji.

Przez całą drogę pilnowano, żeby aresztantki nie zamieniły ze sobą ani słowa. Dopiero później, kiedy czekały na samochód, Halina stała na tyle blisko matki, by móc jej szepnąć:

– Wszystko będzie dobrze.

Kobieta nie odpowiedziała, ale przymknęła na moment powieki, dając sygnał, że nie do końca zgadza się z córką. A może chciała w ten sposób pokazać coś zgoła odmiennego? Że ona też miała w sobie nadzieję?

W siedzibie Gestapo przy alei Anstadta rozdzielono je, trafiły do dwóch różnych cel. Halina przez moment zdążyła jeszcze dostrzec, jak jej matka odchodzi, wyprostowana i dumna.

– Wyprostowana i dumna! – powtórzyła na głos, czym zirytowała eskortującego ją Niemca.

Silny cios w tył głowy rzucił ją na ścianę. „To się nie może tak skończyć” – pomyślała jeszcze, zanim osunęła się na podłogę.

\*\*\*

Ocknęła się, kiedy ktoś wylał na nią wiadro wody. Nie dała po sobie poznać od razu, że odzyskała przytomność, leżała jeszcze chwilę bez ruchu, próbując przez przymknięte powieki dostrzec, gdzie się znajduje. Pomieszczenie było nieduże, przez okno wpadało silne światło dzienne, poza tym nie zauważyła niczego więcej.

– Wiem, że mnie słyszysz – dobiegło gdzieś z boku. Zdecydowany męski głos, już go słyszała.

Nie było sensu udawać. Halina z trudem przekręciła się tak, by móc podeprzeć się łokciem. Głowa pulsowała, ból ogarniał coraz większe partie ciała. Leżała w kałuży wody, która mieszała się teraz z krwią. Jej

krwią – z nosa kapła wąska strużka, musiała oberwać podczas upadku. Ale to nic, da radę...

– Nie przeżyjesz tu dłużej niż tydzień! – Niemiec sprowadził ją na ziemię, jasno wskazując zarówno czasową perspektywę, jak i koleje jej losu.

Tydzień? Postanowiła jeszcze nie wstawać, ułożyła się na podłodze, przybierając pozycję embrionalną.

– Nazywam się Halina Klomb, jestem...

– Dobrze wiemy, kim jesteś, polska szmato! – Mężczyzna poderwał się zza biurka i stanął tuż przy niej. Szpic jego trzewika niebezpiecznie manewrował w okolicy głowy kobiety. „Zaraz mnie kopnie” – pomyślała przerażona. Rzeczywiście, kopnięcie nastąpiło sekundę później, przyjęła je z ulgą, bo było słabsze, niż się spodziewała. Może bał się ubrudzić te śliczne skórzane pantofle od Schmidtkiego? Bo to musiały być buty od dobrego szewca. Przed wojną ojciec miał podobne.

– Nazywam się... – spróbowała powtórzyć, jednak i tym razem jej rozmówca nie wykazał się cierpliwością. Kopniak ominął głowę i trafił gdzieś w okolice brzucha, odbierając jej dech.

– Przecież już się znamy! – Gestapowiec pochylił się nad nią, po czym nogą przekręcił ją na plecy. Z obrzydzeniem otarł umazaną wodą podeszwę w jej sukienkę. – No to co, dosyć czułości? Będziemy rozmawiać poważnie?

Halina milczała. Dopiero teraz zauważyła, że w pomieszczeniu jest jeszcze jedna osoba. Najwyraźniej gestapowcy, których zdążyła dziś poznać, zajmowali się nie tylko eskortą więźniów lub podejrzanych, a w zakres ich obowiązków wchodziło także prowadzenie śledztwa. „Ciekawe, czy również nakaz bicia i poniżania kobiet” – pomyślała młoda Polka, próbując podnieść się z podłogi.

To wszystko, co się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku godzin, było jak najgorszy z koszmarów. Tak, wiedziała, jakie ryzyko podejmuje, pracując dla polskiego wywiadu. Owszem, nie mogła liczyć na nic

więcej niż słowa uznania swoich przełożonych, nawet jeśli były okraszone informacją o przyznanych jej odznaczeniach. Tu, na tej betonowej posadzce, świadomość, że szczerym podziękowaniem za akcje rozpoznawcze w Hamburgu i Kilonii obdarzył ją imiennie sam amerykański generał Dwight Eisenhower, a londyński rząd przesłał raz Brązowy, a później i Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, nie pomagała ani trochę. *Za czyny męstwa i odwagi, dokonane nie bezpośrednio w walce z nieprzyjacielem oraz zasługi położone względem Państwa lub jego obywateli w warunkach szczególnego niebezpieczeństwa* – ta formuła, towarzysząca umownej dekoracji, dokonanej przy okazji składania meldunku, przypomniła jej się właśnie teraz.

„Szczególne niebezpieczeństwo... – powtórzyła w myślach. – To chyba właśnie ten moment?”. Bała się słów, które mogły paść za chwilę. Ale one i tak zostały wypowiedziane.

– Byłaś kiedyś w Brandenburgii? Jest tam całkiem uroczy... ośrodek dla takich kobiet jak ty! – rzucił od niechcena ten, który milczał do tej pory. – Twoja matka już jutro pojedzie do Ravensbrück, pieprzona krowo.

– Nawet jeśli stamtąd wróci, raczej się już nie zobaczycie – dopowiedział właściciel półbutów od Schmidkego.

– Dlaczego? – zapytała odruchowo i natychmiast ugryzła się w język. Nie chciała tej rozmowy i na pewno nie chciała znać odpowiedzi na swoje pytanie.

– Bo tu zdechniesz, jeśli się nie dowiemy, z kim współpracujesz.

Oczywiście, że znała miejsce, o którym wspomnieli. Poznała niemieckie ziemie dużo lepiej, niżby tego chciała. Obóz koncentracyjny dla kobiet położony był jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Berlina. Ona sama zapuszczała się znacznie dalej. Jej matka tam nie wytrzyma. „A ja? – zapytała samą siebie z niemym przerażeniem. – Czy ja to zniosę?”.

Niemcy obserwowali ją czujnie, szukając jakiejś szczeliny, wyrwy w niewidzialnym pancerzu, w który oblekła się ta kobieta. Wiedzieli, jakie myśli mogą jej teraz chodzić po głowie, to nie była ich pierwsza rozmowa z podejrzanym. Kobiety, co dziwne, wytrzymywały dłużej, mężczyźni zwykle pękali po kilku dniach. Wśród bełkotów i zmyślonych zeznań czasem trafiało się coś wartego uwagi. Halina Klomb z pewnością mogłaby im rozjaśnić wiele kwestii. Gdyby tylko chciała mówić albo gdyby udało im się ją do tego skłonić... I choć doktor Otto Bradfisch, szef łódzkiego Gestapo, uczulał ich od dawna na pewne psychologiczne niuanse rozmów z osadzonymi, zarówno Boettcher, jak i jego kolega stawiali na siłę i związaną z nią moc perswazji.

– Pierdolić te uczone gadki naszego doktora i jego psychologiczne gierki! – Tę zasadę wypracowali dość szybko i ku obopólnemu zadowoleniu wcielali w życie. Zastąpili więc abecadło działań przynależnych tradycyjnym organom ścigania intensywną obróbką i wcale niewymyślnym narzędziom tortur.

– Deska i młotek! – Śmiali się często przy kuflu piwa. – Deska i młotek to podstawowe atrybuty dobrego śledczego.

O tych ustaleniach Halina Kłęb dowiedziała się już w dzień aresztowania. Doświadczenie podpowiadało komisarzom kryminalnym, że wbrew ich głośnym zapewnieniom ptaszek wcale nie ma zamiaru śpiewać. Byli na to przygotowani.

– No to miło już było, teraz pora na skuteczność w działaniu – zakomenderował Jan Tamm.

Kobieta instynktownie wyczuła zmianę w nastawieniu oprawców, ich ruchy stały się teraz płynne i wyważone, a serię krzyków zastąpiło przemyślane działanie. W kilka sekund przemeblowali pomieszczenie, odsuwając na bok krzesła i biurko. Fryderyk Boettcher bez trudu poderwał ją z podłogi, jakby ważyła tyle co nic, po czym precyzyjnym rzutem umieścił na solidnym drewnianym koziołku. Opadła na stelaż, coraz bardziej przerażona, bo kątem oka dostrzegła, że drugi z nich



trzymał już drewnianą łagę. Solidny kij, w zasadzie szeroki jak podłogowa deska, zapowiadał kolejne cierpienia.

– To na rozwiązanie języka! – Tamm nie krył zadowolenia, uśmiech malujący się na jego twarzy był niemal słodki i uroczy. – Słyszeliśmy, że lubisz muzykę.

– Już nie lubię – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– *Oh, das ist Schade*<sup>64</sup>... – zasępił się Boettcher. – Ale może chociaż nauczymy cię śpiewu?

<sup>64</sup> niem. Och, jaka szkoda...

Nawet nie musiał brać zamachu, by uderzenie poczuła na całym ciele. Jakby prąd przeszedł ją od stóp do głów. Przewieszona przez koziółek, bardzo podobny do takich, jakie spotkać mogła w sali gimnastycznej swojego gimnazjum, była zupełnie bezbronna i zdana na ich łaskę. Szybko dotarło do niej, że nie może liczyć na litość tych Niemców. Zanim straciła przytomność, naliczyła siedemnaście uderzeń. Część z nich nie trafiła w pośladki, deska lądowała w okolicach krzyża lub niżej, masakrując uda. Z mięśni zrobiła się krwawa miazga.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że nie warto, że to wszystko nie ma sensu. Gdzieś tam zamajaczył sznur kolejowych wagonów i matka w jednym z nich. Wytrzymać!

– Nazywam się Halina Klomb, nic więcej nie wiem – wyszeptwała i zapadła się w ciemność.

\*\*\*

To musiał być już następny dzień, ci dwaj mieli na sobie inne koszule, tego akurat była pewna. Ich wizerunki wryły się jej głęboko w pamięć, gdyby tylko wróciła jej sprawność w ręce, mogłaby się pokusić o naszkicowanie portretów tych bandytów. Rysowała przecież całkiem udanie, jej plany Hamburga były pełne detali i wierne niczym reporterskie fotografie. Alianci oszaleli z radości, kiedy mogli planować naloty z niespotykaną dotąd dokładnością. Czy to nie wtedy Eisenhower powiedział, że gdyby nie ona, losy wojny potoczyłyby się inaczej?

„Emma” aż pokraśniał, przekazując pochwały – Niemcy dostawali łupnia, i to dzięki jej pracy!

Tak, zrobi portret tego blondyna, a później zajmie się wizerunkiem tego, który wysłał matkę do obozu. Tylko ta ręka, dlaczego nie chce się wyprostować?

– Adres! – Krzyk Niemca przywrócił ją do rzeczywistości. – Gdzie się spotykacie?

– Kto to jest „Jacek II”? – Pytanie dobiegło gdzieś z boku.

A więc i on tu był, czyli to kolejny dzień pracy tej upiornej dwójki. Otworzyła raptownie oczy i wciągnęła głęboki haust powietrza, co wywołało natychmiastowy skurcz z bólu. Oddychała z trudem i do tego naprawdę nie mogła się ruszyć. Ręce, które z taką maestrią wydobywały dźwięki z fortepianu, tym razem jej nie słuchały. Za to wyraźnie słyszała dźwięki tego instrumentu.

– Panienska wygląda na zaskoczoną? – Któremuś z gestapowców zebrało się na żarty. – Przecież mówiliśmy, że z nami może być przyjemnie!

Niewygodna pozycja, w jakiej się znajdowała, pozwoliła jedynie na delikatne odwrócenie głowy. W rogu pomieszczenia, na stole, stał patefon, podobny do tego, który mieli w domu. Nie mogła rozpoznać utworu. W głowie jej szumiało, a ból był już nie do zniesienia. Wcześniej tylko bili, ale teraz dodatkowo unieruchomili jej ciało. Ocknęła się z drewnianym kijem wsadzonym pod kolana, spięte kajdankami dłonie połączono sprytnie z kostkami. Była całkowicie bezbronna. Mogła jedynie czekać na kolejne ciosy, bo że takie padną, była pewna. Nie wiedziała tylko, czy uderzy w nią męski but, pięść czy drewniana pałka. Nie pamiętała, czy dali jej coś do jedzenia; teraz i pragnienie dokuczało coraz mocniej, ale może kiedy zemdleje i znów ocucą ją wodą, uda się jej upić chociaż parę kropel? Nie, nie – to przecież cywilizowani ludzie, nie odmówią kobiecie szklanki wody.

– Pić! – wyszeptała. – Proszę...

Musieli to wziąć za dobrą monetę, bo spojrzeli po sobie porozumiewawczo, po czym jeden z nich nalał z dzbanka do stojącej przy naczyniu szklanki trochę wody, uniósł głowę Haliny i wlał do ust trochę płynu. Po kilku łykach poczuła się lepiej, po chwili podziękowała skinieniem głowy.

– No to mów teraz, kto to jest „Jacek II”. – Tym razem polecenie wypowiedziano łagodniejszym tonem. – Jak się z tobą kontaktował?

„A więc nie wiedzą, kogo złapali! A może to podchwytliwe pytanie?” – analizowała szybko Halina. Chociaż z tym całym Kętrzyńskim miała kontakt na samym początku wojny, jeszcze kiedy żył Andreas. Stanisław nie mógł wiedzieć, że to ona przejęła po nim schedę i częściowo – pseudonim. Skoro sypnął, to o niej musiał mówić bardzo ogólnie, przeniosła się przecież z Łodzi do Kalisza, a on sam w tym czasie był już traktowany jako „spalony”. „Muszę wytrzymać, nic na mnie nie mają!” – pomyślała.

– Mów, co wiesz, polska świnió! – Krzyk miał zadziałać na nią mobilizująco, ale nie przyniósł spodziewanego efektu. Po chwilowej galanterii też nie pozostał już ślad.

Halina przymknęła oczy i myślami odpłynęła daleko, najdalej jak mogła. Letnie wakacje na działkach podłódzkiego Radogoszcza, harcerskie wędrówki, długie i zrudne fortepianowe wprawki... Wszystko, byle uciec stamtąd choć na kilka chwil, nie myśleć i nie czuć.

– Jan, to jakaś kpina, czy ona próbuje zasnąć? – Boettcher zwrócił się po imieniu do kompana.

– Hm... jeśli to prawda, to niezbyt dobrze o nas świadczy. – Tamm uśmiechnął się dziwnie. – Zanudzić tak interesującą pannę? Gdzie nasza kindersztuba?

Z przerażeniem zarejestrowała, że zbliżyli się do niej obydwaj. Każdy z nich złapał za jeden koniec solidnego kija spoczywającego pod jej kolanami i jak na zawołanie unieśli go zdecydowanym ruchem. Wisiała teraz głową w dół, ciężar całego ciała skupił się na tym jednym miejscu,

gdzie skrępowane kajdankami nadgarstki stykały się z łydkami. Ile mogła wytrzymać w takiej pozycji? Krew napłynęła jej do głowy.

– Jeśli zanudzić, to tylko na śmierć! – krzyknął ten nazwany Janem. – Ale do śmierci masz jeszcze trochę, wcześniej powiesz nam to i owo.

– Na przykład o tych głupich gazetkach, rozsyłanych do domów porządnym Niemców – dopowiedział jego towarzysz. – No, mówże wreszcie, bo tracę cierpliwość!

Przez chwilę bujali nią w powietrzu, jakby byli dwójką dobrych wujków, dbających o rozrywkę swojej młodszej krewnej. Wiedziała, że to dopiero wstęp, zaraz zrobią coś naprawdę podłego. Nie myliła się, mężczyźni wypuścili drążek z dłoni, a ona z głośnym plaśnięciem upadła na posadzkę, na szczęście nie uderzyła w nią głową, tylko poczuła nieopisany ból kości ogonowej.

– Dobrze, a teraz zacznijmy od początku – zaproponował Tamm, odczekawszy kilkanaście sekund. Wykorzystał je do zmiany płyty, teraz z głośnika popłynęła skoczna melodia jakiegoś fokstrota. – Kolega pokaże ci kilka zdjęć, a ty nam wskażesz osoby, które rozpoznasz.

– I może jeszcze dorzucisz o nich ładną opowieść? – Boettcher zbliżył się do niej z albumem. – No, suko, kto to jest? Znasz tego człowieka?

Pokręciła głową, co w żadnym wypadku nie poprawiło jej sytuacji. Niemiec zamknął z hukiem grubą album i trzymając go oburącz, zdzielił Halinę w głowę. Krew bryzgnęła na okładkę, brudząc przy okazji mankiet koszuli jej kata.

– I widzisz, co narobiłaś? – zapytał z wyrzutem w głosie.

Ktoś obserwujący tę scenę z boku, słysząc jego pretensję, mógłby uwierzyć, że to właśnie ona jest powodem jego zachowania. Że te kilka kropel krwi spowodowało całą tę agresję.

– Aj, niedobrze – wtrącił się Tamm. Przyglądał im się, pływając w takt melodii wygrywanej przez patefon, markując kroki tańca z wyimaginowaną partnerką. – Takie zachowanie musi się spotkać z należną karą.

– *Ja, ja* – zgodził się Boettcher. – Atmosfera nam się tu wyraźnie skwasiła!

– A skoro tak, to musimy zadbać o naszego gościa – zakpił jawnie drugi oprawca, przejmując od kolegi grubą kartotekę ze zdjęciami. Z obrzydzeniem starł z niej zasychającą już krew, po czym schował album do biurka. – Jeszcze do tego wrócimy, ale teraz...

Urwał, by po pełnej napięcia chwili wyjąć z tej samej szuflady wojskową maskę przeciwgazową. Spojrzał porozumiewawczo na kompana i rzucił ją w jego kierunku. Tamm wprawnie założył ją na twarz Haliny.

– Skoro atmosfera się popsuła, nie możesz być narażona na przykre konsekwencje, głupia krowo – powiedział. – Jak to wy tu mówiliście w tym śmiesznym kraju? Gość w dom, Bóg w dom?

Halina widziała, że coś jeszcze powiedział, ale docierało to do niej jak przez mgłę. I bez maski oddychało się ciężko, podejrzewała, że mogła mieć pęknięte któreś z żeber. Ból po upadku z wysokości na podłogę jeszcze nie minął, cios książką dołożył swoje. Znów straciła przytomność.

\*\*\*

Leżała w więziennej celi z niewielkim oknem, przez które wpadało wiosenne słońce. Wokół kłębiło się kilka kobiet, miejsca byłoby mało nawet dla dwóch, trzech, a Halina doliczyła się jeszcze pięciu towarzyszek niedoli. Brudne ziemiste ściany, miska w kącie i dwa, może trzy sienniki stanowiły całe wyposażenie.

– Gdzie ja jestem? – zapytała z trudem, kiedy ocknęła się na tyle, by móc nawiązać kontakt z otoczeniem. Wargi miała wysuszone, usta z trudem współpracowały z językiem, każde z wypowiedzianych słów okupiła bólem.

– Spokojnie, jesteś wśród swoich – odpowiedziała jakaś kobieta, na oko w jej wieku. – To cela numer jeden więzienia dla kobiet przy ulicy Gdańskiej.

– W Łodzi – dodała inna z więźniarek, pochylając się nad nią z zafrasowaną miną. – Jesteś w Łodzi, to najważniejsze. Niektóre z dziewczyn Niemcy wywożą gdzieś dalej i nigdy ich już nie widzimy.

Halina przymknęła powieki, starając się skupić myśli i przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich godzin. Przesłuchanie w siedzibie Gestapo trwało dwa albo trzy dni, nie była tego pewna, bo wiele razy traciła poczucie rzeczywistości. Jej nowi znajomi, Fritz i Jan, przerywali bicie tylko wtedy, kiedy mdlała. Cucono ją wodą lub po prostu zostawiano do momentu, w którym znów zaczynała kontaktować. Czasem udawało jej się przeczekać w ten sposób kilka godzin, choć przeszywający ból i tak nie pozwalał na ożywczy sen. Po prostu zamykała się w sobie i trwała w dziwnym stuporze, czekając, aż do niej wrócą. W końcu któryś z nich poinformował ją, że została skazana na karę śmierci i do czasu wykonania wyroku zostanie osadzona z innymi polskimi kurwami. To ostatnie określenie paliło żywym ogniem i bolało niemal tak, jak zadawane wcześniej razy.

– Nie bój się, nie damy ci tu zginąć. – Dziewczyna, która pochylała się nad nią, sięgnęła po kubek z wodą.

Metalowy brzeg naczynia schłodził opuchnięte wargi, Halina ostrożnie upiła kilka łyków.

– Dziękuję – wyszeptała, odsuwając głowę.

– Ja jestem Krysia, ta tutaj... – Dziewczyna wskazała na koleżankę. – ...to Basia, tam dalej jest Jadzia. Zośka i Teresa śpią, ale nie będziemy ich teraz budzić. Jak widzisz, miejsca tu nie za dużo i musimy się dzielić pryczą, żeby każda mogła rozprostować nogi choć na krótki czas. Zresztą, zobaczysz sama, będzie nas tu jeszcze więcej!

Halina ze zrozumieniem pokiwała głową, przyjmując bez sprzeciwu wewnętrzny regulamin celi. Była wdzięczna za okazaną troskę i pomoc, zdawała sobie też sprawę, że w jej stanie będzie tej opieki potrzebowała jeszcze długo.

– A ty? – padło pytanie. – Kto ty jesteś i czym zasłużyłaś na takie lanie?

– Mam na imię Halina – odpowiedziała. – Halina Kłęb.

– Kłęb? – wtrąciła się jedna z więźniarek. – A my słyszałyśmy, żeś Niemra i niemieckie nazwisko nosisz.

Halina przyjęła ten przytyk z godnością. Nie znały jej przecież, nie mogły wiedzieć, że zniemczenie jej nazwiska było działaniem zaplanowanym przez polskie podziemie. Ile mogła im zdradzić, jak mocno uchylić rąbka skrywanej od lat tajemnicy? Powiodła badawczym wzrokiem po twarzach towarzyszek i zobaczyła na nich ślady takiego samego traktowania, jakiego doświadczała od kilku dni. Siniaki i bruzdy, otarcia i strupy. Te kobiety też potraktowano z faszystowską galanterią. Rzeczywiście była wśród swoich.

– Nazywam się Kłęb, a Klomb to nazwisko, które przyjąłem wraz z volkslistą. – Starła się mówić konkretnie, zgodnie z prawdą. – Moja babka miała niemieckie pochodzenie, więc mogłam to zrobić z...

– Niemra, a nie mówiłam?! – przerwała jej ta, którą przedstawiono jako Jadwigę. – Uważajcie na nią, dziewczyny!

– Oj, Jadzia, co żeś się tak do niej przypięła? – Krysia stanęła w jej obronie, a Halina spojrzała na nią z wdzięcznością. – Nie widzisz, że dziewczucha ledwo żyje?

– Nie, nie, wszystko w porządku – wtrąciła. Spróbowała lekko podnieść się na łokciu, tak by widzieć całą celę. – Ja rozumiem wasze obawy i zaraz wam to wytłumaczę.

Przez pomieszczenie przeszedł szmer, każda z obecnych komentowała na własny użytek słowa Haliny. Do dotychczasowych słuchaczek dołączyły Zosia i Teresa, przebudzone podniesionym głosem Jadwigi. Patrzyły teraz na nową osadzoną z wyraźnym zaciekawieniem.

– Nie wiem, jaki dziś dzień, ale Gestapo zatrzymało mnie dwudziestego maja, wraz z moją mamą – podjęła wątek Halina. –

Zapowiedzieli mi, że ona trafi do Ravensbrück, wobec mnie mieli inne plany.

– I to dosyć konkretne, bo nieźle cię urządzili, lalka – rzuciła z przekąsem wyrwana ze snu Teresa. – Nie chciałabym być na twoim miejscu, to pewne!

Po celi znów przeszedł szmer, więźniarki najwyraźniej zgadzały się z taką oceną sytuacji. Halina kiwnęła tylko głową i opowiadała dalej:

– Niewiele pamiętam z przesłuchania, ale na koniec powiedzieli mi, że dostałam wyrok śmierci. Będę tu siedziała, dopóki mnie nie zastrzelą.

– Albo powieszą – wtrąciła się milcząca dotąd Zofia. – Kulka w łeb jest zdecydowanie lepsza.

– Dobra, dobra, ale czemu wydali taki wyrok na Niemkę? – drążyła Jadwiga. – Czymżeś się tak przysłużyła Germańcom?

– Jestem oskarżona o pracę dla polskiego wywiadu – odpowiedziała oględnie Halina. – Uważają mnie za szpiega Armii Krajowej.

– Fiu, fiu, to nie byle kto nam się trafił, dziewczyny! – zakrzyknęła Krystyna. – Dobrze, zajmijmy się teraz twoimi ranami, trzeba to jakoś opatrzyć.

– Tylko jak?

– Zośka, pospałaś? To bierz miskę! – padła komenda, po której wywołana dziewczyna posłusznie podniosła się z legowiska i kucnęła w rogu celi. Strumień moczu z hałasem wylądował w blaszanym naczyniu, część jednak zatrzymała się na podsuniętym materiale.

– Mam nadzieję, że szpiegów to nie obrzydza – z uśmiechem zagadnęła druga Teresa.

Szybko odebrała od koleżanki wilgotne, równo podarte skrawki materiału i taki prowizoryczny opatrunek przyłożyła do najmocniej poturbowanych fragmentów ciała Haliny. Ta nie protestowała, poddając się zabiegom z niemym przyzwoleniem.



– Nie mamy tu lekarstw, kochaniutka! – Zofia rozłożyła ręce w geście rezygnacji. – Musimy sobie radzić, a u nas na wsi powiadają, że mocz pomoże na takie rany.

– Pochodzisz ze wsi? – Halina chciała jakoś podtrzymać rozmowę.

– To się wie, ja spod Zgierza jestem – odpowiedziała dziewczyna z wyczuwalną w głosie dumą. – Tatuś miał gospodarstwo, ale go... – Urwała nagle, by po chwili rozplakać się jak dziecko.

Halina patrzyła, jak ta postawna, pewnie też silna kobieta nagle zmaląła i skuliła się w sobie.

– Jej ojca zastrzelili Niemcy w czterdziestym drugim, razem z innymi – wyjaśniła zachowanie koleżanki Jadzia. – Ze sto osób wtedy zginęło, może słyszałaś?

– Czy słyszałam? – Halina patrzyła na nią zamglonymi nagle oczami. – Słyszałam, oczywiście. I też straciłam tam kogoś... bliskiego.

Wspomnienie Lukschy przeniosło ją natychmiast w inny czas i inne miejsce. To było dobre wspomnienie. Podziałało jak środek przeciwbólowy.

– Zośkę aresztowali jakiś czas potem – dokończyła Jadwiga. – Jej matkę zresztą też, siedzi w innej celi.

– Wszystkie tu jedziemy na jednym wózku. I wszystkie nas tu biją tym samym kijem – podsumowała Krystyna. – Nam pomaga modlitwa i to, że trzymamy się razem.

– Bardzo wam dziękuję. – Halina nawet odrobinę nie poczuła się lepiej, ale doceniała troskę i pielęgniarskie zabiegi towarzyszek. – I Bogu dziękuję, że na was trafiłam.

– Mogłaś wylądować gorzej, ale ogólnie da się tu wytrzymać. – Zosia doszła już do siebie i teraz tylko ocierała resztki łez skrawkiem rękawa. – Tylko jak cię będą brać na przesłuchania, to zakładaj grube rajtuzy. Jak przyleją w dupę, to wtedy mniej będzie bolało.

„Będzie mniej bolało” – powtórzyła w myślach Halina i odruchowo sięgnęła ręką w stronę tułowia. Jej błękitna niegdyś sukienka, w której zabrano ją z mieszkania przy Sienkiewicza, upstrzona była plamami. Nie brakowało w niej rozdarć, a pod spodem miała tylko zwykłą halkę i bieliznę. To w żadnym wypadku nie gwarantowało ochrony przed gestapowską pałką.

– Coś na to zaradzimy, nie przejmuj się. – Krystyna domyśliła się jej rozterek. – Ubierzemy cię odpowiednio, a teraz śpij, odpoczywaj, a my się tu wspólnie za ciebie pomodlimy.

Halina posłusznie zamknęła oczy. Usypiając, słyszała, jak jej nowe koleżanki odmawiają miarowo i cicho pokrzepiające słowa więziennej modlitwy:

*Ojcze nasz, który jesteś w niebie i widzisz naszą niedolę tułaczą,*

*wejrzyj na swe dzieci i ukój łzy, co duszę tłoczą.*

*Święć się imię Twoje aż po wszystkie czasy, gdzie wygnani przemocą*

*prosimy w pokorze, zmiłuj się, zmiłuj się nad nami, Boże.*

*Chleba powszedniego nie poskąp nam, Panie, daj siłę do przetrwania,*

*a dla duszy wiarę, że nie bez celu jest nasze zesłanie*

*i że może cierpimy za swe winy stare*<sup>65</sup>...

<sup>65</sup> Halina Szwarz, *Wspomnienia z pracy w wywiadzie antyhitlerowskim ZWZ-AK*, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 1999.

\*\*\*

Niepisana zasada więzienia przy Gdańskiej stanowiła, że nowa i najbardziej pobita przez Gestapo dziewczyna mogła wyłożyć się na sienniku. Reszta osadzonych leżała gdzie popadnie, zwykle na drewnianej podłodze, pod ścianami, gdzie tylko dało się oprzeć głowę. Kiedy robiło się ciemno, ze szpar między deskami wychodziło robactwo, oblepiało ciała, gryzło i wysysało krew. Pluskwy i wszy były tu na równych prawach z więźniarkami.

Gdyby nie wyczerpanie organizmu, Halina pewnie nie zmrużyłaby oka. Nie chciała korzystać z żadnych przywilejów, ale była zbyt słaba, by protestować. Mimo że siennik był lichej, cuchnący i roztarty niemal na

miazgę, to pozwalał znaleźć taką pozycję, w której obolałe pośladki i plecy mogły odpocząć. W tych krótkich chwilach zamykała oczy i odpływała w półsen, pełen dziwnych majaków, niezbornych obrazów, często koszmarów.

W budynku więzienia nigdy nie było cicho. Nawet nocą przez korytarze niosły się krzyki podpitych wachmanów, śmiech strażniczek albo zawrota głowy więźniarek, pobitych podczas przesłuchania. To właśnie jęk którejś z kobiet z sąsiedniej celi wyrwał Halinę z dusznego snu. Leżała teraz, dysząc; chciała ułożyć się inaczej, ale podkulonych nóg nie dało się wyprostować, miejsca było zwyczajnie za mało.

– Śpisz? – Domyśliła się, że pytanie musiało być skierowane do niej, nie rozpoznała jednak, kto je zadał.

– Próbuje, ale... – Nie chciała się skarżyć, zabrzmiałoby to nieuprzejmie. Przecież te kobiety zrobiły dla niej, co tylko mogły. – Jakoś nie mogę zasnąć.

– Posłuchaj, zemdlałaś, więc nie mogłam o tym powiedzieć wcześniej. – Ktoś nachylił się w jej kierunku, w półmroku rozpoznała Jadwigę. – Tu jest twoja matka, siedzi w celi dla Niemek.

– Moja matka tutaj? – Nagle sen się ulotnił i ustąpił miejsca dawnej bystrości umysłu. A więc są tu obie! To chyba dobrze?

– Tak, wiem, co mówię – potwierdziła Jadwiga. – Ja nie jestem polityczna, tylko kryminalna, siedzę za przekroczenie granicy.

– Nie rozumiem...

– Wszystkiego się nauczysz. – Kobieta spojrzała na nią pobłaźliwie. – Kryminalne biorą do różnych prac, możemy wychodzić z celi. Sprzątamy, rozdzielamy jedzenie, mamy trochę swobody.

Halina zaczynała się domyślać, do czego zmierzała Jadwiga. Słuchała uważnie, spragniona wieści o matce.

– Jest nas tu teraz wszystkich razem powyżej trzystu, tak dużo dawno nie było! – Jadwiga postanowiła chyba wprowadzić ją głębiej w więzienne życie. – Cele są różne, są takie ogromne, gdzie jest i kilkadziesiąt dziewczyn, są i mniejsze, takie jak nasza.

– A moja mama?

– Ona siedzi w celi dla Niemców, tam trafiają takie, co są podejrzone o współdziałanie z Polakami. – Jadwiga zamyśliła się na moment. – Nic więcej nie wiem, ale widziałam ją, podała nazwisko i pytała o córkę.

– Jest... cała? – Halina wstrzymała oddech, bojąc się, co może usłyszeć.

– Wyglądała normalnie, nie musisz się martwić – zapewniła ją nowa koleżanka. – Teraz i ona będzie spokojniejsza, bo jutro przekażę jej, że żyjesz i jesteś z nami.

– A nie mogłabym sama?

– Widzisz ten znaczek, który masz na kapocie? – Kobieta wskazała na jej ramię. Halina dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej rękaw zdobi karminowy trójkąt. – To znak, że jesteś polityczna. Dopóki nie zakończą śledztwa, nie przysługuje ci spacer. Możesz stąd wyjść jedynie na przesłuchanie, do lekarza albo...

– Albo? – podjęła Halina.

– Do *Dunkelzelle* – padła głucha odpowiedź. – To ciemnica, biorą tam wyjątkowo odporne dziewczyny. Szczerze nie polecam.

– No a ten lekarz? – Nie traciła nadziei. – Przecież musi być jakieś rozwiązanie.

– Lekarz? Nazywamy go „Buc”. – Jadwiga wzruszyła ramionami. – Taki z niego lekarz jak ze mnie baletnica. Zobaczysz sama, trafić do niego to jak wpaść z deszczu pod rynnę.

– Musisz dotrzeć do mojej matki! – Halina podniosła głowę i spojrzała błagalnie. – Powiedz jej, że się trzymam, że przeszłam przesłuchanie i że ze mną wszystko dobrze. Na pewno się zamartwia.

– Dobrze, już dobrze. Zresztą rano, jeśli poczujesz się silniejsza, napiszesz do niej gryps.

– Gryps? – Halina nie знаła tego pojęcia. – Co to takiego?

– Oj, wy, szpiedzy, jak chcecie tę wojnę wygrać?! – W głosie Jadwigi dało się wyczuć rozbawienie. – Nielegalny list z więzienia! Naskrobiesz na kawałku materiału, z halki albo bluzki, co tam masz. A ja zaniosę do adresatki.

– Prawie jak poczta. – Uśmiechnęła się.

– Nawet lepiej, bo znaczka nie trzeba kupować – potwierdziła Jadwiga.  
– Masz teraz kilka dni na podleczenie ran, nie wezmą cię szybko na przesłuchanie.

– Skąd ta pewność?

– Idą Zielone Świątki, mamy trochę spokoju – wyjaśniła więźniarka. – Niemcy pobrali urlopy, jadą do swoich *Frauen*, nie będą nas bić przez kilka dni. Ale później...

– Co później?

– Później wszystko wróci do normy. A teraz złapmy trochę snu, jutro też jest dzień.

Po chwili z miejsca, które zajmowała jej rozmówczyni, dobiegło do Haliny ciche chrapanie. Ona sama była się jeszcze długo z myślami, urozmaicając nocne minuty strącaniem namolnych pluskiew. Robactwo nic sobie nie robiło z tych zabiegów, szukając coraz to nowych dróg podejścia do odsłoniętych fragmentów ciała. Z odrazą czuła, jak przemieszczają się po niej, wynajdując odpowiednie miejsce na żerowisko. Stała się żywicielem insektów. Ale ona sama też wciąż żyła!

\*\*\*

Jej nocna opiekunka nie myliła się, przez kilka kolejnych dni w więzieniu panował względny spokój. Halina miała czas, by nieco podreperować swój stan, poznawała też zasady rządzące tym miejscem. Poczta więzienna funkcjonowała bez zarzutu, miała więc kontakt

z matką. Z ulgą odnotowała, że nawet taka ograniczona korespondencja wlewała w jej serce obfite pokłady nadziei i spokoju. Potrzebowały tego przecież obie, matka może nawet w większym stopniu.

*Halinko, modlę się za nas, myślę o tobie i cieszę się, że jesteśmy blisko siebie.*

Bez trudu rozpoznała pismo Marianny Kłęb, te lekko pochylone, ale ładnie kaligrafowane litery. Może uda się i trafią do jednej celi?

Zamiast tego jednak trafiła na Anstadta 7, na kolejne przesłuchanie. Zaraz po świętach, tuż po ósmej rano, po porannym apelu i skromnym śniadaniu, wywołano ją z celi. Z trudem doczłapała do drzwi, za którymi czekało już na nią dwóch wachmanów. Tego dnia była jedyną kobietą transportowaną z więzienia przy Gdańskiej do siedziby Gestapo. W policyjnym aucie siedziało za to kilku nieszczęśników, przewożonych w tym samym celu z więzienia męskiego. Nie rozpoznała żadnego z nich, co w jakiś sposób ją ucieszyło. Wpadka kogoś ze znajomych z pewnością byłaby dla niej dodatkowym zagrożeniem.

Przejazd pustawymi ulicami nie zajął zbyt wiele czasu, ale pozwolił na przyjęcie pewnego planu. Halina opracowała strategię, tak by wyjść z kolejnego przesłuchania w lepszej kondycji niż poprzednio. Powie im coś, sprzeda jakieś informacje, na tyle błahe i nieistotne, że nie zagrażą organizacji. Może to da jej cień szansy na uniknięcie tortur? Wierzyła, że jej nie złamią, że nie powie niczego ważnego, ale nie chciała też zginąć, szczególnie teraz – kiedy się okazało, że jej matka jest tuż obok, cała i zdrowa.

– Cieszymy się, widząc panią w naszych skromnych progach – powitał ją Boettcher. W jednej chwili uszło z niej całe powietrze, znów czuła tylko strach i przerażenie. – Zaprosiliśmy tu panią, żebyśmy się mogli lepiej poznać.

– Nazywam się Halina Kl...

– Wiemy, wiemy – przerwał jej Niemiec. – Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy opowiedzieli zatem trochę o sobie.

Halina skinęła pokornie głową, uznając, że każda minuta bez bicia jest minutą bezcenną, nawet gdyby miała słuchać tego pieprzenia cały dzień.

– Ten tam, młody jeszcze Jan, pochodzi z Hamburga. – Boettcher wskazał kolegę, przypatrującego się jej bykiem. W jego oczach nie dostrzegła nic prócz nienawiści. – Był obiecującym sprzedawcą w sklepie z artykułami sanitarnymi, da pani wiarę?

Tamm sapnął, jakby to wspomnienie wywołało w nim skrajne emocje. Halina skuliła się na myśl o tym, co nie tak dawno widziała w dalekim portowym mieście. Jeśli powiążą ją z tymi nalotami...

– Niestety, ci angielscy bandyci w swoich skrzydlatych maszynach zbombardowali miasto i Jan nie ma już gdzie wracać. – Boettcher ciągnął opowieść beznamiętnym tonem. – Ale co gorsza, nie ma też do kogo wracać. Zginęła jego matka, nie ma też już Jan narzeczonej, pięknej Brigitte.

Halinie pociemniało przed oczami. Jak do tego doszli, kto ją wsypał? Zginie w tym pokoju, to pewne.

– Tyle o moim koledze, a teraz słów kilka o mnie, jeśli panienka pozwoli. – Doskonale udawał kurtuazję, robił odpowiednie miny i wytworne gesty. Tylko czemu miał służyć ten teatrzyk?

„Niech mnie po prostu zastrzelą” – myślała.

– Otóż ja, Fryderyk Boettcher – podjął prezentację gestapowiec – pracowałem tu niedaleko, pod Łodzią. W Pabianicach. Panienka zna taką miejscowość? – Pytanie było retoryczne, mężczyzna nie oczekiwał odpowiedzi. – Byłem w tych Pabianicach, jak to mówią ludzie na ulicy, policyjnym psem. Zajmowałem się sprawami kryminalnymi – powiedział to z wyczuwalną w głosie dumą. – I miałem do tej roboty przekonanie. Chwalili mnie, że mam nosa!

Halina czuła, że cała ta przemowa miała doprowadzić do określonego momentu i moment ten nieuchronnie się zbliża.

– I ten mój policyjny nos podpowiada mi, ty głupia polska krowo, że sporo wiesz, tylko nie chcesz nic powiedzieć – zakończył z wyraźnym

niesmakiem. Zupełnie jakby rozczarowała go konkluzja, do której doszedł. – A może coś się zmieniło? Może atmosfera *Pfingsten*<sup>66</sup> cię odmieniła?

<sup>66</sup> niem. Zielone Świątki

– No jak, zstąpił na ciebie Duch Święty? – zadrwił milczący dotąd Tamm i wymownie spojrział w kierunku drewnianego koziołka. Przyrząd do tortur był gotowy. – Powiesz nam coś ciekawego?

– Na początek z kim pracowałaś. – Boettcher usiadł przy biurku, rozkładając na blacie przybory do pisania. – Szczerze, jak na przedświątecznej spowiedzi.

Halina przygotowała sobie dwa nazwiska. Ważna była kolejność ich przekazania. Jeśli zacznie od ewidentnego kapusia, ta dwójka bez trudu się zorientuje, że prowadzi z nimi grę. Musiała być czujna.

– Dobrze, powiem, co wiem, nie ma tego dużo – zaczęła ostrożnie. – W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku miałam kontakt z mężczyzną, który twierdził, że pracuje dla zbrojnej organizacji. Zaimponował mi, mówił o walce i obronie kraju.

– *Name!*

– Nazywał się Stanisław Miłek – odpowiedziała szybko Halina. – Stasio... proszę, żeby tak na niego mówić. Stasio Miłek.

Starannie wyselekcjonowała właśnie to nazwisko. Wiedziała, że Stasio ukrywa się to na Śląsku, to w Generalnej Guberni, miał lewe papiery i dorobioną świetną legendę. Szukaj wiatru w polu!

Na gestapowcach jednak jej wyznanie zrobiło pewne wrażenie. Chyba nie była im obca osoba, którą wymieniła. Tym lepiej, to mogło jej pomóc.

– Pokaż go, jest tu na zdjęciu? – Tamm podsunął jej album, kartkując i obserwując jednocześnie, jak reaguje na fotografię.

Halina patrzyła z udawanym zainteresowaniem.



– Nie, tu go nie widzę, nie ma tu tego Miłka.

– Dalej, co jeszcze? – Boettcher domagał się konkretów.

Teraz, kiedy się jakoś uwiarygodniła, mogła im już sprzedać kapusia, który wsypał pewnie i ją.

– Jeszcze jeden Stanisław – powiedziała bez oporów. – Kętrzyński.

– *Verdammt polnische Sprache!* – zaklął Jan Tamm. – *Was hast du gesagt? Kentschynsky?*<sup>67</sup>

<sup>67</sup> niem. Cholerne polskie nazwiska! Co powiedziałaś?

Powtórzyła powoli. Boettcher naskrobał coś na kartce i pchnął ją w kierunku więźniarki. Spojrzała i skinęła głową, potwierdzając, że zapisał nazwisko bez błędu.

– Co z nim? Gadaj!

– Biegał z pistoletem, chwalił się, że to na Niemców – mówiła bez oporów. Tu przynajmniej nie musiała udawać, wszystko zgadzało się co do joty. – Uznałam, że to dziecinada i zerwałam kontakt.

– Pokaż go na zdjęciu! – Zabawa z albumem powtórzyła się, z tą jednak różnicą, że tym razem wskazała poszukiwanego mężczyznę. Kętrzyński był na zdjęciu dokładnie taki, jakim go zapamiętała. Kapuś, zwyczajne zero.

Maglowali ją jeszcze przez jakiś czas, dla zasady szturchając lub bijąc po dłoniach trzcinową witką. Dostała nawet herbatę, jakby chcieli pokazać, że opłaca się współpracować z urzędnikami Rzeszy. Zadowoleni z postępów, zakończyli przesłuchanie i koło południa została odwieziona do więzienia przy Gdańskiej.

– Bili? – Pytanie koleżanek z celi było całkiem zasadne, w końcu takie metody Gestapo uznawało za najbardziej efektywne.

– Dziś niespecjalnie – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Próbowali mnie przekonać siłą perswazji.

– Każdy dzień bez kija dobry – podsumowała Teresa, jak się okazało, pełniąca funkcję szefowej celi. – Kładź się, dziewczyno, zmienimy ci opatrunki.

Reszta osadzonych bez sprzeciwu rozstała się, robiąc miejsce przybyłej. Powtórzyła się procedura z oddaniem moczu i wkrótce Halina mogła przyłożyć głowę do siennika. Obudziły ją dopiero wrzaski wachmanów, zwiastujące porę obiadu. Od rana nie miała nic w ustach, bez zwłoki wstała więc po swoją porcję zupy brukwiowej. Przy odrobinie szczęścia trafić się mógł pływający w niej ochłap koniny albo nawet nadgniły ziemniak. Ale czy swojego limitu szczęścia nie wykorzystała już tam, przy Anstadta?

\*\*\*

Po kilku dniach względного spokoju spadł na Halinę niespodziewany cios. Tamm z Boettcherem postanowili przypomnieć jej o sobie i zażądali kolejnych rewelacji. Krótka rozmowa odbyła się tym razem w gabinecie komendanta więzienia, najwyraźniej uznali, że nie ma potrzeby organizować transportu do siedziby Gestapo.

– Tak nam się ostatnio miło rozmawiało – zagaił Tamm. – Kłopot w tym, że brakuje nam jeszcze wielu klocków w tej szpiegowskiej układance.

– Szpiegowskiej? – zapytała odruchowo Halina.

– A tak, tak, szpiegowskiej – odpowiedział Boettcher. – Chcielibyśmy, żebyś opowiedziała nam o swoich związkach z wywiadem węgierskim.

Polecenie zbiło ją z tropu, dłuższą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Wiemy, jak odświeżyć ci pamięć. – Gestapowiec nie wykazał się cierpliwością. Powoli przywykała do tego, że „Fryc”, jak go nazywała w myślach, chce wszystko na już. – Poprosiliśmy pana naczelnika, żeby zorganizował ci miejsce sprzyjające kontemplacji.

– I tak się składa, że znalazł się idealny pokoik dla młodej damy mającej kłopoty z pamięcią – dopowiedział Tamm.

Pod Haliną ugięły się nogi. Błyskawicznie się domyśliła, o czym mówili ci dwaj. *Dunkelzelle*.

Owiana złą sławą ciemnica powitała ją przeraźliwym zimnem. Nawet teraz, choć za oknem musiało być pięknie i słonecznie, tu temperatura spadała gwałtownie, powodując coś w rodzaju szoku termicznego. Nie była na to przygotowana, przenieśli ją znienacka, więc nie miała szans zaopatrzyć się w cieplejsze, grubsze odzienie. Zresztą i tak by na to nie pozwolili. Jakby tego było mało, ściany niewielkiego pomieszczenia ociekały wodą, która zbierała się na betonowej podłodze, tworząc głębokie na kilka centymetrów bajoro. Półtora metra szerokości i pewnie tyle samo na wysokość, bo wyprostować się nie dało rady. Przy metalowych drzwiach Halina wymacała wąski próg i przykucnęła na nim, chroniąc stopy przed wodną kąpielą. Ile tak wytrzyma? Zaczęła dygotać już po chwili, a sytuacji nie poprawiał fakt, że aby utrzymać się na schodku, musiała oprzeć się o drzwi. Te zaś, wykonane z metalu, potęgowały efekt zimna, zmuszały do przybierania ekwilibrystycznych póz i balansowania całym ciałem. Musiała coś wymyślić!

– *A jeżeli zginę od szabli, nie zabiorą duszy mej diabli. Nie zabiorą duszy do piekła, boby im po drodze uciekła* – zaczęła śpiewać żołnierską piosenkę, która przysła jej do głowy jako pierwsza. Jakoś to *Uli-duli* pasowało jej tu jak ulał. – *A jeżeli zginę raniutko, włożą mnie w trumienkę bielutką. Włożą mnie w trumienkę w mundurze, przystroją w bławaty i róże...*

Zrobić wszystko, by jej nie złamali, wytrzymać, wytrzymać jak najdłużej!

Do pomieszczenia, w którym – jak się okazało – spędzić miała prawie dwa tygodnie, nie dochodziły żadne sygnały z zewnątrz. Rytm dnia i nocy wyznaczały jedynie słabo wyczuwalne drgania ścian, spowodowane przejazdem pierwszych tramwajów. Po tym się orientowała, że jest piąta rano – to była zwyczajowa pora, o której miejska komunikacja budziła się do życia. Na wieczór wskazywało podanie posiłku; dostawała miskę zupy, obowiązkowo bez łyżki. Taki

posiłek nie wystarczał na długo, więc do bólu całego ciała, przeraźliwego poczucia zimna, które poskutkowało nawrotem odmrożeń ud, których się nabawiła pierwszej wojennej zimy, doszedł jeszcze głód, odbierający wolę walki.

Raz dziennie wywlekano ją na zewnątrz, by mogła skorzystać z toalety. Celebrowała te chwile ponad miarę, testując cierpliwość strażników, ale możliwość rozprostowania kości była silniejsza. Krótki oddech, jaki zapewniała w ten sposób obolałym mięśniom, musiał przecież wystarczyć na resztę doby, więc ani myślała się spieszyć. Kiedy prowadzono ją korytarzem, przez uchylone w drzwiach judasze koleżanki próbowały ją pokrzepić, wlać trochę otuchy. Halina przyjmowała te zabiegi z wdzięcznością, jako wyraz solidarności i sympatii, ale nie potrzebowała ich. Była żołnierzem Armii Krajowej, pogodziła się z losem już dawno, a pobyt w ciemnicy z każdym dniem odbierała jako naturalną kolej rzeczy. Zasłużyła na to Hamburgiem, Berlinem i wszystkim tym, co się składało na jej wojenną drogę.

– Halina, trzymaj się! – Kiedy słyszała zza mijanych drzwi takie pozdrowienia, wiedziała, że po prostu musi się trzymać chociażby po to, by wszystkim tym kobietom dodać wiary. I może jeszcze udowodnić coś Niemcom.

Dlatego do swojego wokalnego repertuaru każdego dnia włączała coraz to nową żołnierską lub harcerską pieśń. Grube betonowe ściany *Dunkelzelle* rezonowały kozacką dumką, poezją Słowackiego albo cichą modlitwą, kiedy tego potrzebowała.

Po dwunastu dniach wróciła do reszty dziewczyn, przerażająco brudna, wyczerpana i głodna. Ale też szczęśliwa. Nie złamali jej, choć co kilka dni zaglądał do niej Tamm lub Boettcher, zadając kontrolne pytanie o akcje węgierskiego wywiadu, „Jacka II” albo adres komórki w którymś z miast odwiedzonych przez nią w ciągu ostatnich lat. Musieli jednak zdać sobie sprawę, że tym działaniem nic nie osiągną. Naczelnik więzienia też musiał mieć w tym swój udział, przecież jej postawa, niezłomna i pełna godności, budowała resztę osadzonych tu kobiet.

Halina wyrastała na cichą bohaterkę, a na to nie mogło być przyzwolenia.

Po powrocie na stare miejsce wyczuła pewną zmianę w zachowaniu koleżanek. Więźniarki zajęły się nią pieczołowicie, pielęgnując ją i pomagając odzyskać siły, ale kilka razy złapała je na tym, że uciekają wzrokiem, może nawet naradzają się w tajemnicy przed nią. Chciała to zignorować, ale przecież o ich sile decydowała wspólnota niedoli, musiały tworzyć jedność. Postanowiła to wyjaśnić.

– O co chodzi? – zapytała wprost. – Mówcie, co przede mną kryjecie.

Spojrzały spłoszone po sobie, ale żadna nie odezwała się słowem.

– Dziewczyny, przecież widzę, że coś jest nie tak!

– Halinko, kiedy byłaś w ciemnicy, twoją mamę zabrali do transportu – zebrała się na odwagę Zofia. – Bardzo nam przykro, nie wiedziałyśmy, jak to przyjmiesz i chciałyśmy poczekać z tą nowiną kilka dni.

– Kiedy? – Włożyła dużo starań, by nie dać po sobie poznać, jaki ta wiadomość sprawiła jej ból.

– To będzie już z tydzień, kochana. – Barbara ujęła jej dłoń i delikatnie pogłaskała. – Wzięli ją z innymi, dostała przydział do Ravensbrück.

– Tak jak obiecali.

– Nie martw się, wróci, zanim się obejrzymy – pocieszała Jadwiga. – Da sobie radę, to przecież nie dziecko.

– A może te hitlerowskie świny chcą cię w ten sposób zmusić do współpracy? – zgadywała Balbina. – To przecież stary numer, całymi rodzinami nas aresztują.

Halina odpłynęła myślami, a jej towarzyszki nie wracały już do tematu, wychodząc z założenia, że każda rana – duża czy mała – musi się w końcu zabliznić.

Mijały dni, a nowych wieści o Mariannie nie było. Kłębówna wyrzucała sobie, że cierpienie jej matki jest wynikiem jej działania. Ona,

jako żołnierz, przyjmowała to bez zająknięcia, ale dlaczego ma to spotykać niewinną kobietę?

Zamknęła się w sobie i z mniejszą ochotą uczestniczyła w życiu ich małej więziennej rodziny. Ta z kolei powiększyła się o nowe lokatorki, bo do celi dokwaterowano Rosjankę, oskarżoną o udzielenie pomocy radzieckiemu oficerowi, uciekinierowi z obozu. Halina dość szybko rozpoznała w niej osobę wykształconą i nie myliła się – Wiera ukończyła romanistykę na Uniwersytecie Warszawskim.

– Moja rodzina ma korzenie arystokratyczne, więc nie mieliśmy wyjścia i przed rewolucją uciekliśmy do Polski – opowiadała o swoim pochodzeniu. Niemcy określali takich jak ona mianem *Weißrussen*.

Halina starała się rozmawiać z nią jak najwięcej po rosyjsku. Był to sposób na zabicie czasu i oderwanie myśli od codziennych trosk. Ale przyniósł też niespodziewany efekt.

– Jesteś komunistką? – zapytał na jednym z przesłuchań Boettcher.

Rozmowa w zasadzie dobiegała już końca, wałkowali w kółko to samo, Kłęb nie przekazała żadnych nowych informacji. Na koniec zwyczajowo dostała protokół do podpisania i właśnie zamierzała to zrobić.

– Nie rozumiem? – odpowiedziała zaskoczona. – Nie miałam żadnych kontaktów ze środowiskiem komunistycznym. Ani teraz, ani przed wojną.

– Wiemy, że mówisz po rosyjsku, nie kłam nas więcej! – Ta przestroga w ustach gestapowca brzmiała jak zapowiedź najgorszych katuszy. – Po co uczyłaś się tego języka?

Halina błyskawicznie przeanalizowała ostatnie tygodnie. Wiera była jedną z nowych osadzonych, ale razem z nią do celi trafiła też młodzieńca Margit Schmalera. Mówiła świetnie po polsku i z każdą z osadzonych chciała się zaprzyjaźnić. Już na samym początku Halina nabrała podejrzeń. Z nikim w celi do tej pory nie rozmawiała o swojej działalności, zdając sobie sprawę, że ściany mają uszy. Po prostu uznała,

że tak będzie bezpieczniej. Każda z osadzonych szanowała to – mówiono tu tylko to, co mogło zostać powiedziane na głos. Kiedy więc ta nowa, Marga, bo tak chciała, by na nią wołano, niemal przykleiła się do niej, ciągnąc za język i napraszając o zwierzenia, Halinie zapaliło się czerwone światło. „A skoro tak, to pewnie ten niemiecki szpicel, nie mogąc pochwalić się niczym więcej, zrobił ze mnie komunistkę” – pomyślała.

– Uczyłam się łaciny, francuskiego, niemieckiego i owszem, rosyjskiego też – powiedziała zgodnie z prawdą. – Zajmowałam się nie polityką, a nauką!

– Kłamiesz! – wydarł się Tamm. – Znowu prosisz się o guza! Chcesz wrócić do ciemnicy?

„A co mi tam, drugiej kary śmierci mi przecież nie zasądzą” – Halina podjęła decyzję i znów spojrzała na protokół z przesłuchania. Ostatnie zapisane zdanie określało ją jako komunistkę zaangażowaną w działalność ruchu robotniczego. „Panie Boże, Andreasie, Gertrudo, Emmo i wszyscy inni, wybaczcie” – rzekła w duchu i złożyła podpis pod dokumentem. Jeden zarzut więcej nie będzie miał wpływu na jej życie ani zasądzony wyrok.

Boettcher starannym ruchem wygładził kartkę i umieścił ją w teczce z aktami śledztwa. Była już całkiem gruba i z pewnością trzymali w niej jeszcze kilka niespodzianek.

– Możesz wracać na Gdańską – podsumował Tamm i podniósł się zza biurka. Ruszył w stronę wyjścia, po chwili jednak zatrzymał się i spojrzał na zegarek. – Chociaż nie, jest jeszcze wcześnie.

– Myślisz o małej wycieczce? – zagadnął jego kamrat. – Pogoda w sam raz na przejażdżkę.

– Ruszaj się, szmato! – Jan Tamm pchnął ją w kierunku drzwi. – Obejrzymy twoje stare śmieci.

Halina była pewna, że zabiorą ją do mieszkania przy ulicy Sienkiewicza, tam gdzie zostały z matką aresztowane. Samochód jednak

kierował się w stronę wyjazdu z miasta, jechali ulicą Pabianicką, później skręcili na Łask. Przez odkryty dach wojskowego auta wpadało słońce, Kłab siedziała w asyście dwóch gestapowców i dwóch umundurowanych żołnierzy. Starła się nie myśleć o tym towarzystwie, napawając oczy błękitem nieba. Tego widoku bardzo jej brakowało w więzieniu.

– Postaraj się nam pomóc – zwrócił się do niej Boettcher. – Szukamy miejsc kontaktowych waszej organizacji sprzed dwóch, trzech lat. Pojedziemy na Zduńską Wolę, jeździłaś tam z Kalisza, prawda?

Potwierdziła. Co teraz? Siedziała jak sparaliżowana, bo jeszcze chwilę temu wydawało jej się, że wykpi się lipnym przyznaniem do sympatii komunistycznych. Ale teraz wiedziała już, że oni chcą więcej. Przecież nie może wskazać im żadnego adresu, nie wsypie nikogo! A wtedy oni cały swój gniew skierują na nią! Myśli gorączkowo przebiegały jej przez głowę, ale żadna z nich nie niosła ze sobą nawet cienia rozwiązania fatalnej sytuacji, w której się znajdowała. W końcu, widząc, że zbliżali się do mostu, postanowiła działać. Zerwała się z miejsca z zamiarem rzucenia się na kierowcę. Miała nadzieję, że ten straci panowanie nad samochodem i spadną do wody. A wtedy – szansa pół na pół. Przeżyje albo nie. Warto spróbować.

– Uważaj, Fryderyk! – wrzasnął Tamm, siedzący dalej od niej. Musiał bacznie ją obserwować i jakimś cudem domyślił się zamiarów.

Lekko senny z powodu żaru lejącego się z nieba Boettcher otworzył szeroko oczy i w ułamku sekundy pojął, co się dzieje. Musiała przyznać, że nie doceniła tych dwóch. Mieli świetny refleks i działali jak znakomicie dostrojona maszyna. A może to ona po tych tygodniach w więzieniu daleka była od formy, w której takie ekscesy mają szansę powodzenia? Zanim na dobre zdążyła się unieść i skoczyć, już siedziała z powrotem, tym razem w mocnym uścisku swych oprawców.

– Nie rób żadnych głupstw, rozumiesz? – Padło ostrzeżenie, z którym nie miała nawet zamiaru dyskutować. Przegrała. – Żadnych, kurwa, głupstw!



Tego dnia przejechali przez Zduńską Wolę, Sieradz i Wieluń. W żadnym z tych miejsc nie miała im nic do powiedzenia. Milczała, gotując się na to, co ją spotka po powrocie albo jeszcze tu, po drodze.

Wyjeżdżali z Wielunia późnym popołudniem. W samochodzie nikt się nie odzywał, ale kiedy mijali przydrożny zajazd i Tamm spojrzął pytająco na Boettchera, ten drugi z aprobatą skinął głową.

– Zjedź tu, Gustaw – zwrócił się do kierowcy. – Trzeba coś zjeść i chwilę odpocząć.

Zajęli miejsca w sali gościnnej, kaząc karczmarzowi podać Halinie obiad w pokoiku obok. Było tam tylko małe okienko pod sufitem, bez szans, że zdołałaby się przez nie wydostać. Kłęb podziękowała, zdumiona niespotykaną gościnnością funkcjonariuszy Gestapo. To był pierwszy normalny, a nie więzienny posiłek od wielu miesięcy.

– Przypieczętowałaś dziś swój wyrok śmierci – odezwał się Boettcher.  
– Zjedz sobie zatem ostatni w życiu normalny obiad.

Halina opadła na długą drewnianą ławę i spojrzała na parujący talerz. Danie wyglądało smakowicie. Jeśli to ma być jej ostatni posiłek, to niech tak będzie.

# Rozdział 12

*O ile sytuacja frontowa będzie tego wymagać, to należy we właściwym czasie poczynić kroki do całkowitej likwidacji więźniów. Przy zaskakującym rozwoju sytuacji, która uniemożliwi przetransportowanie więźniów, to więźniów zlikwidować, przy czym rozstrzelani muszą być według możliwości usunięci (spalić, wysadzić budynki itp.). W podobny sposób postąpić z Żydami [...]. W żadnym wypadku nie należy dopuścić, aby więźniowie w więzieniach lub Żydzi byli uwolnieni przez przeciwnika<sup>68</sup>.*

<sup>68</sup> Z opisu policyjnego więzienia na Radogoszczu, [https://pl.wikipedia.org/wiki/Radogoszcz\\_\(wi%C4%99zienie\)#cite\\_ref-Wi%C4%99zienie355\\_31-0](https://pl.wikipedia.org/wiki/Radogoszcz_(wi%C4%99zienie)#cite_ref-Wi%C4%99zienie355_31-0) [dostęp: 17.11.2022].

## Fragment policyjnego opisu więzienia na Radogoszczu

*Ja zaś bezpośrednio po wprowadzeniu na pustą salę upadłem na podłogę i na mnie upadły trupy kolegów. Niemcy po strzelaniu wchodzili na cele i dobijali jeszcze żywych więźniów.*

Ze wspomnień Franciszka Brzozowskiego, więźnia łódzkiego Radogoszcza,  
17/18 stycznia 1945 roku

*W niedzielę o godzinie 7 rano u wylotu Alei Pułaskiego w kierunku na Winogrody odbędzie się publiczna egzekucja kata Wielkopolski Artura Greisera. Dziś o godz. 18-ej Greiser zostanie powiadomiony o odrzuceniu przez Prezydenta K.R.N. jego prośby o ulaskawienie i o terminie wykonania wyroku. Wstęp na miejsce egzekucji dostępny jest dla każdego. Wzywamy jednak społeczeństwo do zachowania należytej powagi i wstrzymania się od wszelkich demonstracji swych uczuć w stosunku do zbrodniarza. Nie należy również przyprowadzać na miejsce stracenia dzieci i młodzieży. Egzekucja będzie filmowana. Prócz przedstawicieli prasy polskiej, obecni również będą korespondenci pism zagranicznych<sup>69</sup>.*

<sup>69</sup> Cyt. za: <https://histmag.org/Egzekucja-Arthura-Greisera-namiestnika-Kraju-Warty-19804> [dostęp: 17.11.2022].

„Głos Wielkopolski” z 20 lipca 1945 roku

Styczeń miał już połowę za sobą, od kilku dni słychać było ostrzał artyleryjski. Docierał całkiem wyraźnie nawet tu, do centrum Litzmannstadt, wdzierał się do zimnych cel więzienia i budził nadzieję. Bombardowania i armatnie strzały potwierdzały opowieści kobiet przeniesionych ostatnio na Danzigerstrasse 13 z kilku więzień położonych pod Warszawą – w pierwszych dniach nowego roku Armia Czerwona już tam była, posuwając się z każdym dniem, kilometr po kilometrze. Teraz walki musiały się toczyć gdzieś naprawdę blisko, co natychmiast przełożyło się na atmosferę w więzieniu. Mówiono

o spodziewanej wywóźce głęboko na zachód. Nie brakowało głosów, że Niemcom nie będzie się opłacało zabierać ich wszystkich ze sobą, a wtedy...

Rwetes na korytarzu postawił je wszystkie na nogi. Była noc, ale żadna z kobiet nawet nie myślała o śnie.

– Co się dzieje? – pytanie w imieniu ich wszystkich zadała najstarsza z celi, zgarbiona i pomarszczona Maria. Miała za sobą kilka przesłuchań, ale do tej pory Gestapo obchodziło się z nią w miarę lekko. Nie postawili jej poważnych zarzutów, mimo to kobieta przeżywała mocno sytuację, w której się znalazła.

– Coś mi mówi, że nic dobrego – odparła Teresa. – No już, dziewczyny, bądźcie gotowe.

„Na co?” – chciała zapytać Halina, ale w tym momencie drzwi się otworzyły i jedna z wachmanek z długiej listy odczytała trzy nazwiska, każąc wymienionym kobietom wyjść na zewnątrz.

– Halina Klomb, Maria Kostrzewa, Balbina Sierpińska. – Głos Niemki był ochryply, ale nie było w nim zwyczajowej ordynarnej nuty. Może nawet wprawne ucho wyłapałoby w nim nutę współczucia?

– O Boże... – Maria nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Spojrzała przerażona na Halinę i zrezygnowana wyszła z celi.

Dwie pozostałe więźniarki ruszyły za nią.

– Zostaw to! – rzuciła jeszcze w stronę Balbiny strażniczka, widząc, że ta zabiera ze sobą jakieś klamoty. – Nie będą ci potrzebne.

Korytarz powoli się zapełniał, z sąsiednich cel również wywołano część osadzonych. Czy to ta chwila, do której przygotowywała się przez osiem miesięcy? Tak po prostu je zabiją? Spędzono je wszystkie do przedsionka przy biurze komendanta. Halina doliczyła się ponad pięćdziesięciu kobiet.

– Dlaczego pani płacze? – zapytała Marię, widząc, że ta wciąż szlocha, ocierając rękawem łzy.

– Jeszcze pytasz? – W głosie kobiety nie było wyrzutu, tylko rezygnacja. – Płaczę, bo ty jesteś z nami, a to chyba wystarczająca wskazówka.

– Pani Mario, niech się pani uspokoi... – Starła się wlać w serce towarzyski trochę otuchy. – Mam wyrok śmierci, to prawda, ale... – Trudno było znaleźć rzeczowy argument w tej dyskusji, mimo tego Halina nie rezygnowała. – Widzi pani ten tłum? Pięćdziesiąt sześć osób, przecież nie zabiją takiej grupy!

– Tego nie możesz wiedzieć... – zawahała się Maria.

– Mówię pani, że to ewakuacja, przecież Rosjanie są tuż, tuż!

Rozmowę przerwało im zamieszanie przed gabinetem komendanta. Na jego rozkaz podzielono kobiety na dwie grupy i pierwszą zapakowano do samochodu. Maria z Balbiną trafiły właśnie do niej, Halina z pozostałymi miały czekać na powrót więźniarki i ruszyć w drugim kursie. Stały więc oparte o ścianę, żadna z nich nie miała ochoty na rozmowę. Większość kobiet robiła w duchu szybki rachunek sumienia. Te, które jeszcze niedawno liczyły na transport w głąb Niemiec, teraz powoli traciły nadzieję na korzystny rozwój wypadków. Śmierć zaglądała wszystkim głęboko w oczy.

Po jakichś dwóch godzinach, może nawet trzech, kobiety wróciły, witane pytającymi spojrzeniami oczekujących towarzyszek. Niemieccy strażnicy zakazali rozmów, tłum karnie ucichł i czekał na dalsze dyspozycje. W gabinecie komendanta trwała gorączkowa narada, widać było, że jeśli był jakiś plan, to ewidentnie spalił na panewce. Co teraz?

– Wracać do cel! *Schneller*<sup>70</sup>! – zakomenderował jeden ze strażników, wychodząc po kwadransie z pokoju szefa. Halina kojarzyła go z widzenia, był cywilem, zmobilizowano go całkiem niedawno, z *Volkssturmu*. Niemiec obrzucił wzrokiem tłumek kobiet i po chwili dodał jeszcze nieco ciszej, jakby mówił do siebie: – Bogu dziękujcie, że tak się stało.

<sup>70</sup> niem. Szybciej!

W celi otoczyła je reszta kobiet, spragniona informacji. Niewiele było do opowiedzenia, ale krótką relację zdała Balbina:

– Jechaliśmy w kierunku Zgierza, tam gdzie przed wojną stała fabryka Abbego. Chcieli nas chyba przewieźć do więzienia na Radogoszczu, ale zatrzymało nas niemieckie wojsko. Jakiś oficer zbeształ naszych konwojentów, mówiąc, że to nie pora wozić więźniarki pod front.

– Tak powiedział? – przerwała któraś z dziewczyn. – Ruskie są już pod Zgierzem?

– Musi być, że to prawda, bo kazali nam wysiadać i zabrali auto – dokończyła Balbina.

– Wróciliśmy na piechotę – poskarżyła się jeszcze Maria. – Ledwo żyję!

– Ale żyjesz, babciu, to najważniejsze! – Teresa wzruszyła ramionami, ciesząc się, że znów cela jest w komplecie. – Do świtu jeszcze trochę, może spróbujemy przespać resztę nocy? Bóg wie, co nas czeka za dnia.

Kobiety posłusznie zajęły miejsca, moszcząc się, gdzie kto mógł. Miejsce na sienniku odstąpiono strudzonej wyczerpującym marszem Marii, reszta pokładła się pokotem, jak zawsze, na surowych deskach. O spaniu nie było jednak mowy.

– Dziewczyny, tam się stało coś strasznego – odezwała się cicho Balbina. – Ja coś widziałam...

– O czym ty mówisz?

– Na niebie szła łuna od strony więzienia na Radogoszczu. – Sierpińska mówiła cicho, ale jej szept było słychać całkiem wyraźnie. Powoli docierała do nich groza tych słów. – Oni podpalili więzienie, tam byli nasi chłopcy!

– Nie, to niemożliwe – zaprotestowała któraś słabo. – Musiało ci się przewidzieć.

– Wierzcie, nie wierzcie, mówię, co widziałam – powiedziała głucho Balbina. – Miałyśmy dziś zginąć.

\*\*\*

17 stycznia przywitał je krzykami wachmanów. Niemiecka obsada więzienna wściekała się, że Gestapo zostawiło im na głowach problem do rozwiązania, pozbawiając narzędzi i stawiając pod ścianą. Czasu brakowało nawet na spakowanie dokumentów, a tu jeszcze kilkaset kobiet czekało na dopełnienie ich losu. Koło szesnastej komendant polecił wywołać z cel więźniarki z białymi trójkątami. Ponad setka kobiet z mniejszymi wyrokami czekała w napięciu.

– Spakować swój dobytek i jak najszybciej opuścić więzienie – padła komenda. – Wasz pobyt tutaj właśnie się zakończył!

W sercach pozostałych znów zakiełkowała nadzieja.

– Skoro je wypuszczają, to może i do nas uśmiechnie się szczęście?

Późnym wieczorem, gdzieś po dziewiętnastej, i na nie przyszedł czas. Około trzystu kobiet otrzymało polecenie sformowania szyku; czekała ich piesza ewakuacja.

– Wyruszamy na zachód – poinformował szef więzienia, około pięćdziesięcioletni *Reichsdeutsch* z Nadrenii.

Na szczupłej twarzy szatyna malował się strach, choć mocno próbował ukryć go przed więźniarkami. Halina napawała się tym widokiem, pierwszy raz od pobytu w Hamburgu widząc przerażenie na twarzy przedstawiciela rasy panów.

– Ewakuacja – mówił dalej urzędnik. – W Pabianicach będą na nas czekały podstawione wagony kolejowe, które przewiozą nas do Rzeszy. Kto spróbuje ucieczki, zostanie zastrzelony!

Ustawili je ósemkami i popędzili w kierunku Friesenplatz, dawnego placu Reymonta. Halina, jak i te z więźniarek, które mogły się pochwalić długim więziennym stażem, łapczywie wpatrywały się w mijane kwartały miasta. Łódź była wyludniona, okna kamienic zaciemnione, na ulicach stały porzucone dorożki. Tuż przed placem powstało zamieszanie, gdy przód pochodu się załamał, a część kobiet ruszyła biegiem w stronę przewróconych tramwajów.

– Teraz? – Barbara szarpnęła ramię Haliny, sugerując, że powinny skorzystać z okazji.

Jasne było, że nie tylko jej ucieczka chodziła po głowie całkiem na poważnie. Domyśliła się, że przyjaciółka ma taki sam pomysł.

– Nie, jeszcze nie, poczekajmy. – Kłębówna oszacowała szanse na uwolnienie. Szły na końcu kolumny, ale tuż za nimi objuczone ciężkimi walizkami maszerowały jeszcze żony strażników. Poza tym komendant więzienia jak na złość zajął miejsce tuż przy ich ósemce. Jakby miał za zadanie pilnować właśnie tych kobiet! – Trafi się coś lepszego!

Strażnicy, uzbrojeni w karabiny, ale i latarki, których długie snopy rozświetlały mrok, ruszyli za uciekinierkami i dość szybko przywrócili porządek. Kolumna mogła ewakuować się dalej.

– *Sind Sie Halina Klomb*<sup>71</sup>? – Usłyszała pytanie, po którym głos uwiązał jej w gardle.

<sup>71</sup> niem. Czy pani to Halina Klomb?

A więc jednak nie trafi się nic lepszego. Trzeba było postawić wszystko na jedną kartę i posłuchać Barbary! Komendant więzienia zrównał z nią krok i czekał na odpowiedź. Czy od niej zależało jej życie?

– *Sind Sie Halina Klomb?* – zapytał ponownie, a ona dopiero teraz się zorientowała, że użył grzecznościowej formuły, z którą z pewnością nie zwracałby się jeszcze kilka dni temu do żadnej Polki.

– *Ja, mein Name ist Halina Klomb* – odpowiedziała ostrożnie, wciąż nie mogąc pozbyć się wrażenia, że ten niemiecki urzędnik musi wypełnić ostatni rozkaz i po prostu wykonać wyrok śmierci, z którym żyła przez osiem miesięcy. A może pięć lat?

– Wie pani, bardzo pani współczuję – powiedział tymczasem Niemiec, nachylając się lekko w jej stronę. – Uważam, że te metody, jakimi posługiwało się nasze Gestapo, są nie do przyjęcia.

Halina złamała szyk, mimowolnie przystając po słowach, które padły. Szybko jednak nadrobiła stracone metry i wróciła na swoje miejsce. Nie

wiedziała, co odpowiedzieć, bo przecież – to spadło na nią nagle, jak objawienie – ten człowiek nie szukał u niej rozgrzeszenia. On chciał jej pomocy!

– Jak pani myśli, co mogą zrobić Rosjanie, jeśli się tutaj teraz pojawili? – Potwierdził jej przypuszczenia.

Halina uśmiechnęła się w duchu, coraz bardziej pewna, że ze strony tego człowieka nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

– Mówił pan do nas, że będziecie strzelać w razie prób ucieczki, czy tak? – Coraz swobodniej czuła się w tej sytuacji, rozmawiała z nim jak równy z równym i budowała ją jego wystraszona postawa.

– *Nein, nein!* – zaprzeczył zdecydowanie, wzmacniając siłę wypowiedzi zdecydowanym ruchem ręki. – To tylko tak na pokaz, po cichu wydałem rozkaz, by nie używać broni.

– Nie kłamie pan? – To pytanie było cudownie bezczelne, po tylu miesiącach pełnych upokorzeń Halina nie mogła sobie jednak odmówić tej przyjemności.

– Przecież widziała pani, że tam, przy tych przewróconych tramwajach, nie padł żaden strzał, więc... – Urwał na chwilę, unosząc głowę w kierunku czoła pochodu. – Zaraz, co tam się dzieje?

Ruszył przed siebie zważym krokiem, bo kolumna znów się rozsypała. Znajdowali się już na wylocie z miasta, droga była w tym miejscu wąska, a marsz utrudniały teraz przemieszczające się grupy niemieckich uchodźców. Więźniarki musiały ustępować im miejsca, a to zaburzało rytm pochodu.

– Podaj dalej! – Halina szarpnęła kobietę, która szła przed nią. – Nie będą do nas strzelać, boją się Ruskich!

Wiadomość lotem błyskawicy dotarła do pierwszego szeregu, ożywiając całe towarzystwo. Każda z kobiet szukała teraz sposobu, by odłączyć się od grupy. W oddali majaczyły już przedmieścia Pabianic, po obu stronach szosy pojawiały się pojedyncze domostwa. Część z nich



wyglądała na opuszczone, pewnie jeszcze kilka dni temu mieszkali w nich Niemcy.

– Teraz – szepnęła Barbara i pociągnęła Halinę za rękę.

Wpadły do piętrowego budynku i najciszej jak umiały, weszły schodami na strych. Przez moment nasłuchiwały, w skupieniu wypatrując poruszenia przy wejściu do kamieniczki.

– *Weiter! Vorwärts*<sup>72</sup>! – dobiegło z ulicy. Kolumna musiała ruszyć dalej, nikt nie zauważył ich zniknięcia. Strażnicy krzyczeli jak wcześniej. – *Los! Los*<sup>73</sup>!

<sup>72</sup> niem. Dalej! Do przodu!

<sup>73</sup> niem. Pospiesz się!

– Baśka...

– Halina...

Głosy obu kobiet łamały się ze wzruszenia.

– Jesteśmy wolne – powiedziała ostrożnie Halina Kłęb. – Basiu, jesteśmy wolne!

# Epilog

Czy wszystko, co istotne w moim życiu, musi się przydarzać właśnie wiosną?” – Halina zadała sobie to retoryczne pytanie chwilę po tym, jak do poznańskiej II Kliniki Chorób Wewnętrznych przybyła po nią dwójka umundurowanych żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego.

Profesor Jan Roguski, szef kliniki, załatwił jej kawałek etatu, ale nie o te śmiesznie małe pieniądze chodziło im obojgu, tylko o możliwość praktykowania i poszerzania wiedzy przez byłą studentkę. Nie tak dawno Halinie udało się skończyć studia medyczne, wyszła za mąż za Andrzeja Szwarca, młodego prawnika, i... lada dzień mieli zostać rodzicami.

Dlaczego przypomnieli sobie o niej właśnie teraz, kiedy wszystko zaczęło się wreszcie układać? Jakie to szczęście, że zdecydowała się właśnie na bycie lekarzem – jakby podświadomie czekała na ten moment, że kiedy przyjdą ją aresztować, będzie gotowa nieść fachową pomoc. W więzieniu albo w obozie, zależy, jaki w swej „łaskawości” los zgotuje jej władza ludowa.

– Pójdziecie z nami! – Komenda, która padła z ust przedstawiciela tejże władzy, zabrzmiała jak wyrok.

Halina z przekąsem pomyślała, że już to kiedyś słyszała. Od niemieckich oprawców tych dwóch młokosów różnił tylko kolor munduru i zamieszczone na nim emblematy. Nie miała do nich szacunku.

– Ale ja tu jestem sama. Bo chyba do niego zastrzeżeń jeszcze nie macie? – Wysiliła się na żart, wskazując ręką na brzuch, wyraźnie już wystający spod lekarskiego fartucha. Termin porodu był przecież lada dzień.

Koledzy Haliny, obserwujący tę scenę, przezornie wrócili do przerwanych zajęć, starając się widzieć i słyszeć jak najmniej. Był koniec kwietnia 1951 roku, za oknem budziła się przyroda. Pierwsza w tym roku fala zieleni rozlała się równie mocno, jak stalinowskie

represje, wymierzone w ludzi takich jak ona. Pechowców naznaczonych służbą w Armii Krajowej.

– Zaraz odechce wam się dowcipkować! – Żołnierz zgasił ją natychmiast, rzucając przy tym groźne spojrzenie. Był niewiele młodszy od niej, ale stało się jasne, że wydany mu rozkaz, jakkolwiek by brzmiał, wypełni bez gadania, a kobieta nie może liczyć na żadną taryfę ulgową.

Bez słowa zawieźli ją do ponurego budynku przy ulicy Kochanowskiego. Wielki gmach z piwnicami budził grozę, mieściła się tam siedziba Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Halina chyba podświadomie starała się omijać ten punkt na mapie miasta szerokim łukiem. Teraz trafiła tam wbrew swojej woli. Czy Andrzej będzie w stanie jakoś pomóc? Czy w ogóle ktoś go poinformuje, że ona tu jest? Jaki zarzut usłyszy?

Eskortujący ją żołnierz zameldował się w dyżurce, a potem wskazał jej karabinem drzwi do pomieszczenia na parterze. Weszła tam z bijącym sercem i skierowała się w stronę biurka. W środku nie było nikogo, więc stanęła przy krześle ustawionym dla petentów, takich jak ona. Poczuła, że zaschło jej w ustach. Mundurowi narzucili różne tempo, sprostanie szybkiemu marszowi w jej stanie nie było łatwe. Była zmęczona, dziecko kopało od kwadransa, zupełnie jakby zdenerwowanie matki udzieliło się maluchowi. Jedną ręką oparła się na krześle, drugą położyła na brzuchu, masując go delikatnie.

– Już dobrze, synku – powiedziała szeptem, chyba nawet uśmiechając się przy tym słabo. – To się zaraz skończy.

– A, jest już pani! – Drzwi otworzyły się powoli i do środka zajrzał mężczyzna około trzydziestki. – Proszę siadać, pani Halino, musimy porozmawiać.

Spodziewała się krzyku na powitanie, tymczasem funkcjonariusz, który zajął miejsce za biurkiem, sprawiał wrażenie łagodnego. Usiadła z wyraźną ulgą, załamując ręce w okolicy pępka.

– Nazywam się kapitan Janicki, przyjechałem w pani sprawie z Ministerstwa Bezpieczeństwa. – Ubek zaczął grzecznie, lekko pochylając głowę przy tej prezentacji. – Pani się nie musi przedstawiać, mam tu sporo informacji, niektóre całkiem, całkiem... interesujące – dokończył z przekąsem.

Milczała, czekając na to, co padnie za chwilę. Mężczyzna podniósł kontrolnie wzrok, obrzucił ją szybkim spojrzeniem i sięgnął do szuflady po teczkę. Ktoś wykaligrafował na niej *Halina Klomb*, nazwisko zajmowało centralne miejsce okładki. Dojrzała tam jeszcze rząd cyfr i chyba jakąś pieczętkę. Miała więc swoją kartotekę, nie zdziwiło jej to zupełnie.

– Pofatygowałem się tu, do Poznania, bo mamy z panią problem.

– Tak? A jaki?

Janicki puścił tę uwagę mimo uszu. Przez chwilę kartkował akta Haliny, być może zastanawiał się, jaką strategię przyjąć w rozmowie z kimś, kto podobnych przesłuchań przeszedł już kilka. Różnica była taka, że wcześniej prowadzono je po niemiecku.

– No dobrze, widzę, że jest pani w bojowym nastroju, ale w tym stanie to chyba nie jest wskazane, nieprawdaż? – zapytał spokojnie. – Pani się na schodach jeszcze gotowa poślizgnąć.

– To groźba, panie kapitanie?

– Panów to mieliście przed wojną, teraz mówimy „obywatelu kapitanie”. – Nawet nie spojrzał w jej kierunku, dalej zdawał się poświęcać całą uwagę notatkom w trzymanej teczce. – I nie, nie grozę pa... obywatelce, tylko staram się pomóc.

– To musi się obywatel kapitan bardziej postarać, bo jak na razie efekt jest oplakany. – Mówiąc to, z pewnością ryzykowała, że wytrąci go z równowagi. Przypomniała sobie inne pomieszczenie, z równie obskurnymi ścianami i zimną betonową podłogą. Tu brakowało tylko gramofonu.

– Ujawniłaś się w październiku czterdziestego piątego roku.

„Więc już nie jestem panią i nawet nie obywatelką” – odnotowała zmianę w podejściu mężczyzny. Ten wreszcie podniósł na nią wzrok.

– Zgadza się?

– Wykorzystałam amnestię dla byłych akowców, to musi być w tych dokumentach.

– Rzeczywiście, tak tu napisali – potwierdził. – Karta weryfikacyjna 273/202. Ale jest coś jeszcze, coś bardziej interesującego...

Wzruszyła ramionami. Bóg wie, kto i co wypisał na jej temat; jeśli Gestapo potrafiło zwerbować sobie szpicli w czasie wojny, to i bezpieka mogła to zrobić w czasach pokoju.

– Razem z matką... Marianną Kłęb... – Janicki wskazał palcem odpowiednią linijkę w papierach. – ...podpisałyście volkslistę, i to zaraz na początku okupacji!

– To żadna rewelacja i nic, czego musiałabym się dzisiaj wstydzić! – Halina lekko uniosła głos. Chciała stąd iść, mały znów zaczął swoje tańce. I coraz bardziej chciało jej się pić. – Zrobiłam to, bo taki dostałam rozkaz od swoich dowódców.

– Dowódców? – podłapał Janicki. – Czyli to AK zrobiła z ciebie niemiecką szmatę?

– Jak pan śmie!

– Wystarczy jedno pieprzone nazwisko i wrócisz do domu, do męża! – kusił. – No już! Wiemy, że utrzymujesz kontakty z dawnymi kolegami!

Przesunął w jej stronę ołówek, w ślad za nim podążyła też kartka. Halina utkwiała wzrok w białej plamie, zastanawiając się, jakiego rodzaju wyznanie satysfakcjonowałyby tego człowieka. Może po prostu napisze tam swoje imię i nazwisko, a oni dodadzą resztę? I skończy się to wszystko?

– To wcale nie musi tak wyglądać. – Kapitan UB czytał z niej jak z otwartej książki. – Masz pracę, podoba ci się przecież w klinice. Ale

byli akowcy nie mogą mieć kontaktu z młodzieżą akademicką, więc w zasadzie już do niej nie wrócisz, chyba że...

– Co ja wam zawiniłam? Dlaczego mi to robicie?

– A może potrzebujesz trochę czasu do namysłu? – Mężczyzna zignorował jej pytania. – Może chcesz to z kimś przedyskutować? Może odłożymy tę rozmowę na kilka dni? Kiedy ty właściwie powinnaś rodzić?

– Za dwa tygodnie – odpowiedziała machinalnie, czując, że coś ścisną ją w środku.

Strach – tylko to czuła w tym momencie. Nie o siebie, o dziecko. Przecież jedna groźba już w tej rozmowie padła.

– Za dwa tygodnie? – powtórzył Janicki i zamyślił się na chwilę. – Nie, to nie ma sensu, nie będę się tu tłukł z ministerstwa drugi raz. Bierz ten pieprzony ołówek i pisz, akowska kurwo, z kim się spotykasz. Nazwiska, adresy. Już, szybko!

„Niemiecka kurwo?” – spojrzała na niego z niemym wyrzutem. Sześć lat temu młodszy od niego przelewali krew, by dziś ta rozmowa mogła być prowadzona po polsku. Gdzie on wtedy był? Coś w niej pękło. Pomyślała, że jeśli to wszystko ma mieć jakiś sens, jeśli to, co widziała i w czym dopomogła tam, w Hamburgu, ma mieć jakąś cenę, to musi się skończyć tu i teraz.

– Szpiegujesz dla Anglików?! – drążył tymczasem funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Odsunęła kartkę i ołówek. Przypomniała sobie postawę swojej matki, wtedy, po aresztowaniu w Łodzi, kiedy dumna i wyprostowana odchodziła korytarzem w siedzibie Gestapo przy Anstadta. Poprawiła się na krześle i patrzyła teraz Janickiemu prosto w oczy.

– Za dwa tygodnie urodzę syna, a kiedy on dorośnie, da Bóg, że po was nie będzie już śladu. Nie zastraszysz mnie, obywatelu kapitanie, nie tacy próbowali. I wiesz co, chłopcze? Niemcy też mnie straszili, bili

i nawet skazali na śmierć. Metody macie podobne, nie różnicie się za bardzo, ale oni przynajmniej nie żalowali kobiecie wody do picia.

Ubek patrzył na nią z otwartymi ustami. Nie był kompletnym idiotą, wiedział, że to starcie przegrał z kretelem. Potrzebował jednak kilku sekund na przetrwanie tego, co usłyszał. W końcu poderwał się z krzesła i biorąc spory zamach, uderzył ją w twarz. Siła ciosu strąciła ją na podłogę. Instynktownie starała się przyjąć taką pozycję, by chronić płód. Znów leżała na betonowej posadzce, najwyraźniej to prawda, że historia lubi się powtarzać.

Podniosła głowę i poszukała jego wzroku.

– I buty mieli wypastowane na glanc – dodała na tyle głośno, na ile pozwoliła obolała szczęka. – Ale poza tym naprawdę nie widzę między wami różnicy.

# Od autorów

Nasi wierni Czytelnicy, śledząc zapowiedzi wydawnicze, mogli w pewnym momencie poczuć się zdezorientowani – przecież do tej pory pisaliśmy o miłości, a tu nagle... proponujemy powieść z obszernym tłem historycznym. Mało tego, nasza nowa książka to nie zmyślane perypetie papierowych bohaterów, typowe dla tradycyjnej literatury obyczajowej, a fabularyzowana, krwista opowieść o losach prawdziwej dzielnej kobiety.

Mamy jednak nadzieję, że po lekturze *Czarnego motyla* nikt zaskoczony nie będzie – nadal piszemy o uczuciach, tym razem jedynie definiując je na nowo.

Nastoletnia Halina Kłęb zapewne inaczej wyobrażała sobie swoją młodość. Historia zdecydowała za nią, a my podążyliśmy tym śladem. Ruszyliśmy tropem wspaniałej dziewczyny, która z miłości do Polski odłożyła na bok inną miłość, stając się wytrawnym graczem na scenie działań militarnych i wywiadowczych w okupowanej przez Niemców Polsce i Europie.

Nie wiemy, na ile skutecznie Halina potrafiła oddzielić swoje pragnienia, potrzeby i tęsknoty od roli, którą przyjęła na rozkaz dowództwa Związku Walki Zbrojnej. W spisywanych przez lata wspomnieniach była oszczędna, bardzo skromna, wręcz wycofana. Próbowaliśmy między liniami jej pamiętnika znaleźć przestrzeń dla siebie, rozwinąć to, co ona sama potraktowała z reporterskim wręcz dystansem i ostrożnością. Staraliśmy się uciec przed lapidarną miejscami relacją uczestniczki niezwykle ważnych, wciągających wydarzeń historycznych i obudować jej świat naszymi emocjami, uzupełnić wyobrażonym sobie obrazem, wypełnić dźwiękiem.

*Czarny motyl* nie jest książką historyczną, niemniej główni bohaterowie znaleźli swoje miejsce w historii, a i my sami dokładaliśmy starań, by snuć opowieść w oparciu o zapiski kronikarzy II wojny światowej. Dyrektor Ziepułt, funkcjonariusze Tamm i Boettcher, Beno Vigro i wielu innych wymienionych na kartach tej powieści istnieli naprawdę. Prawdziwe były koleżanki Halinki z okresu przedwojennego, tak jak i Janek Stolzmann, kilkuletni genialny pianista, który – jak większość łódzkich Żydów – zginął w Litzmannstadt Getto lub któryś z obozów, będących stacjami docelowymi transportów odchodzących z *Verladebahnhof-Radegast*, koszmarne łódzkiego *Umschlagplatzu*. Naprawdę istniała też pani Awdyska, gospodyni Haliny z Kalisza, i dwóch jej synów, którym poświęciliśmy jedynie kilka zdań.

Dzisiaj wiemy, że Andreas Lukscha – przy którym mocniej musiało bić serce młodziutkiej Haliny – naprawdę nazywał się Waclaw Kałużniak i był niewiele od niej starszym studentem filologii polskiej warszawskiego uniwersytetu. Wspominając w swoim dzienniku podającego się na potrzeby konspiracji za Białorusina Lukschę, Halina Szwarz sugeruje, że ten mężczyzna zasługuje na „opisanie go lepszym piórem”, i żałuje, że nie zachowało się żadne zdjęcie Andreeasa. Te kilka zdań rozwiało nasze wątpliwości dotyczące tego, czy *Czarny motyl* będzie choć trochę książką o miłości. Odwiedzając miejsce upamiętniające śmierć Lukschy



i dziewięćdziesięciu dziewięciu innych osób rozstrzelanych przez Niemców w podłódzkim Zgierzu, od jakiegoś czasu zostawiamy tam kwiaty, jak zazwyczaj robi się przy mogile kogoś bliskiego.

Staruszka z Karlshorst nie jest wytworem naszej wyobraźni – istniała naprawdę i rzeczywiście nieraz utyskiwała na konsekwencje wojennych zapędów *Führera*. Ale na krytykowaniu decyzji wielkiego wodza się nie skończyło, ponieważ kobietę przesłuchiwało również Gestapo pod kątem znajomości z wynajmującą od niej pokój Haliną Klomb. Podczas przesłuchań kobieta nie powiedziała nic, co mogłoby obciążyć naszą bohaterkę, więcej – gdy Halina po dłuższym czasie pojawiła się ponownie w mieszkaniu małżeństwa z Karlshorst, gospodyni przestrzegła ją przed Gestapo, zamiast natychmiast na nią donieść... Byli więc wśród nadludzi i ludzie. Stąd jej obecność na kartach tej powieści.

Niektórych bohaterów musieliśmy natomiast powołać do życia, tak by fabuła pozostawała czytelna – działo się tak jednak zawsze bez uszczerbku dla historycznej poprawności. Daty, miejsca, istotne zdarzenia mają swoje pokrycie w podręcznikach – wojenne peregrynacje młodziutkiej Haliny nie wymagały od nas koloryzowania tekstu. Jej życiorys obfitował w wydarzenia, którymi obdzielić można by kilka osób. Halina dzielnie poradziła sobie sama.

Postawiliśmy kropkę w tej historii w momencie, w którym nasza bohaterka odzyskuje wolność po blisko roku spędzonym w hitlerowskiej niewoli. Cudowne to było ocalenie; ona nie mogła o tym wiedzieć, nie miała przecież tych informacji, którymi dysponujemy obecnie. Nie wiedziała zatem, że Niemcy wiozą ją i pozostałe kobiety osadzone w więzieniu przy ulicy Gdańskiej na Radogoszcz, by tam podzieliły los mężczyzn uwieczonych w byłej fabryce Abbego. By dołączyły do tysiąca dwustu ofiar nazistów, rozstrzelanych lub spalonych żywcem tej pamiętnej nocy z 17 na 18 stycznia 1945 roku. Ocalenie więźniarek z Danzigerstrasse 13 musimy nazwać cudem.

Ale to dopiero rok 1945, a epopeja Haliny ani myśli się zakończyć. Sygnalizujemy to w epilogu, zostawiając sobie furtkę, łącznik z tym, czego ta dzielna kobieta dokonała w powojennym, dorosłym życiu. Walka o siebie, swoją rodzinę i wreszcie ukoronowanie pracy zawodowej Haliny Szwarz w postaci obudzenia prawdziwego fenomenu – ogólnopolskiego ruchu Uniwersytetów Trzeciego Wieku. Tak, to ona w 1975 roku powołała do życia pierwszy w Polsce, a trzeci na świecie (po Francji i Kanadzie) uniwersytet aktywizujący seniorów. Dzisiaj są ich w naszym kraju setki, dlatego przygotowując *Czarnego motyla* do publikacji, z prośbą o wykonanie fotografii do naszych notek biograficznych zwróciliśmy się właśnie do słuchaczy jednego z nich. Zdjęcia autorów zrobili słuchacze UTW z Bełchatowa. Traktujemy to jak most, który symbolicznie prowadzi nas do świata Haliny Szwarz. Data premiery też nie jest przypadkowa, w maju tego roku przypada setna rocznica jej urodzin.

Niewykluczone, że za jakiś czas, zaprosimy cię, Drogi Czytelniku, na kolejne spotkanie z tą niezwykłą postacią.

Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania tej powieści, serdecznie dziękujemy. Są w tym gronie historycy, jak kierownik Katedry Historii Polski i Świata po 1945 roku na Uniwersytecie Łódzkim, profesor Krzysztof Lesiakowski, który wspomógł nas trudno osiągalnymi informacjami na temat Wincentego Kłaba, czy dr Sylwia Wielichowska z łódzkiego Muzeum Tradycji Niepodległościowych, skarbnica wiedzy o kobiecych twarzach niepodległości i „matka chrzestna” wydanego na początku roku przez MTN komiksu o naszej bohaterce. Tak, historię Haliny można opowiadać obrazkami!

Często też spotykaliśmy się z bezinteresowną pomocą osób, które o Halinie Szwarz dowiadywały się od nas, ale ich wiedza pozwoliła nam stworzyć ciekawsze tło, namalować kontekst opowieści – tu podziękowania kierujemy do Aleksandra Kobyłki z Polskiej Spółki Gazownictwa, za jego śledztwo w sprawie dat zgazyfikowania przedwojennej Łodzi. Wiele ciekawych informacji o okupowanym Kaliszu przekazała nam Halina Marcinkowska, działaczka społeczności żydowskiej, honorowy przewodnik Miasta Kalisza – z tych historii mogłaby zapewne powstać kolejna powieść.

Szerszej uwadze Czytelnika polecamy książki, z których korzystaliśmy, zbierając materiał do *Czarnego motyla*. To, oczywiście, pamiętnik samej Haliny Szwarz – *Wspomnienia z pracy w wywiadzie antyhitlerowskim ZWZ-AK* (Wydawnictwo Neriton, Warszawa 1999) oraz wydane drukiem i uzupełnione sugestywnym radiowym słuchowiskiem wspomnienia jej towarzyszkii z łódzkiego więzienia, Barbary Cygańskiej-Wiland – *Danzigerstrasse 13* (Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi, 2006). Okazałym i kompetentnym przeglądem wydarzeń z czasów wojny okazała się książka Andrzeja Rukowieckiego – *Łódź 1939–1945. Kronika okupacji* (Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012).

Wielką sympatią do pomysłu wydania fabularyzowanej historii Haliny Szwarz zapalały twórczynie Wydawnictwa FLOW – Magdalena Witkiewicz i Anna Seweryn. W ten sposób nasza pierwsza wydana wspólnymi siłami powieść mogła trafić do Czytelników; Aniu, Magdo – dziękujemy za wsparcie i zaufanie.

Czytelniku, żegnając się na jakiś czas, sygnalizujemy, że pod koniec 2023 roku znów trzymać będziesz w rękach nową powieść od naszego literackiego duetu! Właśnie nad nią pracujemy, ponownie – tym razem jedynie lekko – dotykając historii z czasów wojennych. I znów bierzemy pod lupę wydarzenia, które naprawdę miały miejsce. Ale tym razem miłość będzie już „na całego”, bo przecież prawdziwe uczucie nic nie robi sobie z okoliczności, czasu czy miejsca.

Szykujemy gwiazdkowy prezent! Warto czekać.

[www.liszewska-kornacki.pl](http://www.liszewska-kornacki.pl)

# Od wydawcy

Kochana Czytelniczko, Kochany Czytelniku!

Przed Wami (a może za Wami) kolejna świetna książka wydana przez Wydawnictwo FLOW. Tym razem o silnej kobiecie. Kobiecie, o której powinien usłyszeć świat. Ale zanim przejdziemy do bohaterki, słów kilka o autorskim duecie...

Lidię Liszewską i Roberta Kornackiego Magda poznała już jakiś czas temu, czytając ich nadmorskie romanse. Była zachwycona lekkością pióra i subtelnością języka, które cechowały te powieści. Tym bardziej się ucieszyła, kiedy któregoś dnia autorzy odezwali się do niej i zaproponowali współpracę z FLOW. Takim propozycjom się nie odmawia!

Tym razem autorzy romansów chcieli odejść nieco od tego, do czego przyzwyczaili swoich czytelników. Pragnęli opowiedzieć o łodziance, Halinie Kłęb-Szwarc. Tej, która – jak głosi jedno ze zdań reklamujących tę powieść – zagrała na nosie Hitlerowi. Zabrzmiało intrygująco?! Od razu chcieliśmy poznać tę opowieść! Jesteśmy przekonane, że w kobietach drzemie ogromna siła, ale żeby aż taka? Z niecierpliwością czekałyśmy na historię napisaną przez Lidię i Roberta.

Magda ma sentyment do Łodzi ze względu na jej powieść *Czereśnie zawsze muszą być dwie*, więc tym bardziej chciała odwiedzić miejsca, które znała, jednak w nieco innym czasie. Ania zaciera rączki, ilekroć trafia do niej tekst, który jak w wehikule czasu przenosi nas do innej epoki, bo ciekawe jest nie tylko odkrywanie kolejnych kart historii (szczególnie tych mniej znanych), ale również praca nad powieściami, które je odsłaniają.

*Czarny motyl* to książka przepiękna. Pokazuje ogromną determinację młodej kobiety w walce o wolność. Autorzy w pewien sposób zyskali informacje z pierwszej ręki, gdyż korzystali z pamiętnika Haliny, aby opowiedzieć jej historię w sposób wyjątkowo emocjonujący i angażujący. Wspomnienia tej młodej dziewczyny przedstawione są plastycznie i barwnie, dzięki czemu czytelnik ma wrażenie, jakby był naocznym świadkiem jej życia i działań. A biografia panny Kłębówny mogłaby posłużyć jako kanwa do doskonałego filmu sensacyjnego! Aż dziw bierze, że postać ta wciąż jest tak mało znana (co, mamy taką nadzieję, zmieni się dzięki tej książce)!

Głęboko wierzymy, że ta powieść da Wam wiarę w to, iż warto być wiernym ideałom i dążyć do obranego celu. I w to, że w kobietach, choć są nazywane słabą płcią, drzemie ogromna siła! Losy Haliny, która jako kilkunastolatka rozpoczęła współpracę z polskim podziemiem, są również dowodem na to, że życie czasami wymyśla scenariusze, które w powieści wydawać by się mogły mało wiarygodne. Tymczasem to wszystko prawda! Czyż nie jest cudownie odkrywać takich bohaterów jak Halina?

Tej książki nie byłoby, gdyby nie cały sztab ludzi nad nią pracujących. Dziękujemy Grzegorzowi Boćkowi, który wystąpił tym razem w podwójnej roli, bo nie tylko sprawił, że tekst jest przepięknie poskładany, ale również zaprojektował zjawiskową okładkę. Nad korektą czuwały nasze mistrzynie słowa – Urszula Bańcerk i Ania Jeziorska. A do wszystkiego – jak zawsze – swoje trzy grosze dorzucała Ania. Po tych kilkunastu wydanych we Flow powieściach musimy przyznać, że działamy już razem jak sprawnie naoliwiona maszyna, i... wciąż przynosi nam to ogromną radość i satysfakcję, bo kochamy to robić. Mamy nadzieję, że udzielią się one również Wam, bo przecież wydawcy nie ma bez czytelników, którzy sięgają po jego książki. Dlatego też niezmiennie dziękujemy Wam za wszystkie ciepłe słowa, w których chwalicie naszą pracę. To wiele dla nas znaczy ♥.

Specjalne podziękowania należą się również Pani Prezydent Miasta Łodzi, Hannie Zdanowskiej, która objęła powieść honorowym patronatem.

*Magda Witkiewicz i Ania Seweryn*

Wydawnictwo Flow

[wydawnictwoflow.pl](http://wydawnictwoflow.pl)

[facebook.com/wydawnictwoflow](https://facebook.com/wydawnictwoflow)

[instagram.com/wydawnictwoflow](https://instagram.com/wydawnictwoflow)